This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Clear 7/23, 10. 30

HARVARD COLLEGE LIBRARY

Bought with the income of
THE KELLER FUND

Bequeathed in Memory of
JASPER NEWTON KELLER
BETTY SCOTT HENSHAW KELLER
MARIAN MANDELL KELLER
RALPH HENSHAW KELLER
CARL TILDEN KELLER

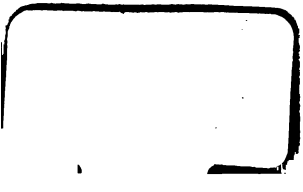

3109-10

PORTRETY

LITERACKIE.

PORTRETY

LITERACKIE

PRZEZ

LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO.

Un biographe n'a point de drapeau. Son guide est la vérité, son unique loi, la conscience.

POZNAŃ.
Nakładem Księgarni Jana Konstantego Żupańskiego.
1865.

Slav 7123.10.30

HARVARD
UNIVERSITY
LIBRARY
JUN 29 1971

Keller ID

Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki.

PRZEDMOWA.

Lubując się w portretach sławnych ludzi, a nawet niesławnych, byle należących do różnych okresów przeszłości, napawałem się ich widokiem, rozmyślałem nad nimi, i za przewodnictwem tych fizionomii przenosiłem się w czas, w którym żyli, co zbliżało oddalenie i poufaliło z ich społeczeństwem. Miłośnictwo to posunąłem aż do zrobienia się kolekcyonistą starych portretów: Hogenbergi, Falki, Hondiuse wyzyskiwali mój entuzyazm; a może też nawzajem, zyskałem od nich jakie jaśniejsze pojęcie czasów, w które przenosiłem się myślą.

Nic też dziwnego, gdy w tém usposobieniu chwyciło się nieraz za pióro do

skreślenia żywota człowieka, którego wizerunek miałem przed sobą, a — tém łatwiéj się tłumaczy, że przeszłość zapełniona tylko postaciami bez duszy i ciała, strasznie ubogo wygląda — trzebaż ją było zaludnić, a tém samém ożywić. Nietylko odnosi się to do historyi, ale i do literatury, potrzebującéj także zainteresować osobistościami swoich uprawiaczy, bez czego, zeszłaby ona na suchą nomenklaturę bibliograficzną, i na pustą dyalektykę o rodzajach i prawidłach sztuki, pachnących zawsze abstrakcyą. Poeta czy prozaik, którego pisma przekazała nam przeszłość, a my po wielu wiekach czytamy je i podziwiamy, ma niezaprzeczone prawo zwracać na siebie uwagę, jako indywiduum nad pospolitość wyższe, wpływowe, odźwierciedlające; punkt światły, gdzie wszystko się zbiega, i zkąd się wszystko rozchodzi; istota, pomimo śmierci fizycznéj zawsze żyjąca w swoich tworach, będących ducha jéj cząstką; materyał nareszcie, z którego daje się mniéj więcéj odbudować człowiek ze swo-

jemi wyobrażeniami, dążnościami, wiarą, sercem, darami natury i darami nabytémi człowiek moralny.

Takich ludzi szukałem w przeszłości i usiłowałem przywrócić ich pamięci żyjących; a determinując wartość ich tworów, tém samém ponaznaczać odpowiedne im miejsca w ogólnych dziejach naszéj literatury.... Takich nasyłała mi jeszcze teraźniejszość, w chwilach, gdy usuwając ich z grona żyjących, upominała się dla nich o pamięć i ocenienie zasług, co przychodziło tém łatwiéj, że albo znałem ich z bliska, albo żyłem śród tych, co ich znali. — Nakoniec, byli i żyjący, których talent i osobistość pociągając mię silniéj, kładły ołówek w rękę.

W każdym z tych przypadków, szło mi o utrzymanie się w granicach podobieństwa; przesada w podnoszeniu złych jak i dobrych przymiotów, zawsze mi się wydawała karykaturą; a téj unikałem. Nie licząc się bowiem do rzędu *reputacio-burzców*, który to wyraz pozwoliłem sobie ukuć

doraźnie, dla nacechowania dość rozpowszechnionego rodzaju pisarzy — otaczałem taką samą sympatyą moje oryginały, z jaką malarz artysta stara się uidealizować podobieństwo, aby było czymeś więcéj niż pospolitą fotografią. —

Pisałem w Krakowie 15go Stycznia 1865.

JAN DANTYSZEK.

(1485—1548).

Jednym z najznakomitszych dyplomatów i niepoślednich poetów łacińskich za Zygmunta Igo był Jan Dantyszek, mąż europejskiéj sławy, który tak w kościele jak w polityce, jak w literaturze, najdostojniéj reprezentował Polskę w obec zagranicy. Był to kosztowny i świetny klejnot w koronie Zygmuntów. Przyznali mu to i właśni, przyznali i obcy; cień tylko rzucony przedziałem trzech stuleci, przygasił żywe o nim wspomnienie, które pragnąłbym rozbudzić, aby teraźniejszość umiała szanować i upominać się o swoje historyczne wielkości, nader często jéj zaprzeczane, niekiedy z nader błahych powodów.

Urodził się on w Gdańsku r. 1485, gdzie jego ojciec był piwowarem, i familijne nazwisko nosił Flachsbinder, używane zrazu i przez młodego Jana, lecz przerobione na greckie *Linodesmon*. Później gdy cesarz Maxymilian zaszczycił go szlachectwem, zwał się *von Hofen* a po łacinie *de Curiis*. To jednak pewna, że w ostatku od rodzinnego Gdańska pisał się Dantyszkiem czyli Gdańszczaninem.

W dzieciństwie mało okazywał skłonności do ojcowskiego rzemiosła, za to wiele do umysłowych prac ochoty. Oddali go też rodzice najprzód do gdańskiéj szkoły, a potém do akademii krakowskiéj, gdzie prawniczym i filozoficznym naukom poświęcał się pilnie, a poznaniu klassycznéj starożytności ze szczególną miłością; czuł w sobie bowiem ducha poetycznego i pragnął go na wielkich wzorach wykształcić. Słynął wtedy w akademii krakowskiéj głośny z poezyi łacińskich Paweł Krośnianin, który mu w tym zawodzie mistrzował. Wszakże od naukowych zajęć oderwał się gorącego serca młodzieniec, gdy w roku 1502 i 1503 powołała rzeczpospolita synów swoich na obronę granic od Tatarów i od Wołoszy. Po skończonéj wojnie znowu wrócił do miłych książek, lecz nie na długo. Snać ktoś, co się poznał na jego zdol-

nościach, zalecił u dworu, dokąd go powołano; wszakże młodzieńcza dusza tęskniła sobie z dworskiego pustego świata, do téj klassycznéj ziemi, ozdobnéj urokami poezyi i wyższéj umiejętności jaką była Italia. Nie wiemy za czyją protekcyą, lecz udało mu się porzucić dwór króla Alexandra, o którym tak mówi w pięknym łacińskim wierszu do Alliopaga (Knobelsdorfa):

W najmłodszych latach wzięty na królewskie dwory;
Od szkolnych nauk, czego żal mi do téj pory;
Bo dwór zaraza, złego bezdenna kałuża;
Na te jego nauki wstyd mój się oburza.
Rzucając go, do Lacyum dążyłem wybrzeży,
Pewny że z twą nauką moja się sprzymierzy.
Wzdy inaczéj się stało, bo ledwom Alp szczyty
Pozostawił za sobą, wód morskich błękity,
Błysły mi.....

Znalazł się w Wenecyi, i tam ujrzawszy w porcie okręt mający płynąć do Jaffy, uczuł w sobie natchnienie odprawienia pielgrzymki do Ziemi św. I puścił się pełen pobożnéj intencyi któréj poświęcił nawet ciekawość oglądania klassycznych Włoch. Po niemałych trudach i przygodach, dopiero z powrotem zwidził Sycylią, Neapol, Rzym, gdzie jednak niedługo bawił.

Bogatszy doświadczeniem z poznania tylu ludzi

i krajów, znalazł się znowu w drogim mu Krakowie, z zamiarem oddania się wyłącznie poezyi i naukom. Lecz kanclerz Tomicki niedał mu żyć z książkami i w czynne życie wprowadził. Przedstawiony Zygmuntowi I. został jego sekretarzem, i wkrótce na taką ufność zasłużył, że mu najtrudniejsze missye polecał, a głównie w sprawach miast pruskich, jak: Gdańsk, Elblong, Toruń, często wyrywających się z pod władzy królewskiéj. Czynności téj poświęcał się między 1508 a 1513 rokiem. Na obszerniejszém polu działań dyplomatycznych znalazł się Dantyszek w czasie wiedeńskiego zjazdu Zygmunta, cesarza Maxymiliana i Władysława króla węgierskiego, gdzie zabrał znajomość nietylko z uczonymi ale i z najznakomitszymi statystami owego czasu, jak: Herberstein, Bartolinus, Velius, co go tak zpoufaliło ze światem dyplomacyi, że Zygmunt odjeżdżając do Polski, zrobił go swoim pełnomocnikiem przy cesarzu Maxymilianie, i jeszcze bogatymi prebendami opatrzył. Po trzech latach pobytu przy cesarzu, któremu w wielu trudnych rokowaniach był wiele pomocnym, wrócił do Krakowa, gdzie niedługo odpoczywał; król wyprawił go bowiem w poselstwie do Karola V., przebywającego w Walladó-

lidzie, aby do skutku przyprowadził zapis księstwa Bari na rzecz Izabelli, matki Bony Sforcyi, niedawno oddanéj mu w zamężcie. Zaledwie interes ten szczęśliwie przewiódł, czekało go nowe poselstwo. Grożąca Węgrom potęga Turecka, nakazywała monarchom europejskim wiązać się w przymierze, do czego Zygmunt I. był najpierwszą pobudką, raz jako bliski sąsiad sułtana, po drugie jako stryj króla węgierskiego Ludwika. Jakoż w przewidywaniu od strony tureckiéj niebezpieczeństw, polecił był Dantyszkowi wyjednać u Karola V. pomoc dla Węgrów.

Odtąd życie poety potoczyło się całkiem po labyrintach dyplomacyi; w różnych missyach widzimy go czynnym przez lat dwanaście. To u Klemensa VII. woła o posiłki na Turka, to sprawy weneckie przy Karolu V. załatwia; to rewindykuje księstwo Bari na rzecz Bony; to usuwa zatargi z Albrechtem brandenburgskim, co z zakonnika stał się książęciem świeckim i protestantem; to przy Karolu V. zakochanym w nim wielce, z równą gorliwością co i dla pana swojego pracuje. Interes katolicyzmu był tak narodowym, że służąc cesarzowi, nieprzynosił przez to uszczerbku rzeczypospolitéj. Jak dalece umiał go cesarz Karol po-

ważać, dowodzi nadanię mu hiszpańskiego szlachectwa i medal na jego cześć bity z napisem: *4. et. 40. Dantiscus. in. annis. talis. in. Hisperia. posteriore. fuit.*

Mozolny ten żywot, spędzony na podróżach poselskich, tak kreśli w kilku wierszach do Aliopaga:

Trzykroć w obie Hesperie nosiłem rozkazy,
W troistéj Gallii byłem toż samo trzy razy;
Widziałem kraj Brytanów odcięty przesmykiem
Wodnym od lądu; ziemie bite Atlantykiem;
Morinów*) lud najdalszy; Batawy, i owych
Co siedzą u wód reńskich i u dunajowych.
Za młodu w czas wojenny na Gety i Daki
I nad Borys ten szedłem z rycerskiemi znaki,
Przez góry i doliny, rzeki, morskie wały,
Bez spoczynku mną losy od młodych lat gnały.

Doliczywszy do tego podróż jerozolimską i włoską wyżéj wspomnianą, wyobrazimy sobie, jak ten sposób życia musiał być nieraz przykry dla poety, tęskniącego do ukochanych klassyków i do ciszy muzom przyjaznéj. Mimo takich jednak przeszkód, od czasu do czasu wychodziły z pod jego pióra okolicznościami wywołane rymy. Za młodu śpiewał weselne gody Zygmunta z Barbarą Zapolią,

*) Mają to być Holendrzy jak Batawowie Belgi.

wyprawę nad Dniepr i do Węgier; kongres wiedeński, ożenienie się Zygmunta z Boną, a w późniejszych latach: O nędzach naszych czasów,*) w którym to poemacie zapała panów chrześciańskich do pomszczenia śmierci nieszczęśliwego Ludwika węgierskiego, poległego pod Mohaczem. Zapatrywanie się wzniosłe, wyższe nad samolubne względy polityki, znajomość spraw ówczesnych, szczytne, porywające myśli, oddane po prostu i z godnością, przytem gorące pragnienie dobra i szczęścia ludów, oto czem tchnie ta poezya, przyjęta z ogromnym przez spółecznych zapałem, jak świadczą liczne jéj wydania w Bononii, Krakowie, Kolonii. W rok potem napisał poemat: *Jonas propheta*, z aluzyą do Gdańszczan; w roku 1539 wyszedł jego piękny wiersz do Alliopaga, w którym opisuje swój cały żywot.

Przy tylu sprawach ciążących na głowie Dantyszka, spora ta wiązanka literackich płodów, urodziła się w chwilach wykradzionych nader rozgałęzionéj korrespondencyi, prowadzonéj z najrozmaitszymi osobami, w najrozmaitszych przedmiotach. Wszędzie gdzie tylko zagnały go poselstwa, umiał on zyskiwać sobie przyjaciół, mianowicie

*) De nostrorum temporum calamitatibus. Bon. 1529.

między uczonymi. Głowa pełna światła, przy dworskiéj ogładzie i łatwości w pożyciu; a zawsze dobry humor, sprawiały, że ubiegano się o jego przyjaźń, o jego towarzystwo. Podobnie jak na dworze cesarza Maxymiliana, tak później na świetniejszym jeszcze dworze Karola V., w bliskie zaszedł stosunki z najprzedniejszemi umysłami, takim Granvellą, Jakóbem Spieglem, Dupliciuszem Schepperem, Erazmem Roterdamczykiem, Waldesem, Janem Sekundem sławnym poetą, a niemniéj i z głośnym Ferdynandem Kortezem, z którym zrobił znajomość w Madrycie i późniéj z nim korrespondował, o czem z równą dumą w swoich rymach wspomina:

Mam listy od przyjaciół, Kortez mi pisuje,
Co zamorskich państw tyle zdobył, i panuje
Od znaku koziorożca, za linią równika,
I w téj oddali duszę swoję mi odmyka.....

Uczeni i poeci szczególniejszem otaczali go poważaniem, jużto poddając jego sądowi pisma swoje zanim je oddawali do druku; już dedykując mu takowe. Również świadectwa spółczesnych najprzychylniéj wyrażają się o nim. Gassendi w życiu Kopernika tak charakteryzuje naukę Dantyszka: „Miał on rzadką znajomość świeckiego i kanoni-

cznego prawa, głęboki sposób widzenia w filozofii i historyi, nabyty przez wielkie oczytanie, a następnie tak niepospolitą wymowę, że papież, dwór rzymski i najwięksi krasomówcy, niemogli mu podziwienia odmówić.“ Niemniéj pochlebnem jest zdanie Erazma Roterdamczyka, a najważniejszem kardynała Hozyusza, który często w listach swoich wspomina, że od młodości wielce cenił Dantyszka, kwoli jego uczoności i poetycznego talentu, i że go często w pracach literackich do rady wzywał.

Mąż ten jednak niebył bez słabości; czysty i pobożny w latach młodych, w obcowaniu z humanistami wiele stracił z surowéj reguły chrześciańskiego życia, wplątawszy się w miłostki hiszpańskie z Izabellą del Garda, które go wielu nabawiły niesmaków, zwłaszcza gdy wstąpił późniéj w stan duchowny. Wiersz miłosny *do Grinei*, jedyny z erotyków przechowanych w zbiorze jego rytmów, maluje, jak gdziekolwiek się obrócił serce jego prędko się zapalało, i jeszcze prędzéj zmuszone było powabny przedmiot opuścić. Przytaczam całą tę Elegią, która rzadkim obyczajem ówczesnych rymopisów jest w pewnym względzie wyznaniem uczuć wewnętrznych poety. Dyplomacya

i miłość idą tu z sobą w zawody i przeszkadzają sobie wzajemnie.

„Jakiż twardy i nędzny los kochanków onych,
Z kąta w kąt bez ustanku po świecie pędzonych
Dla nich nietrwa nic wiecznie, prąd losu porywa,
I do czynu przymusza chwila, choć wątpliwa;
Tułacze, obca dla nich cisza, wczasy długie;
Więc jednego uszedłszy, idą w jarzmo drugie:
Ta cię na greckim brzegu, ta w Lacyum ułowi,
Tamtéj włos ciemny, a téj złocisto się płowi.
Owa fozą niemiecką w złotogłowe wstęgi
Włos zdobiąc, zda się godną Jowisza potęgi.
Inna, gdzie lśni gwiazdami arktus lodowaty
Gasi ćmiącą białością nawet róż szkarłaty.
I czy lądem czy morzem zawiniesz gdzie w gości,
Zmienny Amor do nowéj pokusza miłości,
A ledwo w sercu pożar zdradliwy rozpali,
Już pędzi zakochanych wciąż daléj i daléj.

Tegom doznał gdy przyszło Grineą niebogę
Pożegnać, i z rozkazu biédz w daleką drogę.
Ciężka rzecz, z szczęściem tracić oraz i nadzieję
Co jedna, w rozpaczliwe serca balsam leje.
Tak zhukany od owiec wilk zmyka na głodno,
Tak pszczoła z kwiatu zgnana roni strawę miodną;
Tantal tak miasto wody powietrze połyka,
I czego wiecznie pragnie, to odeń umyka.
A przecież los mój gorszy! wydarto mię pannie
Co mię goniąc myślami pragnie nieustannie.

Och! wyrwać się z jéj ramion, tych liliowych ków,
Rzucić tyle całunków, igraszek, uroków!
Czy podobna bez bólu, komuś, co ma duszę,
Pisać się dobrowolnie na takie katusze?

Gdym niedawno to straszne pożegnania słowo
Wymawiał, cząstko moja, i duszy połowo!
Zarzuciłaś mi z płaczem na szyję ramiona
Przytulając do serca i łono do łona;
Pałające twe lice łez rosą się myły —
I mnie równie jak tobie łzy się z ócz puściły —
Wtedy dłoń z dłonią, usta zbiegły się z ustami
I obojeśmy rzekli: Żegnaj mi — Bóg z nami!

Mego króla rozkazy, toż cesarskie boje,
I ten odjazd zmuszony — przekląłem oboje.
O znośniejby mi dzielić los tego, co w płutno
Omotany, krew sącząc znalazł śmierć okrutną;
I Leandra szczęśliwszym nazwałbym od siebie
Chociaż go srogi Amor w przepaści mórz grzebie;
Bo gdy Hero ujrzała wyrzucone zwłoki
Mszcząc się śmierci kochanka padła w nurt głęboki.
Ja zaś wiodąc po świecie ten żywot tułaczy,
Niemogę zgadnąć miejsca gdzie mię śmierć zahaczy.
Podobny ściętéj trawie, którą Auster miecie,
Bez wytchnienia mną pędzi los po całym świecie:
Już przybywam gdzie Febus z wód eojskich tryska,
Już, gdzie się w tartezyjskie nurza topieliska,
Już być muszę gdzie Notus burze za się wiedzie,
Lub gdzie parhaski niedźwiedź przyjeżdża po ledzie.

Kędykolwiek się schowam; czy na Alpów szczyty,
Czy cicho na dnie dolin siedzę gdzie ukryty
Opasany górami, co pod gwiazdy pną się,
Wszędzie mię, wszędzie znajdziesz niezbłagany losie
Chociaż nad Don ucieknę, lub ujścia Nilowe,
Do Gades, lub na morze gdzie podbiegunowe,
Aby znaleźć spoczynek — próżna, próżna rada!
Amor wszędzie dogania i swój żar podkłada.....

Dziw mi jednak, jak dzieciak tak mały i ślepy,
Ośmiela się mię ścigać nawet w te wertepy!...
Co mówię!? On się przedarł do Jowisza tronu,
I Plutona dosięgnął choć u Flegetonu;
Ennosigeus gorzał bobrując przez łody,
Piękny Apollo pasał Admetowe trzody,
Herkul prządł, a Polifem zawodził w swéj jamie;
Eacid przeciw Frygom już kopij niezłamie; —
Bo Gnidyjczyk nad światem panuje udzielnie,
Na pewne w piersi mierzy i rani śmiertelnie. —

Niegdyś szło mi to gładziéj! Młodzieniec gorący
Sam wpadałem w Cyprydy ogród czarujący,
Swięte kadzidła sypiąc na ołtarz Pafii
Z wiązką zielonych mirtów, i róż, i lilii.
Dzisiaj siła wątleje, i włos koło skroni
Srébrzy się — przykra starość niebawem dogoni.....

Próżnom od téj napaści chciał uchronić boku;
Lecz chytry Amor zmusza dotrzymać mu kroku,

Czyż nie on cię wyuczył uciekać odemnie,
I uśmiechliwém oczkiem zerkać potajemnie?
Pożyczył ci uroków i kraśnych Charytek —
Wszystkiego, co masz piękne, słodkie, aż nazbytek.—

On to pierś moją przeszył najostrzejszym grotem —
Zwycięzco, masz za swoje! rzekł, i uciekł potem —
Tak więc miłość na męki wydała mię srodze,
Że z krwawą i otwartą raną w piersiach chodzę;
A to najboleśniejsza rana, że niedano
Ucieszyć się miłością ledwie zawiązaną;
Bo odjeżdżam daleko i to bez mieszkania
Gdzie mię los mój i ukaz królewski wygania.
Reckie Alpy, Adygę i ten most na Inie
Gdzie twój domek — już żegnam — a choć z oczu ginie
Obzieram się na miasto, i tak mi się zdało,
Jakby coś z miejskich wałów: wróć się, wróć! wołało.
Trzyrazym chciał nawrócić dyszlem, i trzy razy
Moją drogę mi wskazał: urząd i rozkazy.

O jakżem nieszczęśliwy! ranny rzucam ciebie;
Kto opatrzy, kto leki poda mi w potrzebie?
Słodki wzrok twój, i miękkie uściśnienie rączki
Mogłoby chore serce wyleczyć z gorączki;
Lecz ciebie i mnie razem los prędszy od burzy
Porywa — i lek żaden szczęścia nieprzydłuży!
Chiron mi niepomoże, ni Machaon zleczy,
Ni sam Delius lekarzy mający w swéj pieczy;
Póki ciebie nieujrzę, niewróci mi zdrowie —
O! kiedyż on dzień błogi zeszlą mi bogowie?!

Ciałem ztąd precz odchodzę — duszy z tobą zostać —
Za to w głąb moich zmysłów wprzędła się twa postać.

Szczęśliwi — którym miłość bezpieczna wciąż sprzyja,
Bo niepewność w miłości — ta tylko zabija."

W wiele lat potem, gdy tę Elegią posyłał sławnemu podróżnikowi, baronowi Herbersteinowi, dopisał następujący wierszyk:

„Chcesz téj smutnéj Elegii com składał przed laty
Nad Inem, dla Grinei, płacząc lubéj straty?
Więc ci daję, gdy żądasz, nietylko rym samy
Lecz gdyby moją była, i Samą oddamy.
Jużem téż postanowił, zgodnie z moim stanem,
I wiekiem, być pobożnym i czystym kapłanem.
Wszystko w tem życiu naszem tak prędko się kończy;
Miłość tylko ku Bogu z wiecznością nas łączy."

Pokazuje się, że już wtedy zrezygnował był całkiem z uciech i namiętności światowych, a zaprzągł się do ścisłego zachowania surowéj reguły duchownéj. Nie wymuskany to i lekki dworak dyplomata, lecz pobożny i czysty kapłan...

I takim téż był, gdy król Zygmunt w nagrodę jego wielkich usług, własnoręcznym listem z 5. maja 1530. r. odwołał go z urzędu poselskiego i ofiarował mu biskupstwo chełmińskie. Dopiéro w roku 1533 dostojny biskup Tomicki wyświęcił go na

kapłana i biskupa; odtąd też pokutując za lekkości światowe, oddał się z całą gorliwością nowemu powołaniu, nader wówczas trudnemu, bo nietylko potrzeba się było opędzać nauce Lutra robiącéj nagłe postępy, ale i załatwiać sprawy polityczne na sejmikach ziem pruskich, którym Dantyszek, jako biskup, z powodu słabości biskupa warmińskiego, przewodniczyć był zmuszony.

W ciągu tych prac spotkały go nieprzyjemne zatargi z podskarbiem koronnym Stanisławem Kostką, a to z powodu nałożonego podatku, którego pruskie stany przyjąć niechciały. Sprawa ta doszła do króla, przedstawiona w świetle niekorzystnem dla Dantyszka; jednakże prawda wyszła na wierzch, i Dantyszek na swojéj wziętości i zaufaniu na dworze niestracił. Gdy Zygmunt zdał rządy na syna, niezmienił się w niczem dawny stosunek Dantyszka. Po śmierci Marcina Ferbera, wstąpił on na opróżnione biskupstwo warmińskie; miał sobie ofiarowany kardynalski kapelusz za pośrednictwem Karola V., a później Bony, lecz godności téj przyjąć niechciał, przywiązanym będąc do swego króla i biskupstwa. Niesłusznie zatem potwarzia go Wiszniewski (w 6 tomie Hist. Lit. Pols.) że był nienasyconym godności, jak również ubliża jego cha-

rakterowi, biorąc pochop z listu odnoszącego się do miłosnych związków z Izabellą del Garda, jakoby córki swojéj uznać ani wspomagać niechciał. Takich drobnych okoliczności prywatnych, podsłuchanych z jednéj strony, niemożna kłaść na równéj szali z usługami oddanemi w zawodzie publicznym lub w nauce. Co więcéj, żywot Dantyszka jest tam traktowany za powierzchownie; bierze mu za złe że ma stosunki z Erazmem, Melanchtonem i innymi różnowiercami, a tem samém podejrzywa i jego katolicyzm, chociaż wpatrzywszy się bliżéj w szczegóły jego życia, stosunek ten, jak pokazuje się z listów, nigdy nieprzechodził granic kwestyj literackich i humanitarnych. Taki nawet zapaleniec jak Melanchton, pisząc doń, zręcznie omija kwestyą reformy. Wreszcie, jeżeli w poselskim zawodzie, w zetknięciu się z ludźmi różnych pojęć i obyczajów, umysł Dantyszka tracił niekiedy równowagę, nieidzie zatem, żeby zostawszy sługą kościoła, czemkolwiek stał się przyczyną zgorszenia. Sam rodzaj poetycznych utworów, jakie wyszły wtenczas z pod jego pióra, wymownie świadczy, że światowe względy minęły dlań, a zostało samo staranie się o szczęśliwość wieczną, w doskonaleniu się duchowem i w uczynkach zasadza-

jących się na walce z błędną nauką. Hozyusz, ten filar kościoła, młot na kacerze, niebyłby z człowiekiem podejrzanéj wiary zaszedł w ścisłe stosunki, ani też napisałby o nim w przedmiocie do *Hymnów*, że „za młodu mógł błądzić; porwany dworskiem życiem, które wszystkiego uczy, krom cnoty, ale gdy przez miłosierdzie boże stał się pasterzem, zrzucił z siebie starego człowieka i równie jak niegdyś kochał światek, teraz miłuje Chrystusa i mimo podeszłego wieku i upadłego zdrowia, trwa na modlitwie i na rozpamiętywaniu dobrodziejstw Chrystusa Pana.“ Nietylko wszakże Dantyszek był przykładnym księdzem, ale umiał być w danych razach i energicznym biskupem, zwłaszcza gdy szło o usunięcie z publicznych szkół nauczycieli przejętych nauką protestantyzmu. Wreszcie sami członkowie kapituły warmińskiéj, jak Hozyusz i Kopernik, obydwa jego przyjaciele, obydwa ludzie najznakomitsi, wymownie świadczą jak umiał się otaczać.

W ostatnich latach, pomimo prac przywiązanych do pasterskiego urzędu, modlitwa i nauka zapełniały resztę chwil Dantyszka. Umknąwszy od zgiełku dworskiego, wracał teraz częściéj do ukochanéj poezyi — ale niebyło to już owe igranie ładnemi

słowami, popisywanie się erudycą klassyczną, jak w erotycznych utworach młodości, ale coś głębszego treścią, choć w skromniuchnéj formie. Chrześcijański mędrzec nauczony przez długoletnie doświadczenie, przez rozmyślanie, pokutę, modlitwę, poglądać na sprawy tego świata okiem jedynéj prawdy, inaczéj pojmował zadanie poezyi, niż pałający żądzą użycia, klassycznemu libertynizmowi hołdujący humanista; inaczéj śpiewał pobożny i pokorny kapłan niż pyszny i lekkomyślny dworak. Jeżeli dawniéj zakładał wszystko na wykończonéj formie, jeżeli pragnął błyszczeć obrazami, metaforami i oczytaniem się w klassykach, dlatego może aby pokryć tym blichtrem niedostatki wewnętrzne, to w hymnach umyślnie słabiéj naciągnął swéj lutni, aby tem mocniéj pieśń pełnéj wiary wdzierała się do serc słuchaczów. Hymnów tych złożył trzydzieści. Hozyusz wydał je w roku 1548 po raz pierwszy, bez nazwiska autora i wyborną opatrzył je przedmową. Gdy tedy modlitwa i rozmyślania duchowne głównem były zajęciem ostatnich lat Dantyszka, wypada uważać te hymny, jako odbicie się tego stanu duszy, jako kwiat i owoc pobożnych rozpamiętywań i skruchy.—W przedmowie do czytelnika wyrzeka on się wszelkich wspomnień klas-

sycznych: „Ani dziewięciu siostrom, ani Apolinowi śpiewam te hymny; ani tryska tu zdrój z pod kopyt uskrzydlanego rumaka — bo w téj książeczce stoją krwawe znaki ran Chrystusowych, męczeństwo i śmierć krzyżowa poniesiona niewinnie....“ A daléj znowu w prologu mówi o naturze wiersza użytego w tych pieśniach, usprawiedliwiając niby odstępstwo swoje od wykwintów klassycznego renesansu: „Niepogardzaj tym kusym wierszem kościelnych pieśni — są one bez fałszu, niekąpane w zdroju aońskim, niewoniejące Cyrchy poetycznym gajem — lecz ranami boku Chrystusowego..... Często Spondeus zastępuje tu miejsce Jambu i nietrudno z Dimetrem się zgadza.“ —

W Epilogu przy zamknięciu hymnu powiada: *Sequenti nobilem Prudentium quantum licebat* — szedłem o ile można za Prudencyuszem; lecz w rzeczy saméj zbliża się on w nich więcéj do hymnów zawartych w brewiarzu, niż do Prudencyusza, który lubi uciekać się do różnych środków retoryki i niegardzi nawet obrazami mitologii pogańskiéj, kiedy przeciwnie Dantyszkowe hymny są bez wszelkiéj pretensyi do pustych ozdób, co i w powyżéj przytoczonych wierszach powiedział, a co i w ciągu dotrzymał. Osobliwa rzecz, jak

stał się prostym, z jaką wstrzemięźliwością odsunął od siebie wszelką pokusę czerpania w tych świecidełkach klassycznych które od młodości zbierał — a jak przejął się tym duchem prawd chrześciańskich, które wtenczas tylko bywają najwymowniejsze, jeżeli są w surowéj prostocie konturów i tak rzewne jak obrazy Fra Angelico da Fiesole.

Otoż właśnie serdeczną prostotą tych hymnów góruje Dantyszek nad wieloma poetami swego czasu, co plącząc mitologią i wyobraźnie starożytne z ideami chrześciańskiemi wpadają w chłodną wymuszoność. Że zaś w duchu pobożnego natchnienia je składał, że zaś uważał je za modlitwę raczéj niż za dzieło autorskiego popisu, potwierdza ostatni wiersz: *ad pium Lectorem*, gdzie się lituje nad marnościami autorskiéj sławy, która nietowarzyszy nam w kraje czarnego Plutona, która jednego grzészku nieodkupi ani téż imieniowi naszemu i książkom naszym nieśmiertelność zapewnia:

Lecz jeśli chcesz świadectwo, żeś tu żył, zostawić
Żyj tak aby cię Chrystus mógł przyjąć i zbawić;
Li przezeń nieśmiertelne uśmiecha się życie.

Zapewne, brylantów myśli, stylu Horacyuszowéj werwy tu nieszukać, ale za to jest jakiś nieopisany urok wiejący z tych strof kościelnéj łaciny,

urok żadną sztuką niedający się naśladować; bo też wypłynął z głębi serca, co wśród otaczającéj go wielkości i zaszczytów, sławy głośnéj i dumę budzących przyjaźni, zsuwała ze siebie insygnia dostojeństw, laury i herby, na polu dowcipu, nauki i dyplomacyi zdobyte, i jakby w jednéj koszulce z ułomnościami swemi, stawała przed obliczności Pana.

Tradycya téj poezyi średniowiecznéj była jeszcze bardzo żywą i powszechną za czasów Dantyszkowych. Poeta, malarz, rzeźbiarz, zgoła wszelki sztukmistrz z tego źródła brał natchnienie, bo tam spływało życie wiary, tam się wyrabiał ideał najszczytniejszych tęsknot i marzeń. Potrzeba było aż zatrząść podwalinami kościoła, aby tradycya ta tuląc się w cienie katedr i klasztorów, zostawiła wolne pole interesom i zapędom ziemskim, wśród których sztuka stała się świecką i poczęła hołdować sama sobie i dla siebie.

Poezya czerpiąca w zdroju tak żywym, jak były tradycye cudowne sięgające jeszcze pierwotnych wieków umęczonego chrześciaństwa, miała przyczynę i warunek swego istnienia w samym przedmiocie który opiewała, zostawała bowiem w spojni z wyobrażeniami wyznawanemi przez ogół Chrze-

ścian; ztąd popularność jéj przewyższała wszelkie popularności, o jaką się kuszą nowsi sztukmistrze napróżno.—Weźmy np. dzisiejszy hymn: *Z dymem pożarów;* dostał się on pod sklepienia kościelne, gdzie rozlega się w przecudnéj nucie; ale lud prosty nieśpiewa go; zawarte w nim aluzye nie są dlań modlitwą, nie są westchnieniem duszy potrzebującéj wznieść się do Boga. Jeżeli więc popularności używa, to sztucznéj i przemijającéj. Tylko religijne natchnienia ogrzane gorącem wiary, zyskiwały tę popularność, o jakiéj niemamy dziś pojęcia.

Przez całe wieki średnie waliła się wielka rzeka poezyi, podobna do tych ogromnych biegów wód nowego świata, co skrapiają tysiącomilowe lądy, a jednak źródło ich nieznane gubi się gdzieś w wypadlinach niedostępnych gór. Późno téż ciekawość ludzka zaczęła badać, zkąd biorą się te olbrzymie wody? Późno i historycy literatury zapuścili się w badania zkąd powstały te nieśmiertelne pieśni któremi się zasilała wiara naszych ojców? Wieki wykarmione na nich, niedbały o ich historyczną genealogię. Od piątego téż do szesnastego wieku, poetyczne tradycye o Zbawicielu, o Boga-Rodzicy, o Apostołach, używały nieograniczonéj powagi

i wchodziły w każdy niemal utwór. Potęga tradycyi tych rozszérzała się nieskończenie poza obręb nauki i dogmatu; one panowały udzielnie w duszy ludu, jak w wyobraźni poety i artysty, gdzie się przeobrażały w najrozmaitsze formy życia. Wiara pielęgnująca te tradycye, po tysiącu latach ostygła, racyonalizm wysuszył źródła poezyi religijnéj, a długi szereg pomników literatury średniowiecznéj popadł w głębokie zapomnienie.

Dantyszkowe hymny jeszcze należą do tego okresu żywéj tradycyi, kiedy cały cykl tak zwanych *apokryfów* téj religijnéj epopei ludu niedostał się do spisów ułożonych systematycznie i krytycznie komentowanych, jak to późniéj się stało. Wyobrażenia te, wiara w nie, przenikała zarówno pierś uczonego, poety, jak i prostaczka; choć więc tu i owdzie moda klassycyzmu wplatała reminiscencye mitologii pogańskiéj: Styxowi kazała płynąć w piekle, Febowi ziemi przyświecać, Parkom nić życia przecinać, z tem wszystkiem były to raczéj kwiatki stylu, niż sama treść rzeczy.

Ztéj strony trzeba oceniać Dantyszkowe hymny; idąc bowiem za zdaniami historyografów literatury i estetyków, trzebaby je odesłać do kategorii hymnów liturgicznych, o których sztukmistrze zazwy-

czaj mówią z politowaniem, jakby o malarstwie robionem zapomocą patronów. Oni to podług przyjętéj reguły, upatrują w płodach poezyi kościelnéj pewną poetyczną skamieniałość, zapominając czy niewiedząc o tem, że dogmat był i pozostał dogmatem, a poezya karmiła się na religijnych poezyach żyjących śród ludu, które bynajmniéj niehamowały swobody jéj lotu. Któryż z wielkich średniowiecznych poetów użalał się kiedykolwiek na krępujący go dogmat? Owszem, słowo wcielone otwierało im nieogarnione tajniki Chwały niebieskiéj, pozwalało wzbijać się nad poziom i ścigać ideał miłości i ofiary, nieznany pogańskim piewcom. Cóż bo to za różnica między hymnem Kleanta a hymnem Ambrozyańskim! Mogli filozofowie starożytni zapomocą wyobrażeń wziętych z orientu zaciekać się w którykolwiek z istotnych przymiotów bóstwa, z czego współcześni poeci nieomieszkali korzystać; lecz nigdy żaden z nich niezdołał sam przez się wzbić się do pojęcia o nieograniczoném Miłosierdziu Boskiem. Przywiléj ten dostał się w udziale duchowi chrześciaństwa, któremu dzieje zstąpienia i mąk Zbawiciela na ziemi, dostarczyły w tym względzie nieprzebranego żywiołu. Poeta katolicki, dotykając téj rozrzewnia-

jącéj i szczytnéj materyi, nielękał się owych przepaści, jakie panteizm i fatalizm pokopał pod stopami pogańskich poetów; zamiast téż zbierać okruchy ze stołu filozofów (co znowu dziś nader często się praktykuje) szukać począł natchnienia w pobożném sercu, i śpiewał równie wesoło i prosto jak betleemscy pastuszkowie: „Chwała Panu na wysokościach!“—

Hymny Dantyszka wydał był przyjaciel jego Hozyusz w r. 1548. zapewne wpierw nieco, nim zgon poety nastąpił; po niedługiéj bowiem chorobie zgasł on d. 27. Października 1548 r. pochowany w katedrze frauenburskiéj.

MIKOŁAJ REJ Z NAGŁOWIC.

(1505—1569).

Trzechwiekowe dzieje literatury polskiéj rozpoczyna **Mikołaj Rej**, i odrazu przynosi ze sobą wielki dar przejrzenia na wskróś i odbicia życia swego narodu, w takim stopniu, że i dzisiaj, kto chce szukać czystego rodzimego pierwiastku, niemoże się obejść bez roztrząsania jego pism, bez zajrzenia do tego zwierciadła.

Osobliwy ten samodzielny i oryginalny kierunek należy do prawdziwych zjawisk, gdy zważymy, że pojawienie się Reja przypada na chwilę, w któréj wszystkie literatury oczarowane tworami klassyków starożytnych, myślały, pojmowały, widziały i czuły tylko przez nich. Uniwersalność humani-

tarna wstępowała na miejsce uniwersalności kościoła, z tą różnicą, że pierwsza robiła krok wielki ku literaturze narodowéj przez uprawę nowożytnych języków, dotąd nieprzypuszczonych do wyższych umysłowych potrzeb państwa. We wszystkich też literaturach widzimy szamotanie się z trudnościami językowemi, w przerobieniu mowy potocznéj na piśmienną. Autorowie oczytani w Grekach i Rzymianach, porwani urokiem ich wysłowienia i wytwornego stylu, niemogą sobie dać rady z tą prostotą szorstką lecz szczérą, niecieniowaną subtelnościami abstrakcyjnych pojęć, a właściwą mowie ludu. Napojeni do tego wyobrażeniami pożyczonemi z innéj cywilizacyi, szukają na nie wyrazu w języku wyrobionym do potrzeb mniéj wykwintnych, i w warunkach całkiem odrębnych, jak te, co były w starożytności — przeto niemogąc znaleźć, usiłują język piśmienny zrobić innym jak język mówiony.

To jest z małym wyjątkiem historya tworzenia się nowożytnych literatur.

Nasz Rej, który „się wstydał, iż był nieuczony“ zaczął pisać językiem jakim mówił, a co lepsza, pisać o tem co widział, w czem żył, czego doświadczał — i język jego, acz z gminu wzięty,

dotąd krom niewielu archaizmów zrozumiały, a styl, acz nie na miarę cycerońskich peryodów, dotąd wdzięczy się prostotą i świeżością echa przynoszącego rozmowy ludzi Zygmuntowskich czasów.

Dlatego właśnie, że w nim tak mało sztuki, tyle ma w sobie prawdy, i tyle cech swojskich, domowych. Nasi historycy literatury polskiéj bez wyjątku, mają za złe Trzecieskiemu, albo przynajmniéj litośnie wzruszają ramionami, że śmiał Reja porównać z Dantem, — lecz tak uczony i bystry człowiek jak Trzecieski, niemiał jak się zdaje zamiaru porównywać Reja z Dantem co do treści i poetycznych przymiotów, tylko postawił go na równi z wieszczem włoskim co do stworzenia piśmiennego języka, gdy wiadomo, że tenże z cztérnastu rozmaitych dyalektów prowincyonalnych, mających już swoich pisarzy, stworzył jeden piśmienny język dla całych Włoch obowiązujący, i pomysły w téj materyi wyłożył w rozprawie: *De vulgari eloquio, sive idiomatę.* Pismo to znane Trzecieskiemu zapewne lepiéj niż sama *Divina Comedia*, nasunęło miarę porównania Reja z Dantem, co mu się słusznie należy, bo chociaż niemiał do walczenia z cztérnastą dyalektami, nie-

mniéj jednak zasłużył sobie na sławę pierwszego twórcy piśmiennego języka w Polsce.

Że Rej był niepospolitym człowiekiem, i że zasługa jego i szczególniejsza osobistość wzbudzały zdumienie nawet w spółczesnych, dowodzi najwyraźniéj żywot jego skreślony przez Trzecieskiego, z takim humorem, z taką prawdą malowniczą, że kilka tych kart liczy się w naszéj literaturze do najszacowniejszych zabytków. Samo już istnienie tego żywota, należy do takich wyjątków, jak wyjątkowym był Rej. Gdzież bowiem w ciągu trzechwiekowego trwania literatury naszéj, drugi podobny znajdziemy przykład, aby jeden autor skreślił biografią drugiego w ten sposób, jak to Trzecieski uczynił? Kochanowski, Górnicki, Skarga, Szymonowicz, Zimorowicze i tylu innych, ledwo wymienieni są po nazwisku przez współczesnych; a jeżeli jakie szczegóły o nich zaplątały się dla dzisiejszego biografa, to najwięcéj takie, które dają ich poznać anekdotycznie lub w sprawach publicznych, na wielkiéj scenie świata, nie zaś w toku domowego żywota, i że tak powiem: w negliżu. Żadna téż z dzisiejszych biografii, choćby z największą erudycyą skreślona, niemoże się porównać ze szkicem Trzecieskiego,

żywcem chwyconym przez naocznego świadka. Subtelnym domysłem wiele można odgadnąć, dopełnić, ale niebędzie to nigdy wizerunek z natury zdjęty. — Zresztą każdy niemal erudycyjny biograf najwięcéj pomaga sobie pismami autora, z których stara się wyczerpnąć jakim był człowiekiem; lecz psychologiczne studium bardzo łatwo może minąć się z prawdą, tak jakby niezawodnie się minęło w ocenieniu indywidualności Reja, gdyby go sądzić przyszło z jego dzieł, a nie podług wizerunku Trzecieskiego i tak sprzecznych ze sobą podań o nim innych pisarzów współczesnych. — Rzecz bowiem równie godna zastanowienia, że żywot jego rozrzucony, rubaszny, pusty, nie harmonizuje z temi morałami jakie wierszem i prozą ogłasza, tak, że zdawałoby się, co i Kraszewski trafnie zauważał, iż właśnie te przymioty najwyżéj cenił, podnosił i ludziom zalecał, na jakich mu w życiu najwięcéj zbywało. Wszakże ta zewnętrzna dysharmonia między człowiekiem a jego pismami, daleką mniéj razić będzie, gdy zważymy, że świadectwa współczesnych natchnięte były częścią przez uprzedzenie dla Reja łączącego się z różnowiercami, częścią, że ta bujność życia krotofilnie hulaszczego szlachcica, wartogłowa i paliwody, niemogła zmieścić

się w żadnéj rubryce przeznaczonéj dla klasyfikowania ówczesnych autorów, zwykle ze stanu duchownego lub foliałami tak odgrodzonych od rzeczywistego świata, że jego zachcenia, fantazye, nałogi, zwyczaje, fizyonomia i charakter, nie mieszały do nich przystępu, i nie zasługiwały w ich rozumieniu aby je brać za przedmiot do studiów. — Naszego Reja przeciwnie, nęcił światek; w szkołach nauczywszy się niewiele, wybiegł między ludzi, i wśród zabaw, zjazdów, biesiad, niekiedy i poważniejszych zgromadzeń, gdzie o sprawach publicznych a najczęściéj o zawiłościach teologicznych radzono i rozprawiano, ćwiczył się, mając za przewodnika wrodzony zdrowy rozsądek i bystre objęcie, a potem ciekawość łaknącą nauki, byle takowa przychodziła z łatwością; fałdów bowiem przysiedzieć nielubiał. Niesądźmy jednakże, żeby szumiące to piwko wyrobiło się tak rychle, jak u tegoczesnéj młodzieży. Lata terminowania w szkole doświadczenia przeciągnęły się u niego dobrze w dojrzały wiek męzki; co także dowodzi potężnéj żywotności, wielkiego zasobu nietylko cielesnych ale i duchowych sił. — Z tego powodu wszystko co pisał w swoim niestatku, kiedy to biesiadował i hulał w dzień a rymował po nocach,

miało cechę widocznéj dorywczości; myśl jedna obracana na wszystkie strony, pospolitość najprozaiczniejsza powiązana łuźnemi rymami, niekiedy potok szczęśliwego poetycznego wyrażenia się, lecz na to tylko, aby go zalała powódź najprozaiczniejszéj gadaniny — słowem, zasługa Reja zeszłaby tylko do strony filologicznéj, gdyby był sobie niezdobył tego stanowiska, jakie potomność mu przyznała, przez napisanie w późniejszych latach: *Żywota poczciwego człowieka.* — Owoc ten długiego doświadczenia i obycia się z ludźmi; summa mądrości starca patrzącego na świat okiem nie pedanta lecz wytrawnego znawcy, toż rówiennika każdego wieku i stanu, stał się szczérym obrazem domowego życia szlachty ówczesnéj, a oraz przewodnikiem jak należy żyć, aby żyć dobrze po ludzku i po bożemu. Dziś jeszcze ze zbudowaniem można czytać tę książkę; w niéj bowiem zawarte są prawidła wydobyte z ducha narodu, i podaną jest formuła, podług któréj ukształcać ma się społeczeństwo nasze, jeżeliby zapragnęło wyrabiać się z swoich własnych sił i żywiołów, a nie wciągać w siebie obcéj cywilizacyi, pozorne blichtry, które jak rdza przejadają element słowiański, skazany tym sposobem na wieczną bierność.

Chwila, kiedy ta książka Rejowa powstała, była najszczęśliwszą i może jedyną. Naród bowiem przyszedłszy pod Jagiellonami do najdoskonalszego wyrazu swego wewnętrznego ustroju, pełen życia rozpościerającego się w szerokich granicach, a w stosunku do innych państw nie bez znaczenia na szali polityki, przytem w obec wyobrażeń nowatorów religijnych pobudzony do głębszego rozpatrzenia się w sobie, a zarazem pochwycony nowemi ideami, z różnych wysokości i stanowisk oceniający własną swą istotę — najbardziéj chciał być samym sobą, i najwięcéj jeszcze ze siebie snował. Moment ten odbił się zupełnie w książce Reja, i dlatego stała się ona jednym z najoryginalniejszych zabytków naszéj literatury, niemniéj nieocenionym kodexem patryarchalnego obyczaju, który przestrzegamy z pobożną miłością, stałby się oraz najsilniejszą rękojmią narodowego konserwatyzmu.

Trudno zaczepić o Reja, a nierozwieść się nad *Żywotem poczciwego człowieka*, bo czyż Żywot ten nie należy do najprzedniejszych pism jego? Co nieprzeszkadza, że jeszcze kilka niedotkniętych myśli powiedzieć mi o niéj wypadnie pod koniec.

Biorąc tedy za przewodnika żywot Reja skreślony przez Trzecieskiego, i dopełniając go nowemi

poszukiwaniami naszych historyków literatury, opowiem o pisarzu i pismach jego, w sposób dający czytelnikowi jasne wyobrażenie i o jednym i o drugich. —

Mikołaj Rej herbu Oksza, jak pisze biograf jego Andrzéj Trzecieski*) pochodził ze starożytnego domu, piszącego się z Nagłowic, wsi ziemi krakowskiéj, powiatu księskiego, niedaleko rzeki Nidy. Ojciec jego Stanisław, udawszy się na chléb rycerski w ziemie ruskie, pozostał tam przy arcybiskupie lwowskim Wątróbce, swoim stryju herbownym, gdzie się ożenił naprzód z Buczacką, a potem gdy ta umarła, pojął drugą żonę na Rusi, Barbarę Herburtownę, wdowę po zacnym człowieku Żórawińskim, i zdaje się w jéj majątku Żórawnie zamieszkał. W naddniestrzańskiéj tedy okolicy, w Żórawnie, przyszedł na świat z tego małżeństwa syn, późniéj pismami wsławiony Mikołaj Rej. Rok jego urodzenia podaje biograf na 1515 w mięsopustny wtorek; lecz Wacław Maciejowski w dziele *Piśmiennictwo polskie* (T. I. k. 413) słuszne robi

*) Pisemko to należy do największych bibliograficznych rzadkości; przyznam się, że nigdy go niespotkałem — przedrukował go dlatego X. Juszyński w swoim Dykcyonarzu Poetów Polskich.

postrzeżenia o mylności téj daty, biorąc ztąd pochop, że na pierwszem wydaniu Postylli Reja przez Wierzbiętę w r. 1557 znajduje się wizerunek Mikołaja z podpisem, że miał od urodzenia lat 50. Drzeworyt ten z tymże podpisem znajduje się i na innych wydaniach z r. 1560, 62, 64, 68. Sądzić można, opierając się na tem, że w pisemku Trzecieskiego zaszła drukarska pomyłka bardzo łatwo; trudno bowiem przypuścić, żeby on, znający tak dobrze sprawy całego życia swojego przyjaciela, niewiedział roku jego urodzenia. Najpewniéj rok przyjścia jego na świat był 1505*).

Tradycya utrzymująca się wówczas między szlachtą, przypisywała rodowi Rejów cnoty ciche, skromne, dalekie spraw świeckich. Prawdziwi ziemianie, unikali dworów, a tylko wierni powołaniu rycerskiemu, szli próbować tego rzemiosła, kiedy rzeczpospolita wzywała swoich obrońców. Toż

*) Stwierdził to dowodnie p. Przyborowski w Tyg poznańskim Nrze 3. 1862 r. Prace podobne téj jaką podjął o Kochanowskim, niezmiernie ułatwiłyby zadanie piszących o literaturze dawniejszéj. Dzisiaj chcąc mówić o jakim dawnym pisarzu z zapatrywaniem się na jego żywot, talent, dążności, trzeba tracić dużo czasu na poszukiwaniach drobiazgowych.

i ojciec Mikołaja, aczkolwiek za młodu kosztował rycerskiego chleba, to później udał się na żywot pobożny, domowy, nieszukający zaszczytów ani znaczenia. Domatorstwo może cokolwiek źle zrozumiane, wpłynęło na wychowanie syna. Pieścił jedynaka, niedawał go uczyć z lat młodych, aż wyskoczył wyrostek, samopas chodzący, a na nic nikomu nieprzydatny. Snać gorszyło to sąsiadów i krewnych; poczęli ojcu wymawiać tę niedbałość około chłopca i skłaniać, aby go do szkoły posłał; lecz ta niedbałość, będąca raczéj zbytkiem nierozsądnego rozmiłowania się w jedynaku, niż skutkiem obojętności, z niemałą trudnością dała się nareszcie przełamać, tak, że go oddał na naukę do Szkalmierza, ztamtąd do Lwowa, a w końcu do bursy Jeruzalem w Krakowie. Po dwa lata spędził w pierwszém i drugiem mieście, w ostatniem rok jeden i — nigdzie się nic nieuczył, bo już był zasmakował, jak mówi Trzecieski „w dobrém towarzystwie“, co się ma znaczyć: w towarzystwie młodych wartogłowów i próżniaków.

Po tak szczęśliwie skończonych szkołach, zdało się ojcu, że zbytek nauki mógłby jedynaczkowi zaszkodzić — wziął go więc do Żórawna, gdzie z rusznicą i wędką biegając, dogonił lat ośmnastu.

Humorystycznie opowiada Trzecieski pustoty młodzika, w których umysł wprawdzie niepracował, ale ćwiczyło się ciało i przybywała praktyka życia tak potrzebna ludziom ówczesnym, mniéj z książkami a więcéj z ludźmi mającym do czynienia. Wszakże ten spryt w Mikołaju, szczególniéj do myśliwstwa, niemartwił nikogo; owszem wszyscy poklaskiwali mu w domu mówiąc: „Nic nasz Mikołaj, nic; nie zależyć ten na starość gruszki w popiele.“ — I sprawdziło się — wyszumiało piwko, i znalazł się mąż niepospolity w narodzie. — Nastrzelawszy tedy bąków do lat dwudziestu, naprawdę trzeba było myśleć co robić z panem Mikołajem. Najwyższą szkołą poloru obyczajów bywały, jak wiadomo, pańskie dwory; poszedł zatem nasz młodzik na dwór pana Andrzeja Tęczyńskiego wojewody sandomirskiego, człowieka „małego wzrostem, ale wielkiego głową.“

W tym wyższym świecie, wśród obcych a poważnych osób, zaczął się pan Mikołaj trochę przegryzać w naukach, to pisząc listy, to czytając łacińskie książki, to korzystając z rozmów w gronie dworzan zostających na respekcie u wojewody. Zrazu szło tępo; czytał, a nieprzygotowany do niczego, mało rozumiał; lecz trwając w chęci wy-

kształcenia się, począł rozumieć co czarno, co biało, a „Bóg i natura ostatka dodał.“ Wszelako i tu niewał częste pokusy: nęciło towarzystwo i muzyczka; Trzecieskiemu to nie w smak — a zapomina, że to poetyczna dusza, że ta muzyka za którą tak ginie, robi go śpiewakiem, uczy rymy składać, słowa szykować do miary. Pokazuje się jeszcze, że to był prawdziwy lirnik, co piosnkę improwizował i nutę do niéj również; przynajmniéj inaczéj wytłumaczyć sobie niemożna tych słów biografa: „Texty dziwne (muzyczne) a wiersze rozmaite, tak nic się nierozmyślając, czynił.“

Jak długo zostawał na dworze Tęczyńskiego, niepowiada żywotopisarz; dość że odstał od onego pana, wrócił na miłą Ruś, gdzie przebywał u przyjaciół, a szczególniéj wieszał się przy hetmanie naówszas Mikołaju Sieniawskim wojewodzie bełskim, potem ruskim; krew bowiem poczciwa szlachecka kipiała w nim chęcią zmierzenia się z nieprzyjacielem ojczyzny. Szlachcic, który szabli niewyszczerbił na karkach pogańskich, był niezupełnym szlachcicem, i zapewnie niemógł używać miru i poważania w gronie obywatelskiem. Wszakże na nieszczęście nigdy taka potrzeba nieprzyszła na Reja

w całém życiu, aby miał korda dobyć, chyba w rozwadzaniu podciętych towarzyszów hulanki.

Nabawiwszy się do syta w dobrych towarzystwach, czyli nażywawszy dość światka, który mu zawsze smakował, pomyślał o odmianie kawalerskiego stanu, i wziął za żonę Rożnównę z Sędziszowa, siostrzenicę arcybiskupa Rożego. Musiała i oprawa być nęcąca, bo arcybiskup niezapominał o swoich powinowatych; jakoż dostał po niéj w ziemi chełmskiéj na Rusi dobra Kobylskie i Siennicę, gdzie najwięcéj już potem przemieszkiwał, a nawet aby uwiecznić pamięć swego rodu, założył w bliskości Chełmu miasteczko Rejowiec. Mimo tego, wspomnienia młodości, powab i polor królewskiego dworu, ciągnęły go zawsze w Krakowskie. Nieobojętny na sprawy rzeczypospolitéj, pragnął poznać skład rządu, słyszeć zdania najpierwszych statystów, przypatrzyć się tokowi interesów, zgoła praktycznie wyćwiczyć się w rzeczach publicznych, ażeby obowiązkom obywatela rzeczypospolitéj godnie odpowiedzieć. Jakoż „żadnego sejmu, żadnego zjazdu, ni żadnéj koronnéj sprawy niezamieszkał.“ Zdrowe jego zdanie, dowcip przenikający, a zapewne i humor zawsze jowialny, a trafnie umiejący się znaleźć z gotową odpowiedzią, co na monar-

szych dworach wielce popłaca, zjednały mu szczególniejsze względy u króla Zygmunta Starego i królowéj Bony, która zapewne znała się na niepospolitych głowach. Dano mu tedy i jurgelt, i stacyą szkalmierską i wieś w dodatku. Panowie znowu idąc za przykładem królewskim, nuż obsypywać pana Mikołaja donatywami, w czem biskup Gamrat niedał się wyprzedzić, puściwszy mu w dzierzawę Kurzełów i Biskupice. Opływając w łaski, niedziwimy się dla czego pragnął zachować swoją niepodległość, i po żaden urząd ziemski nie sięgał. Gdy mu z tego robiono zarzut, odpowiedział, iż w urzędzie dwa co najszlachetniejsze klejnoty obciążone być muszą: wolność a sumienie. Jednakowoż kiedy uczuł konieczną potrzebę poświęcenia usług rzeczypospolitéj, niewymówił się od urzędu poselskiego, i posłował po kilkakroć, będąc dobrze otrzaskan i włożon w sprawy koronne ze samego zwyczaju przysłuchiwaniu się obradom.

Kiedy wówczas każdy, co sięgał po wyższe stopnie, co chciał nabyć znaczenia między swoimi, chętnie puszczał się do Włoch, Francyi i Niemiec, gdzie rad słuchał uczonych wykładów po akademiach, i za towarzystwem sławnych nauką mężów się ubiegał — pan Mikołaj, rozmiłowany w zie-

miańskim żywocie, ani na włos się za granicę niewychylił, raz tylko, jak biograf mówi, wyjechał w księstwo litewskie, i to nie na długo.

W wierszu *do poczciwego Polaka stanu rycerskiego*, sam to powiada o sobie:

„Bom ja też prosty Polak, nigdzie nieježdżając.
Tam się pasł na dziedzinie jako lecie zając;
Z granice polskiéj milę nigdziem niewyjechał
Lecz co widzieć przystoi przedsiem niezaniechał.
Aczem był nieuczony, przedsiem jednak czytał,
A czegom nierozumiał, inszychem się pytał."

Przyjacielski, gościnny, nieodmawiający usług sąsiednich, otoczony towarzyszami lat młodych, z którymi miło było pogadać i wypić, interesujący się publiką, a do tego biorący żywy udział w sporach religijnych zaprzątających wszystkie umysły i wywołujących ruch gwałtowny w społeczeństwie, nakoniec pan licznych imion, które łaskami Zygmunta Augusta i zapisami krewnych wzrastając w magnacką fortunę, potrzebowały pańskiego oka; tyloma zgoła ogniwami przykuty do ojczystéj ziemi, gdy krom tego jeszcze Muzami się zabawiał, mógłże pomyśleć o szukaniu rozumów weneckich lub francuzkich, kiedy mu z jego własnym gospodarskim rozumem tak dobrze się działo? Mimo rozrzuconego

życia jakie za młodu prowadził, Mikołaj Rej miał coś w sobie żywotnie organicznego; musiał być wybornym gospodarzem, dobrym panem dla poddanych, troskliwym o kwitnący wzrost kraju, kiedy on, prosty szlachcic, nie żaden senator, aż dwa miasta zakłada, Rejowiec w Chełmskiem i Okszę nad Nidą przy Nagłowicach. Niewiele też trzeba uważać na przydomek, którym sam siebie strofuje, pisząc się „z Zamku Niedbalca“ — są bowiem pewne charaktery, co pojmując jak wielkie leży przed niemi zadanie, wiecznie czują się niezadowolone ze swoich postępków, ze swoich usiłowań. Próżność tylko, zwykle mało owocująca, nigdy się niepotępia, nigdy się nieprzyznaje do swoich niedostatków. Z téj uwagi należy właściwie ocenić Reja, który nigdzie się niechwali, który owszem tyle ma skromności, że się na żadném dziele niepodpisał.

Niemożna go zatem brać z téj strony, co książkowych literatów naszego wieku, i przyganiać mu, że od małego nie ślęczał nad książkami a więcéj żył z ludźmi, zrazu jak niedowarzony paliwoda z każdym co przypadł do fantazyi a kuflem i tańcem niegardził, potem trafiwszy na poważne osoby, światłe senatory, sam poważny, i jakby

drugi mędrzec rozprawiający o cnocie. Szkoła świata zrobiła właśnie Reja czem był: najzupełniejszym wyrazem swego społeczeństwa; beziné byłby może niewolniczo naśladował którego z rzymskich poetów lub prozaików, i to z czasów upadku literatury, jak właśnie wtenczas miano we zwyczaju, lubując się nietyle w Wirgilim, Horacym, Cezarze i Liwiuszu, ile w Lukanie, Plutarchu lub Senece. Pokrewny mu pismami Montaigne najwięcéj kochał się w wymienionych pisarzach i najwięcéj z nich czerpał. W ogóle zrobiono tę uwagę, że klassycy drugiego i trzeciego rzędu więcéj znaleźli wielbicieli w epoce restauracyi klassycznéj, niż pierwszorzędni. Reja umysł czerstwy i prosty, widział i czuł rzeczy po prostu; wyobraźnia i fantazya uśpione w nim, nierozbudziły w sercu tych wyższych pragnień i marzeń poetyckich, które unoszą w inne, lepsze światy, jak te, po których chodzimy. Dumać, tęsknić, melancholizować, ani mu przeszło przez głowę, jemu, fortunnemu dziecku, które trwoniło tylko nadmiar życia, które wszystko znajdowało do koła siebie pięknem, dobrem, pomyślnem, a jeżeli co zawadzało jego ideałowi, to chyba zwykłe przywary i wady ludzkie, na które miał sporą torbę mora-

łów o cnocie, o poczciwości, trzeźwości, wstrzemięźliwości i t. p. — Pierwszy zatem wzgląd należy się mu jako człowiekowi, i to niepospolitemu, tak w domu jak w publice. — Kto mógł natchnąć takich kilka kart wspomnienia o sobie, będących wyjątkiem w całéj literaturze, ten zasłużył inaczéj być sądzonym, chociażby i urywkowe świadectwa przeciwników najniekorzystniéj o nim wyrzekły. Ale któż są owi świadkowie? Oto przeciwnicy religijni, uniesieni zbytnią gorliwością przeciw Rejowi, który także po części zasmakował w błędach luterskich, — albo też ludzie jednego z nim wyznania, wypierający się wspólnictwa z nim, przyganiający mu że „niepomagał ale przeszkadzał rozkrzewieniu świętéj prawdy (luterskiéj)." Ten zarzut Jana z Woźnik, pozwala wnioskować, że Rej przy swojéj wyższości umysłowéj, niezawsze podzielał ciasne, negacyjne i suche sposoby widzenia swoich współwyznawców; co więcéj, przyszła dlań chwila, w któréj poznawszy do jakich nadużyć reforma Lutra doprowadza umysły, gdy się w potwornych wyobrażeniach socyanizmu objawiać zaczęła, uczuł zdrowym swoim rozumem wyższość i gruntowność nauki rzymskiego kościoła. Szczegóły tych jego walk wewnętrznych z przeko-

naniami, nie są wiadome; jednakowoż w wierszu *Przemowa do poczciwego Polaka stanu rycerskiego*, w ustępie: *Religia* można znaleźć jak się oburza na naukę zaprzeczającą tajemnicy Trójcy świętéj, bóstwa Chrystusowi, nieświęcenia niedzieli i t. d.

Będzie się tak mięszało, a z czasem niedługim,
Albo nam być w talmucie albo w alkoranie,
Kiedy się tak nasz Kristus na szrot puścił tanie.
Zbłądzili papieźnicy, lecz wzdy nie tak srodze,
Jako dziś Aryanie harcują o Bodze.

Znać tu w tem wyrażeniu: *zbłądzili papieźnicy*, że jeszcze trwa w swoim błędzie buntowniczym a poza obrębem kościoła szuka jego naprawy; ale któż niepostrzega, jak zdrowy rozsądek może go naprowadzić na wniosek, że aryanizm jest niczem innem, tylko w swoich loicznych następstwach rozwiniętym luteranizmem, czyli jakbyśmy dziś nazwali: postępem wyobrażeń religijnych. W swoim czasie Rej porwany w wir opinii zwolenników reformy, poduszczany przez nich, pisał Postyllę, gdzie przeciw kościołowi gardłował; lecz możnaby wnosić, że pycha nowatora opuściła go późniéj. Najszacowniejszy człowiek swojego wieku, Józef Wereszczyński opat sieciechowski, którego świadectwo najbardziéj mogło potępić Reja, wspomniał

o nim w pisemku: *Gościniec pewny niepomiernym moczygębom a obmierzłym wydmikuflom świata tego.* — W Krakowie 1585; lecz, wspomniał jako o żarłoku, prawdziwym polyphagu, z olbrzymim apetytem i nieugaszonem pragnieniem, które gasił piwskiem — takim go maluje gdy mieszkał w ziemi chełmskiéj; — jednakowoż mąż tak o wiarę gorliwy jak ksiądz opat sieciechowski, niewyrzucił mu żadnych zdrożności, gwałtów, prześladowań, jakiemi go inni obkładali za życia. — Być może, że oryginalności Reja puste, rubaszne, hałaśliwe, dowcipne i nieoglądające się na różne powagi, narobiły mu tyle nieprzyjaciół, — tak przynajmniéj możnaby wnosić i z tego co w pismach zostawił, i z tego co o nim Trzecieski powiedział: „*nemini molestus*, nigdy nikt się nieozwał, ktoby był nań kiedy co poskarżyć miał. Sam się każdemu osądził i usprawiedliwił.“ Zapewne przychylne słowa mogą mieć źródło w należeniu Trzecieskiego do téj sekty, którą Rej wyznawał; wszakże są pewne w téj wzajemnéj admiracyi granice; chwalba może dotknąć i podnieść niektóre strony, inne przemilczeć, — ale wbrew opinii nieśmiałby powiedzieć: że niebyło nikogo, coby się nań miał kiedy o co poskarżyć, tak był niedokuczający ni-

komu (*nemini molestus*). Zresztą znając naturę ludzką trudno przypuścić, aby człowiek z tak wesołym humorem, lubiący dobre towarzystwo, bez ambicyi dobijania się o urzędy i dostojeństwa, miał się dopuszczać gwałtów nad klasztorami, lub fanatycznie prześladować przeciwników religijnych. Jeżeli o co, to o fanatyzm najmniéj go posądzić; — z jego sercem prostem i wylanem, z jego usposobieniem do lekkości, ten rys niezgadza się wcale. — W ogóle pojęcia religijne Reja znalazły się na pewnym neutralnym gruncie racyonalizmu, na jakim znajdowały się niektóre umysły w owych czasach, kiedy walczące ze sobą teologiczne argumenta katolików przeciw argumentom protestantów, chwiały tak przekonaniem, że już niewiedziano w co wierzyć. U nas strony walczące nieprzeszły granic polemiki, — krew się nie lała jak we Francyi, więc téż niewyrodziło się w umysłach zupełne zwątpienie lub skeptycyzm. Dlatego w racyonalizmie Reja dotykającym podrzędnych rzeczy, przebija się mocna jeszcze wiara w główne dogmaty chrześciańskie; gdy przeciwnie u Montaigna, będącego świadkiem najkrwawszych wojen religijnych i rzezi, wyradza się silny skeptycyzm; bo kiedy jedna i druga strona kładzie fundamenta

swoich twierdzeń ogniem i żelazem, on się zamyka w jednéj możebnéj formułce mądrości — w zwątpieniu; kiedy w religii, w polityce, w literaturze każdy zapowiada: wszystko wiem, i wiem najlepiéj, Montaigne bierze za godło: Cóż ja wiem? *Que sais je?* Wszakże i on niedochodzi do najwyższego pyrhonizmu, i niewątpi w Boga i cnotę. Rej przeto mniéj jest filozofem, więcéj moralistą; nie bierze rzeczy *in abstracto*, a tylko *de visu*. Jako traktat moralny, *Żywot poczciwego człowieka* należy do najsystematyczniejszych pism wydanych w wieku szesnastym. W nim téż potrzeba szukać człowieka, a nie w innych ulotnych wierszykach, nie w Postylli pisanéj z celem ohydzenia przed gminem katolickiego duchowieństwa, lecz jak mówi Juszyński mniéj niebezpiecznéj dla katolików, niż jedno kazanie Skulteta — nie wreszcie w relacyach spółczesnych, powodujących się pozorem lub uprzedzeniem.

Aczkolwiek tedy są liczne pisma Reja wymieniane przez bibliografów, wartość ich i wpływy nawet na współczesnych, niemogły sięgać daléj nad przygotowawcze studia, usposobiające nasz język ojczysty do oddania tych myśli w poezyi i prozie, jakie rozkrzewiły się w narodzie z przy-

bywającem światłem zachodu, — z wzrastającemi codzień potrzebami wyższego poloru i cywilizacyi. — W mnogich jego rymach, gdzie tak często postrzega się niemoc w wydaniu szczęśliwych nieraz pomysłów, trafiają się tu i owdzie przedziwne prostotą i naturalnością wiersze, wonne kwiatki, zronione w improwizatorskiéj gadaninie nudnéj i oschłéj. Większą część pisał zapewne *stante pede*, wszędzie i w każdem miejscu gdzie się nadawała sposobność, nie zaś gdy weń wstępowało natchnienie. — Żyjąc dużo na zewnątrz, niedoznawał wewnętrznego skupienia się; dopiéro kiedy w późnych, wytrawnych leciech zasiadł do pisania **Żywota poczciwego człowieka**, zaczął wstępować w siebie, badać się, badać ludzi i roztrząsać sprawy świata ze spokojem żeglarza, który po długiéj podróży zarzuciwszy w porcie kotwicę, przebiega pamięcią i sercem te drogi, przez które przechodził. — Trzecieski tak samo rozklasyfikował jego pisma; wyliczywszy znaczny ich poczet, dodaje: „a naostatek, już we wszystko się ochynąwszy, pisał księgi **Żywota człowieka poczciwego**, rozdzielone na trzy wieki jego, to jest: młody, średni i stary, jako się ma poczciwy człowiek, na każdym stanie będąc, w swéj powinności zachować.“

Co stanowi największą wartość **Żywota poczciwego człowieka**? Oto niesam morał, bo tego rodzaju ogólników nigdy światu niebrak; ale stanowią ją studia z natury brane z pierwszéj ręki, te cudowne obrazki wiejskiego życia, zatrudnień i uciech domowych; te znowu rysy obyczajowe dostrzeżone w przelocie, te fizyonomie, te stroje, ten tryb zachowania się towarzyskiego, zgoła najwyborniejsza fizyologia społeczeństwa z jagiellońskich czasów, — krom tego jaka praktyczność prawideł życia, zupełnie zastósowanych do przyrodzenia, do charakteru narodowego!

„Rej — jak mówi Mickiewicz w 34. lekcyi swego *kursu literatury* — rozwija nam przed oczyma cały obraz życia w Polsce. Co pozostało tutaj słowiańskiego, to daje się widzieć w zakresie rodziny, w obyczajach, nałogach, w cnotach domowych, pomiędzy któremi celuje słowiańska gościnność; co właściwie jest polskie, to występuje na jaw w sprawach publicznych, w stosunkach obywatela z krajem; co nakoniec można nazwać powszechnem, europejskiem, tego wizerunek mamy w wyobrażeniach religijnych i socyalnych. Polacy w owym czasie wygórowali już daleko nad Słowian dunajskich. Tamci bowiem wyśpiewują tylko

swoje uczucia, malują obrazki swojego życia, ci zaś myślą i rozprawiają; każdy nawet pragnie pojęcie swoje stósować do polityki i spraw potocznych.“

Wyborne to zdanie o **Żywocie poczciwego człowieka**; bo objawiając je, głównie to dzieło Mickiewicz miał na uwadze — pokazuje, jak wysoką położył wartość na utworze długo skazanym na zapomnienie w naszéj literaturze; od dwóch bowiem edycyi, które jeszcze za życia Reja ukazały się w jednym prawie czasie (roku 1567—1568) i późniejszéj edycyi wileńskiéj z r. 1606, do edycyi Gałęzowskiego w Warszawie (1828 r.) upłynęło przeszło dwa wieki.

Odgrzebując przeszłość naszę z popiołów, z jakiemże zamiłowaniem powinniśmy czytać Reja podającego nam klucz do téj przeszłości, i to z onych chwil, kiedy była najświetniejszą, a przynajmniéj kiedy cnoty były tak czerstwe, obyczaje tak jeszcze patryarchalne, a węzły społeczeńskie tak silne, że nawet szarańcza nowatorów padająca na Polskę, niemogła posad budowy jéj nadwerężyć. Swoboda zdań, zwycięztwo zostawiła przy prawdzie.

Podobnie jak podnoszono wątpliwości co do

roku urodzenia się Mikołaja Reja, takie same wynajdywano co do daty jego śmierci. Pospolicie naznaczają mu rok śmierci 1569 — lecz p. Ambroży Grabowski w przedmowie do pism wierszem Mikołaja Reja, przedrukowanych w Krakowie r. 1848, powiada, iż w pewnym dokumencie z 16 wieku napadł na ślad, że jeszcze w r. 1576 był przy życiu, a na poparcie swego twierdzenia przytacza ów dokument: *A. D. 1576, Feria 4. post Laetare. Gener. D. Nicolaus Rej de Naglowycze, constituit plenipotentem suum nobilem Andream Ostrowyczky, servitorem suum in causa et actione quam habet habiturusque est, cum Christophero Othoczky, occasione certam summam pecuniarum eidem Christophero Othoczky mutuo datam, in forma plenissima, ad agendum jus cum facultate alium substituere, de perceptis quietare etc.* Ponieważ, jak dowodzi pan Przyborowski (w Tyg. poznańskim 1862. Nr. 3.) mógł to być syn Mikołaja Poety, a do tego gdy przytacza inny dystych umieszczony w dziele Friesego, gdzie wyraźnie stoi data śmierci w r. 1569 — zatem wniosek p. Grabowskiego upada. Argument zaś p. Maciejowskiego, że dlatego w tak wczesnych latach żyć przestał, iż za młodu źle się prowadził, — dość jest budujący,

ale nie przekonywający, bo przecież żywot liczący lat 64 niewskazuje na bardzo złe prowadzenie się za młodu. Kilkakrotnie jego biografowie napomykali o rękopisach i listach mogących rzucić niemałe światło; i tak Juszyński przyznaje się że pani z Jordanów Kotkowska, ostatnia z linii Reja dziedziczka Nagłowic, darowała mu rękopis zawierający listy do Rejów, a osobliwie listy o Mikołaju — podobnież w ręku p. Józefa Lubowidzkiego miał być rękopis rozpoczynający się trzema autografami Reja — i pochodzić z biblioteki ordynacyi Myszkowskich. — Gdzie się to wszystko obraca i dla czego niewyszło na jaw? trudno powiedzieć; dość że w miarę jak staranniéj i umiejętniéj zabierają się u nas do poszukiwań archiwalnych, tem pewniéj możemy się spodziewać ciekawych odkryć. Jest to zadanie szperaczy przysposabiać materyały, aby z nich myśl twórcza wskrzeszała i ożywiała fizyonomie i postacie tych ludzi, których prace niesą nam obojętne. —

MARCIN KROMER.

(1512—1589).

Tyle mi opowiadano o uroczem położeniu Biecza i jego historycznych zabytkach, że postanowiłem zwiedzić ten zakątek naszego Podgórza. Zresztą samo wspomnienie o sławnym człowieku przywiązane do tego miejsca, żyjące w podaniu, unaocznione dotąd istniejącym zabytkiem — przyczynia niemało uroku. Ciekawość moja niezostała oszukaną. Znalazłem miasteczko schludne, z fizyonomią średniowieczną, wyglądające jak wianuszek zieloności, posadzony na stromem wzgórzu panującém dolinie Ropy; znalazłem starożytną kolegiatę, pełną ciekawych nagrobków, otoczoną szczątkami obronnych czerwonych murów i ułam-

kami rzeźb architektonicznych — znalazłem nakoniec, i to była najdroższa zdobycz: jednopiętrową, o grubych murach, rzeźbionych odrzwiach, niesymetrycznych rzadkich oknach, szkarpiastą, jąsoctą tuż przy kolegiacie, kamieniczkę, przechowującą podanie, że w niéj wziął życie dziejopis nasz, kapłan pobożny i sławny swojego czasu dziejopis — Marcin Kromer. Aczkolwiek własną ręką podpisane przywileje trzech królów: Zygmunta Augusta, Batorego i Zygmunta III., nadawały domowi gdzie się Kromer urodził, wolność od wszelkich powinności i czynszów, jednakowoż własność ta, zapewne z wygaśnięciem rodziny, lub z przeniesieniem się jéj w dalsze strony, przeszła w inne ręce. Dziś jest ona siedliskiem jakiejś rządowéj kancelaryi. Symetryczne półki, stosy rozrzuconych papierów, rozsiadły się w gnieździe naszego historyka. Jeżeli duch takich istot wybranych jak Kromer, powinien napełniać miejsca kędy się zbudził do życia, to tu nic go nieprzypomina, chyba gdy wyobraźnią zechcemy z restaurować wnętrze tych komnat mieszczaństwa XVI. wieku i odgadywać kącik kędy stało łóżeczko małego Marcińka, i okno gdzie stawał chłopięciem i marzył, patrząc na błękitne góry, lub ślęczał nad książką.

Dom ten stoi osobno, z dziedzińcem i ogródkiem, o kilkadziesiąt kroków od kollegiaty, gdzie znajdują się dwie pamiątki, mające łączność z Kromerem: potret jego w stroju biskupim, wyglądający na dość lichą kopię, i nagrobek który kazał rodzicom swoim położyć. Napis na nim następny: *Bartolomeo Cromero avo et Gregorio Cromero patri, viris consularibus et sacelli hujus Condioribus, Annae Binaroviae aviae et Agneti Czermnenseiae Matri, matronis nobilibus et honestis, Martinus Cromerus Doc. Crac. et Varm. Can. Secr. Reg. pol. anno* 1557. Herbu niema żadnego, choć, jak ksiądz Płaza w listach swoich wspomina miał być umieszczony; zdaje się przecież że Kromer, acz rad wspominał o szlachetnem pochodzeniu swoich rodziców, wywodząc po ojcu herb Pierzchała i Ośmioróg, a po matce Ramułt i Jastrzębiec, wahał się otwarcie z tem wystąpić, zapewne żeby niepogniewać miejscowéj szlachty. To pewna, że ówczesne mieszczaństwo, tak krakowskie jak krośnieńskie, sandeckie i bielskie, miało swoje herby dające się widzieć na ławach przeznaczonych dla starszyzny miejskiéj. Były to jednak skromne odznaczenia, z któremi niemożna się było puszyć w obec herbowego rycerstwa.

Tyle co do zabytków i wspomnień miejscowych; co zaś do żywota historyka naszego, więcéj mówią jego dzieła i świadectwa współczesnych.

Kromer urodził się w r. 1512. Miał trzech braci, którzy się dobrze pokierowali w stanie duchownym; jeden tylko, imieniem Bartłomiéj, praktykujący rzemiosło piwowara w Bieczu, źle się prowadził, i Marcinowi opiekującemu się późniéj całą rodziną, kłopotów i wstydu napędzał. Paprocki nazywa wprawdzie pana Bartosza „mężem godnym," ale to zapłacone pochlebstwo; listy ks. Płazy w inném świetle pokazują tego hulaszczego i marnotrawnego braciszka. Wracając się do Marcina, który sławą narodową wzniósł się nad ród swój, tyle o jego początkach wiemy, że odbywszy w Bieczu początkowe nauki, wszedł do akademii krakowskiéj, jak świadczy o tem *Liber promotionum*, r. 1528.

Wyższe duchowieństwo, trzymające w swych rękach oświatę krajową, zawsze miało w zwyczaju protegować u nas pracę lub talent, osobliwie kiedy się nim odznaczała uboga młodzież jakiegokolwiek stanu. Synowie włościan lub mieszczan promowowali się tym sposobem do wysokich godności. To samo spotkało i Kromera. Chojeński biskup prze-

myski, płocki, a następnie krakowski, wezwał go, gdy skończył nauki, na sekretarza przy swoim boku. Tam zaczął się obeznawać z tokiem spraw publicznych, a w wolnych chwilach rad z Muzami się bawił, co bynajmniéj nieszkodziło w pojęciu ówczesnych ludzi stanu, poczytujących za główny warunek wykształcenia znajomość literatury klasycznéj, a cóż dopiero współubieganie się o palmę z Wirgilim lub Horacym! Najzawołańsi dyplomaci i statyści owego wieku, zazwyczaj wprzód robili sobie imię w świecie literackim, zanim przyszli do znaczenia w politycznym. Był to piedestał, na którym wypadało koniecznie stanąć, żeby być widzianym, a raczéj wpisanym w poczet reprezentantów kosmopolitycznego humanizmu, służącego za punkt wyjścia i porozumienia się w nowo-tworzących się kwestyach władzy i sposobów rządzenia.

Pierwsze też utwory muzy łacińskiéj Kromera, jak: *Consolatio Joh. Choinio Epis. Premysl. in mortem patris scripta*, następnie: *Deliberatio Lucretiae post vim Tarquinii*, toż późniejsze: *Poema de Christi resurgentis triumpho*; *Poema de adversa valetudine Sigismundi I.*, jak i niektóre przekłady z greckiego, wszystko to poszło

w zapomnienie. Poetą nie był, a w żadnym razie nie mógł się mierzyć z Dantyszkiem, w którego rymach nawet dla naszych czasów przechował się pewien interes.

Odbywszy wstępną praktykę w kancellaryi Choińskiego, wysłany został kosztem biskupa w podróż do Niemiec i Włoch. W Raguzie i Bononii poświęcał się nauce teologii i prawa; i byłby musiał zapewne przerwać te studya, z powodu zaszłéj śmierci swojego protektora, gdyby nieznalazł się drugi protektor w osobie biskupa Gamrata. Snać obowiązek opiekowania się ubogą młodzieżą tradycyonalnie przechodził; i co zaczął poprzednik, następca na stolicę biskupią miał sobie za powinność dokończyć. Opieka Gamrata, używającego wielkich wpływów na dworze Zygmunta I., otworzyła Kromerowi drogę do dostojeństw. Wstąpiwszy w stan duchowny we Włoszech, wrócił do ojczyzny, i przedstawiony staremu królowi, zyskał jego względy tak dalece, że Zygmuntowi Augustowi przebywającemu w Wilnie, nadał go na sekretarza, w téj zapewne myśli, ażeby światły i stateczny mąż czuwał dobrą i mądrą radą nad młodym królewiczem, łatwym do z bałamucenia chytrością pochlebczych dworaków. Królewicz szcze-

rze polubił Kromera, a po zgonie ojca gdy objął rządy, do najważniejszych spraw go używał. Chcąc jednak tak zaufanego człowieka postawić na równi z innymi dostojnikami, nadał mu szlachectwo i bogatemi kanoniami opatrzył. Herbowne półorle, przepasane wieńcem laurowym, nie osłoniło Kromera od przykrych docinków; dodana nawet przez Ferdynanda cesarza binda austryacka, niepotrafiła później zamknąć ust stanom pruskim, wyrzucającym mu pochodzenie mieszczańskie. Całe życie zasług, światło rozumu i nauki, niezdołało złamać téj prerogatywy wyższości, jaką sobie przypisywało urodzenie.

Pierwsze wystąpienie Kromera na większéj scenie dyplomacyi i polityki, zaczyna się poselstwem do Pawła III., ze złożeniem mu hołdu od Zygmunta Augusta, zasiadającego tron Jagiellonów. Poseł tak umiał ująć ojca św. wymową i trafnym poglądem na sprawy chrześciaństwa i stosunki stolicy apostolskiéj do Polski, że tenże zapytał go, czemby mógł okazać mu swój szacunek? Kromer odpowiedział na to: „Z łaski j. k. mości króla i pana mego, tyle mam, że mi żądać czegoś więcéj niepodobna.“ Gdy powrócił do ojczyzny, zdarzyło się iż Osiecki kanclerz koronny, podsunął myśl

Zygmuntowi Augustowi, aby w nieładzie zostające starożytne archiwum krakowskie, oddać do uporządkowania i spisania Kromerowi. Niewymówił się z tego Kromer, owszem jako zawsze czujący większy pociąg do pracy naukowéj niż do spraw publicznych, zajął się zmudnem porządkowaniem tych oficyalnych źródeł. Pracy téj owocem pozostał rękopis: *Specimen Codicis diplomatici*; mieści on nieznane dziś dyplomy, lecz to osobliwa, że niedostarcza żadnego wcześniejszego dokumentu, jak po wiek XIII. (1250 r.). Z tego zatrudnienia jednak powstał w nim zamiar napisania historyi polskiéj, wprawdzie nie ze źródeł, bo stan ówczesnéj krytyki historycznéj niezdobył się na to, ale z przerobienia kronik Kadłubka, Długosza, Miechowity, Decyusza i Wapowskiego. Posiadając umiejętność pisania po łacinie, lepiéj niż ci jego poprzednicy, których jednakże barbaryzmy trafniéj nieraz charakteryzują epokę, niż konwencyonalny styl klassyczny, mniemał że na gładkiem wysłowieniu i dobrze utworzonych peryodach, polega głównie zasługa historyka. Mylił się w pewnym względzie, lecz z drugiéj strony, przez napisanie gładkiéj księgi, sposobem przystępnym i jasnym, przyłożył się do rozszerzenia umiejętno-

ści dziejów we własnéj ojczyźnie, a i między obcych rozniósł tym sposobem sławę polskiego narodu. Był to pierwszy krok do spopularyzowania wiadomości historycznych. Obowiązki publiczne, a głównie poselstwa do których był używany, odrywały go od téj pracy; mimo tego wracał do niéj, i w r. 1555 ogłosił ją drukiem w Bazylei pod napisem: *De origine et rebus gestis Polonorum, libri XXX.* Jakiéj wziętości używała ta książka i jak musiała odpowiadać potrzebie, dowód w tem, że wyszły tamże trzy inne jéj edycye, t. j. z r. 1558, 1564 i 1568, następnie w Krakowie r. 1584, a na ostatek w Kolonii r. 1589, które to wydanie liczy się do najlepszych, dopełnione jest bowiem Wapowskim, Kalimachem i Haidensteinem. Kromer rozwiódłszy się zanadto o niepewnych początkach narodu, okazał się więcéj niż lakonicznym, bo całkiem milczącym, o epoce na którą patrzał; historya jego kończy się na r. 1506. Dla czego tak wcześnie przerwał wątek opowiadania? Oto, jak mówi Bielski: że wolał ujść nienawiści ludzkich; my zaś dodamy: niż się narażać na prześladowanie od swoich za wyjawienie prawdy. To pewna, że śród przewagi możnowładnych domów, powiedziawszy o jakim członku familii sumienną prawdę,

podpadało się surowéj cenzurze, a raczéj familijnéj zemście. Kromer, choć i współczesnéj niedotknął epoki, to za samą przeszłość, jak mówi Ponętowski:

„Grozili potentaci, by prawdy nie głosił."

Oprócz pisania historyi, wierny kapłańskiemu powołaniu, niemógł nieznajdować się na polu ówczesnych polemik z różnowiercami. Zadanie to było na porządku dziennym. Wystąpił téż z pismami w polskiéj mowie, żeby i samym językiem sprostać równowiercom, którzy chcąc sobie robić zwolenników w masie narodu, porzucili uprzywilejowaną łacinę. Były to *Rozmowy mnicha z dworzaninem*, w cztérech traktatach wychodzących osobno: *Dialog o wierze i nauce luterskiéj* r. 1551. *Czego się chrześciański człowiek dzierżeć ma?* r. 1552. *O kościele Bożym* r. 1553. *O nauce kościoła* r. 1554. Rozmowy te wyszły po łacinie i po niemiecku. Mnich występuje tu jako stronnik kościoła katolickiego; dworzanin oponuje z światowego i protestanckiego punktu widzenia.

Kromer, lubo tęsknił za cichym żywotem, za skupieniem się niezbędnem dla pracującego głową i piórem, niemógł jednak porzucić wysokich obowiązków męża stanu. Czynność jego na tem polu

równoważyła, a może i przeważała tamtą. Przypadły też na niego liczne poselstwa, odprawione nieraz w trudnych sprawach międzynarodowych. Na dworze wiedeńskim u Karola V. i Ferdynanda cesarza sprawował przez lat kilkanaście obowiązki pełnomocnika dworu polskiego. Najprzód z Mikołajem Radziwiłłem jeździł do cesarza Ferdynanda, prosić o rękę jego córki Katarzyny, dla owdowiałego po Barbarze Zygmunta Augusta. Wtenczas to zdarzyło się na audyencyi, iż Radziwiłł tak się rozsiadł na ławie poselskiéj, że Kromer rad nierad musiał stać przy nim; co postrzegłszy cesarz, doskonały polityk, umiejący kaptować przyjaźń sekretarzów królewskich, rzekł: *Sedeat uterque, cum in legatione uterque contineatur.*" Zdarzyło się później, że gdy Zygmunt August zbrzydził sobie Katarzynę i chciał ją nawet ojcu odesłać, wypadało Kromerowi usprawiedliwiać swego pana w obec cesarza. „Cóż najlepszego wyniknie z téj oziębłości króla dla méj córki? mówił cesarz do Kromera, oto że dzieci nie będzie..." a ciszéj dołożył: „z prawego łoża."

Na to Kromer: Dziennym tylko jestem mego króla sekretarzem.

Innego czasu, ponieważ córka ciągle skarżyła

się przed ojcem na oziębłość i niewiarę mężowską, cesarz znowu wpadł na tę materyą i nagabał Kromera: „Czyż to zwyczaj w Polsce, łamać zaprzysiężoną wiarę? Czy tego wasza teologia uczy?“ Na co on odpowiedział: „Uczyć, nie uczy, ale teologia królów inszą jest od naszéj.“

Z kilku tych trafnych odpowiedzi, za jakie niegniewaliby się i dzisiejsi dyplomaci, gdyby je w poczet ich *bon-mots* policzono, widać niepospolitość Kromerowego umysłu i umiejętność utrzymania powagi swojego pana, bez obrażenia dworu przy którym był akredytowany. — To pewna, że cesarz Ferdynand szczególnymi zaszczycał go względami, bo i do stołu i do kolasy swojéj przypuszczał, a nawet i ułamkiem swojego herbu go obdarzył. Grzeczności te jednak, o ile ujmujące dla osoby posła, niewiele mu przynosiły korzyści, gdy szło o ważniejsze sprawy, jak między innemi o spadek po Bonie, zatrzymany przez Filipa króla hiszpańskiego, w któréj to sprawie Ferdynand miał pośredniczyć. Ciekawe w téj mierze szczegóły znajdzie czytelnik w *Poselstwie Kromera* od r. 1558 do 1563 *).

*) Sprawa z poselstwa Marcina Kromera do Ferdynanda cesarza, przez Aleksandra Batowskiego, we Lwowie 1853 r.

Jest to bowiem jedyny w swoim rodzaju obraz dyplomatycznych czynności z owego czasu, pokazujący, jak obojętną, jak zwłóczącą była owa polityka rakuska, ilekroć szło nie o jéj własny interes; przeciwnie, dotknięta w czemkolwiek bliskiéj, stawała się niewyrozumiałą i gwałtowną.

Z obowiązkiem posła przy dworze rakuskim, łączyły się tak rozmaite i rozległe sprawy: węgierskie, pruskie, około ceł szlązkich, żeglugi gdańskiéj, że trzeba było w ciągłym być ruchu, to jechać do Ratysbony, to do Frankfurtu nad Menem, to na sejm rzeski, to do miast hanzeatyckich, układać się z Danią i Szwecyą, to znowu na konsylium w Trydencie; słowem, chyba ukradkiem zdobywało się jaką chwilę wytchnienia, aby pogadać z książką, lub własne myśli wylać na papier.

Po powrocie z Trydentu w r. 1564, wydał rozprawę *De coelibatu sacerdotum*, czém pogniewał do reszty dawno mającego doń urazę Stanisława Orzechowskiego, zapalonego obrońcę małżeństwa kapłanów. Orzechowski nietylko posłał do Niemiec do druku gwałtowne pismo przeciw Kromerowi, ale nadto do Andrzeja Dudycza (księdza, co późniéj wziął także żonę) napisał krzywdzące wyrazy na Kromera, kończąc w téj myśli: „że człowiek

tak podłego stanu niewart się mierzyć z nim, rodowitym szlachcicem; ba, nawet w sądzie niemógłby świadczyć przeciw niemu, bo choćby prawdę zeznawał, wiaryby mu niedano.“ Dudycz, acz zarażony wittemberskiemi nowinkami, a tém samém antagonista Kromera, broni go i wystawia w tak pięknem świetle, że największy naród miałby sobie za zaszczyt policzyć go w poczet swoich wielkości. „Przecież ten Kromer, pisze Dudycz, tak przez ciebie zelżony, już z cnoty, już z rzadkiéj i rozległéj nauki, z dowcipu, pobożności, zasług, niemały waszéj ojczyźnie przynosi zaszczyt. Umieją go cenić oba narody, a wybyście na własnych rękach pod obłoki wynosić powinni. Gdybyście go tak czcili, jak go w całym poważają świecie, pewnieby z was każdy pierwszeństwa mu chętnie ustąpił, i żadenby się nieśmiał wynosić nad niego godnością i urzędem, które w porządnych rzeczpospolitych saméj jedynie cnocie w nagrodę oddają. Jeżeli u swoich ziomków należnego sobie uszanowania nieodbiera, nie jego to ale wasza wina. Wierzcie mi, potomność nagani wam, żeście się na nim poznać nieumieli“. . . . Kończy zaś tymi słowy: „O méj Orzechowski! Serce by mi się spadało z rozpaczy, gdyby w twojem mniemaniu to Krome-

rowi szkodziło, czego ani ty, ani nikt tobie podobny, żadnemu mądremu, z siebie zacnemu, własną wielkiemu zasługą, niepoczytałby za wadę, a raczéj wziąłby za powód wyższego szacunku. Dajmy na to, żeby był, jak my, szlachcicem; z iłużby, proszę cię, a jeszcze z jakimi, niemusiałby dzielić tego zaszczytu? Oto z motłochem niedołęgów, zbrodniarzy, wyrodków, ledwo z twarzy i postaci do ludzi podobnych? Szlachetność duszy, daje mu miejsce w orszaku tych wybranych, o których śmiało wyrzec się godzi: *to mi ludzie!*"

Po ośmioletnim pobycie zagranicą, wrócił Kromer do Polski w r. 1566. Hozyusz, ówczesny biskup warmiński, a jego szczery przyjaciel, że musiał siedzieć w Rzymie, powierzył mu zarząd swego biskupstwa.

Później, gdy sprawy kościoła a mianowicie wola papieża, niepozwalały Hozyuszowi wracać do Polski, wypadało koniecznie przez różnowierców zawichrzowaną dyecezyą warmińską, oddać w ręce doświadczonéj pobożności i energii pasterza. Kromerowi tedy zaproponowano koadjutoryą. Wzbraniał się długo zasiąść stolicę heilsberską, przewidując różne ztąd nagabywania i kwasy od ludzi niespokojnych, którzy wszystkiem wichrząc i ka-

żdego upokarzając, co się wzbił nad innych światłem, cnotą i zasługami, napełniali wstrętem do publicznego życia; niejeden też myślący i głębokiego charakteru człowiek, pragnąc żyć po Bożemu wolał się ukryć w zaciszu domowém niż stawać na świeczniku. Niepomógł jednak opór: rozkaz papieża zrobił go koadjutorem. Stosując się do nowego położenia, bo oprócz duchownéj, miał jeszcze świecką władzę w prowincyi pruskiéj, stawał w obronie prowincyi przeciw nałożonym nad nią podatkom, zbyt ciężkim na mieszkańców głodem dotkniętych. Wtenczas napisał także *Katechizm* po polsku i po niemiecku, dla swéj dyecezyi (1571) i wydał wiele zbawiennych rozporządzeń. Pieczołowitość jego o dobro powszechne, gorliwość religijna, skrzętna administracya, nic to nieważyło przeciw uprzedzeniom do osoby Kromera. Nie tylko ze samą kapitułą miał słone kołacze do zgryzienia, ale ze stanami świeckiemi. Michał Działyński zarzucał mu na sejmie, że jest z rodu i obyczaju Niemcem, a zatem niemoże mieć nic wspólnego z polską szlachtą. Znowu znajduję ciekawy liścik ks. Kuczborskiego z Krakowa, pisany r. 1572, w którym Kromerowi przesyła wypis z 19. artykułu sejmiku opatowskiego, w tych słowach: „O biskupstwo els-

berskie (warmińskie) aby szlachcicowi było dawano, i ta coadjutorya aby była cassowana o Cromera, y na potim aby niebyła, bo to expectativa. A iżby tensam niebył tim biskupem, o czo się mocznie oponowacz i króla imci prosicz, dla niebezpieczeństwa, któreby ztąd na Koronę przyiszcz mogło itd.“ Ksiądz Kuczborski za całą uwagę nad tym punktem opatowskiego laudum, dodał lakonicznie: *Chłopi szaleni!* I z szaleńcami niebyłoby rady, gdyby nie energia Batorego, co uciszyła te szalone krzyki, często powtarzające się przeciw koadjutorowi. Jak dalece wielka myśl narodowa i wysokie pojęcie obywatelstwa, kierowało rodzajem prac piśmiennych podejmowanych przez Kromera, mamy w tem jeszcze dowód, iż gdy Henryk Walezyusz obrany został królem, on, niezabiegając mu drogi, aby próżną czołobitność oddać, lub tylko względom monarszym się polecić, wolał wypracować dzieło, będące niejako źwierciadłem Korony polskiéj. Czuł on że Francuz, obcy narodowi, potrzebuje wprzód poznać się z krajem, aby umiał nim dobrze rządzić, i w tym celu napisał monografią: *Polonia, sive de situ, populis, moribus, magistratibus, et republica regni polonici.* Manuskrypt posłał w r. 1573 Karnkowskiemu, prosząc,

że jeśli go uzna godnym, niech złoży w ręce królewskie. Praca ta, obraz kraju i narodu, skreślona wielkiemi rysami, szczegółów mogących nas interesować lub nowych postrzeżeń niema prawie, bo dla cudzoziemca byłyby niezrozumiałemi i trudnemi. Za to są ustępy charakteryzujące moralny stan narodu, tak trafnie, tak głęboko zchwycone, że i dziś, radzi nie radzi, musimy przyznać, żeśmy się nie wiele od portretu przed trzystu laty zrobionego odmienili.

Warto przytoczyć niektóre rysy: „Umysły Polaków, mówi on, są otwarte i łacne, zdolniejsze być oszukanymi niż oszukiwać; raczéj pojednawcze niż drażliwe; owszem gdy się na nie zręcznie i łagodnie działa, dające się powodować, jako mamy przykład na ich uległości swym monarchom i urzędnikom.“ Ostatni ten punkt mógłby wywołać niejakie zaprzeczenie, jeżliby zaprzeczający spuścił z uwagi wyżéj postawiony warunek *“gdy się na nie zręcznie i łagodnie działa.“* Pójdźmy daléj. „Polak niedosyć, iż się chętnie skłania ku towarzyskiéj poufałości, lecz owszem giętki jest do przyjmowania i naśladowania obyczajów tych, z którymi żyje, zwłaszcza cudzoziemców.“ W tém może staramy się być inni, lecz za to wielu jest jeszcze,

„co zaniedbawszy domowe sprawy, z narażeniem się na nędze i niewygody, chętnie idą podróżować (raczéj włóczyć się), gdyż się im rzeczy obce lepiéj od swoich podobają.“ Najtrafniejszy przytyk, z któregośmy się dotąd niewiele poprawili, mieści się w tym ustępie: „Polacy wolą dowiadywać się troskliwie o wynalazkach obcych, niż sami coś wymyślać i zgłębiać, gdyż *niechętnie poświęcający się jednéj, jakiejbądź nauce lub sztuce, pragną wiedzieć wiele, choćby mniéj gruntownie, a przez właściwe narodowi niedbalstwo, lekceważenie i unikanie ciężkiéj pracy, we wszystkiem co się tyczy przemysłu i rzemiosł, lada czem zadowóleni, o staranne wykończenie rzeczy niedbają.* Trudnić się w tym kraju kunsztami i rzemiosłami niemasz komu, gdyż bogatsi wolą rozkosznie próżnować, niż się wykształcić umysłowo lub mechanicznie; a ubodzy, dla utrzymania życia, nieraz prac obcych imać się muszą.“ Przychodzi do téj i druga, równie trafna, lubo niedość dobitnie wyrażona prawda, że ubodzy, dorobiwszy się mienia, porzucają swój przemysł lub rzemiosło i kupują ziemię, aby naśladować obyczaj szlachecki. Jest to jedna z największych klęsk społecznych. Kromer już położył palce na tę ranę, a dotąd niewygojono się z niéj. Stary,

zły obyczaj, trzyma się uparcie, pomimo że tyle już odbyło się przeobrażeń.

Gdy Hozyusz przeniósł się do wieczności w r. 1579 następstwo po nim na stolicę warmińską nikomu się bardziéj nie należało jak Kromerowi. Potwierdzili go zaraz na tę dostojność Grzegórz XIII. i Stefan Batory; ale tak kapituła jak stany pruskie protestowały przeciw niemu, nazywając go „przychodniem.“ Z pomocą króla i własną perswazyą, tyle przecież dokonał, że stany musiały zezwolić, aby zasiadł należące się mu pierwsze krzesło w prowincyonalnych stanach. Po tylu goryczach, jakiemi go współrodacy przez ciąg publicznego zawodu napawali, doznał też Kromer niemałéj pociechy, gdy na sejmie w r. 1580 senat i koło rycerskie jednomyślną uchwałą uradziły podziękować mu za napisanie dziejów narodu polskiego. Był to hołd najwspanialszy, oddany pracy i zasłudze Kromera. Ten jeden objaw uczuć narodu, wystarczał do wygładzenia z pamięci licznych przykrości, doznawanych z powodu że się nieurodził w stanie uprzywilejowanym, a tylko zasługą dobijał się obywatelstwa. Szczęście wielkie, że go ten zaszczyt spotkał za życia, u nas bowiem naj-

częściéj dopiero po śmierci wyrabia się sąd spokojny i sprawiedliwy.

Ostatnie lata przepędził na cichych zajęciach w Heilsbergu, gdzie pomnożył bibliotekę i fundował zakład wychowania panien pod dozorem zakonnic.

Zdaje się że pod koniec życia stał się zbyt oszczędnym, ale nie w innym celu, tylko żeby znaczną fortunę po sobie zostawić i rozdzielić na kościoły i dobroczynne fundusze. Testament jego, a raczéj spis pozostałych po nim pieniędzy i ruchomości, z wymienionemi legatami, pokazuje jak był gospodarnym, kiedy zostawił 60 tysięcy marek w gotowiźnie, na zamkach biskupich 80 łasztów żyta, 22 pszenicy, 58 owsa, a oprócz tego wiele srebrnych i złotych naczyń. Część z tego wypadła na krewnych, a największa na kościoły w Frauenburgu, Krakowie, Bieczu, Wiślicy i Kiełcach.

Dawniéj jeszcze, kiedy się pisał doktorem ob. praw, kustoszem sandomierskim, kanonikiem krakowskim i warmińskim, oraz sekretarzem j. k. mości (r. 1569) zrobił wieczysty fundusz na studentów bieckich biorących nauki w Krakowie, którego opiekunem postanowił ks. Płazę. W ogóle o ro-

dzinném mieście lubił pamiętać i łożyć znaczne pieniądze na podniesienie upadłych jego murów.

Oprócz historyi i opisu Polski, mających wiele wydań, pomniejsze jego dziełka należą do bibliograficznych rzadkości; o niektórych nawet, jak: *De concertibus musicis. De rebus Moscoviticis. De tumultu Gedanensi. Vita Stanislai Orichovii* i t. d. zachodzi wątpliwość, czy kiedykolwiek istniały. Za to miały pozostać po nim liczne zbiory listów do Hozyusza, Dantyszka, Tidemana, znajdujące się w bibliotece heilsberskiéj. Korrespondencya ks. Płazy, proboszcza od św. Szczepana w Krakowie, powiernika Kromerowego, rzuca także niemałe światło na żywot męża, co naukom, kościołowi i interesom rzeczypospolitéj w stosunkach z postronnemi mocarstwy, tak gorliwie przez lat 60 służył. Śmierć jego przypadła w marcu roku 1589.

WESPAZYAN KOCHOWSKI.

(1633—1699).

Kiedy przerzucam naszych rymotworców z siedmnastego wieku, serdecznie mi ich żal że nie zawsze umieli być samymi sobą. Myśli ich często drgające rzeczywistością, często natchnione wielkością przedmiotu; uczucia czerstwe i proste, a nierzadko głębokie, siła ducha i wiary niezłomna jak bułat ich mieczów — a mimo tego jakaś niedołężność w wypowiedzeniu tych myśli i uczuć, jakiś brak twórczości, zdolnéj nadać temu wszystkiemu niepożytą formę.

Szeroka rzeka zapomnienia przedzieliła ich od nas... bo przecież niemożna tego nazwać pamięcią narodu, co bibliograf wyszpera, erudyt objaśni,

historyograf lub powieściopisarz jak surowy materyał użyje.

A jednak warunki, które mieli w sobie, i w których żyli, o sto procent przyjaźniejsze były tworzeniu niż tegoczesne.

Wizerunek takiego literata-ziemianina przedstawia Wespazyan Kochowski w swojem życiu, o którem zapewne dlatego skąpo szczegółów, że biegło zwyczajnym biegiem w zaciszy wiejskiéj. Wiadomo z naszych Herbarzów, że Kochowscy pieczętowali się Nieczują, pisali się z Kochowa z przydomkiem Sarna, i siedzieli w Sandomierskiem, licząc się do drobniejszych posesyonatów. Nasz poeta urodził się niedaleko góry Świętokrzyskiéj we wsi Dąbrówce, majętności ojca swego Jana podsędka sandomirskiego: Rok urodzenia jego podają 1633 — co mi się zdaje być mniéj do prawdy podobnem, — gdyż piętnastoletnie chłopię niebyłoby wstanie tak pojmować wypadków jakie się w rzeczypospolitéj zdarzyły ani tak głęboko czuć klęski pilawieckiéj zaszłéj w r. 1648. Początkowo brał nauki u Jezuitów w Sandomierzu i kolegował z Gawińskim pisarzem Sielanek, ztamtąd dostał się do akademii krakowskiéj. Później w czasie długich wojen Jana Kazimierza bywał w niektórych po-

trzebach ze Szwedami w Wielkopolsce. Niedaleko Gniezna dwakroć postrzelony kulą, jak sam wyznaje, za karę że niewierzył w krew ciekącą z Passyi Chrystusa Pana w kościele katedralnym Gnieźnieńskim —

„Więc że tę rękę, jako z bólu wzmoże
„Twéj ofiaruję chwale o mój Boże.
„Wierna potem, Twoje cuda —
„Ogłosi piórem pośród wszego luda! —“

Obietnicy téj święcie dotrzymał opiewając cześć N. Panny i Syna Jéj w różnych cudownych obrazach. Opieki cudownych obrazów doświadczył gdy tonął w Pilicy pod Sulejowem — już woda oddech dusiła — westchnął do Najświętszéj Panny — i zaraz przybił do brzegu.... dlatego téż powiada w pieśni opiewającéj to zdarzenie:

„Kto wzięte łaski w zapomnienie grzebie
Niegodzien, jedno w ostatniéj potrzebie
Gdy szwank będzie, w złéj przygodzie,
I w frasunku, bez ratunku
Zostać opuszczony....“

Wskutek działów majątkowych z bratem, przeniósł się Wespazyan do Goleniowéj, i tu obok ukochanéj żony, pośród miłéj czeladki poświęcał się poezyi i pisaniu dziejów ojczystych, a że w poblizkości Krakowa mieszkał, miał sposobność pil-

niéj doglądać drukujących się pism swoich. Podkanclérzy koronny Olszowski, autor znanego dzieła: *Cenzura candidatorum* zwrócił uwagę na pracę Kochowskiego, i wyrobił mu u króla Michała tupnikostwo wielickie i tytuł Sekretarza królewskiego. Jan trzeci, którego synom tymy swoje poświęcał dał mu Podkomorstwo nadworne i zrobił go historyografem, mającym przywiléj korzystania z oficyalnych archiwów. — W końcu otrzymał godność Wojskiego Krakowskiego. — Umarł r. 1699, pochowany w Krakowie.

Zupełny zbiór pism jego poetycznych wydał Turowski w *Bibliotece polskiéj* w następującym porządku: Liryki polskie, cztéry księgi — Epigramata czyli fraszki — Kamień świadectwa wielkiego w koronie polskiéj Senatora niewinności (Lubomirskiego). — Pieśni Wiednia wybawionego — Ogród panieński — Psalmodya polska — (r. 1693 napisana). Chrystus cierpiący — Oprócz tego po łacinie kilka pism w stylu panegirycznym i najważniejsze ze wszystkiego *Klimaktery* obejmujące tok dziejów ojczystych od r. 1648 do 1672, dzieło uważane za źródłowe. Skąpe szczegóły tego żywota; co do osobistych przygód — nieprawdaż? Nieznajdzie tu ani wielkiéj namiętności, ani walk reformatora,

ani pasował się z ambicyą — przeciwnie, umysł cichy, pokorny, ziemiański, połączony z charakterem gorącego chrześcianina i obywatela rzplitéj.

Zrazu żołnierz, potem ziemianin, a zawsze rymotworca i historyk, zakopany gdzieś w lasach świętokrzyskich żyje życiem, cierpieniem, upadkami i pomyślnościami rzeczypospolitéj; żaden wypadek głośniejszy niemoże minąć, żeby nieodbił się echem na jego bardonie. Łzy szczere ma na każdą niedolę i klęskę — *Jo Pean*! na każdy tryumf — a modlitwę na wszystko.

Aczkolwiek sam w sobie ma bogaty fundusz, kłopocze się ciągle że niepotrafi sprostać ani wielkim wzorom starożytnych liryków wygrywającym pięknie pod miarę:

Sarmaskimem ja muzykiem
W proste dmę multanki.

Niewierzy żeby mógł prześcignąć Inesa, Sarbiewskiego nawet Kanona swoich prawie spółczesnych lecz mających głośną sławę z łacińskiego rymu.

Bo ja pługa gdym dozorny
Wiersze piszę; zaczem
Trudno ma być rytm wyborny
Przy dziele wieśniaczem.

Jednakże, niereszygnuje ze sławy i wdzięczno-

ści ziomków, ale upomina się aby mu właściwe miejsca przyznano:

Tyle powinna Polska Wielka Twardowskiemu
Ile mnie, moja Mała, poecie małemu.
Trudno winić fortuny los niesfałszowany:
Wielkiéj wielki poeta, Małéj mały dany.

To skromne żądanie wziętości prowincyonalnéj, potomność wynagrodziła mu dawno, a nawet wyżéj go ceni niż Samuela Twardowskiego, na którego on zapatrując się zbyt wiele popsuł sobie smak, i przyrodzony pociąg do prostoty skaził nadętością i nastrzępił lichą erudycyą. Dziwna rzecz! dla czego niebudził w nim zazdrości Wacław Potocki, przenoszący ich obydwóch rymotworczym talentem? Zapewne inny był wówczas kodex estetyczny podług którego oceniali się poeci; szum stylu, zamaszystość udająca siłę, nadmiar porównań i aluzyi udających erudycyą — wszystko to musiało udawać bogatą poezyę gardzącą śpiewem więcéj snutym z rzeczywistości jaka otaczała poetę, a zatem więcéj prostym i naturalnym.

W ogóle żaden z nich choć mieli niepospolite przymioty, niezdołał zdobyć sobie takiéj pamięci w narodzie, żeby ich, choćby najmniejszy utwór, powtarzały do dziś usta nieuczone. Cała niemoc

ich w tem, że jak Kochowski tak i inni żyli głową w świecie książkowym, to zaś, co sercem brali z otaczającego ich społeczeństwa, to się zaledwo przecisnąć mogło przez gotowe formułki reminiscencyi klassycznych. . . .

Ludzie wiary — zbyt literalnie wierzyli w te wzory, co choć były doskonałe, niedawały doskonałości, a tylko niewolnicze pęta.

Ludzie wpływu — przypuszczam, że go wywierać mogli, lecz tylko na czas w którym żyli — potomność nieznająca ich a chcąca poznać, podnosi ciężkie wieka kamiennych trumnień, i ciekawie przypatruje się resztkom stroju i rycerskich przyborów, których nawet nazwać nieumie.

Czciciele klassycyzmu — a klassykami nieumieli zostać, w tem znaczeniu jak wiek siedmnasty został klassycznym we Francyi.

Literatura nigdy u nas niemiała ogniska, ani takiego jak korporacye trubadurów, ani jak akademia cztérdziestu lub Port-Royal. — Prawdziwa literatura zaczęła się dopiero od czwartkowych obiadów ostatniego króla. . . . .

W odosobnieniu niewyrabia się sąd; opinii literackiéj tam być nie może, gdzie się na nią nikt niepowołuje. — W odosobnieniu wiejskiem piszący

nie słyszał czego po nim żądali współcześni, czego mogła żądać potomność. Smak tępiał dla prawdziwéj piękności, dla życia co w koło tryskało. Magiczne słowo, którem się otwierają najskrytsze tajniki dusz ludzkich jeżeli się zaplątało pod piórem, to je zaraz ciężarem swoim przygniatał cały parnas pogański — wieszcz zepchnięty z trójnoga przestawał wieszczyć, i tylko się kłopotał jakby myśli, uczucia, obrazy rodzinne, zrobić na podobieństwo rzymskiego wzoru w którego powagę wierzył, niewierząc w siebie.

Zdaje mi się że taki był stosunek dawnych naszych rymotworców do otaczającego ich świata, taka ich poetyka. Rozpruszeni, patrzący w jedną stronę, uważali poezyę za miłe wczasy, za rodzaj przyjemnéj rozrywki umysłowéj; w pewnym względzie każdy z nich był niewolnikiem syryjskim, co na końcu biesiady przychodził wieńczyć różami Rzymianina. A jednak jacyż to byli ludzie ogromni duchem i sercem, kiedy w tych osamotnionych brząkaniach na lutni, w tem niewolniczem naśladownictwie odbiło się każde drgnięcie narodu, każdy jego ból — w czem jakże niepodobni do owych zasklepionych w bibliotekach swoich późniejszych

literatów, co wynaleźli egoistyczną teoryę: sztuki dla sztuki.

Owoż tedy cała historya współczesna Kochowskiemu przesunęła się przez struny jego liry; i tak: Zgon Władysława IV. wyciska mu łzy, napełnia obawą na przyszłość:

„Któż jest co w tym czasie
Po tobie Atlasie
Pod tę machinę ramiona podłoży?!..."

I niepłonna to trwoga! — W trop za zgonem bohatyra idzie klęska Korsuńska i Piławce — okrywające rzeczpospolitę sromotą kanneńskiéj niesławy.... Ale kto widział śpiewać klęski ojczyzny, wywodzić na widok tchórzostwo i zniewieściałość rycerstwa? Gdzie téż poecie kalać własne gniazdo?! Czy mu niestało wątku do piękniejszych natchnień że ich szuka w hańbie i wstydzie swoich współbraci? Wyobrażam sobie że w tym sęsie musiano nagabywać biednego poetę kiedy ody swoje, zapewne w rękopiśmie w świat puścił; leciały z rąk do rąk i opinię uzbrajały w bicze na chłostę nikczemnych; choć z drugiéj strony gniewały zapewne owych moderatów co niemając wiary głębokich przekonań, wszystko usprawiedliwiać lu-

bią. — Widać to z wiersza o pilawieckiéj klęsce zaczynającego się temi słowy:

Nie łaj, nie fukaj, który chcesz ojczyzny,
By szły w niepamięć mniej uczciwe blizny.
Nie klnij, niezłorzecz; *jako chwale dzieła,*
Tak trzeba hańba by pamiętną była.

Niedarmo przyznano Kochowskiemu znamienite przymioty historyka. Braun, surowy sędzia, powiedział o jego klimakterach: „Kto rzeczy, a nie słów ciekawy, ten historyę Kochowskiego znajdzie sprawiedliwą i dostateczną.“

Liryka Kochowskiego, jeżeli nie zawsze ma polot wysoki, miewa nierzadko wybuchy męzkiego oburzenia się na wady narodowe owemu czasowi właściwe. W takich ustępach odznacza się szczególną siłą wymowy i obrazowością. Jakżeż on smaga biczem ironii niewieściuchów pilawieckiéj ucieczki, gdy klęskę tę porównywa z przegraną pod Chojnicami, lub z klęską Bukowińską, w których to potrzebach choć nieprzyjaciel miał wygraną, płacił ją jednak krwią swoją:

„... Bo oni doświadczeni mężé,
Potrzebne brali na wojnę oręże:
Paiż hartowny, z straszną szyszak kitą,
Mocne karwasze, zbroję nieprzebitą.

Szable u boku, koncerz na pod nogą,
I ta mu strojna husarską ostrogą,
Tygrys na grzbiecie pokrywa go srogi
Pod samym hasze wałach wiatronogi."

Przepyszny wizerunek husarza! — umyślnie wystawił go poeta takim jak był dawniéj, ozdabiając jeszcze moralnemi przymiotami: że się na niego wieśniak nieskarży, że na nim ludzki płacz nie cięży — aby tem brzydziéj wystawić zepsucie obyczajów i brak karności na ówczesnym żołnierzu. Zabijające to jego zapytanie:

Bo pocoście wy do obozu przyszli?
Snadź dla bankietów, biesiad dobréj myśli —
Poranek gnuśny, a wieczór pijany:
Takżeto kozak będzie zwojowany?

Prosty żołnierz niezna swego rzemiosła, nieumie bronią robić, ani konia prowadzić — a starszyzna, półkownicy i rotmistrze?

Za znak biegłości wojennej ten mają,
Gdy z złota piją, na árebrze jadają. —

Zapewne to, inna jego pieśń do Biberonich Bellisarów, czyli wojujących pijaków, jest dopełnieniem poprzedniéj, gdyż właśnie bankiet pijacki porównywa z służbą obozową....

Placem wojennym nam stół; arsenałem
Piwnica, gdzie dość municyi zastałem;

Bachus hetmanem; mistrz artyleryi:
Kto lepiej pija.
Z mis belloardy, z pasztetów reduty,
Z kopy kuropatw szańc wielki usuty,
Marcypanowéj palisada wieże,
Cukrowa strzeże.

Tego rodzaju zuchy bywają zazwyczaj samochwałami, i przy stole zmiatają nieprzyjaciół jak potrawy z półmisków:

Jam Karasz — Murzę z Supenkazim gromił,
Jam Kenigsmarka szwadrony przełomił,
Od mej walecznej szable Dohłoruki
Rozsiekan w sztuki.

Ale nietylko Tyrteusz ten obudza serce w rycerstwie ale jako prawy obywatel odzywa się do sejmujących i zaklina ich aby powściągnęli swawolę i poczęli radzić na wspólną zgodę. Był to właśnie ów sejm nieszczęśliwy 1652 — gdzie każdy z pretensyami wyjeżdżał, a o uchwaleniu środków na obronę zewsząd zagrożonéj ojczyzny niemyślał. — Widać że jasny umysł poety przewidywał co gotuje ostateczną zgubę krajowi:

Miłać mi wolność, bom się téż w niéj rodził,
Nią się zdobię i szczycę
Jednak jéj zażyć życzę,
Żebym nią własnej ojczyźnie nie szkodził.
Niema szacunku równego głos wolny;

Kocham się też w swobodzie,
Nie ku publicznej szkodzie:
Zbytniéj wolności niechcę i swawolny
Twéj miłośniku Sarmato ojczyzny
Z tym się obchodź klejnotem
Tak teraz jak i potem
Być nieuczynił z lekarstwa truciznę.

Złota prawda! Pokazuje się że wiedziano dobrze gdzie tkwił zaród wszelkiéj niemocy i przyszłego upadku — ale jakoś tak dobrze było z ową wyuzdaną wolnością, że mało był kto między szlachtą, coby chciał do téj nieodzownéj reformy rękę przyłożyć. Sam Kochowski acz czuje i widzi jasno co ojczyznę gubi, przecież niechętnem okiem patrzy na zabiegi Maryi Ludwiki ku ustaleniu dziedzictwa tronu, a dla rokoszanina jak Lubomirski niema piorunów, lecz owszem śpiewa mu pieśń niby obrońcy złotych swobód co poprzysiągł stać przy nich do końca żywota. Czynności zaś partyi dworskiéj odmalował jak prawdziwy sejmik szatański:

Schodząc się w radę i Awerna mistrze. . . .
Z Mazarynim subtelny Ryszeli . . .
Nuż Machiwel z najgłębszéj otchłani,
Co twych Florencyo dynastów się szczyci
Tyraństwa mistrzem; i z twym Polsko strachem
Idzie z etruskim Fanton, Kalimachem.

W obaleniu wolnéj elekcyi widziano tylko absolutyzm władzy i ukrócenie przywileju — i już ani słyszeć chciano o reformie. Osobliwa rzecz iż na mnóstwo pism owéj epoki wierszem i prozą, nigdzie niespotkałem się ani z jednem zdaniem któreby popierało, jak wówczas nazywano partyę francuzką, czyli królowéj — a poczciwy Pasek z łuku nawet strzelał do aktorów francuzkich na teatrum. Nie dowodzi to nic innego, tylko, że ktokolwiek, co ma władzę, choćby takową własny mu grób kopała, niechętnie robi z niéj ofiary; najtrafniejsze przewidywania nietrafiają do przekonań, dopiero rzeczywistość która ją wydziera lub unieważnia, otwiera oczy. W sto kilkanaście lat stan rycerski zdobył się wprawdzie na ofiary — ale już było za późno!

Jak wspomniałem, natchnienie do swych liryków brał Kochowski ze zdarzeń epoki — a tych mu niebrakło w ciągu trzech panowań: Jana Kazimierza, Michała i Sobieskiego. — Znajdzie tu czytelnik każdy ważniejszy moment z którego pochop bierze do uniesień, do żalów, do gromczych wyrzutów, lub do rzucenia się pod stopy krzyża, w którym widzi całą nadzieję i obronę przed niebezpieczeństwem grożącem od Moskwy:

Krzyż jest zbroją
Polako, twoją,
Krzyż obrona
Akwilona
Zkąd wsze złe pochodzi.
Tak Kościół trzyma, że gdy Pan umierał,
Na Akwilon głowę skłoniwszy, pozierał,
Na oliwnej
Górze dziwnej
Kończąc mękę
Skłania rękę
Na północnych ludzi.
Matka znać dając, że nam jest w pomocy
Pod krzyżem stoi ku nam, na północy....

Jest to jeden z tych, wyższym duchem namaszczonych poetów co każdy wypadek odnosi do zrządzeń woli najwyższéj, co umie czytać w rzeczach tego świata symbole myśli Bożéj, co pokazuje na cud, tam gdzieby materyalista widział tylko przyczyny i skutki zależne od rozumu i woli naszéj. Wśród przewlokłéj nieraz gadaniny makaronicznym językiem, wśród eruditycyjnych porównań, mozolnie wyszukiwanych analogii w świecie mitologii klassycznéj, nierzadko spotkać u Kochowskiego perły wyrzucone z głębi prawdziwych chrześciańskich natchnień. — Znać męża co całą duszą był w Bogu i w narodzie, męża co

Boskiego mocno jąwszy się zakonu
Jego przestrzegał do dni swoich skonu. . . .

Ta jego strona tak w nim przeważa że kapłaństwo myśli narodowéj nikomu niepodobna by oddać na te czasy, tylko jemu jednemu, co czuł za wszystkich, co się czuł we wszystkiem, wreszcie stał na wysokości wielkich wysileń i przeznaczeń rzeczypospolitéj, ciągle przypominając czego się trzymać, w co ufać, któremi drogami chodzić, pod jakiem godłem i w imię czego hamować się lub zwyciężać. Mógłby kto dzisiaj zarzucić: a jego fraszki i epigramata czyż są w harmonii z tą poważną szatą kapłana, w jaką go oblekam? przecież cenzura skazała je na ogień, powiadając że mieszczą: *multa obscena, et turpia, ac famam et honorem multarum personarum tangentia.* — Uważałem to, że ludzie głębokiéj i szczeréj wiary, nigdy prawie niebywają surowi jak Katony, ponurzy jak kwakry, i ciągle baczni na raz przyjętą rolę, jak ten, co mnicha udaje. Dusza im więcéj oddana niebu tem swobodniejsza i weselsza względem świata; dobry humor, pusty żart światowy, to jakby wypoczynek w ciągu wędrówki po wyżynach duchowych, to jakby przypomnienie, że się do ziemi i ludzi należy. Wreszcie nasi ojcowie; w ogóle byli jowia-

liści, choć w pobożności i gorącości daleko nam do nich. Toż i Kochowski oskarżony o swoje *frazki* przez źle zrozumianą gorliwość, czy zawiść do akademii krakowskiej, która na nich położyła „*imprimatur*," — zasłania się obyczajem naszym i powagą dawniejszych pisarzy. Mówi on w swéj obronie: „Za dawnych czasów nietylko téj wolności nie ganiono, ale i owszem chwaloną była, zwłaszcza w narodzie polskim te *jovialitates* żartów, i w posiedzeniach przyjacielskich bawiące rymy, miejsce miały. Pisał Jędrzej Krzycki arcyb. gnieźnieński Epigramata, Jan Kochanowski, Miaskowski, Rey, Jagodziński, Wojciech Inez Jezuita. — Niewiem jednak, aby któ z pomienionych na tak *severum crisim* przychodzić miał, jaka mię teraz potyka. I owszem, skoro nasz polski, Jan Kochanowski poemata swoje „wielkiemu senatorowi Piotrowi Myszkowskiemu, bisk. krak. surowemu przystojnych obyczajów cenzorowi, przypisał." — Nagabywany poeta powołuje się jak widzimy na Jana z Czarnolesia, lecz zdaje się że wtedy jakiś ciemny fanatyzm i na śpiewaka Psalmów ciskał kamienie i pomawiał go o herezyę; wiersz Kochowskiego: *Apologia za Janem Kochanowskim* wyraźnie odnosi się do tych niewczesnych gorliwców:

„Żałuję twéj Janie doli
Która mię jak własna boli,
Że cię obmownym językiem
Udają być heretykiem.“

Coś takiego powtarza się za dni naszych: Dante, na którego *Komedyę* przez pięć set lat Kościół Rzymski patrzał jak na kwiat najwonniejszéj poezyi chrześciańskiéj posądzony został o herezyę, i poczytany za poprzednika Lutra, Kalwina. — Z czego możnaby wyprowadzić ten wniosek, a raczéj postawić twierdzenie, że w chwilach żywéj wiary i czerstwości przekonań, biorą i sądzą człowieka w całości i z najgłówniejszych przymiotów umysłu i charakteru; przeciwnie w chwilach kiedy zimne dusze teoryami religijnemi chcą zastąpić brak wiary i przekonań, czepiają się drobnostek wypływających najwięcéj z ducha czasu i miejscowego obyczaju, a gdy takowe nieodpowiadają ich teoryom, skazują na potępienie całego człowieka. Toż i Kochowski gorętszy wiarą, i podnieślejszy duchem niż wszyscy współcześni mu pisarze, wplątany zostaje w proces z nuncyaturą; co zapowiada niedaleki proces Łyszczyńskiego, który się mniéj szczęśliwie zakończył — bo nieprzekonanego ateusza na stos zaprowadził. —

Nietylko w Lirykach, lecz we wszystkich znajomych poetycznych tworach Wespazyana jak *Ogród Panieński*, jak *Chrystus cierpiący*, jak *Różaniec Naj. Panny Maryi*, widać katolickiego poetę który natchnienie brał z codziennych praktyk religijnych, który całem życiem swojem oddał się na usługę Bogu i ojczyźnie. — Niebyły też to exercycye pióra, ale gorące modlitwy: poeta pragnie tą pracą swoją rymotworczą, zarobić na dalsze zbawienie, a o poklaski, o sławę bynajmniéj nie stoi. Niemożna jednak powiedzieć żeby celował prostotą i oryginalnością pieśni ś. Franciszka, Jakuba de Todi, ś. Bernarda i innych nieporównanych liryków kościelnych w wiekach średnich — u niego bywają najczęściéj rozwlekle glossy owych zwięzłych słów podanych przez wielkich liryków kościoła, do których lubi mięszać i Feba i Apolina z Muzami. Był to umysł który niemógł się otrząsnąć z zepsutego smaku, a który mimo tego nieustawał w wewnętrznéj pracy; bo jak po datach pism jego widzę, to co napisał na ostatku życia (w r. 1693) przeszło wszystko co napisał przedtem, i ten jeden kawałek, może najkrótszy, stawia go wyżéj nad wiek, bo go robi poetą przyszłości.

Chcę ta mówić o *Psalmodyę polskiej**) nieznanéj prawie biblio- i historyo-grafom naszym, którzy dziwnym sposobem niemają szczęścia do odkryć. Niepodobna sobie wytłumaczyć, jak ludzie przewracający tysiące tomów bibliotek nienapadli na *Psalmodyę*, która przecież niemoże mieć tego warunku rzadkości co pisma akatolików, niszczone przez władzę duchowną? Najpewniéj że gdy im w rękę wpadła szpetnie drukowana książczyna, bez nazwiska autora, mieszcząca psalmy jakiegoś znanego przekładu — pominęli ją i wrzucili do stosu panegiryków i książek nabożnych. Inaczéj nieumiem sobie tłumaczyć, dla czego jeden z najgłębszych utworów literatury siedmnastego wieku leżał w zapomnieniu, i dopiero teraz pierwszy raz się pojawił w zbiorze pism rymotworczych Kochowskiego.

Czy znał tę Psalmodyę Brodziński i Mickie-

*) Właściwy tytuł taki: Trybut należyty wdzięczności, wszystkiego dobrego Dawcy, Panu i Bogu, albo Psalmodya Polska, za dobrodziejstwa Boskie dziękująca. Przez jednę najlichszą kreaturę. Roku pańskiego 1698 napisaną, a do druku podana r. pań. 1695. Raz tylko zdarzyło mi się widzieć exemplarz in 4to i ten drukowany był jak sądzę w Częstochowie.

wicz? niemogę wiedzieć — tyle jednak jestem pewny że i jeden i drugi byliby ją ogłosili, lub skłonili kogo do ogłoszenia jéj. Dla czego zaś postawiłem to pytanie? Tém się wytłumaczę, że niemałe miałem zdziwienie, kiedy postrzegłem iż w Psalmodyi ta sama myśl rozwiniętą już była w pełności, którą zdawało się że najpierwéj Brodziński, a po nim podniósł Mickiewicz. — Dało mi to bardzo do myślenia. Zacząłem téż porównywać rozprawkę o Narodowości i Poselstwo Brodzińskiego, niemniéj Księgi Pielgrzymstwa Mickiewicza z Psalmodyą; szukałem czy się niespotkam z jakim obrazem, wyrażeniem, które będąc w Kochowskim, pokazywałoby że on dał pomysł i na ton biblijny nastroił późniejszych wieszczów przedzielonych od niego więcéj niż setkiem lat. — Z wielką pociechą nicem takiego nieznalazł, co téż mnie utwierdziło w przekonaniu że Księgi Pisma św. były źródłem żywego natchnienia dla jednego i dla drugich — rzecz bardzo prosta. — Lecz i druga stanęła przed oczyma prawda: że cierpienia i upadki jakiemi byliśmy dotknięci przedstawiały się zupełnie w ten sposób jak kary spuszczane na lud izraelski za odstępstwa i winy przeciw Jehowie. — W nas sa-

nych tkwi siła i wola powrotu do łaski, po dniach próby i pokuty. — Historya wplata się jak niski powój lub polna róża w struny arfy Dawidzkiéj; jęczy i gromi trenami Jeremiasza, — naucza i apostołuje parabolami ewanielii .... Zwykły porządek spraw świeckich usuwa się w głąb ze swemi przyczynami i skutkami, potępieniami i usprawiedliwieniami — to dla uczonych i piśmiennych tego świata — dla wierzących i czujących przyczyna i skutek jest w Bogu, który widocznie pokazuje się i czuwa w tych wszystkich kolejach złych i dobrych jakie przechodzimy od początku naszego istnienia. Dla wierzącego oka niema tu naciągań; jedno z drugiego wywija się nieubłaganą loiką sprawiedliwości wszechmocnéj. W piątym psalmie Kochowskiego ułożonym podług słów psalmisty: *Attendite populo* — przelewa się cały potok dziejów ojczystych . . .

„Kocha Pan i w niewiernych cnotę i nagradza w potomstwie dobre uczynki, które znajomość wiary poprzedziły.

„Wskrzesił z nasienia ich Mieczysława, któremu z urodzenia ślepemu, przyjęta wiara, doskonały wzrok przywróciła.

„Gdzie uwagi godne wszechmocności dzieło,

że w nawróceniu Polski pierwszym niewiastą Apostołem."

Tę głęboko prawdziwą myśl, wzmacnia poniżéj drugim dowodem:

„Godna wiecznéj pamięci Jadwigo, pani nasza, która — jako Dąbrówka Polsce, takeś i ty apostowała Litwie."

Przecudnie mówi o Bolesławie Śmiałym:

„Już miasto trąby i krzykliwéj surmy śpiewają nasi Bogarodzica, za larmo (hasło) do boju, a krzyżem chorągwie znacząc, z tym znakiem gromią szczęśliwie nieprzyjacioły.

„Ulega im jedynowładca ruski, a Kijow przestrzeństwa swego w objazd siedm mil rachując, poszedł na łup Śmiałemu.

„Dałby to był Bóg, aby tylko na nieprzyjacioły Śmiały był; ale gdy się i na Pasterza zdziczała owca rzuca, słusznie koronę traci:

„Bo niepokazał w Bogu nadziei, ale w broni i męztwie, zapomniawszy, że któremi się państwa wszczynają sposobami, takiemiż i mocnieją.

„Prawą wiarą powstała Polska; a uszanowanie kościoła, uczyniło ją znaczną między narody."

W każdym z kilkunastu psalmów obróconych to do dyssydentów, to z powodu interregnum, to

elekcyi, to zrywania sejmów, to zwycięztw Sobieskiego umie powiedzieć złote słowo bogobojności i mądrości starca. Wysoki ton biblijnego liryzmu niezmiernie podnosi każdą myśl i nadaje jéj wagę wieszczéj wyroczni. Żadna też literatura współczesna niepochlubi się podobnym utworem — Larochefoucauld, La Bruyere to moraliści, to badacze i anatomowie natury człowieczéj — gdy Kochowski bierze naród jakby człowieka, roztrząsa jego sumienie, waży postępki i objawia mu kiedy szedł po drogach bożych, a kiedy z nich zbaczał; kiedy zarobił na karę, kiedy się pokajał i upokorzony doznał miłosierdzia... Było to coś więcéj jak książka — bo ostrzeżenie z nieba przez usta poety....

Czy naród spragniony dusznéj pociechy rozerwał tak one pismo, że się gdzieś podziało i stało się rzadkością, o któréj nikt niewiedział? — czy téż gardząc napomnieniem zdeptał ją może, lub niepojął, porwany ku pochyłościom na których nieumiał się zatrzymać?

Sybillińska księgo! z jakimże jasnowidzeniem patrzysz na sprawy swojego wieku, i przewidujesz wszystkie mające się spełnić następstwa! — Złe jakie nurtowało wiek siedmnasty spotęgowane

w następnym, miało dokonać exystencyi narodu — a co szczytne i dobre jak ofiara i zwycięztwo, to odbiera w niéj pożegnalną pieśń łabędzią....

Jeżeli przestroga dana różnowiercom nie mogła ich opamiętać, kiedy wołał: „Targający jedność kościelną, sami się między sobą zgodzić niemogą, a duch wichrowaty, jak szkapa wyuzdany który prostéj drogi nieupatruje....

„Mięsza pycha rozum, który bez Chrystusa zbawienia szuka; a błędne owce powszechną wzgardziwszy owczarnią, w parowach błędów marnie pasczywieją.“ — Jeżeli to niemogło opamiętać i wtenczas i późniéj — czy dziś prędzéj przemówi i przekona?...

Elekcya króla Michała napełnia go dziwną otuchą:

„Weselcie się płodne matrony, że synom waszym przy staropolskiéj cnocie, mniéj potrzeba zagranicznych języków umiejętności, kiedy z panem po polsku doskonale się rozmówią.“

Rzeczpospolita w ówczas była obnażona i słaba, a tu Bisurmanin następował; uspokaja króla nasz psalmista: byle w Bogu położył nadzieję: „Z woli jego wybije anioł wojska Sennaherybowe; albo jak

we Francyi, dziewczysko jedno potłucze mocarze angielskie.“ ...

Czy można w kilku wyrazach i mocniéj odmalować ów stan państwa w rozprężeniu, bez władzy i sprawiedliwości wymiaru? „Droga cnoty przykra, nagroda zasług niepewna, wdzięczność za odwagi omylna; a gdy występków niekarzą, grzeszyłby ktoby dobrze czynił.“ — Straszny obraz, gdzie czynić dobrze za grzech już poczytują! ...

Tajemnica — bo śmiało dziś nazwać można tajemnicą owe „*niepozwalam*“ którego długo, długo nikt nieśmiał wymawiać na sejmach robiąc ofiarę z swéj woli i opinii dla dobra pospolitego — tajemnica tego „niepozwalam“ wytłumaczona w tych kilku wierszach:

„Widzisz to Boże, czuły wolności naszéj stróżu, i grozisz pomstą zdrajcy; któryś tego balsamu wolności przez „*niepozwalam*“ w truciznę obracać nie kazał.

„Ale jako Bezoar w zakrytem naczyniu zachować był powinien: on go teraz datkiem przekupiony, na niezdrowie pospolite używa.“

Cały ustrój rzeczypospolitéj naszéj wznosił się na samych prawdach Bożych. — Owe zgubne „niepozwalam“ czyż to nie taki symbol, jak owoc

z drzewa zakazanego; śród rajskich wolności, téj jednéj nieśmiano sobie pozwolić póki nieznalazł się haniebnéj pamięci poseł Upicki.

Przepyszne są psalmy w cześć Janowi trzeciemu gdy ciągnął pod Wiedeń:

„Oto bohater, do boku przypasuje miecz aby wojował za Imię Twoje: bierze herbowną tarczę, aby odprawiał wojny pańskie.

„Już na dzielny koń wsiada; daj Panie rycerzowi Chrystusowemu szczęśliwe wszędzie powodzenie.“

Daléj co za przepyszny obraz obozu tureckiego!

„Tam się przypatrzysz upstrzonym namiotom, daleko rozwleczonym, które nietylko stolicę cesarską, ale i północnych rzek księżnę, Dunaj, szeroko otaczają.

„One jako ognie gęsto się po przestronnych majdanach błyszczą, mnóstwem swojem przeciwiając się liczbie gwiazd na firmamencie.

„Jako grzmi ziemia i po blizkich lasach echo się rozlega od huku nieznośnego dział, do miasta zrozpaczonego bijących. —

„Widać z wież i blanków powywieszane chorągwie; widać i wyciągnione oblężeńców ręce, nieodwłocznego żebrzących od Ciebie ratunku.“

Opis szyku wojennego przy odsieczy oddany kilką wielkiemi rysami:

„Patrz, jakie postępowanie chrześciańskich hufców do boju, postępowanie prawie samego Boga zgodę kochającego i w jednomyślności mającego upodobanie.

„Lewą rękę w szyku rzesza Teutonów otrzymała, aby bliższa była serca, Wiedeń ratować, uwalniając gniazdo orła dwugłównego.

„Po prawéj stronie rozciągnął konny Sarmata ochotne pod białym orłem chorągwie, z któremi lekki wiatr igrając w sam ich majdan pogański popędza. — W naczelnych pułkach stanął Koronat szablą groźny, który jako mądrze berłem tak mężnie w boju władnie żelazem.

„Godny piramid dla wiecznéj pamiątki widoku, jako pierwszy na szańce Jan III. zdrowie dla wiary niesie, w któréj zdrowie, było zdrowie dla całéj Europy.

„Przy nim i Benjamin młodziuchny w też tropy idzie i mężnego ojca trybem na obławy wojenne, bark i niedoszłe pazury wprawuje.

„Rozprósz naród, który się wojną tuczy, posyp solą łakomą pijawkę, co się chciwie krwi naszéj opiła. . . .“

Psalm po zwycięstwie tak maluje pole bitwy:

„Leżeli w polu jako byczy tłuści po rzezi; a plugawe ścierwy, kazał zwycięzca ziemią nakryć z politowania.

„Jeńcy w zatrzymaniu żywi zostali; a miecz po zwycięztwie ochłodnął w pochwy włożony.

„Mało trzy dni było do zbierania korzyści....

„One pyszne w Sydonie, czy w Dyarbecie złotem tkane namioty, odbieżane, stały jako buda w sadzie, w której jabłek pilnowano.

„Konie ich posiadł mocniejszy, dzidy ich o nichże skruszył, a kulmi do grzbietu uciekających strzelał.

„Przepadli wszyscy purpurati ich, którzy mówili: Posiądźmy ziemię chrześciańską!"

Wyprawa wiedeńska i zwycięztwa dokonane na Turku, tym „rozbójniku państw" jak go nazywa, są niejako urzeczywistnieniem téj bożéj myśli którą w Psalmach swoich wysławia Kochowski a jednak jest on nieprzyjacielem wojny, uniewinnia nawet Jana III. że miecza dobywać musi — bo co Turek mieczem zabrał, trzeba mieczem odebrać... Daleko więcéj polega na pomocy Boskiéj i czystem sumieniu pełnem ufności nieograniczonéj.

Kończąc mówi: „Rozważ i ty Korona moja,

jeśli nie słusznie rzec możesz: Pan jest obrońca mój i ucieczka moja, w nim ja będę ufała.“

Z tych wyjątków i przytoczeń może czytelnik powziąść o tonie i duchu tego pisma wyobrażenie, i przekonać się jak sposób zapatrywania się na dzieje Brodzińskiego, Mickiewicza, a szczególniéj Zygmunta Krasińskiego ma wiele analogii z Psalmodyją i innemi lirykami Kochowskiego.

W Polsce widzieli oni Chrystusowego rycerza wystawionego na najcięższe próby mąk, ukrzyżowań, śmierci — a mimo tego nieumierającego i nieprzemijającego, jak nieprzeminie kościoł zbudowany na piotrowéj opoce. —

Jedno od téj idei odstępstwo, mogłoby go przywalić kamieniem grobowym.

JAN JĘDRZEJ MORSZTYN

PODSKARBI W. KORONNY.

(1618—1700?)

W historyi jak i w literaturze, przychodzą okresy całkiem ciemne, lub tylko z jednéj oświecone strony; zdarzenia i figury nieraz ważnego wpływu, przesuwają się w tym mroku, podobnie cieniom padającym od posągów, kiedy je olśni blask pochodni.

Z takich to niewyraźnych sylwetkowych rysów składają się materyały, z których dopiéro późniejszy dziejopis publicznego i umysłowego życia narodu odgadywać musi organiczną całość, wyszukiwać sprężyny, wiązać wypadki, działającym

osobom przywracać wyraźny ich charakter, potępiać lub uniewinniać!

Praca ta spada całym ciężarem na barki takich epok jak nasza, co żyjąc mniéj życiem czynu, a więcéj reflektującém, mają większą sposobność zastanawiać się, porównywać, oceniać, uzupełniać każde z tych zjawisk, co choć dokonało swego zawodu dziejowego, jeszcze przeciąga się w teraźniejszość, bądź wyobrażeniem jakiem w setnéj swojéj przemianie, bądź utworem czucia i wyobraźni, który potrzebuje tylko odświeżenia, oddmuchania z pyłu, aby mu obywatelstwo przywrócić.

Bez takich cząstkowych prac nad historycznymi momentami, osobami, prawami, instytucyami, bez monografij osobnych gałęzi naukowych i sztuk pięknych, bez ocenienia pojedynczych pisarzy w stosunku do czasu w którym żyli i tworzyli; — niepodobieństwem byłoby przyjść do dziejów narodu w kompletnym ich organizmie, i do dziejów piśmiennictwa ogarniających wewnętrzną i zewnętrzną doniosłość czynności umysłowéj.

Wyższą do podobnych zajęć pobudką jest chęć odszukania prawdy, o ile być może najmniéj skażonéj uprzedzeniem wieku, a niekiedy uczciwe upomnienie się za człowiekiem niesłusznie osądzo-

nym za życia i na wiarę spółczesnych przez późniejszą potomność potwarzanym. Ostatnie dwa wieki historyi naszéj, pisanéj bądź pod naciskiem namiętności publicznych, rokoszów, zrywanych sejmów, zatargów różnowierczych, intryg fakcyjnych, wojen domowych, konfederackich związków, bądź naciąganéj do nowszych widoków, bądź wreszcie układanéj na wiarę tego co było drukowane, bez krytycznego roztrząśnienia, wymaga nieodzownie nowych studyów, nowego zestawienia przyczyn i skutków, a nadewszystko ukazania zdarzeń i osób we właściwem świetle, a nadewszystko przywrócenia im rysów wyrazistszych, jak te, co się kryły częstokroć pod jakim stereotypowym ogólnikiem.

Dowiedziona to prawda, że trzeba z niedowierzaniem przyjmować zdania spółczesnych pamiętników o zdarzeniach i ludziach mających udział w sprawach publicznych, zwłaszcza pod panowaniem późniejszych Wazów i Piastów. Stwierdzenie téj prawdy znajduję w zdaniu znakomitego naszego statysty, (Jabłonowskiego), co na wskroś znał swój naród, a żył w latach blizkich męża stanu i niepospolitego poety, którego żywot zamierzyłem opowiedzieć. Jakoż mówi on w dziełku swojém *Skrupuł bez skrupułu* te godne pamięci wy-

razy: Przeżyłem lat pięćdziesiąt, żaden za żywota niebył dobry w Polsce, aż po śmierci cnota ich pokazywać się poczęła, i żal dopiero wzniecila ze straty tych wielkich ludzi. Nigdzie też lepiéj nie prawdzi się wiersz Horacyusza jako u nas: *virtutem incolumem odimus, sublattam ex oculis quaerimus invidi.* Cnoty, gdy żyje, to jéj niekochamy, gdy z oczu zniknie, zazdrośnie szukamy." Zdanie to niezmiernieby podkopało wiarogodność pisma ówczesnych, gdyby znowu nie ta uwaga, że jak byli zajadli przeciwnicy, tak i stronnicy zapaleni, a nadewszystko tu i owdzie bezstronny miłośnik prawdy, do czego dodawszy ślad pozostawiony w czynach lub pismach po głośnym w narodzie człowieku, z materyałów podobnych jeśli nie całkiem uda się wskrzesić osobę historyczną, to przynajmniéj zrozumieć jéj zawód i cel jaki sobie wytknęła: czy zwalczyła przeciwności, czy im uległa; czy myśl jéj, padłszy na grunt nieurodzajny, nic niewydała, czy też długiem odzywała się tętnem między potomnymi; czy wreszcie natchnienie ożywiające pióro jéj, w chwilach wolnych od zajęć publicznych, zatrzymało świeżość uczuć i barw jeszcze i dla nas, i jakie miejsce zająć powinna w dziejach naszéj literatury, w których,

choć często pokazują się szerokie przerwy, wskazujące na jałowość pewnych chwil upadku, niemniéj jednak trafiały się umysły wybrańsze, czujące, myślące i produkujące, lecz jak się łatwo przekonać z nowszych poszukiwań, kryjące się ze swemi płodami, bo zleniwiała i stępiała współczesność byłaby im odpłaciła — obojętnością.

Jan Jędrzéj Morsztyn na Raciborsku i Radzyminie, którego żywot przedsięwziąłem napisać, pochodził ze znamienitego rodu, używającego tego samego klejnotu co dom Tarnowskich; był on jednakże przychodnim, zapewne w czasach Kazimierza W., tak gościnnych dla cudzoziemców i tak przyswajających, że się duszą i ciałem stawali obywatelami kraju, wywdzięczając się za to pracowitością, przemysłem, nauką. Dom ten licznie się rozrodził w województwie krakowskiem i sandomierskiem, piastował wysokie urzędy w rzeczypospolitéj, posiadł wielkie imiona i wydawał niepospolitych ludzi do rady, miecza i pióra. Szczególniéj w ostatnim zawodzie w ciągu jednego wieku trzech Morsztynów trzyma przodek w poezyi: Hieronim, Jędrzéj i Stanisław*), a co osobliwsza, wszyscy trzéj są

*) Drukowane w Poznaniu poezye Zbigniewa Morsztyna, są lirykami Jędrzeja, jak to przekonać się można z rękopisu

przedstawicielami nowéj poetycznéj epoki, różnéj już od epoki Reja i Kochanowskiego, bo więcéj zbliżonéj duchem do uczuciowego indywidualizmu, a nadewszystko swobodniejszéj wiersznie i mniéj szukającéj natchnienia w książkach, a więcéj w życiu. O roku i miejscu urodzenia się Jędrzeja, niepodobna było coś znaleźć, można tylko z porównania innych lat domyślać się, że urodził się przed 1620 rokiem, z ojca Jędrzeja, starosty bolimickiego. W pięknym bowiem wierszu do Waleryana Otwinowskiego, podczaszego sandomierskiego, prosi aby mu przysłał przekład przemian Owidiusza:

a gdy twoja ona
Księga z prasy wynijdzie, pierwéj od Nasona
Po rzymsku napisana, a w sarmacką zbroję
Od ciebie ustrojona, niech w tém łaskę twoję
Uznam przeciwko sobie; przyślij mi ją, żeby
I tam sława spłynęła twa, póki pod niéby
Okręt wiatrem pędzony pobieży i póki
Żeglarz strachać się będzie scyllijskiéj opoki.

Otwinowski, który go *wrukiem drogim* nazywa, odpowiada również prześlicznym rymem:

znajdującego się w bibliotece Ossolińskich, którego używałem do téj pracy. Przypadkowo napisane imię Zbigniewa Morsztyna na rękopisie, z którego robiono edycyą poznańską, było powodem do stworzenia tego poety, który nie istniał.

Naso mój jeszcze w cieniu, lecz już w swym niewczasie,
Narzeka na srogiego rzemieślnika w prasie.
Skoro mi jednak Bóg da ztamtąd się wyprawić,
Nie mieszka i do Belgów za tobą się stawić.

Gdy zaś przekład przemian Owidiuszowych wyszedł w r. 1638 w Krakowie u Piotrkowczyka, można przypuścić, że Jędrzéj najmniéj mógł liczyć lat dwadzieścia, kiedy się wybierał w zagraniczną podróż do Belgii, a ztamtąd do Neapolu i Sycylii, jak to z powyższych wierszów przegląda.

Zresztą jedyny to szczegół rzucający jakiekolwiek światło na jego pierwszą młodość, do którego dodam, że skłonność do poezyi, a zapewne, i kształcenie się na dobrych wzorach starożytnych winien był dziadkowi swemu, Waleryanowi Otwinowskiemu, który mistrzował mu w nauce, z tém przywiązaniem dziadowskiém, tak wiernie oddaném w tych wierszach:

Bądź mię jednak zastaniesz umarłym, bądź żywym,
Nie znajdziesz, jedno żem ci jest lub był życzliwym,
I rzeczesz kiedyś po mym przechodząc się grobie:
Miałem ja przyjacielem tego człeka sobie.
Jakoż ja tém i teraz to pismo zawieram,
Że niewątpliwie twoim żyję i umieram.

Zapewne po odbytych naukowych podróżach przez Niemcy, Belgią, Francyą i Włochy, których

ślady pozostały w urywkowych wzmiankach jego muzy, a mianowicie w téj różnorodności przedmiotów naszemu krajowi obcych, a wtrąconych z łatwością i trafnością świadczącą że je widział własnemi oczyma, dostał się Morsztyn Jędrzéj na dwór Władysława IV. między tę młodzież dworską, zaszczyconą wyborem króla umiejącego wybierać i forytować najdoskonalsze głowy. Tutaj w liczbie dworzan często wspominanych w jego wierszach, jak: Szumowski, Szmeling, Potocki, Przeczkowski, znalazł Jana Grotkowskiego, z którym nietylko łączyło go koleżeństwo, ale i ten pociąg dwóch wyższych umysłów, co gorejąc dla boskiéj poezyi, we wzajemnych zwierzeniach się z wrażeń, spostrzeżeń i uniesień doznanych w życiu lub przy spólnie czytanéj książce, czerpią natchnienie, zapał i tę potrzebę tworzenia, która w młodzieńczem gronie podsyca się i utrzymuje zamianą uczuć i wyobrażeń.

Stosunek w jakim Morsztyn znalazł się do Grotkowskiego, starszego zapewne wiekiem, nauką i doświadczeniem, krom koleżeńskiéj zażyłości i prostéj sympatyi, miał jeszcze charakter owego uwielbienia, jakie adept miewać zwykł dla mistrza, którego wyższość uznaje, powadze wierzy,

ale zarazem nie traci i wiary w siebie, że kiedyś dla kogoś sam będzie takim mistrzem. Najpodobniéj, że do tych pojęć jakie mu dał dziad Otwinowski, do tych nabytków zdobytych po cudzych krajach, Grotkowski musiał ostatnią rękę przyłożyć, kształcąc w młodym poecie smak i dając mu kierunek, wyższy nad te wybryki rubasznego dworskiego dowcipu, wielkiéj jak się zdaje, używających podówczas wziętości. Wniosek mój o tém mistrzowaniu Grotkowskiego wyprowadzam szczególniéj z tonu tych rymów, jakie Morsztyn do niego pisze, a które jak niebo do ziemi, niepodobne są do jowialnych lub tłustych konceptów dedykowanych innym dworskim przyjaciołom. Myśl w nich zawsze poważna, nastrój wyższy i głębokie natchnienie; znać że zbliżając się do poety którego tak uwielbiał, nieśmiał być rymopisem dla igraszki. To wszystko przekonywa, że strata rymów Jana Grotkowskiego*) może się policzyć do wielkich

*) W czwartym tomie Biblioteki Ossolińskich r. 1864, znajduje się artykuł Ludwika Nabielaka wskazujący na odkrycie rymów Jana Grotkowskiego; są to przekłady z Petrarki *Tryumfu Miłości* i kilku Sonetów, wszystko przypisane Władysławowi IV. Poezye te znalazły się w rękopisie Biblioteki Ordynackiéj Zamojskich.

uszczerbków dla literatury XVIII. wieku. Posłuchajmy, co Morsztyn doń pisze, a Morsztyn nigdzie nielubił pochlebiać, nawet wielkim, więc tém bardziéj niemożna go o to pomawiać z równym sobie:

Dywać to do lasa i do Aten sowy,
Słać ci wiersz, który u ciebie gotowy,
Aleć i bogom, chociaż téż niegłodni,
Choć ich nasz powiew niezalecł spodni,
Przecie im kadzą, przecie z uniżenia,
Chleby im kładną i całopalenia.
Kiedy cię niebo tak udarowało,
Że aż do zbytku niedostaje mało,
Jeśli odrzucisz to czego masz dosyć,
Cóż ci przyjaciel ma w darze przynosić?
Choć ja nie za dar teć posyłam wiersze,
Ale abyś je, nim się puszczę w szersze
Granice i na wyższe wstąpię szczeble,
Sam przegrzeplował i puścił po zgrzeble.
Bo jeśli twoje odniosę w tém zdanie,
(A bez pochlebstwa) że téż i mnie stanie
Wątku do piórka i tchu do téj sprawy,
Niedbam o cudze przygryski, poprawy.
Dosyć mi na tym rozsądku i śmiele
Pić z hippokreńskiéj już będę kąpiele.
Tyś u mnie pierwszy i tobie przyznawam,
Że w polskim wierszu za tobą zostawam,
I tak leniwo w trop za tobą jadę,
Jak téż po sobie pozad drugich kładę.

W innym wierszu do tegoż Grotkowskiego, posłanym mu do Neapolu, gdzie był internuncyuszem w sprawach spadków i intrat z księstwa Bari jeszcze dobitniéj wypowiedział swe uwielbienie dla tak znakomitego poety:

Jakoż raz tylko usłyszawszy ciebie,
Zapomniał Parnas mówić po łacinie,
Muzy po polsku piszą, i ty Febie
Polski grasz tańce niebieskiéj drużynie,
Zkądeś tak wieki i po swym pogrzebie
Zniewolił Janie, że co tobą słynie.
Dziękuję że w nim twoje prące wyszły,
Przeszłyć zazdrości, zdziwi się wiek przyszły.

Umyślnie zatrzymałem się na tym stosunku Morsztyna z Grotkowskim, żeby pokazać ruch téj nowéj szkoły poetycznéj, wyłamującéj się z dotychczasowych pęt naśladownictwa, a usiłującéj się przybrać w lekkość i żywość, a mianowicie w formy nowszéj poezyi francuzkiéj i włoskiéj, z którą obydwa zaznajomili się w częstych zagranicznych podróżach. Grotkowski, wnosząc z powyższych słów uwielbienia, musiał być ojcem téj szkoły, co rozkwitnęła na dworze królowéj Ludwiki Gonzagi, gdzie grono przybyłych z nią dam francuzkich, słynnych urodą, jak panna de Mailly, d'Arquien, Katarzyna Gordon, Bessain, Anna

Schönfeld, wniosło tę galanteryę tę zalotną sentymentalność, niepraktykowaną dotąd w polskim wyższym świecie i na dworze. W poezyach Morsztyna szczególniéj ta romansowość, to rozpływanie się w pięknościach natury, charakteryzuje go i odosobnia od dawniejszych, a nawet późniéjszych wierszopisów; wszakże niema on tego ubóstwienia dla niewiasty, tego idealizowania uczuć, ani téj, że się tak wyrażę, namiętności duchowéj, jak to widzimy w szkole świeżego romantyzmu; u niego gra tylko prosta egzaltacya namiętnéj żądzy, coś podobnego do owéj furyi włoskiéj, pod którą tai się gruby materyalizm, często obrażający delikatne a razem głębokie uczucie, — lubo z drugiéj strony w rodzaju tym erotycznym, pochodzącym z prostéj linii od Owidowych elegij, pokazał się prawdziwym mistrzem, jakiego w literaturze naszéj drugiego poszukać. Czuł to sam, kiedy mówi:

Że mu się w wierszu trochę powodziło
Uznawa Morsztyn że to panien dzieło.

Część pieśni erotycznych, które nazwał *konikulą*, pisał w r. 1647, z tęsknicy za zostawionym przedmiotem swojéj miłości, a tym była najpewniéj Katarzyna Gordon, margrabianka de Huntléj, panna dworska królowéj, bo imię Kasi często tu wspo-

minane. Zapewne rozkaz królewski zapędził go do rokowań jakich na pograniczu Moskwy,

Gdzie Psół, gdzie Worskla toczą błotne wody
I dwa słowiańskie graniczą narody.

W oddziale tym lutni Morsztynowéj znajdują się tak dziwnéj piękności elegie, że nietylko naszéj ale i każdéj literatury mogłyby się stać ozdobą. Szczególniéj jedna pod napisem: *Chłód daremny*, nietylko jest arcy-dziełem w swoim rodzaju ale nadto ma wszelkie cechy charakteryzujące styl i kompozycyą Morsztyna. Że nie długa, przytaczam ją w całości:

W powszechnym świata znoju i spaleniu,
Szukałem gdzieby głowę schronić w cieniu.
Raz się przechodzę do blizkiego gaju
I żebrzę łaski zielonego maju.
Tam mię wspomaga dąb chaoński cieniem,
I grab twardością zrównany z kamieniem,
Piękny i jawor fladrowanéj więzi,
I szkolna brzoza drobniuchnéj gałęzi,
I żyrne buki i klon niewysoki
I lipa, matka pachnącéj patoki,
Jesion wojenny i brzost, który naszym
Krajom intraty przyczynia potaszem
Drugi raz w gęste zapuszczam się bory,
Kędy świerk czarny rośnie w górę spory,
I modrzewina czerwi nieznająca

I terpentyną jedlina płacząca,
I sosna wielkiéj w budynkach wygody
I kadzidłowéj jałowiec jagody.
Trzeci raz różnie probując ochłody,
Chodzę po brzegach przezroczystéj wody;
Tam mam dostatnie chłody topolowe
Olsze czerwone i wierzby domowe.
Ale cóż potém? Lubo ta zasłona
Schroni méj głowy od Hyperyona,
Lubo mi na czas psia gwiazda sfolguje,
Zaraz te pustki miłość opanuje.
Próżno się tedy cieniem z wierzchu chłodzę,
Gdy w sobie noszę ogień i z nim chodzę.

Młodość Morsztyna upływała na służbie pokojowéj, przy boku obu królów, Władysława i Kazimierza; był bowiem, jak powiada Wespazyan Kochowski, *intimae admissionis cubicularius*. Nie była to jednakże służba tak bardzo pokojowa, aby nic nie robić tylko wiercić piętą przed panem, mizdrzyć się, spijać lub grać w kości lub w karty; owszem, możnaby ją nazwać prawdziwą szkołą statystów; tam bowiem wkładano się do spraw publicznych, do traktowań poważniéjszych, tak z postronnemi państwami jak z kołami sejmikowemi, gdy wypadło czasem kierować niemi podług myśli dworskiéj; tam wreszcie biegało się raz wraz goń-

cem z listy królewskimi po wszystkich krańcach rzeczypospolitéj; z czego znowu rosła dokładna znajomość ojczystéj ziemi, znajomość o jakiéj nawet niemamy dziś wyobrażenia, a jaka w kilku utworach Morsztyna przechowała się, gdzie każdy rys, każde słowo jest tak malownicze i tak ściśle charakteryzujące miejscowość, że niemożna powiedzieć, tylko że zdjął je żywcem z natury. Jakie zaś drogi po kraju odbywał, do jakich poleceń był używany, zapisał to w jednym wierszu do Jana Szumowskiego, pokojowego królewskiego, gdzie zażartowawszy sobie z téj służby pokojowéj, powiada że i teraz na nich obudwóch przypadła bieganina za granicę kraju, chociaż:

Jam już był dobrze cudzych krajów syty
I w domu każdy gościniec mi bity,
A przecież kiedy rozkaz pański tęgi
Nastąpi, muszę znowu do włóczęgi.
Widział mię pierwéj Opatów nasz swojem
Posłem od króla, potem wielkim znojem
Przebyłem Węgry i na ich stolicy
Cesarskiéj pokłon oddałem prawicy,
I pańskie sprawy kończąc przy tym dworze,
Niosłem królewskie listy Leonorze.
Zwodziłem, potem gdzie szła sama głowa
Ojczyzny naszéj panów do Zborowa.

Potem téj zimy, niezałując biesa
I ostróg, biegłem w Litwę od Łowicza
I poszedłem nią aże ku Dnieprowi,
Wielkiemu, niosąc ordynans wodzowi.
Teraz zaś znowu wielkim obwołany
Posłem z Koroną i Siedmiogrodzany,
Mam zwierać ligę i stwierdzać co mocy,
Co ma sił i co wierności Rakocy.
Przyjdzie go szukać gdzie między Multany,
A snać i śnieżne przechodzić Bałkany.

Ależ to ledwo początek dyplomatycznego zawodu. Późniéj niema prawie traktowań znaczniejszych, a często bardzo trudnych, żeby go do nich nieużywano, szczególniéj w stosunkach internacyonalnych, jak owo poselstwo do szwedzkiego Karola Gustawa, który niedał nawet posłowi audyencyi dlatego, że niebył żadnym senatorem i z gniewem odpisał do Jana Kazimirza: „*missistis nobis quemdam Morstinum.*“

Zdolności niepospolite, trafność zdania, a przytem nauka i biegłość w obcych językach, jak go nawet z tego wychwala de Noyers Francuz, sekretarz królowéj Ludwiki, zwracać nań musiały uwagę téj niepospolitéj kobiéty, na którą mogli się zżymać przeciwnicy polityczni, ale podziwu jéj geniuszowi i męzkiemu sercu odmówić niemogli. Mo-

żnaby zaprawdę powiedzieć, że w szkole téj monarchini Morsztyn wyrobił się na statystę. Kierunek jego dążeń, jego konjunktury polityczne, mające na celu głównie reformę rządu w pojęciu monarchicznem Ryszeliego i Mazarina, a późniéj Ludwika XIV., ztąd nieprzyjazne kardynalnemu prawu wolnéj elekcyi w rzeczypospolitéj, równie jak hałaśliwym sejmom, zanadto wyraźnie przebijają w jego całém życiu, a nawet w poetycznych pismach i noszą cechę tego głębokiego przekonania, które gorzko boleje, gdy wszystkie usiłowania pełzną na niczém.

Żeby mieć wyobrażenie jaki zapał go ożywia, gdy mówi o królowéj Ludwice, jak pojmuje i czuje szlachetne jéj dla rzeczypospolitéj zamiary i trudy podjęte, dość jest przytoczyć kilka ustępów z jego poematu *Psyche*, wziętego z bajki Apuleusza, gdzie w tę starożytną opowieść wplótł postać królowéj i tych kilka pereł niewieścich, jaśniejących wdziękami na jéj dworze. Pochwały oddane królowéj nie są rodzajem zwykłych kadzideł dworskich, bo téj słabości nigdzie niemogłem w Morsztynie dośledzić; jest to raczéj szczere uwielbienie, prawda z jego wewnętrznem przekonaniem zgodna, słu-

szność wreszcie, którą jéj badania historyczne przyznają jednogłośnie:

„Jako nad bajką i pięknym wymysłem
Zdziwi się przyszły wiek nad jéj robotą,
Nad zdrową radą, nad mieszkiem nieścisłem,
Gdzie między stany stwierdza zgodę złotą,
Albo zachęca na nieprzyjacioły,
Albo funduje szpitale, kościoły."

Morsztyn odgadł sąd przyszłości o téj niepospolitéj kobiécie, a po wyliczeniu prawdziwie bohaterskich dzieł jéj, dokonanych z Czarnieckim w obronie kraju, a uwieńczonych pokojem oliwskim, tak kończy, dotykając tego najdraźliwszego punktu, który w niwecz obrócił wszystkie jéj zasługi, a nawet drogą pamięć zohydził w narodzie:

„Niedosyć na tém, widząc się niepłodną
I przeczuwając przyszłe mięszaniny,
Chce za żywota łaską dzięków godną
Wcześnie opatrzyć królem te dziedziny,
Lecz i w tém Polskę znajduje niezgodną.
Nie wal na prawo o Polaku! winy,
Chciwość, niesłowność i płonne
Nadzieje, w zguby pędzą cię niechronne..."

Wiadomo z historyi naszéj, jak królowa Ludwika, troskliwa o zaprowadzenie silnego rządu w rzeczypospolitéj; zamyślała za życia jeszcze Jana Kazimirza o następcy tronu. Wybór jéj padł na

francuzkiego księcia d' Enghien Kondeusza, w którym widziała przymioty rycerskie, mogące podobać się wojennemu narodowi. Następca ten, jak się współczesny Kochowski w Klimakterach wyraża: „urodził się w jéj głowie, a konsyliarze i ministrowie króla Kazimirza, zawinęli się to dziecię w miękkie powijać pieluszki faworów pańskich, zachęcając, zwabiając, to pieniędzmi, to podarkami, to promocyami, to bankietami i łaskawym do dworu przystępem, i tak najpierw co zacniejszych panów senatorów, biskupów, dygnitarzy, potem szlachtę do podpisów sprowadzając, aby widziano że wielu tak zacnych i godnych ludzi na to zezwoliło."

Dziedziczność tronu, a tém samém zapobieżenie demoralizacyi narodu przez zakupno głosów na elekcyach, było jedynym środkiem dźwignienia rzeczypospolitéj. Konieczność nakazywała rzecz tę prowadzić zręcznie i w sekrecie; tymczasem sekret trudnym był do ukrycia, gdyż wiele osób należało do planu, wreszcie zwietrzyli te roboty posłowie cesarscy bawiący w Warszawie, a widząc na co się zanosi, zaczęli stawać po stronie kardynalnego prawa wolnéj elekcyi i wystawiać przedniejszym osobom rzeczypospolitéj, iż te *„praktyki francuzkie,"* jak je wtenczas nazywano, przyprawią

naród o zatratę wszystkich wolności, tak drogo okupionych. Sprawa ta byłaby się może utarła na sejmie r. 1661; lecz już przeciwne miny były podłożone. Lubomirski dał się spraktykować partyi rakuskiéj, i zaraz wybuchnął związek wojskowy, który niemałego zamięszania rzeczypospolitéj stał się powodem. Kto go podniecał?... dziejopisowie nasi jeszcze nierozstrzygnęli, ale zapewne źródło jego to samo, co spraktykowało Lubomirskiego mar. w. k., który zawiedziony w ożenieniu syna swego Stanisława z jedną księżniczką francuzką, pojechał do cesarza Leopolda i wyjawił mu wszystkie roboty partyi francuzkiéj, za co dostał zapewnienie iż cesarz assekuruje wolną elekcyą w Polsce i jego samego popiérać nieomieszka.

Odtąd wyraźnie na tle naszych dziejów odrysowują się dwie fakcye przeciwne, jedna zamierzająca zaprowadzenie silnego rządu, przez zawarowanie dziedziczności tronu i przez zamianę *liberum veto* na większość w głosowaniu, druga usiłująca utrzymywać *status quo* wewnętrznego nierządu. Pierwsza szukała wzoru swego i wsparcia we Francyi, zbyt odległéj, aby mogła ciężyć całą swą wagą na prawach rzeczypospolitéj; druga dawała ucho namowom schlebiającym owym swobodom szlache-

ckim, będącym już w tym rozkładowym stanie, co się z trudnością zdobywa na ofiarę cząstkową, aby ratować całość. Ścieranie się tych dwóch partyi, zrodzonych od chwili, kiedy rzeczpospolita zwątpiła aby sama przez się mogła się dźwignąć z wewnętrznéj niemocy, to dzieje reszty następnych panowań. Jędrzéj Morsztyn, którego historycy nasi i literaci zostawili niejako w cieniu, był, można śmiało powiedzieć, najczynniejszym wyobrazicielem téj pierwszéj dążności, on tę myśl ukochał, poświęcił się jéj, przeprowadzał ją statecznie i jeszcze dzieciom swym przekazał.

Sekretarz królowéj Ludwiki, Francuz de Noyers, doskonały znawca interesów polskich, a jeszcze lepszy znawca ludzi, tak ocenia Morsztyna, w instrukcyi danéj posłowi francuzkiemu w popieraniu elekcyi ks. d'Enghien. To świadectwo z obcych ust, rzadko oddających nam sprawiedliwość, wysokie ma znaczenie.

„Pan Morsztyn referendarz w. kor., mówi de Noyers, jest człowiekiem bardzo zręcznym i zdolnym do służenia naszéj sprawie. W całéj Polsce sposób jego myślenia i charakter najbardziéj królowéj do smaku przypada, z nim ona w sprawach publicznych traktuje i jego do nich najchętniéj

używa. Niemasz tu nikogo, komuby królowa tak łatwo dała się powodować, jak jemu, ani téż któryby uczucia i myśli królowéj tak odgadywał, jak on, nawet w rzeczach których niema zamiaru mu udzielić. Marszałek w. (Lubomirski) wprowadził go na dwór i zapoznał z królową. Wkrótce potem stał on się potrzebnym jako pośrednik między królową i marszałkiem, co mu pomogło do urzędów i dało sposobność zalecenia się królowéj; albowiem marszałek był zawsze wachającym się i trudnym do działania, i prawdziwie niewiedzieć na jakiéj zasadzie królowa oparła się, aby przełamać wstręt, który król jegomość miał ciągle do marszałka i wynieść na godność człowieka, któremu nieufać miała zawsze słuszne powody. Pan Morsztyn dopomógł wiele marszałkowi do osiągnienia dostojeństw i dobrodziejstw, które ten trzymał, i usiłował zawsze dowodzić królowéj, że wziętość marszałka była wielką i że nieomieszka usłużyć jéj skutecznie. Zdaje się że zamiar p. Morsztyna był w tém szczery i że marszałek nieodkrył mu bynajmniéj myśli swojéj przeszkodzenia elekcyi na sejmie w roku zeszłym 1661 zwołanym. W głębi duszy jest on szczerze do nas przywiązany i gotów nam służyć majątkiem i osobą, któréj trzeba bar-

dzo oszczędzać.“ Morsztyn z tém swojém usposobieniem w przykrym się musiał znajdować stosunku do Lubomirskiego, dla którego miał szczere uwielbienie, któremu niedawno najpiękniejszą z swych poezyi poświęcił, sławiąc jego umysł wysoki, „co Tacyta z głowy i bez księgi czyta,“ co „składa Wiernego pasterza z Gwaryna,“ kiedy tenże rzucił się w przeciwne praktyki, a stając niby w obronie kardynalnego prawa wolnéj elekcyi, zasiał nasiona buntów żołnierskich i sam został buntownikiem, służąc fakcyi przeciwnéj, która wszelkiemi sposoby przeszkadzała, aby silny rządowy organizm nigdy się niemógł w rzeczypospolitéj ustalić.

Lecz ani z pism jego, ani z pamiętników ówczesnych niemogłem wytropić, jakie było zachowanie się Morsztyna w czasie rokoszu Lubomirskiego. Domyślać się tylko mogę, że zachowywał charakter pojednawczy między tronem a marszałkiem w. koronnym, w czém mię utwierdza ówczesny wiersz „*Echo żałosne*,“ zapewne niedrukowany nigdy, w którejto ostréj satyrze nieoszczędzającéj ani króla, ani ministrów, ani nikogo grającego ważniejszą rolę w partyi francuzkiéj, o jednym Morsztynie, głównym jéj promotorze, niema nawet wzmianki. Tylko z drugiéj strony herb Leliwa,

będący klejnotem Morsztynów a położony na rękopisie w miejscu nazwiska autora, mógłby naprowadzać na domysł, że jest pióra Hieronima lub Stanisława Morsztynów, tém więcéj że faktura wiersza wiele przypomina sposób i styl tych dwóch bliskich krewnych Jędrzeja.

Zatrzymałem się dłużéj nad tym ustępem z panowania Jana Kazimirza, bo jak się pokazuje z instrukcyi p. de Noyers, Morsztyn był jednym z głównych czynników reformy rządu. W ciągu tego czasu, wiemy tylko że raz po raz był używanym do różnych negocyacyi. W r. 1660 znajdujemy jego podpis na traktacie oliwskim. W r. 1664 z przeznaczenia sejmu jedzie umawiać się z Moskwą w Krasnem, któreto rokowania wlokły się tak długo, a komisarze nasi nasłuchali się niemało narzekań ze strony moskiewskiéj na tę fakcyą francuzką, co czyha na zgubę wolności polskiéj, a to usiłując przeciwko prawu pospolitemu obrać nowego króla, kiedy stary żyje, a wszystko uskutecznić zapomocą francuzkich pieniędzy i szwedzkiego wojska z przeciągnieniem wojny moskiewskiéj. Pokazuje się że ta wielka sympatya dla naszych bezsilnych swobód, już w siedmnastym wieku należała do arkanów dyplomacyi postronnéj. Morsztyn

nieustannie działał przeciwko niéj, nieopuszczając niczego coby doprowadziło do celu. Gdy znikła wszelka nadzieja wybrania następcy za życia Jana Kazimirza, Morsztyn podsunął myśl abdykcyi. Jakoż w r. 1667, zostawszy podskarbim w. koronnym i starostą tucholskim, odbył poselstwo do Francyi, niezawodnie w zamiarze wypróbowania dworu, jak dalece i jakimi środkami popierać zechce elekcyą Kondeusza. Poselstwo to odprawił z własnéj szkatuły, wyłożywszy 60,000 ówczesnych złotych. Dwór cesarski baczny na te ruchy, wysłał do Warszawy na elekcyą ogłoszoną po abdykcyi Jana Kazimirza swego agenta, hrabiego de Chavagnac, którego zadaniem było każdego innego kandydata popierać, lecz nigdy niedopuścić Kondeusza. Ciekawy w pamiętnikach Chavagnaca ten ustęp, gdzie powiada że jakiś obdarty szlachetka przyszedł do niego o czwartéj z rana, ofiarując wyrzucić Kondeusza z kandydatury, byle mu sto dukatów pożyczył. Zaryzykował Chavagnac, ale i wygrał; bo ów Pękosławski, zawołany retor, wpadł na zgromadzenie, oskarżył senatorów i stan rycerski, że przekupiony od Kondeusza i tak umysły poburzył, że cały tłum z dobytemi szablami wpadł na prymasa Leszczyńskiego, domaga-

jąc się aby Kondeusza z listy kandydatów wykreślił. Ten sam tłum obiegał wszystkich naczelników partyi francuzkiéj, a można się domyślać że niepominął i Morsztyna.

Michał wybranym został, z czego nieomieszkała korzystać partya przeciwna, podsuwając nowo wybranemu królowi arcy-księżniczkę za żonę. Morsztyn prowadził niezmordowanie interesa kandydata francuzkiego, nietylko utrzymując ciągłe korrespondencye z zagranicą, ale i między swymi stronnikami w kraju. Jeden z takich listów cyfrowanych, produkowany na sejmiku średzkim, dał powód do krwawéj burdy, dokonanéj na kasztelanie poznańskim Grzymułtowskim a do ciężkich zarzutów przeciw Morsztynowi. Cała ta sprawa wytoczyła się na sejm warszawski w r. 1672, i niemałych zgryzot i kłopotów przyczyniła podskarbiemu. Był to jednakże przedsmak tych ciosów, jakie w 10 lat późniéj spaść miały na jego głowę.

Szukając w jego poezyach pewnéj analogii do przygód jakie w życiu przechodził, znalazłem właśnie kilka poezyi, z datą odpowiednią téj epoce... Jakaż w nich od dawniejszych różnica! W tamtych igrała myśl młodzieńcza, swobodna aż do pustoty, uśmiechało się życie wszystkiemi barwami mi-

łości i nadziei, było coś niekłopotliwego, niedbającego o jutro, o przyszłość — w tych późniejszych przeciwnie, znać że robak zwątpienia toczy już to serce męzkie, że już niczego niespodziewa się od ludzi, a całą nadzieję pokłada w Panu...

Niewiele jest tych wierszy bardzo wysokiego nastroju, ale te co są, mogą się policzyć do najpiękniejszych utworów, w duchu i namaszczeniu psalmów Dawidowych. Cóż to za wspaniały i głęboki początek téj pokuty! jakie ukorzenie się ducha przed Panem! Znalazła się nawet prostota, któréj Morsztyn, często zbyt wytworny i lubiący włoskie *concetti*, niejest przyjacielem:

O Boże! jakoż podnieść grzeszne oczy,
Tam, gdzie Twa moc nieznaną światłość toczy,
Jesteś, któryś jest, wieczny, niepojęty,
Pan Bóg zastępów, święty! święty! święty!
Tyś szczéra czystość, niewinność bez skazy,
Jakoż Ci swoje odkrywać mam zmazy?
Jam widział gmachy śmiertelnego grzéchu
Siedmiorakiego, i straszny w pośpiechu
Zakon Twój miałem i Twe przykazanie
Każdem znieważył albo zgwałcił Panie!
Jam niejednego, chociaż Twa przestroga
Przeciwna była, miał Pana i Boga.
Częstom człowieka tak spodobał sobie,
Żem kładł w nim większą nadzieję, niż w Tobie;

Często godności i dobrego mienia
Chciwość tak srodze ujęła sumienia,
Żem ich posadził, jakoby tam Ciebie
Niebyło nigdy za Boga na niebie, i t. d.

W głęboko poetycznéj duszy Morsztyna leżało wiele takich szczytnych tonów, które dopiero wydobyły z niéj cierpienia i niesmaki z doznanych zawodów w rachubach ziemskich. W zbiorach rękopiśmiennych i drukowanych jakie miałem pod ręką, powyższego wierszu początek nosi najpóźniejszą datę, bo r. 1678. Czy później co pisał, niewiadomo — przypadek może naprowadzić na szczęśliwe odkrycie innych utworów téj lutni tak dźwięcznie brzmiącéj, a tak rozmaitéj, o któréj sam powiada:

Bo lubo struny różne głosy mają
Na jednéj lutni wszystkie pieśni grają.
Obierz-że sobie to, co ku twéj myśli,
A coć się niezda, miń albo przekryślij.

Słusznie możnaby przekryślić w niéj niejedno co razi delikatne ucho i co dziś wydanie zupełne jego rymów czyni niepodobném; lecz za to niektóre skończonéj doskonałości płody sowicie wynagrodziłyby to opuszczenie.

Pod panowaniem Sobieskiego, który ożeniony

z Francuzką, sam wprzód jeszcze nim został królem, zawsze liczył się do gorliwych partyi francuzkiéj stronników, stosunek Morsztyna do tronu był już mniéj drażliwym, dopóki gra polityki, prowadzona przez niego ciągle w jednym kierunku, niezniewoliła go do kroków przeciwnych polityce polskiego dworu.

Odtąd przygotowuje się katastrofa, która go zmusi do opuszczenia własnéj ojczyzny; przewidywał ją bystry Morsztyn, gdy znaczne summy, zbierane oszczędnie z obszernych swych majątków, posyłał do Francyi dla zakupna dóbr, na mocy posiadłości których starał się o indygenat francuzki.

Duma Ludwika XIV., wygórowańsza nad jego politykę, poświęciła nieraz własny swój interes; ten właśnie przypadek zaszedł z Maryą Kazimirą, którą Ludwik boleśnie obraził przez lekceważenie jéj krewnych. Odtąd oziębiły się mocno stosunki między dworem wersalskim a willanowskim, nietrzeba też było tylko stosownéj pory, aby szala przechyliła się na stronę Austryi, zagrożonéj teraz buntem Tekiélego i ogromnemi siłami jakie Kara Mustafa pod Wiedeń prowadził.

Pod temi wróżbami zaczął się sejm w r. 1683. Pallaviccini legat papiezki i Waldstein cesarski,

przekładali w obec zgromadzonych stanów rzeczypospolitéj potrzebę ligi chrześciańskiéj przeciw niewiernym. Alić stronnicy polityki Ludwika XIV., ofuknęli ich, pisma potężnych argumentów posypały się z drukarń, dla odciągnienia dworu i opinii publicznéj od przymierza z cesarzem. Tymczasem poseł francuzki margrabia de Vitry, człowiek gwałtownego charakteru, zakładał podziemne miny, razem z Morsztynem, a podobnoć z hetmanem Jabłonowskim i Sapiehami, aby ligę tę rozerwać. Była to bowiem stanowcza chwila dla polityki Ludwika, w któréj mógł był odnieść tryumf z tyloletnich zabiegów, mających na celu upokorzenie domu rakuzkiego. Lecz Sobieski, w polityce swojéj chrześciańskiéj uważając nieprzyjaciół krzyża, od których kraj jego cierpiał tyle wieków, w rzędzie naglejszych niebezpieczeństw, niż te jakichby się mógł od chrześciańskich panów obawiać, postanowił przychylić się do przedstawień Rzymu i próśb cesarza. Szło mu o to, aby sejm zezwolił na traktaty z cesarzem, jak znowu partyi francuzkiéj szło o zerwanie sejmu. W grze téj Sobieski był panem sytuacyi; od czasu bowiem jak nastąpiło poróżnienie z dworem francuzkim, miał on pilne oko na podskarbiego i na poselstwo fran-

cuzkie. Od półtora roku otwierane listy Morsztyna i Vitrego, odkrywały królowi wszystkie zabiegi i zamachy partyi francuzkiéj.... Co więcéj dokumenta te, złożone przed sejmem i obrzucone mianem zdrady kraju, choć to była tylko zdrada przeciwnéj polityki, mogły wielce dopomódz do przeprowadzenia wszystkich zamiarów królewskich; w podobnym bowiem razie łatwo jest o takich, co zrzucając z siebie cień nawet przeniewierstwa, przesadzają w fanatyzmie służalstwa.

Całą tę katastrofę opisał wybornie legat Pallaviccini, a szczególniéj Kozma Brunetti, zdając relacyą księciu toskańskiemu:

„Przywołano do króla, pisze on, trzech biskupów i księdza Franciszka kapucyna; tym oświadczono, iż gdy pewne są wiadomości o spisku przeciw królowi i rzeczypospolitéj, zechcą tedy złożyć przysięgę na tajemnicę i niewyjawić tylko to, na co król jegomość zezwoli.

„Gdy przywołani złożyli przysięgę, pokazano im wiele listów posła francuzkiego de Vitry, niemniéj listy podskarbiego koronnego Morsztyna, podobno i odpowiedzi na nie. Wezwani, zwyż wymienieni, gdy zeznali *corpus delicti*, przywołano posła francuzkiego de Vitry i podskarbiego Mor-

sztyna, dla konfrontacyi. Z początku poseł, *all' uso francese*, zaprzeczał wszystkiemu; chciał i podskarbi uczynić toż samo, mniemając że niebyło innych listów, prócz niedawno przejętych. Wtenczas jeden z biskupów odezwał się: „Czy pamiętacie, mości podskarbi, jak przed kilką laty w tym samym zamku znajdował się poseł cesarski nazwiskiem dell' Isola, któremu waszmość wówczas przejmowałeś listy, przepisywałeś je więcéj jak przez pół roku, wprzód nim strona postrzegła się na tém. Na te słowa stracił serce podskarbi i błagał łaski królewskiéj; poseł zaś francuzki podniosłszy się rzekł: „Niemam przyczyny sprawiać się komu innemu jak królowi memu“ — i na tém się w dniu tym skończyło.

Dnia 16 z rana król zawołał do siebie kilku najpoufalszych senatorów, z którymi naradzał się przez kilka godzin. Tam postanowiono przywołać podskarbiego do senatu. Posłano więc do niego biskupa chełmskiego i kawalera Lubomirskiego, jako marszałka nadwornego. Gdy stanął Morsztyn, zaczęto czytać listy, tak jego jak i posła francuzkiego, w których okropne odkryły się zamachy. Czytanie to trwało przez półtoréj godziny. Po dwakroć chciał mówić podskarbi, lecz wołania:

„*infamis*, *zdrajca!*“ niedozwoliły mu tego. Wołano: „Jeśli chcesz się usprawiedliwiać, podnieś się z krzesła i stań w pośrodku jak winowajca.“ Była to straszna scena; niewiem, jak podskarbi przeżyje tyle na niego rzuconych obelg.

Dziś dnia 17 marca wcześnie zebrał się senat. Tam po dwakroć przyzwanym był podskarbi; nietawił się jednak, wymawiając się ciężką chorobą; i nie dziw; dziwno raczéj że cios podobny mógł przeżyć. Cytowano go po raz trzeci, a tymczasem naradzano się, co uczynić z posłem francuzkim, wykraczającym za przepisy nienaruszalności posłów. Jedni radzili żeby go zaraz wygnać, drudzy żeby go wziąść pod straż, by daléj z stronnikami swymi niepraktykował. Wpośród zdań tych zabrał głos jeden z posłów i rzekł: „Pamiętam, gdym w młodości mojéj był w Carogrodzie, że wtenczas poseł j. k. mości chrześciańskiego za mniejsze daleko wykroczenie dostał kijami w pięty.“ Zdaniém więc jego było, aby odprawić p. Vitry, dając mu 300 kijów, i „proszę, przydał, aby to zdanie moje w protokule zapisanem było.“ Wszyscy śmiać się zaczęli i tak się sesya skończyła.“

Po téj trzydniowéj scenie w senacie, cała Warszawa zaczęła się budzić przeciw winowajcom. Po

ulicach napastowano ludzi posła francuzkiego, a jak mówi naoczny świadek: Tyszkiewicz krajczy litewski, „chcąc się królestwu przysłużyć, z siebie samego cale, *nec minime* dworowi się nieopowiedziawszy, najechał na rezydencyą posła francuzkiego w nocy, dobywał, okna wystrzelał,' aż warty królewskie go spędziły.“....

Zwykłym zbiegiem podobnych spraw, podskarbi w. k. oddany był pod sąd; lecz wspaniałością powodowany umysł Jana III. odpuścił mu winę, pod warunkiem, że od listów pisanych cyframi złoży klucz, co podskarbi przyrzekł uczynić w przeciągu pół roku, a czego niedotrzymał choć się upominano. Tymczasem oddano go pod straż Lubomirskiemu marszałkowi, a że to przyjaźń taka ścisła łączyła Morsztyna z jego ojcem Jerzym, więc i syn pozwolił mu ujść z rzeczypospolitéj za granicę, aby dogoniwszy Vitrego, razem z nim mogli zanieść przed Ludwikiem zażalenie swoje na politykę króla Jana. Zdaje się jednak, że nie sam publiczny interes powodował króla do prześladowania podskarbiego. Przed parą laty odmówiwszy podskarbi córki swéj bratu Maryi Kazimiry, hrabiemu de Maligny, która potem poszła za Bielińskiego, obudził w królowéj zaciętą nienawiść ku sobie, tak że pó-

żniéj kiedy go niemożna było dosiądz w osobie będącéj pod opieką Francyi, starano się jeszcze przez Wielopolskiego kanclerza, wysłanego do Ludwika XIV. z przeprosinami za burdę z Vitrym, o wydanie go w ręce rządu polskiego. Ludwik XIV. niedał sobie nawet mówić o tém, tak cenił wysoko Morsztyna. Niezostało innéj zemsty jak wziąść na nice poczciwą podskarbiego sławę i czernić go że zabrał klejnoty koronne, że łupiąc skarb przez czas 15-letniego urzędowania, przyszedł do ogromnych majątków, które we Francyi zakupił. —

Tymczasem znalazłem tak w *Voluminach legum*, jako w sprawozdaniach rewizyi skarbu koronnego, wszędzie pokwitowania na ten cel wyznaczonych komisarzy od sejmu, jako podskarbi ze wszystkiego się wyrachował. Co zaś do klejnotów koronnych jakie uwiózł był do Francyi, takowe miał prawo zatrzymać, pożyczywszy na nie dość znaczną summę; a gdy późniéj w r. 1690 odesłał te klejnoty, przecież pieniędzy swoich nieodebrał. Jeden z ówczesnych pisarzy niemieckich pisze: że w całéj téj haniebnéj sprawie o klejnotach, Marya Kazimira nienajczystszą grała rolę; dlatego téż jakoś to prędko się zataiło i trawa na tem porosła.

Oto i żywot publiczny wielkiego podskarbiego.

Szczerze kochający kraj swój, chciał go ratować na drodze reformy, a ratować przez obcą, choć może najmniéj niebezpieczną fakcyą; bo to pewna, że wewnętrzna organizacya ówczesnéj Francyi była tak praktycznym wzorem, iż każde państwo, co miało zdolność przyswoić ją sobie do potrzeby i natury swojéj, znalazło się na drodze prawdziwego postępu.

Na zakończenie téj monografii wypada mi jeszcze powiedzieć o domowém kółku wielkiego podskarbiego koronnego.

W młodych latach na dworze królowéj Jadwigi zakochany w Katarzynie Gordon, margrabiance de Huntléj, pannie dworskiéj przybyłéj z nią z Francyi, pisał do niéj wiele miłosnych wierszy, które wcale nie są tak swawolne jak inne, do przelotnych pisane kochanek. Obraz téj panny wystawił nam w przepysznym swym poemacie *Psyche*, gdzie ją tak w jednéj strofie odmalował:

Angielka rodem i płcią nad anioła,
Co za nią idzie, królów w rodzie liczy.
Anioł dowcipem, głosem anioł zgoła;
Twarzą zawstydza i przykładem ćwiczy
Swe towarzyszki; nie czary, nie zioła
Sławne jéj często poddają zdobyczy

Cnoty i rozum i kształt niezmierzony,
To są jéj pęta i twarde kordony.

W ostatnim wierszu jest igraszka słów, któréj lubił Morsztyn używać często w swoich rymach. Katarzyna Gordon, margrabianka de Huntléj, została jego żoną w r. 1658. Miał z niéj trzy córki i syna. Jedna z córek poszła za Bielińskiego mar. w. kor., druga za ks. Kazimirza Czartoryskiego, w który to dom wniosła ogromny majątek i te same tradycye, jakie po ojcu odziedziczyła, wszczepiła w ten wielki ród statystów; trzecia zmarła panną.

Syn jedyny podskarbiego, znany we Francyi pod nazwiskiem hrabiego de Chateauvillain, od majętności kupionéj po margrabiach de Vitry, dowodził pułkiem piechoty pod marszałkiem de Boufflers przy oblężeniu twierdzy Namur, gdzie zginął w r. 1694. Książe Saint-Simon, połączony osobistą przyjaźnią z młodym Morsztynem, powiada że książe de Chevreuse, mający kilka córek ale prawie bez posagu, a złakomiony majątkiem podskarbiego, wydał jedną z nich za młodego Morsztyna, co bardzo zdziwiło wszystkich. Tymczasem niemógł nic lepszego zrobić, bo młodzieniec ten gdyby był niezginął, byłby w każdym zawodzie

niepospolitym został człowiekiem. O samym podskarbim powiada, jako był *fort-français*, jako w Paryżu wielki dom prowadził i oszczędność posuwał do skąpstwa, co dało zapewne powód sławnemu La Bruyère do umieszczenia jego sylwetki w swych Teofrastowych Charakterach, a co stwierdza komentarz czyli klucz jednego z dawniejszych wydań.

Podobnież jak roku urodzenia tak i śmierci podskarbiego trudno ze ścisłością oznaczyć; najpewniéj że z samym końcem 17tego lub początkiem 18tego wieku żyć przestał, co i Saint-Simon powiada, a co się tem stwierdza, iż sukcessorowie Morsztyna dobra Chateauvillain, przynoszące rocznie 30,000 talarów dochodu, sprzedali hrabiemu Tuluzy Ludwikowi Alexandrowi de Bourbon w r. 1703.

Co do dzieł jakie po sobie zostawił, znane są w dwukrotnem wydaniu jego dwie prace poetyczne: poemat *Psyche* i *Roderyk Cyd* tłumaczony z Kornela, a przedstawiony w zamku królewskim w Warszawie r. 1661. Tłumaczenie to nieustępuje, a nawet przewyższa w energii wiersza nowszy przekład téj tragedyi przez Osińskiego. *Lutnia* czyli zbiór rymów Morsztyna dotąd zostaje w rękopisie, a choć

ktoś w r. 1844 wydał część zawartych w niéj poezyi w Poznaniu pod tytułem domniemanym Zbigniewa Morsztyna, niemniéj skarb ten ukryty w cieniu, zasługuje pod wszelkimi względami na ogłoszenie, aby przynajmniéj tym sposobem odświeżyć pamięć znakomitego poety i statysty 17go wieku, a raczéj naznaczyć mu niepoślednie miejsce tak w literaturze jak w toku ówczesnych dziejów rzeczypospolitéj. —

KAJETAN WĘGIERSKI.

(1755—1787)

Przypadek, to bóstwo wszelkich wynalazków i odkryć, rzucił w ręce pewnemu miłośnikowi starych autografów wór papierów, kupiony przez żydów na licytacyi w Krakowie, którego smutném przeznaczeniem było pójść do sklepów korzennych na zawijanie pieprzu. Instynkt amatorski niezawiódł naszego antykwarza; odkrył bowiem w steku nic nieznaczących szpargałów, wiele listów pisanych ręką znakomitych osób, a przedewszystkiem kilkanaście zeszytów podróży, pamiętników i listów w języku francuzkim, przygotowanych jakby do druku przez Kajetana Węgierskiego. Wiedzieliśmy, tak z biografii Węgierskiego w wydaniu Mostowskiego, jak z Bentkowskiego historyi literatury polskiéj, tylko ten szczegół, że Węgierski „po

wielu przykrościach wyjechał z kraju, zwiedził znaczną część Europy, opisał w języku francuzkim podróże swoje we Włoszech i we Francyi południowéj, w którém opisaniu umiejętność doskonała obcéj mowy i częste błyskawice dowcipu jego okazują się; a wkrótce mało zdrowia szanowawszy, umarł r. 1787 dnia 7go kwietnia*) w Marsylii, gdzie w kościele katedralnym jest pochowany.“ —

Tymczasem, ten sam przypadek, który towarzyszył odkryciu, sprawił, że z tego worka, część pamiętników i podróży i listów powędrowała już na drogę swego przeznaczenia — do sklepów korzennych; w tém co pozostało, okazały się niezmierne luki; i tak: Listy z podróży do Włoszech, mają początek i koniec, brakuje pobytu w Rzymie. — Z pamiętników jego, doprowadzonych aż do 5 stycznia 1787 r. zostało cztéry ćwiartki! — Za to dowiadujemy się, o czém biografowie nasi ani wspomnieli, że zwiedzał Martynikę, St. Domingo i Stany Ameryki północnéj; świadczą o tém: Listy w kształcie pamiętnika opisujące podróż do Martyniki — (rękopis zupełny) — i cztéry zeszyty, (pierwszego niedostaje) obejmujące amerykańską

*) Testament podaje tę datę na d. 11. kwietnia.

podróż; a nakoniec kilkanaście listów do znakomitych osób w kraju i za granicą, datowanych z Londynu, a na francuzki język wytłumaczonych przez Jana Węgierskiego, posła województwa podlaskiego, który, ile się zdaje, miał zamiar podać do druku cały zbiór téj pisanéj spuścizny po swoim krewnym.

Niezdawało nam się, aby materyały te, jakkolwiek rozerwane i niezupełne, zasługiwały na zapomnienie lub na los jaki spotkał utraconą ich cząstkę; aczkolwiek, ściśle wziąwszy, opisy Włoch i podróży morskich przed 80 laty, nie budzą dziś interesu; jednakże można z nich czerpać wiele szczegółów, odnoszących się już do osoby autora, już do epoki w któréj żył, co niepoślednią jest dla nas zdobyczą, zwłaszcza żeśmy tak ubodzy w szczegóły biograficzne. Większą część osób grających w dziejach naszych lub w zawodzie naukowym i literackim niepoślednią rolę, ledwo w szkieletowych rysach przechowuje się: urodził się wtedy a wtedy — taki lub owaki urząd piastował — miał żonę lub niemiał żony — pisał poemat — odprawiał poselstwo — i leży pochowany w tym lub w tym kościele. — Jak tu zrozumieć, jak poznać fizyonomię i charakter człowieka z tak suchéj no-

tatki? Jak na przykład dowiedziećsi ę czego z szumnych a pustych pogrobnych pochwał, jakie miewał ex offo na posiedzeniach Tow. Przy. Nauk Stanisław Potocki? Jakkolwiek tedy cząstka znalezionych rękopisów nieuzupełnia żywota Kajetana Węgierskiego, ale go przecież poznać daje z téj strony, z jakiéj dotąd nieznaliśmy go wcale. Wiedzieliśmy tylko, o ile sądzić było można z pozostałych po nim wierszy, że miał dużo dowcipu zaprawnego na wolterowskiéj szkole, dużo złośliwości także z téj szkoły, i cynizmu, z jakim się zwykle popisywali nasi ówcześni nowatorowie, którym tak wszystko było w niesmak w ojczyźnie, że nawet poczciwe obyczaje i wstyd staropolski wystawiali na pośmiewisko; kapłani zwierzęcego materyalizmu, nieprzestawali szerzyć go przykładem i piórem, jakby wychodząc z téj zasady: że chciawszy naród na swoje zreformować kopyto, trzeba mu odjąć cnoty domowe i na bezwstydy rozpasać. Węgierski aczkolwiek bardzo obcięty w swoich utworach, wydanych przez Mostowskiego, nosi właściwe sobie piętno. Czuć, że duch encyklopedystów całym legionem wstąpił w dwudziestoletniego młodziana. Zawód jego od razu zwich-

niony. Serce, co jeszcze nic niedoświadczyło, co niemiało czasu zetrzeć się ze światem, ani się nim nasycić—zamiast uczucia swoje wléwać w to wszystko co je otacza: czy to w boską naturę, czy w kochankę, czy naród — od razu przeczy, bluźni, wyszydza, lub filozofuje, lub znowu niby chcąc szczepić swoją naukę, wpada w suchy morał, w deklamacyą i ogólniki. Sądzony jako wierszopis, daleko mu do Krasickiego, z którym go łączy niejakie powinowactwo; bo Krasickiemu płynął wiersz szczęśliwy, tryskał dowcip niewymuszony, zdobny piękną polszczyzną, przyprowadzony do form bardzo popularnych; a co najważniejsza, w Krasickim przebijała wytrawność męża, co żył doświadczeniem, i ta filozofia praktyczna, ten zdrowy rozsądek, który aczkolwiek nie liczy się za główny przymiot poezyi, odpowiadał ówczesnéj potrzebie, nie wchodzę, czy zawsze dobrze czy źle zrozumianéj. Węgierski tém mniéj z Trembeckim niemoże stać na równi — sam to w wierszu do niego wyznaje:

„Jam szukał sławy, ciebie zaś szukała sława."

Bo śpiewak *Zofiówki* to mistrz w rymowaniu sztuce; to rzeźbiarz którego każdy wiersz jest jakby misternéj roboty fryzą, choć nieraz przy-

klejoną na murach świątyni — bez bóstwa; bo Trembecki pełną piersią żyje jeszcze duchem starożytnych, bo dźwięki mowy Zygmuntowskich pisarzy niezamarły mu w uchu — gdy w Starościcu Korytnickim rozpłynęło się to wszystko w pustéj gadatliwości francuzkiéj; gdy od niego, można powiedzieć, wychodzi zawiązek téj szkoły rymotworców, których apoteozą były czasy księstwa warszawskiego. Owoż jak widzimy, Węgierski niezajmował wcale tak wysokiego stanowiska w plejadzie Stanisławowskich poetów; chociaż dowcip złośliwy musiał go czynić upragnionym gościem na takich czwartowskich obiadach, na których, dla obudzenia dobrego humoru, a razem strawności, ciskał strzały po strzałach na nieszczęśliwego a nieumiejącego się odcinać autora *Natrętów*. Co więcéj, sam Węgierski, w liście pisanym z Londynu w r. 1785 do Rogalińskiego, tak siebie samego sądzi: „Gniewam się, że wydrukowano tę nędzotę: *Organy*. Kiedym je składał, miałem zaledwo lat 18. Śmiało powiem, że wydawcy niemało dodać musieli błędów, do błędów autora; ale mniejsza o to. Już blizko ośm lat jak wierszy niepiszę; a zatem ty i twoi przyjaciele, grubo się mylicie, oczekując odemnie poetycznych utworów.“

W. ogóle rozpatrując się w jego wierszach, spostrzegamy umysł młodzieńczy, który zarwał wyobrażeń przesadzonych: o uszczęśliwieniu rodu ludzkiego, o bezwzględnéj równości, o pokoju wiecznym, pomięszanych z jakiemiś odłamkami epikureizmu, z niewiarą w życie przyszłe, z rozpaczaniem we wszelką inną szczęśliwość prócz téj którą osięga się złotem, z szyderczém politowaniem dla cierpiącéj cnoty, z wychwalaniem znowu horacyuszowskiéj maxymy: *medium tenuere beati* — i wyobrażeniami temi rzuca rękawicę stolicy i jéj społeczeństwu; drwiąc z panów, z mnichów, z urzędów, z obyczajów — myślałbyś że drugi Kato, surowy równie i dla siebie, gorąca dusza zatopiona w swoich ideałach; ale przeciwnie! — to młokos co dopiero *piąty lustr zaczyna*, a już się gniewa, że świata nieużył *) Używać, używać! przed 80 laty godło to błyszczało już na chorągwiach reformatorów, kapłanów materyalizmu, tak samo jak dzisiaj błyszczy.

Gdyby być panem dobréj wioski — powiada w tymże wierszu do Bielińskiego — gdyby moi przodkowie byli zbijali grosz do kupy, a mniéj

*) Patrz wiersz jego do Bielińskiego — *Myśl moja* 386. ed. Mostowskiego.

dbali o buławy i krzesła — byłbym miał pieniądze, za pieniądze zaszczyty i tytuły; ale wziąść zaszczyt i tytuł w spuściźnie — za to nikt szeląga dziś nieda! — A daléj: przy licznym majątku:

Nigdybym się niekwapił do żadnych urzędów.

Czemu? bo raz, że trudno utrzymać imię nieskażone, potem że

Mnie dobre wychowanie i względna natura
Kazała naśladować ściśle Epikura.

Ale dobrze to być Epikurem przy majątku i wygodach; dla gołego łatwiéj naśladować Cynika

Który w beczce zamknięty pędząc nudne lata
Dziwem i obrzydzeniem stał się razem świata —

Tu znowu westchnienie do losu, czemu go nieuczynił panem; gdyby tylko nim został, zobaczmy jakiby plan w zawodzie życia nakreślił? Oto:

Najpierwéj twe Paryżu szedłbym widzieć dziwy,
I z źródła różnych zabaw czerpając po trosze,
Chwilebym na nauki dzielił i rozkosze;
Pókiby krew gorąca i potrzebne siły
Takiego mi sposobu życia pozwoliły.
Ale jakbym się tylko zbliżał do starości
Gdzie mniéj trzeba uciechy, a więcéj wolności,
Tamby najpierwsze osiąść było me staranie,
Kędy ojczyzna Russa, Woltera mieszkanie;
Tam wespół z pracownymi obcując Szwajcary,
Paliłbym tym dwom mężom niezgasłe ofiary:

I od brzegów Genewy rzekłbym sobie z cicha:
Darmo Polak do dawnéj szczęśliwości wzdycha!

Otoż i całe życzenie, cała niejako treść życia w tych wierszach zawarta! — Ileż to nędzy w téj filozofii XVIII. wieku! Używać, póki siły i zdrowie starczą; a gdy krew oziębnie, palić kadzidła genewskim i fernejskim mędrcom, — i litować się nad biédną Polską, że może wzdychać do swojéj przeszłości, do wiary, która ją utrzymała na czele chrześciańskiego rycerstwa, do prostego obyczaju, do cnót domowych i poświęceń się obywatelskich. Przesiawszy to wszystko na pytlu bezwzględnéj negacyi, zważywszy na wagę grubego materyalizmu, cóż zostanie? garść plewy! I prawda! W ręku tych reformatorów plewy tylko zostały z ojczystego ziarna. — Takimi pomysłami harcowała młodość Węgierskiego. Zuchwały wyobraziciel tak zwanych filozoficznych idei, ma tę zaletę, że nieobwija nic w bawełnę i świeci całym cynizmem nagości. Inni, mniéj od niego niezawiśli, garną się pod płaszczyk protekcyi, modyfikują się podług dworu, gęstym dymem kadzideł osłaniając swoje nędzoty. Węgierski, acz Szambelan JKMości, rozpuszcza bicz satyry i smaga nim, niekiedy zbyt nieuważnie, z obrazą niejednéj miłości własnéj, a zawsze z obrazą

dobrego smaku i moralnego uczucia. Dlatego też, jak suchy biograf jego powiada: „wyszedłszy ze szkół, wkrótce zbytnią wolnością myślenia i pisania zrobił w stolicy wrażenie; wyznać trzeba, iż nie dosyć miał pomiarkowania w używaniu tego łatwego ale mylnego sposobu nabywania sławy, którą na cudzéj krzywdzie swawolny dowcip buduje.“ — Dziwne to zaiste wychowanie musiało być wówczas, kiedy Węgierski, pobierał naprzód nauki w konwikcie u Jezuitów na Nowém-Mieście, a późniéj u Teatynów w Warszawie. — Mury klasztorne niemusiały być dosyć grube, kiedy przepuszczały masę wyobrażeń, wręcz przeciwnych zasadom edukacyi zostającéj w ręku duchownych; lubo z drugiéj strony wiemy i to, że w pewnych epokach, wyobrażenia stają się jak atomy, które pierś młoda wciąga w siebie z powietrzem mimo wiedzy. Niewiemy szczegółów odnoszących się do wstępu na świat młodego dowcipnisia i wierszopisa. Ile można wnosić z niektórych napomknień w wierszach Trembeckiego wymierzonych przeciw Węgierskiemu za jego paszkwile, pracował on w kancellaryi królewskiéj, jak na to wskazują słowa:

Wierz mi, przepisuj raczéj Ustawy i listy
Kiedy masz zapłatę i godność Kopisty.

Na mocy jakich zasług otrzymał tytuł Szambelana dworu J. K. Mości? niewiem; zapewne nie za paszkwile, które obruszyły stolicę i natchnęły Trembeckiemu wiersz pod tytułem: *Antidotum przeciw zbyt rozmnożonym w Warszawie paszkwilom*, w którym nieśmiertelném słowem napiętnował tę nikczemność, tak obcą charakterowi polskiemu:

Cóż za brudne postrzegam i nieznane chmury?
Jak grad lecą paszkwile, zwłoszały Mazury;
Z czasem ci pisarkowie do téj dojdą mety,
Żeby w plecach braterskich topili sztylety.

Ostatnie te dwa wiersze zawierały smutną wieszczbę, a raczéj najprostszą konsekwencyą umysłowéj swawoli. Kto pamfletem strzela z ukrycia, ten może i sztyletować; jest to bowiem jedno i to samo rzemiosło, tylko różniące się stopniem występku. —

Mania Węgierskiego do szarpania cudzéj sławy, szczególniéj kobiét, tych bezbronnych istot niemających nic do swojéj obrony krom łzy lub słodkiego uśmiechu, a mianowicie wierszyk jego: *Cztéry Elżbiety*, w którym boleśnie dotknął cztéry znakomite damy noszące to imię — pochodziła najpewniéj z młodzieńczéj ambicyi zwrócenia na siebie uwagi. Szczyt Parnasu zajmował wtenczas

Krasicki, Trembecki, Naruszewicz, sprostać im talentem i nauką niemiał nadziei Węgierski, a zarozumiałość ciągle mu szeptała do ucha: Wolter wszystko pobił dowcipem; przyswój sobie dowcip Woltera, a będziesz jak on najpierwszym. — I dorobił się smutnéj sławy, któréj w dojrzalszych latach musiał zapewne żałować. Domyślać się można, że wybryk ten przebaczono mu jak swawolę zepsutemu dziecku, zwłaszcza gdy wziął się do pracy poważnéj i pożytecznéj; a może też obronę swoją winien był jakiéj koteryi, która go namówiła do téj rozpusty pióra. Żyłka wrodzonéj złośliwości nie dość jak widać poskromiona oburzeniem się ludzi poważnych, jedynych sędziów w téj sprawie, pobudziła go znowu do napisania polityczno-satyrycznego wiersza: *Katarynejda*, w którym obraziwszy osoby wysoko położone w sposób najcyniczniejszéj nieprzyzwoitości — niemiał co dłużéj popasać w kraju, i musiał z niego wyjeżdżać. Tego mu tylko było trzeba, do czego tak serdecznie wzdychał.

Jest wzmianka w wierszach Trembeckiego, że Węgierski miał jechać za granicę z Ignacym Potockim Starostą Urzędowskim i z metresą jego panią Etoubville; ale czy wyjechał z nimi?

niewiadomo. To pewna, że marzenie jego wypowiedziane w wierszu do Bielińskiego spełniło się. Wyjazd nastąpił, jak wnoszę z dat na listach pisanych z Włoch, w r. 1779. — Młodzieniec mógł wtenczas mieć lat 24. — Umysł chciwy nowości, wyobraźnia łaknąca niezwyczajnych przygód, dowcip całkiem wykształcony na sposób francuzki, pragnął szerszego, świetniejszego dla siebie pola, — co wszystko ponętnem czyniło to wygnanie w krainę sztuk pięknych i życia tak rozwolnionego, jakie było wówczas na dworze wersalskim. Ta swoboda i wesołość objawia się szczególniéj w listach pisanych z podróży włoskiéj. Węgierski, doskonale władając francuzkim językiem, przyswoił sobie całą lekkość i dowcip szkoły wolterowskiéj; a chcąc przytem powagę uczonego zachować, wszędzie przytacza starożytnych autorów i takie źródła, które dziś nie mają krytycznéj wartości; w czém widać jeszcze szczątki jezuickiego wychowania. Daleko byłby nas więcéj zainteresował, gdyby był pisał co czuł i widział a nie to co czytał. Ztąd podróż ta, aczkolwiek trafnymi niekiedy przeplatana obrazami, nie ma nawet téj zasługi, co najlichszy *przewodnik podróży*. Gdyby przynajmniéj poszukiwania swoje zwrócił był do rzeczy polskich, jużby nie małą

ściągnął na się zasługę; ale on, n. p. w Padwie, acz zwiedzał uniwersytet, nic nieznalazł krom pana Anticzego wiolonczelistę, wielkiego gadułę, brókantera w Wenecyi, a nadającego sobie, jak mówi, szumny tytuł ajenta polskiego, którym też był w istocie.

Z pozostałych rękopisów niedowiadujemy się nic co robił, gdzie przebywał od r. 1779—1788, w którym przedsięwziął zwiedzić nowy świat. — Zdaje się, że objechawszy Włochy, przepędził te lata w Paryżu, już w sposób w jaki zwykle przepędzali czas nasi wojażerowie w téj stolicy, to jest na grze i miłostkach, już na kształceniu się umysłowem, do którego Węgierski miał i pociąg i usposobienie niepospolite. Rzecz pewna, że ruch sprawiony we Francyi z powodu wojny o niepodległość w Stanach Zjednoczonych i jego porwał. Syn upokorzonego i upadającego narodu, niewątpliwie uderzony został wielkością scen i charakterów; taki Washington, Jefferson, Franklin, zasługiwali, aby ich bliżéj poznać; również jak instytucye, zapewniające tak szeroką wolność i niezawisłość kolonistom, aby je zbadać na miejscu, i — może u nas przyswoić. Że ta myśl przewodniczyła mu w podróży, świadczy ustęp jeden z dziennika

pisanego w Ameryce. Z okien domu gościnnego widział smutną sosnę, a pod nią mizerny grobowiec Sir Francis Clarke, adjutanta jenerała Bourgoyne, który ranny śmiertelnie pod Stillwater, i wzięty w niewolę, tu oddał ducha. — „Jakiż to smutny los — powiada — umierać w obcéj stronie! Niemogę się wstrzymać od wzruszenia i nad sobą samym niezadumać.... Jeśli zdrowie moje niewytrzyma trudów podróży, wpływów zmiennego klimatu — umrę — nim jeszcze pożytecznym się stanę mojéj ojczyźnie, nim zdołam *ułożyć w dzieło* materyały zbierane z tak wielkim mozołem.“

Podróż do Martyniki ułożona jest w listach pisanych do jakiéjś Julii w Paryżu. Szczegóły zawarte w niéj, ubogie i mało zajmujące. Za to co niemiara strzelistych uniesień do opuszczonéj kochanki. Węgierski daje raczéj obraz wewnętrznych uczuć, spowiedzi miłosnych, obaw o utratę ubóstwionego przedmiotu (na którego stateczność zdaje się niewiele liczył), niż swoich przygód. — Jestto ustęp całkiem romansowy z życia poety. Widać, że oderwanie się od Julii, kosztowało go wiele; ale darmo! świątynia sławy wabiła go.... „Ty Julio — wyraża się w jednym liście — jesteś niezbędną do upięknienia, do ugruntowania téj bu-

dowy. . . . . Niema bowiem istoty, którąby mogła własne szczęście czerpać z siebie samej — a dalej: miłość moja wyrównywa méj niecierpliwości, i nigdy niemartwię się bardziéj, jak gdy pomyślę jaki czas i jaka przestrzeń nas dzieli, za to w obec nagrody, która mię czeka, czemże jest długość chwil, czém cierpienia moje?“ Możnaby twierdzić, że prawdziwe przywiązanie ciągnęło go do téj osoby; a lubo niemogliśmy się nigdzie dowiedzieć, jak się ten romans skończył, czy Julię za powrotem znalazł wierną, czy już w objęciach jakiego kawalera de Narbonne, do którego smagłéj twarzy musiała mieć niejaki pociąg, kiedy z tego powodu żartuje z niéj powiadając: „widzę do koła same czarne i żółte twarze; twoja skłonność do podobnéj céry miałaby tu piękne pole; bo wtenczas płeć pana de Narbonne wydałaby się w twych oczach białą jak alabaster.“ — Najpewniéj, że intryga ta skończyła się jak wiele innych; dla obu stron próba była za długa. Z obyczajem ówczesnym niebardzo się zgadzał wyexaltowany sentyment; lada kaprys, wpływał na zmianę lekkich uczuć. Jeden list zaplątany przypadkiem, rzuca światło na naturę ówczesnych miłostek. Są to wyrzuty jakiéjś Alexandriny, która pierwéj panowała

w jego sercu, nim to miejsce Julia zajęła. — stota tkliwa i silnie kochająca pyta go: „Czyż się nigdy niedowiem, jakie uczucie kierowało tobą, gdyś mię odepchnął? Czyliż ta nowa kochanka domagała się od ciebie téj ofiary? Czy liż dla podobania się jéj musiałeś poświęcić tkliwą istotę, powierzającą ci się bez obrony? Czyliż to poświęcenie się zapłaciła ci choćby dwakroć silniejszą miłością? — Ale nie! ona niekazałaby ci być tak nieludzkim! mnie ją wystawiono jako osobę — czułą, słodką, uczciwą *w swym stanie*... Kto wie, możeby więcéj nad moim losem okazała litości, niż ty pokazujesz!..." Labirynt ten romansowych komerażów nierozwikłanym jest dla nas; kto były te kobiéty? mniéj więcéj możnaby odgadnąć; znajomość z Alexandriną zrobił na balu maskowym; Alexandrina o Julii wyraża się: że jest uczciwą *w swym stanie* — a to dostatecznie naprowadza na myśl, że mogła być jedną z kuplanek Talii lub Melpomeny. Nazwisko barona de Staël często mięsza się w te intrygi. Zdaje się, że był przyjacielem Węgierskiego i pośrednikiem w sprawach miłosnych, gdy listy swoje na jego ręce posyłał. — Koniec końców cała podróż do Martyniki i Hajti jest raczéj romansem w li-

stach niż podróżą. Nasz Saint-Preux — niemając czém zapełnić nudnéj żeglugi, w ciągu któréj trapiła go niemiłosiernie morska choroba, pisał dzieje serca i to mu zapewne przynosiło ulgę i zajęcie. Przeciwnie, listy ze Stanów Zjednoczonych, adresowane do jakiegoś hrabiego, noszą wręcz odmienną cechę. — Widać, że autor stanął u celu swych poszukiwań: społeczeństwo, historya, charaktery osób, miejscowość, nic zgoła nieuchodzi jego bystréj uwadze. — O wszystkiem sądzi ze zdrowym rozsądkiem, jako człek mniéj więcéj praktyczny — rozmarzenie kochanka zostawił na Antillach.

Nieodżałowana szkoda, że w pamiętniku podróży amerykańskiéj brakuje pierwszego zeszytu, w którym zapewne musiał zrobić wzmiankę o Kościuszce i o Puławskim; w drugim bowiem zeszycie opisując warownie Clintona i Montgommerego, napomyka o Grabowskim w tych wyrazach: „jenerał Clinton chciał mu pokazać szańce, które mniemał, że mogą łatwo być wzięte, i z tego powodu pytał go o zdanie. Grabowski miał mu odpowiedzieć, gdy w tém uczuł się przeszytym kulą i zaraz ducha oddał. Prędko przebiegliśmy zrujnowane szańce Clintona i Montgommery zdobyte przez Anglików po morderczéj obronie. Młody Grabowski zginął

przy tym ostatnim szańcu; był on kapitanem w służbie angielskiéj, zasłużywszy na przyjaźń i poważanie swoich jenerałów."

Pokazuje się, że i w téj wojnie o niepodległość rodacy nasi i na jednéj i na drugiéj walczyli stronie.—Ta część jego zamorskiéj wycieczki interesuje trafnem i niepretensyonalnem opowiadaniem, chociaż opisy miejsc zwiedzanych przez niego daleko dziś mamy dokładniejsze, jednakże potrafił zachować w nich charakter ówczesny. Tam, kędy teraz przebiegają koleje żelazne lub bite gościńce, kędy z szumem statek parowy przepływa—koń jego zapadał po biodra, obłęd sprowadzał na bezdroża, a krucha łódź przemykała się gnana siłą wioślarzy. Nudna musiała być podróż po tych pustyniach nowego świata, do których dało się wtedy zastosować to, co lord Baltimore wyrzekł o naszéj ojczyźnie: że w Polsce zawsze w bród musisz jechać obok mostu, a przez most, gdzie wody już niema. Gościnność wszędy zastawał najpatryarchalniejszą; każdy dom rad był jeżeli mógł podróżnego jak najdłużéj zatrzymać i ugościć; lubo z drugiéj strony po domach zajezdnych, tacy majorowie, kapitanowie, pułkownicy. — Karczmarze, zdzierali niemiłosiernie, z niemałem podziwieniem

i zgrozą Polaka przywykłego do tych tytułów przywiązywać pewną rycerską wspaniałość, niezgodną z kupiectwem. Podróż ta wydana na dobie mogła sprawić niepoślednie wrażenie: autor bowiem zaświeża zwiedza miejsca wielu bitew, kiedy jeszcze po okopconych i kulmi pooranych sosnach, słaniały się kruki i inne drapieżne ptactwo ogryzające kości poległych; a tu i owdzie znać było ślady niedawnych spustoszeń i pożóg, lubo przemysł amerykański spiesznie umiał zacierać te krwawe pomniki domowéj wojny.—Uważałem, że gdy przytacza sceny wojenne maltające jakiś wielki czyn rycerski lub heroizm poświęcenia się, wynajduje je prędzéj w obozie angielskim niż amerykańskim; zimny i sztywny purytanizm nieobudza w nim takiéj sympatyi, jaką uczuwa dla instytucyi republikanckich i dobrego bytu kolonii. Dlatego téż robi długi wyciąg z opisu krwawéj rozprawy pod Freeman's Farm, z relacyi samego jenerała Sir Bourgoyne, w którym napotykamy przecudny i pełen starożytnéj wielkości i powagi ustęp o pięknéj Henryecie Aekland żonie majora tegoż nazwiska, przedzierającéj się śród największych niebezpieczeństw do obozu amerykańskiego jenerała Gates, aby opatrywać śmiertelnie ranionego małżonka.—

„Któż jest coby niezajrzał losu majora Aekland — woła z uniesieniem Węgierski — z taką kobietą jak Milady niemożna być nieszczęśliwym!“ Gdyby pozwalało miejsce, a właściwie gdyby to się łączyło z charakterem osoby, skwapliwie przytoczyłbym wyjątki z niektórych jego przygód opisanych nadzwyczaj malowniczo. Co za wyborny wizerunek jakiejś księżniczki z dzikiego pokolenia Taskorara, będącéj za jakimeś Alzatczykiem, który przystał do Indyan! Po kilku szklankach rumu księżniczka puszcza się w pląsy — a Węgierski dowcipną robi uwagę: „zapewne nielada różnica między tymi konwulsyjnymi skokami, a nieporównaną gracyą panny Guimard; za to znalazłem dość bliskiem podobieństwo z barbarzyńskim jéj śpiewem, a śpiewem opery paryskiéj.“ — Dzika księżniczka podochociwszy sobie, chciała go gwałtem ożenić z którą swych sióstr, szczęściem wywinął się bez szwanku, poczęstowany na pożegnanie głośnym pocałunkiem i wódką. W drodze z Albany do Bostonu również pocieszna spotyka go przygoda; zabłąkany w lesie, puścił koniowi cugle, aż w końcu ujrzał migające światełko. Po rozlegających się krzykach i śmiechach, sądził, że to była karczma. Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy wszedłszy do izby

ujrzał człowieka rozciągnionego na ziemi — w konwulsyach, a do koła 7 czy 8 osób to skaczących, to płaczących, to śmiejących się. „Byłem pewien, że ów konający był ojcem rodziny. — Gdy nikt z obecnych niezważał na moje przybycie, zbliżyłem się do komina, gdzie dobry ogień buchał i oczekiwałem końca téj dziwnéj ceremonii. Przez kilkanaście minut rzeczy zostawały w tym stanie, aż nagle ów umierający zerwał się na równe nogi, dał trzy lub cztéry szalone susy, z najprzeraźliwszym wrzaskiem.“—Długo jeszcze odgrywały się podobne komedye i nasz podróżny mimo zapytań gdzie jest i kto są owi opętani, zaledwo w końcu usłyszał od jakiejś 45letniéj kobiéty te wyrazy: Cudzoziemcze, wiemy od wczoraj żeś tu miał przybyć. Cieszy nas to. Brzydź się grzechem, kochaj Boga, a pomożemy ci do twojego odrodzenia się.— Dziękuję uniżenie — odrzekł Węgierski — ale ten świat tak mię nie bawi, że wcale niemam ochoty urodzić się powtórnie.—Na to owa niewiasta: Jestem matką Izraela; o mnie wzmiankuje 12sty rozdział Apokalipsy; mam księżyc pod nogami a koronę z dwunastu gwiazd na czole... Po długiéj rozmowie niedorzecznéj ze strony matki Izraela, a dowcipnéj ze strony podróżnego — znalazł na-

koniec przewodnika i rad wielce wyrwał się z domu tych fanatyków. W rzeczy saméj dowiedział się że to była sekta tak zwanych *Shaking Quakers* która wtenczas liczyła już około 300 wyznawców.

Przelotne swoje obrazy przeplata bardzo trafnemi postrzeżeniami. Między innemi charakterystycznem jest, co powiada o umysłowem zajęciu się Amerykanów. „Rozmowa toczy się tylko w 2ch przedmiotach o religii i o polityce. Czytają tylko biblię lub gazety. Kobiéty, równie biegłe w tém rzemiośle jak mężczyźni, gotowe wyzwać do walki najbieglejszego teologa i najwyrafinowańszego polityka. Ztąd też najgłupsze nowiny krążą lotem błyskawicy; a gazety jak echo powtarzają te wszystkie brednie.“

Ostatnia data dziennika, jest 20 listopada 1783 z Filadelfii i tak pod nią pisze: „Otóż kończę moją podróż. Wsiadam na okręt i jadę do Europy, zrobiwszy wycieczkę aż do Porstmouth i Castle-Bay. Mam zamiar wylądować w Cork, przebiedz Irlandyę, Szkocyę i Anglię. Umizgałem się do niewdzięcznéj córki, teraz odwiedzę matkę zapłakaną.“—Opis téj przejażdżki w porze burzliwéj zawiera się w niecałym liście pisanym z Cork do hrabiny Boufflers do Paryża, pod 7 lutego 1784 r.

Z oddziału listów, będących niejako dopełnieniem podróży jego i wyjaśnieniem stosunków z najpierwszemi osobami, zostało ledwo kilka; strata téj części rękopisów jest najdotkliwszą; wszystkie bowiem, wnosząc z pozostałych, musiały być arcyciekawe i ważne. Uważam za pożyteczne porobić z nich wyjątki.

W liście do pana Dickinson, prezydenta rady pensylwańskiéj, tak się w jedném miejscu wyraża: „Będę się miał za szczęśliwego, jeżeli waszmość pozwolisz, aby obywatel rzeczypospolitéj *umierającéj* pisywał do ciebie, ujmując się za Rzplitą *nowonarodzoną*. Z tém wszystkiem korzyść téj korespondencyi będzie na mojéj stronie; bo jeżeli mówić będziesz o cnotach i postępie nowego świata, mnie nic niepozostanie jak opowiadać o upadku i występkach — staréj Europy...“

Niemniéj ciekawy list do jenerała Washingtona: *Rocky-hill Prince Town 18 paźdz.* „Tuszę sobie, że czas pozwoli panu odwiedzić mię dnia jutrzejszego; pochlebiam sobie oglądać go raz jeszcze.

„Zrobiłem kilka tysięcy mil, aby widzieć i poznać założycieli wolności amerykańskiéj; nie w celu aby szukać chluby z widzenia ich, lecz aby nauczyć się od nich, jakim sposobem można zacho-

wać ludowi najświętsze jego prawa. Jestem synem nieszczęśliwego, niegdyś wolnego i potężnego narodu, dziś w upadku i bezrządzie. Większéj niepragnąłbym pociechy, jak rozmawiając z panem, wyobrażać sobie, że kiedyś wstępując w jego ślady, ojczyźnie mojéj stanę się użytecznym!..."

Nierównie dobitniéj wyraża myśl Węgierskiego korespondencya druga do p. Dickinson w Bostonie. Pełno tam głębokich spostrzeżeń i obszernego ogarnięcia biegu polityki i stosunków społecznych. Ten jeden pomnik pióra jego, usprawiedliwia niejakiem zarozumieniem tchnące słowa w liście do J. Washingtona. Widać już zakrój na niepospolitego publicystę i żal serce ściska, że zdobyczy umysłowych chorobami zwątlone ciało nieumiało donieść aż do ojczyzny! Winszując p. Dickinson, że Anglicy opuścili Nowy York, tak rozprawia o widokach politycznych Stanów Zjednoczonych:

„Lecz teraz, kiedyście spokojni i panami we własnym domu, cóż poczniecie drodzy panowie? Jakaż będzie polityka wasza na dal? Jakie postępowanie wewnątrz? Do jakiego punktu rozwiną się wzajemne zazdrości? Kto je uśmierzy? Azaliż przeniesiecie dobro powszechne kontinentu nad szczęśliwość własnego kraju?— Czyliż bogaty kolon

georgijski, drogo swój ryż i indygo sprzedający, będzie miał wzgląd na to, że mieszkaniec Hampshire niezbywa swego budulcu i potażu? Ów duch patryotyczny, który was utrzymywał w ciągu rewolucyi, zdoła się ostać obok pomyślności handlu; obok zbytku jaki zeń się rozwinie i obok podbechtań nieprzyjaciół usiłujących waszą jedność rozerwać? — Wasz kongres *przenoszący się z miejsca na miejsce* będzie-li mógł natchnąć cześć przynależną reprezentantom wszechwładztwa, cześć tak niezbędną w rzeczypospolitéj? zechcą obywatele znani z talentu i majątku opuszczać swoje domy i gospodarstwa, narażać wpływy i kredyt swój, aby włóczyć się za sejmem i widzieć figurujące swe nazwiska po gazetach? Czy podobna obejść się wam bez floty? a mając flotę któż będzie płacił ją? niemając, kto będzie zasłaniał handel na odległych morzach?... Czynność waszego narodu wielką jest; wszędzie gra młodość i zdrowie silne; lecz któż wam zaręczy, że państwa, które protegowały was, niepozazdroszczą z czasem téj pomyślności, i niezechcą byt wasz podkopać? Póki lew młody, głaszczą go, lecz niech dojdzie do sił, znajdzie się nań kaganiec i klatka...

„Podług mego zdania, żaden kraj niemoże się

stawić w równi zę Stanami Zjednoczonymi, mianowicie pod względem pomyślności; nigdzie bowiem dary fortuny nie są tak równo rozdzielone. Zwiedzając tę krainy, uczę się porównywać życie fermierów z życiem dawnych patryarchów. Tutaj napotykam wiek złoty, tak chwalony w starożytności. Wprawdzie niepłyną tu *strumienie mlekiem i miodem*, za to rzeki są szerokie i głębokie; wprawdzie *pagórki nieskaczą jak furkadełka*, za to rodzą obficie; i lada rolnik europejski przybywszy tu, nietylko znajdzie sposób zmienić niewolę swą na wolność, ale i niezbędną potrzebę na życie wygodne. Dość mu dwa lat tu przebyć, a wyobrażenia jego rozwiną się: stanie się człowiekiem, a nawet i obywatelem... Widziałem tu poddanych z dóbr biskupich rozumujących wolno w rzeczach religii i rozprawiających o polityce rodowitych szampańczyków. Otóż wyobrażenia, jakie powziąłem panie o twoim kraju. Jeżelibyś chciał objaśnić mię w rzeczach wątpliwych dla mnie, dodasz tylko nowy wzgląd do łask, jakiemiś mię zawsze zaszczycał. Niespuszczając nigdy ojczyzny mojéj z widoku, pragnę uczyć się zawsze i wszędy, nietyle dla własnéj przyjemności, ile, abym potrafił kiedyś wywiązać się godnie z obo-

wiązków obywatela.... Gdy pomyślę jak z trzymilionową ludnością, bez grosza w skarbie, zrzuciliście jarzmo takiéj potęgi jak angielska; a jak znowu Polska dała sobie porwać pięć milionów dusz i ogromny kawał ziemi,—wyznaję, że od rozumu odchodzę i niewiem czemu przypisać tak przeciwne sobie skutki. Ależ, niech to między nami zostanie. — Starożytni Sarmaci, dzisiaj są tylko — Polakami... Jeżeli ojczyzna moja niewybrnie z téj toni, jeżeli bogowie nieulitują się nad nią, powiem współziomkom moim: idźcie za morze i tam zapewnijcie dzieciom waszym wolność własność! — Jeżeli mnie nie usłuchają, powiem krewnym moim: Idźcie za morze! — Jeżeli krewni odmówią, pójdę sam i umrę wolny wraz z tobą: *Certe ego libertatem, quae mihi a parente meo tradita est, experiar....*"

Ten list niepotrzebuje komentarza, jasno w nim wystrzela myśl (dość zgubna dla nas), a ciągle smutna, myśl, która nieumie naznaczać granicy między wolnością a niepodległością, która jednéj dla drugiéj nigdy poświęcić niebyła w stanie, myśl wreszcie, która wydała wszystkie emigracye..... Ucisk, niewola, są to czyścowe próby; znosić je z godnością, więcéj waży na szali poświęceń się,

niż samolubnie oddychać powietrzem obcéj swobody....

Inne listy rzucają niejakie światło na osobę Węgierskiego i jego stosunki z krajem. Do króla Stanisława Augusta pisze, że niema już nadziei, aby go obrano posłem z powiatu Bielskiego, a to dla krótkości czasu; zresztą doznając osobliwszych względów księcia Wallii (późniéj panującego pod nazwiskiem Jerzego IV.) zmuszony jest przedłużyć pobyt swój w Londynie. — Ów książe Wallii znany swojego czasu z pustego życia, widać, że pokochał się w naszym Węgierskim, którego dowcip musiał mieć wiele dlań powabu, jak lekkość obyczajów nastręczała wybornego towarzysza rozpusty. — Węgierski w liście do Rogalińskiego tak się o nim wyraża: „Książe Wallii zawsze okazuje mi swoję przyjaźń. Przyrzekł mi dać swój portret. Na lato ma zamiar podróżować; ale projekt ten najniepewniejszy z wszystkich jego projektów.“ W tymże samym liście tak o sobie mówi: „Los zaczyna mi sprzyjać w karty; wygrałem w ciągu roku 5000 funtów szterlingów, a już wydałem z połowę. W tym miesiącu (8 kwietnia 1785) wysłałem część moich książek, piękną karetę, szory i wiele innych rzeczy do Polski; ale

kiedy sam powrócę, niewiem. Zdaje mi się, że niewrócę dopóki niebędę panem niezawisłéj fortuny; a wtedy czas i zdolności moje poświęcę na usługi ojczyzny i umieszczę się w świątyni sławy. Z tém wszystkiém niemam stałego planu. Kilka dróg krzyżuje się przedemną; okoliczności rozstrzygną. — Prawda jest, prosiłem o order św. Stanisława; toby mi dopomogło w dobrem ożenieniu się... Odmówili mi; niegniewam się o to. — Ta fraszka nieminie mię z czasem; czuję się powołanym do czegoś lepszego....“

Jan Śniadecki w swoich zapiskach podaje niektóre szczegóły mogące posłużyć do objaśnienia stosunku Węgierskiego do księcia Wallii. „Węgierski był, jak wiadomo, bardzo dowcipny, ale razem bardzo uszczypliwy człowiek. Często dla szczęśliwéj myśli lub zręcznego wiersza poświęcał reputacyę niejednéj osoby. Ale tę swoję przywarę daléj jeszcze posunął. Siedząc w Londynie zgrał się okrutnie, tak, że byłby w wielkim kłopocie, gdyby mu nieprzybył na pomoc książe Wallii, który poznawszy się z naszym poetą bardzo go sobie polubił i widząc w biédzie udzielił mu wsparcia. Węgierski mając dom księcia otwarty dla siebie, zaczął należeć znowu do wielkiéj gry

i wkrótce znowu wygrał pieniądze. Tymczasem, niewiedzieć z jakiéj przyczyny, przyszło mu do głowy napisać najzłośliwszą satyrę na księcia Wallii, chociaż nadzwyczaj dowcipną, po angielsku: bo język ten umiał tak dobrze jak ojczysty. Książe dowiedziawszy się o tém, niemógł znieść takiéj niewdzięczności Węgierskiego i dom swój kazał zamknąć przed nim.“ Pokazuje się z tego, że natura wilka zawsze ciągnęła do lasu. Czego zaś najwięcéj żałować, że to, czém mu za warszawskie paszkwile groził Trembecki — to jest „bolesną admonicyą po grzbiecie“ — pozostało w stanie groźby. Zapewne byłoby go to uleczyło od téj wady charakteru, szkodzącéj nietylko jemu samemu ale i dobréj sławie narodu. Niewdzięczność dla dobroczyńcy musiała nasuwać niejednę ubliżającą uwagę dla współziomków Węgierskiego; chociaż najniesłuszniéj obwiniać naród za wykroczenia indywiduów. — Po téj awanturze z księciem Wallii wyjechał widać na stały ląd.

Bukaty mianowany pełnomocnikiem rzeczypospolitéj w Londynie, podaje Węgierskiemu sposobność do listowéj zamiany myśli. Węgierski prosi go, aby mu wszystko donosił, co o nim mówią w Polsce, i tak się z własnego zdania tłu-

maczy: „Opinia, jaką mam o sobie, ustaloną jest na zawsze; stoi bowiem na niewzruszonych zasadach, jakiemi zachwiać niezdoła krzyk gminu; lecz miałbym uciechę dowiedzieć się, co myślą ludzie w tém oddaleniu o człowieku, który nie idzie zwykłą drogą, a szuka nowéj, coby go doprowadziła do celu.“ — W tymże samym liście datowanym z Akwisgranu, gdzie był dla poratowania zdrowia, taki zwrot czyni do siebie: „Prowadzę tu życie umiarkowane i regularne, a jednak to niezasłania mię od nowych symptomatów zastraszających i od chorób skomplikowanych, nad któremi doktorzy rozum tracą... To mię zabija na umyśle i psuje najlepiéj ułożone plany... Życzę ci, abyś zawsze miał staranie o zdrowiu, jako jedyném źródle naszych uciech.“

Ten list, w rzędzie ostatni, jest jakby wstępem do kilku ostatnich kart pamiętnika. Widać, że nadwątlone zdrowie nieznachodziło ulgi ani w Bath, ani w Spa, ani w Akwisgranie; trzeba mu było południowego nieba....

Z Awinionu pod dniem 13 grud. 1786 r. czytamy te wyrazy: „Mój koniec zbliża się, czuję to; zdrowie coraz się pogarsza, a jam zawsze niekonsekwentny.....“

17 i 31 grud. „Te dwa tygodnie rozstrzygły wszystko. Nieumiałem się szanować. Płucie krwią i zapalenie piersi odjęły mi wszelką nadzieję powrotu do zdrowia: żołądek już nietrawi; widocznie opadam na siłach i niszczeję; cała machina zaatakowana z gruntu. Muszę więc umierać, a umierać z własnéj winy, niebudząc w nikiem łzy żalu, będąc zapomnianym od najbliższych znajomych, nieoddawszy najmniejszéj usługi ojczyźnie, ludzkości, krewnym; nieuporządkowawszy nawet interesów moich z odpowiednią korzyścią dla spadkobierców. Przywykły od dzieciństwa iść za popędem fantazyi i kaprysu, przeżyłem lat 30 bez żadnego systematu, bez planu, rzucony na wolę namiętności, które przecież niebyły tak gwałtowne. Biada człowiekowi, który nieumie systematycznie pojmować szczęścia i odpowiednie zachować prowadzenie się; kto się zdaje na łaskę bałwanów, w końcu musi utonąć... Choroba ta osłabiła mi władze umysłowe; całkiem straciłem pamięć; czytam bez korzyści, męcząc ciało i oczy, a niezdobywając pokarmu dla ducha. Obcemi językami mówię z większą trudnością niż dawniéj; do żadnéj pracy wziąść się niemogę...“

1go stycznia 1787. „Pewny byłem, że już skończę z tym nieszczęśliwym rokiem; niestety! rozum, słaba to broń przeciw nawyknieniom, jeżeli charakter duszy w pomoc nieprzyjdzie..."

2go stycznia wyjechał z Awinionu, opisał jeszcze Aix, a 5go stanął w Marsylii... tu rękopis urwany, ale nie przez autora, który cierpienia swoje skończył w trzy miesiące, zgasł bowiem dnia 11go kwietnia 1787 r.

Na pięć tygodni przed zgonem napisał testament, który dołączam tu jako ciekawy dokument rzucający światło na stan wyobrażeń nieszczęśliwego młodzieńca.

„Niżéj na podpisie wyrażony, czując się zdrowym na zmysłach, a widząc przybliżający się koniec życia mego, postanowiłem uprzedzić godzinę ostatniego oddechu, i w następujący sposób wyrazić wolę moję."

„Część najznaczniejsza majątku mego jest ulokowana na banku angielskim; tę całą, bez żadnego umniejszenia zapisuję i daruję synowcowi mojemu, najstarszemu synowi siostry mojéj, pod tą kondycyą, żeby intrata z téj summy pochodząca, była corocznie przyłączona do kapitału *usque ad majoritatem*, i wtenczas dopiéro jemu oddana:

a to z téj przyczyny: żeby do męzkiego wieku przyszedłszy, znalazł uczciwą fortunę i nie znał biédy i potrzeby, która upadla umysł, cieśni rozsądek. Z tém wszystkiem wolno będzie rodzicom odebrać z banku te pieniądze i ulokować je w Polsce zyskowniéjszym sposobem, czyli kupnem majątku dziedzicznego, czyli dając tę summę na zastaw, co jest bardziéj rozsądniéj i pewniéj."

„W przypadku śmierci tego dziecięcia, ten kapitał ma się dostać drugiemu synowi pod tąż samą kondycyą. Jeżeliby zaś rodzice mego dziedzica tym kondycyom nieuczynili za dosyć, cała ta summa ma przejść w ręce najstarszego syna pułkownika *Węgierskiego* stryja mego."

„Resztę zaś mego majątku, jaki się okaże z rachunku z panem *Peregaux* bankierem moim, summy które mnie są winni, pieniądze pochodzące z przedaży meblów i ruchomości, srébra, wszystko to zapisuję mojéj *matce*, zalecając jéj, żeby pamiętając na jedynego syna swego, dobrym rządem ten majątek powiększać starała się, i żeby los najstarszego syna mojéj siostry (który powinien używać naszego herbu z moją dewizą) był jéj testamentem znacznie polepszony, żeby wychowanie jego było jak najlepsze, i żeby nie zaniedbała do

wyniesienia go na stopień przyzwoity jego urodzeniu, mięszając go za wczasu w publiczne interesa, i gotując młodość jego do życia publicznego."

„Biblioteka moja na małoby się przydała familii mojéj; małobym także miał wdzięczności, żebym ją publicznym szkołom, gdzieby nawet czytana niebyła, zapisał: zatem ma być publiczną aukcyą w Paryżu przedana, i pieniądze z niéj pochodzące mojéj matce dostać się mają."

„Memu ojcu zostawiam moje dwa zégarki: złoty z naszym herbem, i srébrny z repetycyą."

„Mojéj siostrze zegarek perłami otoczony z łańcuszkiem perłowym."

„Memu szwagrowi zégar, który stoi na kominie w salonie moim. Mego stryjecznego brata proszę, żeby przyjął dwie pary sprzączek podług swego wyboru."

„Memu staremu kamerdynerowi, jeżeli jeszcze będzie w mojéj służbie, kiedy umrę: całą moją garderobę, koronki, bieliznę (prócz stołowéj) i pięćdziesiąt luidorów."

„Doktorowi Du Pare, jeżeli będzie w mojéj

służbie w czasie śmierci mojéj: trzysta franków i książki doktorskie z mojéj biblioteki.“

„Innym moim ludziom dwa miesiące zasług, prócz tego dwa fraki z mojéj garderoby: Janowi szwajcarowi lokajowi memu i Józefowi de Vaux drugiemu lokajowi.

W Mirosławiu, dnia 27. lutego, 1787 roku.

Tomasz Kajetan Węgierski.

Zgadza się z oryginałem, na co podpisuję

P. C. Fergusson Teppel.“ —

„ — Właśnie Jan Śniadecki bawił wtenczas w Londynie, kiedy poznał się u ministra polskiego Bukatego z jakimś pełnomocnikiem krewnych posty, który przybył do Londynu z testamentem jego. A że trzeba było wydobyć z banku summę zmarłemu należną 5000 funtów szterlingów wynoszącą, którą legował siostrzeńcowi swemu, był więc uproszony Śniadecki do przełożenia testamentu na język angielski. — Aleć to nawet ostatnie pismo Węgierskiego nieobeszło się bez żółci. Artykuł bowiem testamentu gdzie mówi: „Biblioteka moja na małoby się przydała familii mojéj;

małobym także miał wdzięczności, *żebym ją publicznym szkołom*, *gdzieby nawet czytana niebyła*, *zapisał* — zatem ma być publiczną aukcyą w Paryżu sprzedana itd.“ Śniadecki, mąż umiejący godnie reprezentować swój kraj w obec cudzoziemców, niewytłumaczył tego miejsca uwłaczającego tak wzgardliwie współziomkom zmarłego. — Powiada także, że miał w swojem ręku czas niejakiś rękopisy Węgierskiego w siedmiu grubych tomach in 4to — ale nic w nich polskiego nie znalazł....

Być może, że te, z których powyższe czerpałem szczegóły są resztkami tamtych — w każdym razie strata tych pism, niejest stratą dla naszéj literatury. Węgierski całkiem wcielał się myślą w te kraje, w których przebywał, — Polska coraz więcéj oddalała się od niego — upokorzona i uboga....

Tak zeszedł w 32 roku życia młodzieniec niepospolitych zdolności. Dotąd kraj znał go tylko w połowie: z wierszów rozpustnych i uszczypliwych; smutna zasługa, gorsząca pamięć! Cieszę się, żem, acz z niedostatecznych źródeł, zdołał wydrzeć zapomnieniu drugą jéj połowę, szlachetniejszą i wyższą; połowę, która wróżyła w nim męża

mogącego godnie służyć krajowi świeżą myślą, ognistemi chęciami. Ale robak wylęgły z grzéchu źle użytéj młodości przedwcześnie stoczył ten piękny owoc!... Pokój jego popiołom opłukiwanym falą prowanckiego morza! —

CAGLIOSTRO.

(W WARSZAWIE)

(1780)

Każdy wiek ma swoich awanturników i szarlatanów, którzy stosowną do panującéj myśli lub mody przybierają barwę. Wiek ośmnasty podkopawszy wiarę religijną, dostarczył takich ludzi jak Saint-Germain, Cagliostro, Mesmer, przypisujących sobie potęgę wywoływania duchów osób zmarłych, odmładzania się, przedłużania życia, leczenia wszelkich chorób zapomocą kamienia filozoficznego, posiadającego wielce pożądany przymiot zamieniania każdego kruszcu na złoto. W naszym wieku szarlatan przybrał charakter zbawiciela ludzkości,

i pod tym szerokim płaszczem spekuluje, wzywając do pomocy nie już wyższych lub niższych duchów, lecz zwykle czwartéj stronnicy gazet, gdzie szumnemi obwieszczeniami rokującemi ogromne zyski, lub zbawienne kordjały i leki, łapie łatwowiernych. Zdaje się, że każdy szarlatan, mniéj więcéj znawca ludzi, całą swoją grę opiera na owem łacińskiem zdaniu: *Vulgus vult decipi, ergo decipiatur*: chcecie być oszukiwani? więc będę oszukiwał; wiem, że to was bawi, bawcie się, tylko płaćcie mi za koncepta. I czy to wyższego, czy niższego rzędu szarlatan, zawsze do jednego zmierza celu. Ten ubrany w sławę swéj nadzwyczajności wdziera się do pokojów monarszych i na salony, gdzie zaszczyca się możną protekcyą i czerpie bogate upominki, udając dumną bezinteresowność; ów mydli oczy na placach publicznych i wyciąga grosz rzeszy zbiorowéj. Najciekawszą w tém wszystkiem jest strona téj formy złudzenia, która obudza nieraz fanatyczną wiarę, aż do zyskania zagorzałych admiratorów i adeptów; a tą bywa zwykle coś niewiadomego, mistycznego, trącającego o cudowność. Nigdy gołe prawdy, ściśle praktyczne i rozumne, nie trafiają tak do umysłów pospólstwa, jak tajemniczość wprawiająca w grę wy-

obraźnię: umiejętność prawdziwa, jasne postawienie rzeczy, niepociąga tyle, co fałsz ustrojony w piórka nauki, lub intryga przyodziana w mistyczną szatę. W średnich wiekach astrologi, chiromanci, czarnoksiężnicy, działali z pewną wiarą w swoje sekreta, formuły i zaklęcia; w ośmnastym odegrzano tylko stare formuły i użyto je do interesownych celów, a niekiedy zastosowywano do filozoficznych przewrotów społeczeństwa, jak tego mamy przykład na sławnym Cagliostrze, który przez lat kilkanaście durzył świat, objeżdżając wszystkie stolice Europy, a nawet zawadzając o Warszawę, gdzie na nieszczęście niebardzo powiodły się jego eksperymenta, co zresztą wcale pochlebnie świadczy o rozumie osób spotykających się z nim bezpośrednio.

Zanim opowiem warszawską przygodę tego awanturnika, chciałbym kilka słów o nim samym powiedzieć, trzymając się poszukiwań później zrobionych nad tym tajemniczym człowiekiem, który dostawszy się w ręce władz rzymskich, wyspowiadał się ze swoich sztuczek i dostarczył wątku do sprawdzenia takowych.

Właściwe jego zazwisko było Józef Balsamo; rodzinnem miastem Palermo, gdzie przyszedł na

świat w 1743 r. W dzieciństwie straciwszy rodziców, oddany był na wychowanie do klasztoru, gdzie braciszek, farmaceuta sposobił go wcześnie do tego rzemiosła. Liznąwszy cokolwiek chemii i botaniki, uciekł z konwentu i wałęsając się zabrał znajomość z jakąś szajką graczy, u których wyuczył się zapewne biegłości w palcach i rozmaitych oszustw. Kilka razy łapany i więziony, niemiał co dłużéj popasać w Sycylii; jakoż porzucił niewdzięczną ojczyznę i z pewnym ormianinem nazwiskiem Altotas, puścił się w podróż po Wschodzie. Zdaje się być rzeczą niewątpliwą, że czy w towarzystwie owego Altotasa, który wygląda na zagadkową figurę, czy téż z kim innym, spodróżował on cały archipelag, brzegi Grecyi, nareszcie Egipt, zkąd znaczne wywieźli pieniądze, wybijając na materyach jedwabnych złote desenie naśladujące hafty, co dla taniości swojéj musiało mieć niemały odbyt.

Niewiem czy jakie inne rzemiosło jeszcze praktykowali nasi podróżni w Egipcie, dość że z dobrze naładowanym workiem przybyli do Malty, gdzie ówczesnego mistrza kawalerów maltańskich Pinto, potrafili wyprowadzić w pole, że na ich usługi dom swój oddał i jako miłośnik alchemii

razem z nimi szukał kamienia filozoficznego. Od téj chwili Altotas gdzieś znika ze sceny. Niektórzy badacze tego steku awantur domyślają się, że owym Altotasem był Niemiec Kolmer, który z Malty przybył do krajów Rzeszy niemieckiéj i tam rzucił pierwsze zawiązki znanéj sekty Illuminatów. Balsamo odtąd działający na własną rękę pojawił się znowu w Neapolu, Florencyi, Rzymie, gdzie stosownie do okoliczności przybierał różne nazwiska hrabi Herat, margrabiego Anna, Belmonte, Pellegrini. W ostatnim tém mieście udało mu się podbić serce, a raczéj znaleźć wspólniczkę swoich obrotów, śliczną kobiétę, córkę jakiegoś bronzownika, nazwiskiem Lorencę a raczéj Serafinę Feliciani, która późniéj wdziękami swemi bardzo wiele dopomogła mu do zamamienia łatwowiernych, chociaż jemu samemu niezbywało na tym talencie. Fizyonomia jego odrazu zwracała na siebie uwagę, wyrażała bowiem dowcip, pozwalała nawet domyślać się geniuszu, tryskającego z głęboko osadzonych ócz, przenikających do wnętrza duszy. Sam Lawater, zawołany fizyonomista, miał go za człowieka, będącego w najściślejszych stosunkach z Lucyperem, i dla

tego naiwny Niemiec dobywał najwyszukańszych argumentów, aby go od téj spółki odciągnąć.

Cagliostro w towarzystwie pięknéj Felicjani kręcił się jeszcze po Hiszpanii, po Anglii, zawadził o Francyę, Holandyę, Niemcy, gdzie jak utrzymują, wszedł w stosunki ze znaczniejszemi figurami sekty massońskiéj i został niejako komiwojażerem sekty Illuminatów i ścisłéj *obserwacyi*, która chcąc swój cel osłonić, przyjęła pewne tradycye i reguły po Templaryuszach i udawała się za powołaną do pomszczenia zniewagi, zadanéj temu zakonowi przez Filipa Pięknego. Nieulega najmniejszéj wątpliwości, że powodzenia tego awanturnika nietylko w saméj łatwowierności ludzkiéj miały swoją przyczynę; jako emisayrusz sekt massońskich wszędzie robił adeptów i zakładał loże, a dla pokrycia swoich czynności mogących go u władz narazić, uczył robić złoto, wynajdywał leki na nieśmiertelność i cienie nieboszczyków pokazywał żyjącym. Z Niemiec, gdzie dużo ryb nałowił, puścił się do Kurlandji, a potém do Petersburga; lecz o ile w ostatniem tém mieście niezrobił dobrych interesów, o tyle w Mitawie, na dworze księcia Kurlandzkiego niesłychane sprawił wrażenie, osobliwie na pannie Elizie von der Recke,

siostrze, czy kuzynie księżny kurlandzkiéj, egzaltowanéj *bas-bleu*, która nietylko, że napisała książkę o tym nadzwyczajnym człowieku, ale chciała mu wszędzie towarzyszyć w awanturniczych wycieczkach. Co przeszkodziło temu chwalebnemu zamiarowi, nieumiem powiedzieć; to jednak pewne, że wspólnictwo wielkiéj damy, mówiącéj uczonym językiem, a do tego nieudanéj admiratorki *Wielkiego Kofty*, mogło ogromnie sprzyjać widokom awanturnika.

Z Mitawy, poprzedzony ogromną sławą alchemika, wywoływacza duchów, czarodzieja, zgoła nadzwyczajnego geniuszu, przyjechał hrabia Cagliostro do Warszawy pierwszych dni Maja r. 1780. Pewien młody kawaler, z którym poznajomił się był dawniéj w Medyolanie, kawaler dobrze znany w stolicy, przedstawił go księciu Poniatowskiemu, podkomorzemu, koronnemu, i hrabi Moszyńskiemu stolnikowi kor, o którym powiada w swoich pamiętnikach Niemcewicz, że był rozwiązły i alchemista trwoniący majątek na kobiéty i tygielki. Zdanie to za surowe; bo stolnik rzeczywiście stał w nauce chemii na równi z tą umiejętnością, jaka była za granicą. Brat jego młodszy Fryderyk, był człowiek rachunkowy i oszczędny — dlatego nazywano

go *perceptą* a stolnika *expensą*. Cagliostro przy pierwszém poznaniu się, umiał przedać się tym panom za mistrza wyćwiczonego w egipskiem wolnomularstwie, przyczém nie omieszkał zapewnić ich, że będąc wielbicielem polskiego narodu, udzieli im niejednéj ciekawéj tajemnicy, z mnóstwa tajemnic jakie posiada i to bez żadnéj pretensyi. Zainteresowało to księcia podkomorzego tém mocniéj, że jako wielbiciela płci pięknéj, wdzięki donny Serafiny musiały usposobić go do prawdziwie staropolskiéj gościnności, kiedy téj parze awanturników dał mieszkanie i wszelkie wygody we własnym pałacu; do tego kroku pobudził go zapewne i szlachetny wzgląd na dość skromną powierzchność małżonków, ile się zdawało wojażujących z bardzo lekkim pakunkiem...

Po kilku dniach, poświęconych wypoczynkowi po trudach podróży, oświadczył Cagliostro, że chciałby dać kilka próbek swoich magiczno-filozoficznych operacyi, co ma się rozumieć, z wielkim aplauzem księcia podkomorzego i jego kompanii przyjętém było. Tymczasem starał się on zawiązywać znajomości ze znakomitościami stolicy, co mu szło nader łatwo, bo zręczny i wygadany Włoch umiał każdego pochwycić z właściwéj mu

czy to słabéj, czy mocnéj strony. Nawzajem donna Serafina przyciągająca magnesem swych wdzięków, zrówną zręcznością robiła mężowskie interesa, rozpowiadając niesłychane dziwy o jego cudownych sztukach i tajemnicach wykradzionych magom egipskim. Niejedna téż ciekawość i próżność podłechtana, pragnęła choćby największym kosztem dostać się do tych tajemnic. Oprócz komplementów i umizgów do pięknéj donny, na które okazywała się dość obojętną, zaczęły się sypać rozmaite prezenciki i suweniry, mające ułatwić przypuszczenie adeptów i admiratorów Wielkiego Kofty do jego osoby... O dotarcie zaś do samych tajemnic, trzeba się było układać i nieraz zdobywać się nawet na prezent wartości kilku tysięcy czerwonych złotych. Tymczasem hrabia Cagliostro w stosunkach z pierwszémi figurami stolicy, mógł zawsze odgrywać rolę mędrca, otwierającego skarbce swoich tajemnic, z zupełną bezinteresownością, co wielką jednało mu wziętość i budziło wiarę jakiéj pospolity kuglarz pokazujący się za pieniądze nie wzbudza.

Osoby przypuszczone do poufalszego towarzystwa księcia podkomorzego, niecierpliwie czekały na ową pierwszą próbę magiczno-filozoficznéj operacyi.

Nadszedł nareszcie dzień upragniony. Na wieczór zebrało się grom gości przypuszczonych do tajemnicy w pałacu księcia podkomorzego.

Cagliostro kazał zawiesić czarną oponę we drzwiach prowadzących ze sali do pobocznego pokoju, na obecnych osobach wymógł zaręczenie pod słowem honoru, że dochowają ścisłéj tajemnicy, poczem wszczął rozmowę o swoich podróżach, o rozmaitych experymentach co do zamiany podłych metali na złoto, o elixirze dającym życie nieśmiertelne i o duchach wielkich mężów starożytności, wywoływanych mocą zaklęć kabalistycznych. Rozmowa ta nastrajała umysły do spotkania się z jakąś nadzwyczajnością.....

Na tym wstępie skończyło się to posiedzenie. Jaki taki wlepiał oczy w czarne sukno, ale nic na niem, ani po za niem, nie pokazało się.

W trzy dni dopiéro, zeszli się znowu ci sami goście. Cagliostro nastroiwszy uroczystą minę, wszedł, trzymając ośmioletnią dziewczynę za rękę i wprowadził ją do pokoju zasłoniętego czarną oponą, gdzie olejkiem natarł jéj dłoń i robił jakieś *hocus pocus* z dobytą szpadą i arabską książką... poczem przeszedłszy do ogólnéj sali zaczął zadawać jéj pytania przez drzwi na pół uchylone.

— Czy widzisz anioła?
— Widzę.
— Czy widzisz dwóch aniołów?
— Widzę dwóch.
— Czy niewidzisz trzech.
— Widzę. I tak doszło do siedmiu.
— A mnie czy widzisz?
— Widzę.
— Czy widzisz jaki grób?
— Widzę.
— Jest-li on kamienny, czy marmurowy?
— Kamienny.
— Pocałuj anioła....

I usłyszano jak dziewczyna pocałowała kogoś, zapewne własną rękę. Tym sposobem zadał wiele jeszcze pytań w tym rodzaju; co jednak nie bardzo zbudowało widzów téj sceny.

Drugi figiel również niebardzo zaimponował. Prosił on obecnych aby spisali swoje nazwiska na świstku papieru, poczem świstek ten spalił w oczach widzów a dziewczynce kazał podnieść papier jaki u nóg jéj spadnie. Po chwili wystawił rękę do gabinetu gdzie była dziewczynka i odebrał od niéj karteczkę zapieczętowaną lichą massońską pieczątką.

— Mości panowie, przemówił Cagliostro zwracając się do gości — jest to znak, że duchy potwierdzają wybór osób, przypuszczonych do tego dzieła; gdy zaś karteczkę odpieczętowano, każdy znalazł napisane w niéj własne swoje nazwisko.

Sztuczka ta przypominająca najpospolitsze kuglarstwo takiego Comusa, Filadelfii i innych znanych kuglarzów, wzbudziła w uważnie przypatrującym się hrabi Moszyńskim podejrzenie, że natychmiast wziął księcia podkomorzego na stronę i wręcz mu oświadczył, że Włoch bawi się kosztem ich łatwowierności. Lecz książe podkomorzy niedał sobie nic mówić, utrzymując, że to tylko próba, która mogła się nieudać, ale że nadzwyczajnych rzeczy spodziewa się po człowieku tak nadzwyczajnym.

Cagliostro bystry obserwator, odrazu postrzegł, że się coś przeciw niemu knuje, bo natychmiast niepowodzenie operacyi przypisał niezdatności owego *medium* czyli ośmioletniéj dziewczynki. Na drugi raz wziął panienkę szesnastoletnią, która miała być ekstraktem saméj niewinności i ta miała mu służyć za *medium*. Przystąpiono zatem do operacyi, ale zdaleko większémi przygotowaniami i okazałością niż pierwszą razą. Operacya się też udała i takie złudzenie sprawiła na widzach, że na-

wet sam hrabia Moszyński, uchodzący za niedowiarka, a wierzący w prostoduszność owéj panienki, którą znał dobrze, został uderzony nadzwyczajnością okazanéj próby.

Minęło kilka dni i nikt nieśmiał powątpiewać o potędze czarodzieja. Aleć na nieszczęście Cagliostro zaczął koperczaki stroić do panny i coraz stawać się natarczywszym w miłosnych oświadczeniach, czém tak rozgniewał dziewczynę, że ta wprost przybiegła do hr. Moszyńskiego i odkryła mu całą intrygę. Opowiedziała ona jako Cagliostro obiecał zrobić jéj szczęście i znaleźć jéj ładnego i bogatego chłopca na męża, aby tylko skłoniła się do odegrania z nim komedyi. Jakoż wszystkich odpowiedzi na jego pytania wyuczyła się na pamięć; zamiast anioła siebie całowała w rękę, a żadnego ducha niewidziała, nawet pomimo najlepszéj intencyi ujrzenia go.

Wszystkie te szczegóły opowiedział hrabia swoim znajomym, ale nietylko nikt mu nie wierzył, lecz owszem szydził z jego niedowiarstwa.

Gdy się to działo, Cagliostro dla zabawienia swoich wielbicieli, otworzył tak zwaną *egipską lożę* i publicznie dyktował niektóre drobne *arcana*, uznane dawno za fałszywe lub należące do chemii

elementarnéj. Dla adeptów swoich otworzył także kurs medyczny, zapełniony wyrzekaniami na doktorów, toż medycznymi sprzecznościami zupełnie jak w szkole salernitańskiéj i receptami na różne choroby, do których wchodziły całkiem nieznane nam ingredyencye lub też wyjęte z dzieł Fryderyka Gualdo alchemika siedmnastego wieku.

Mimo całego powodzenia w gronie swoich adeptów, utrzymywał Cagliostro, że w mieście niepodobna mu nic zrobić, że potrzebuje zacisznego schronienia. Jakoż całe towarzystwo chcąc mu dogodzić, przeniosło się do pałacyku na Woli, zabierając ze sobą Cagliostra, mającego tam rozpocząć wielką robotę *filozoficznego złota*.

Pan stolnik Moszyński lubiący uprawiać ścisłe umiejętności, a mianowicie chemię, któréj odkrycia śledził, aby stać na wysokości téj nauki, będącéj w przedjutrzu nowego systematu Lavoisiera, tworzącego nowy w niéj okres, kwalifikował się na wyśmienitego pomocnika w laboratorium, a razem i na kontrolera téj roboty, do czego jak się zdaje, miał upoważnienie króla.

Mam przed sobą dzienniczek*) prowadzony

*) Jest to rzadka dziś książeczka tłumaczona na niemieckie z francuzkiego rękopismu pod tytułem: Cagliostro

przez hrabiego od dnia 7 czerwca 1780 r. do 27go tegoż miesiąca, gdzie najdokładniéj są zapisane i krytycznie zbijane, wszystkie chemiczne operaty wykonywane przez Cagliostra lub z jego rozkazu. Nie będę czytelników nudził przytaczaniem ustępów opisujących robotę filozoficznego złota, przy któréj nieobeszło się bez zręcznego usuwania tyglów i zamieniania merkuryuszu na bryłkę srebra.

Dość że ze smażeniny merkuryuszu, otrzymano trzydziesto-łutową bryłę srebra z ziarnkami złota, co mistrz nazwał pompatycznie *filozoficznem złotem*; lecz nie koniec na tém, trzeba jeszcze było spiłować je na proszek, nalać serwaserem i nad ogniem lampy trzymać, aby wszelką wilgoć wyparować. Czynność tę nazwał pierwszym *passażem*. Takich *passażów* miało być ośm. Siódmy miał wydać czerwony proszek, za pomocą którego merkuryusz odrazu zamieniał się w srebro. Produkt zaś ósmego *passażu*, zamieniał merkuryusz w naj-

---

in Warschau oder Nachricht und Tagebuch über desselben magische und alchemische Operationen in Warschau im Jahre 1780 geführt von einem Augenzeugen. — (1786 bez miejsca druku) Zapewne sam Moszyński dał przetłumaczyć swoje notaty.

czystaze złoto... Każda ta operacya, jak mówił, potrzebowała do sześciu tygodni czasu.

W ciągu tym gdy złoto będące w pierwszym *passażu*, smażyło się nad lampą, chciał Cagliostro natchnąć jednego z nowych adeptów silniejszą wiarą w swoję potęgę, i tym sposobem wywołał ducha Wielkiego Kofty, żyjącego przed tysiącem lat. Kofta ten rzeczywiście pokazał się, był otyły, w białych szatach, z białym włosem i w wielkim turbanie na głowie. Gdy zaś ów Wielki Kofta zapytał swego adepta, co widzi? Ten odrzekł w sposób bardzo naiwny: że widzi jak sam Cagliostro przebrał się w białą maskę z długą brodą. Odpowiedź ta niebardzo przypadła egipskiemu arcykapłanowi do smaku; bo zdmuchnął zaraz dwie świece i słychać było w ciemności jak z niego spadał biały pudermantel i reszta ubrania, aby zapewne lżéj mu było wracać do Egiptu....

Różne te niepowodzenia przypisywał Cagliostro najwięcéj Moszyńskiemu, który jeden nietracił głowy śród ogólnego entuzyazmu i dlatego w obuwieniu swojem nazwał go kilkakrotnie *sacrilège monstre*. Hrabia śmiał się z epitetów, lecz szarlatana niespuszczał z oka. Zdarzyło się raz, że Moszyński czuwający nad owém *jajem filozoficznem*,

które smażyło się nad lampą, przelał był ingredyencyę znajdującą się w małéj flaszeczce we flaszeczkę większą. Dostrzegł tego Cagliostro, zwołał cały areopag i narobił gwałtu, dowodząc, że ten (Moszyński) co niedawno wydrwiwał jego dzieło, teraz widocznie przywłaszczył sobie cząstkę nieocenionego płynu, aby na swoję rękę robić złoto. Wszyscy obecni ujrzawszy zmniejszoną ilość płynu, przekonali się, że mistrz ma słuszność pomawiać Moszyńskiego o nieprzychylne zamiary i dalejże piorunować przeciw niemu, ale Cagliostro uniesiony wspaniałością właściwą geniuszom, zapewnił ich, że potrafi zapobiedz temu nieszczęściu i tak zrobi, że *Monstrum* żadnéj korzyści nie odniesie z owego płynu. W podobny sposób znalazł się raz sławny szarlatan hrabia St. Germain, bo gdy kamerdyner ukradł mu był receptę na cudowny proszek i chciał podług niéj leczyć, hrabia odrzekł najspokojniéj: Już ja tak zrobię, że w rękach tego hultaja recepta straci swą dzielność. Uczniowie Cagliostra przeświadczeni jawnem zniknieniem części płynu rozumowali sobie, że Moszyński będąc zawołanym chemikiem, pewnieby niebrał jednéj trzeciéj części téj drogiéj materyi, gdyby nie była coś warta. Widocznie ma on

w tém własny interes, że ciągle osłabia wiarę naszą w mistrza i dołki pod nim kopie. Trzeba udać się do króla i otworzyć mu oczy; bo raporta Moszyńskiego musiały mu w najgorszym świetle wystawić mistrza. Raz obaliwszy jego powagę, zainteresujemy króla jegomości dla *wielkiego dzieła.*

W rzeczy saméj zrazu chciano wciągnąć króla Stanisława Augusta w te kuglarstwa, ale światły i przezorny monarcha polecił był Moszyńskiemu jako biegłemu chemikowi, zdawać sobie raporta z tych wszystkich operacyi.

Niedługo jednak trwała ta zawziętość adeptów przeciw Moszyńskiemu, który przyjechawszy na Wolę około wieczora, a opadnięty wyrzutami z powodu ujęcia drogocennego płynu, najspokojniéj odpowiedział, że płyn zawarty w małéj flaszeczce, przelany w trzy razy większą niemoże jéj napełnić. Adepci donieśli o tém mistrzowi, ale ten nietracąc głowy, upierał się przy swojem, jako owa flaszeczka była tajemniczem naczyniem, nie mogącem być zastąpionem przez inne sprofanowane.

Różne te okoliczności bardzo zachwiały wiarę adeptów, pomiarkował to *Wielki Kofta* i zebrawszy

mniéj niedowierzających, oświadczył że widząc zmianę w ich umysłach, pragnie dowieść czém jest. Jakoż obiecał im nazajutrz pokazać operacyą z dzieckiem umiejącym tylko polski język; następnie o północy pójść z nimi do ogrodu w pewnéj odległości od pałacu, żeby na grzmot, jaki usłyszą, niepowylatywały wszystkie szyby; a wtedy zobaczą takie dziwy o jakich się im ani śniło. Następnie pięćdziesiąt funtów merkuryuszu zamieni na czyste srebro i odda je na ubogich stolicy; nareszcie zrobi jeszcze jednę operacyą, która całą Warszawę zdumieniem napełni i dopiéro odjedzie za granicę zostawując Polskę w rozpaczy, że już go więcéj nie ujrzy.

Przerażona strona adeptów przyszła opowiedzieć to Moszyńskiemu, który z tego programu zaraz zmiarkował, że mistrz obawia się ogólnéj burzy przeciw sobie. Ów grzmot zapowiedziany będzie zapewne zwykłą petardą, która obecnych zagłuszy i oćmi, a Wielki Kofta tymczasem dosiędzie ognistego smoka i z dyamentami drapnie przez powietrze.

Widać że przestroga skutek odniosła, gdyż pamiętnik pod datą 26. czerwca tak się wyraża:

„Nie ma go! Drapnął bez oporu własnych

adeptów! Wprawdzie jednemu z nich polecił czuwać nad lampą i jajem filozoficznem, ręcząc słowem, że niezadługo przyszle szczyptę proszku, na dowód że nie jest żadnym oszustem. Inni adepci byli tak okrutni, że nieposzli go żegnać kiedy wsiadał do powozu. Znikł im z oczu jak kamfora i pewnie że go nigdy nie zobaczą, w czém się proroctwo jego spełni."

Tak tedy skończyła się rola sławnego szarlatana w Polsce. Wyjechawszy dnia 26 czerwca pod jakimś pozorem z Woli do Warszawy, uszedł ztamtąd w nocy 27 czerwca i zapewne niebyłby się tak gładko wywinął, gdyby osoby, które w ten sposób wystrychnął, niewolały na łatwowierność swoję rzucić zasłony zapomnienia i w cichości pokutować, zamiast oszusta do odpowiedzi pociągnąć. Jednakowoż niektórzy obrażeni tém postępowaniem, mieli domagać się u pani hrabiny Cagliostro zwrotu niektórych dyamentów, ofiarowanych jéj dla pozyskania względów pana małżonka. Powiadają że zaraz po przybyciu do Warszawy dał jéj jeden entuzyasta parę brylantowych kólców i innych klejnotów w wartości 2,500 czerwonych złotych, a cała ta awantura miała kosztować interesowane osoby około ośm tysięcy duka-

tów. Część jednak odebrano, reszta przy oszustach została.

Tak tedy Warszawie należy się zaszczyt demaskowania szarlatana; co jednak niebyło przestrogą dla innych krajów. W parę bowiem miesięcy zjawia się Cagliostro w Strazburgu; zawięzuje znajomość z kardynałem Rohanem i znajomość ta służy mu do odgrywania głośnéj roli w Paryżu i do wplątania się w sławną awanturę z naszyjnikiem, jaki kardynał Rohan kupił dla ofiarowania go nieszczęśliwéj Maryi-Antoninie królowéj francuzkiéj.

Po głównym procesie o ów naszyjnik, Cagliostro wypędzony z Francyi udał się do Londynu, ztamtąd do Szwajcaryi, następnie do Włoch. Przybywszy do Rzymu w 1789 r. znalazł kres swoich intryg. Aresztowany z rozkazu sądów inkwizytorskich, miał sobie wytoczony proces, jako *illuminat i farmazon*. Za należenie do tajnych związków była wówczas kara śmierci; lecz karę tę zamieniono dlań na wieczne więzienie w zamku San-Leo, gdzie umarł w r. 1795.

W parę lat po jego śmierci oddział legii pod Dąbrowskim wysłany był na wzięcie szturmem tego zamku; lecz załoga papiezka widząc dzielnie

idącego żołnierza, po dwugodzinnym oporze, kapitulowała. Szef Drzewiecki, znajdujący się między szturmującymi, opowiada w pamiętnikach swoich, że zwiedzał celę więzienną Cagliostra, któréj ściany okryte były rysunkami: „lecz nadzwyczajne postacie, koła i gwiazdy, napisy nawet, nic go niemogły nauczyć."

Pokazuje się, że Cagliostro do saméj śmierci dotrwał w swéj roli, która mogła tumanić, nieucząc nikogo.

KATARZYNA Z POTOCKICH KOSSAKOWSKA

KASZTELANOWA KAMIEŃSKA.

(1720—1801)

W pamiętnikach historycznych drugiéj połowy upłynionego stulecia, nierzadko spotkać się ze wzmianką o kasztelanowej kamieńskiéj, któréj przypisywano czynną rolę w walkach ówczesnych stronnictw, a nawet pomawiano ją o ducha intrygi, stosownie do tego, czy piszący potępiał lub bronił partyą do któréj ona się liczyła; albo stosownie do skutku jaki wydały jéj zabiegi, co najczęściéj wpływa na przychylne lub nieprzychylne sądy o ludziach biorących udział w rzeczy publicznéj. Mimo téj różności zdań, nikt jéj nie śmiał odmówić dwóch przymiotów: przywiązania do kraju i dowcipu, któ-

rym okraszając swoją prawdomówność, otrzymała przydomek dowcipnéj weredyczki. Zabiegi jéj i krzątania się po sejmach i zjazdach, nadskakiwania posłom i różnym kreaturom a przytem nieuniknione niewieście komeraże i plotki, — poszły już w zapomnienie, jako drobiazg nieznający historycznéj wagi, jako ciekawostka chwili, dobra żeby ją dorzucić do głównych rysów, lecz nie, żeby się w nich znalazła cała postać i charakter duszy. To pewna, że Katarzyna Kossakowska należała do rzędu tych niewiast, co z okolicznościami swego czasu występują do otwartéj walki, wprawdzie nie do walki orężnéj jak księżna de Longueville lub *la grande Demoiselle*, lecz do walki słowa — a wiemy że trafne słowo, w dobréj powiedziane chwili, włada opinią ogółu. Ona téż umiała używać tego przywileju wziętego od natury, i z wysokości swojéj towarzyskiéj pozycyi rzucała nieraz gorzkie prawdy i dowcipy, które z ust do ust podawane, kraj obiegały. W wieku Woltera, kiedy dowcip od Francuzów przyswojony stał się u nas chlebem powszednim, dowcipnych niewiast niebrakowało zapewne po magnackich salonach, ale te nie używały téj popularności, co anegdoty i *bon-mota* kasztelanowéj, nie umiejącéj ani słowa po francuzku. Do-

wcip téj pani był polskim najczystszéj wody i odbiciem się staroświeckiego obyczaju, charakteru niezłamanego przeciwnościami, wysokiego religijnego uczucia, gotowego do ofiar w każdéj potrzebie, zgoła wynikał z pierwiastków, z jakich dzisiejszy poeta złożyłby ideał matrony, ostatniéj matrony w przetwarzającém się dokoła społeczeństwie. W prawdzie tytułu tego nieszczędzono u nas i użyczano go niektórym staroświeckim niewiastom, przedłużającym żywot swój aż w nasze czasy. Ostatnią matroną staropolską nazwano Lubomirską kasztelanowę krakowską; ostatnią matroną Lanckorońską kasztelanowę połaniecką; ostatnią matroną Dębińską starościnę wołbromską, i zapewne niejedną jeszcze spotkał ten okolicznościowy zaszczyt. Lecz ile mniemam, jedna Katarzyna Kossakowska ma do niego niezaprzeczone prawo. Tamte jaśniały cnotami, przymiotami rozumu i serca w poufniéjszem kole; — ona była swojego czasu potęgą, utrzymującą uczucie godności narodowéj przez czynne wspieranie usiłowań ludzi zdolnych i poświęconych, a między tymi krewnych swych Potockich, z których kilku, jak wiadomo, głośnymi się stało z przywiązania do kraju. Pani ogromnéj fortuny, przytem bezdzietna, zajmowała taką pozycyą, zwła-

szcza od chwili gdy osiadła w Galicyi, że obok niéj dla nikogo nie było już miejsca. Około jéj osoby gromadziło się wszystko zacne; pokoje jéj w pałacu przy św. Jurze we Lwowie stały się ogniskiem dobrego przykładu i wpływały na obywatelstwo krajowe; z nich wychodził ton staroświeckiego obyczaju, chroniący od zepsucia i znikczemnienia; można powiedzieć ze sarkatycznym dowcipem trzymała w ryzach to społeczeństwo, co lekkomyślnie dążyło do znicestwienia się w obojętności, zbytkach, w ubieganiu się o niezaszczytne zaszczyty. Z jéj śmiercią Lwów stracił równowagę. Wprawdzie jakiś czas świeciło się kilka osób używających powszechnéj powagi; byli to ludzie żyjący jéj natchnieniem, lecz niedość samodzielni i wytrwali, aby przeważnie kierować mogli opinią rozstrzeloną a raczéj bezmyślną.

Z tego punktu wypada zapatrywać się na postać téj ostatniéj matrony dawnego kroju. Co powiedziałem o niéj w ogólnych rysach, chciałbym dopełnić niektóremi szczegółami dającémi poznać ją bliżéj. Szczegóły te z trudnością dały się pozbierać z opowiadań i zapisków osób mających z nią niegdyś zażyłość, a z jéj listów pisanych do

Kajetana i Pawła Potockich kanoników, synów kasztelana lwowskiego i jéj siostry Pelagii.

Katarzyna, córka Jerzego na Podhajcach Potockiego starosty grabowieckiego i tłumackiego, i Konstancyi Podbereskiéj marszałkówny upickiéj, przyszła na świat mniéj więcej około roku 1720, jak się domyślam z listu jéj pisanego pod rokiem 1797, gdzie mówi: „Już to czas minął, żeby ludzie, którzy mają po lat siedmdziesiąt i kilka, mieli kredyt u młodych.“ W innym znowu liście pod datą 1796 r. to samo znajduję: „Ja zaś na te mrozy nie wyłażę, bo siedmdziesiąt razy i cztery obchodząc kościoły, już teraz nie można.“ Ażeby dać bliższe wyobrażenie o jéj osobie, odnoszę się do portretów i rycin, przedstawiających ją w wieku podeszłym. Postać jéj musiała być okazała; czoło równe i wyniosłe, znamionowało bystre pojęcie; oczy żywe, ciemne z brwią wysoką i zaokrągloną, dowcip i przenikliwość; płeć odznaczała się również delikatną białością, jak o to pomawia gors wyłoniony z sukni obszytéj koronką i lekko obrzucony od pleców mantolecikiem czy peleryną; a usta — owe półzwierciadła duszy, któréj druga połowa w oczach się mieści, wyrażały uśmiech dobroci

i wspaniałości, oraz w dwóch mocnych kątowych zarysach stałość charakteru i surową godność.

Taką pod względem fizycznym wystawiam sobie tę matronę, a pod moralnym wyższą nad otaczające ją społeczeństwo, co uniesione lekkiemi wiatrami francuzkiéj maniery, hołdujące wyobrażeniom, wręcz przeciwnym tradycyom domowym niepojmowało że z odrzuceniem cech rodzinnych w obyczaju, zwyczaju, języku, stroju, traciło swoję indywidualność i zapadało w stan najzupełniejszéj bierności. Kossakowska, jak żołnierz na wyłomie, walczyła do ostatka przeciw tym przeobrażeniom odbywającym się przed jéj oczyma, a walczyła przykładem. Wielka pani, miała rękę zawsze otwartą; ileż nieprzytuliła sierot, ilu młodym niedopomogła w promocyi, ile fortun upadających nie podparła pańskim datkiem! Dumna dla dumnych, zepsutych lub znikczemniałych, umiała być najpokorniejszą w usługach biedniejszéj braci. Nikt z jéj przyczyny nie poszedł z torbami, a bardzo wiele domów przyszło do znacznéj fortuny. Tak ona rozumiała obowiązek przywiązany do wielkiego imienia i majątku. Odtąd tradycya ta zacierała się coraz więcéj. Bywali i są bogacze, ale ci rzadko kiedy poczuwają się do obowiązku solidarności

względem młodszéj braci. . . *Noblesse oblige*, przestało być regułą.

Lecz wróćmy do szczegółów wyjaśniających bliżéj żywot Katarzyny Kossakowskiéj. W młodych latach, bo jeszcze za panowania Augusta III. zawarła ślubny związek z Kossakowskim kasztelanem kamieńskim. Miał to być pan małego wzrostu, ale czupurny i śmiały. Gdy inni konkurenci o rękę panny, przycinali jego karłowatéj postaci, Kossakowski wyzwał rywalów do zmierzenia się kto słuszniejszy, — i kazawszy sobie podać spory wór złota, stanął na nim i przerósł innych. Ale nie samo złoto robiło go godnym ręki dostojnéj panny, miał on bowiem wiele zacnych obywatelskich przymiotów, które wybór na jego stronę zdecydowały. Pożycie z nim nie było jednak długie. Katarzyna pojąwszy go w r. 1742 opłakiwała śmierć jego w r. 1761. Odtąd, obyczajem starych naszych matron, nie zdejmowała żałobnéj sukni. Wszystko było u niéj trwałe: przywiązanie, pamięć, smutek.

Potocka z domu, wielce przywiązana do swojéj familii, trzymała jéj stronę w bezkrólewiu po Auguście III., nie była zatem wyborowi Poniatowskiego przychylną; gdy zaś stanęła Konfederacya Barska, w któréj Joachim Potocki podczaszy W. Ks. li-

tewskiego, brat jéj Maryan, Ignacy starosta kaniowski syn jéj siostry i tylu innych Potockich brało udział bardzo czynny, i ona nie żałowała szkatuły i zabiegów, o czém wspomina Kitowicz, nazywając ją *wielką mądrochą*. Później mianowicie w ciągu sejmu czteroletniego i po ogłoszeniu ustawy 3 maja, pogodziła się z królem i poklaskiwała jego przystąpieniu do téj ustawy. Jakoż w dzień uroczystości narodowéj, Stanisław August przysłał do niéj z zaproszeniem na bal wydawany ku uczczeniu téj pamiątki; lecz ból oczu, jaki wtedy cierpiała, nie pozwolił jéj przyjąć wezwania. „Powiedzcie najjaśniejszemu panu, mówiła, że w dniu takim jak dzisiejszy radabym z całego serca popatrzeć nań dobremi oczami; ale sami widzicie, że musiałabym złemi, i dlatego niepojadę.“

Posiadając największe dobra w kordonie austryackim, jakoto: Stanisławów, Bohorodczany, Toporów i innych jeszcze kilka kluczów, przemieszkiwała oddawna w Galicyi; a czasami tylko, gdy okoliczności stawały się przyjaźniéjsze, zjeżdżała do Warszawy. Po roku 1794 nie ruszała się już ze Lwowa. W listach jéj pisanych około tego czasu do ks. Pawła scholastyka łuckiego, wydziera się jéj nieraz urwana skarga i sarkazm; nie są to je-

dnak gorzkie lamentacye niewieście, ale trzeźwy i energiczny głos męzkiego bólu. W jedném miejscu pozwala nawet sobie żartować, gdy mówi o panu staroście piaseczyńskim, że się zamknął jak mnich w pustych pokojach i nikogo na oczy widzieć niechce, tylko oczekuje katastrofy, mającéj ten porządek odmienić. W skutek czasowych okoliczności większa część jéj rodziny rozproszyła się: jedni przebywali we Florencyi i Rzymie, drudzy w Wenecyi, inni w Paryżu. Ona stawała się aniołem opiekuńczym, ratowała im majątki, administrowała, processowała się, a jeźli funduszów nie było, sama z własnéj szkatuły dosyłała im pieniędzy. Wszystkie korespondencye zazwyczaj szły na jéj ręce; musiała po kilkanaście listów na dzień dyktować, w różnych interesach zdawać sprawę, pamiętać o najdrobniejszym szczególe. Uciążliwa ta praca, przechodząca siły podeszłego wieku, dawała się uczuć jéj dotkliwie, bo często w listach swych narzeka: „jać to jestem familii mojéj pocztmajstrem; bez litości kładą na mnie tyle różnych, przeróżnych obowiązków.“ Mimo tego nie umiała odmówić, gdy się uciekano pod jéj opiekę.

Mieszkając we Lwowie w pałacu pod św. Jurem, zawsze miewała u siebie kogoś z wnuków,

między innemi Antoniego i Stanisława Potockich (późniéj generałów), którzy się wychowywali pod jéj okiem. Pilność jéj w karnem wychowaniu tych młodych chłopców musiała być wielka, wprawdzie mniéj zasadzona na wlewaniu w umysł mnóstwa błyskotnych naukowych fraszek, a więcéj na wpojeniu zasad religii i moralności, i w drożeniu do téj nauki życia, jakiéj się tylko w szkole doświadczenia nabywa. Ciekawe są uwagi z tego powodu, w jednym z jéj listów zawarte: „Młodzież teraz zamykają — pisze kasztelanowa — i tuczą naukami jak indyki lub kapłony; w końcu umieją wiele, a nie umieją tego zastosować do życia. Niema to, jak młodego zawczasu z światem oswajać, ucząc go praktycznie na dobrego obywatela; bo to mi pierwsza nauka, jak się obejść z sąsiadem, jak służyć krajowi, jak występować godnie w każdéj publice. Tego wszystkiego nasi ochmistrze nie wiedzą; niegdyś szkołą były dwory wielkich panów, dziś wszystko drobnieje, majątki i cnoty.“ Było to w pewnym względzie zrzędzenie staruszki żyjącéj jeszcze przeszłością, chociaż w koło niéj wszystko się odmieniało. Nieraz téż narzeka: „młodzi nas nierozumieją, za starzyśmy dla nich!“ I zapewne, młode plemię, któremu zawracały głowę

wyobrażenia nowéj epoki, niemogło zrozumieć jéj staroświeckiéj prostoty, nienawidzącéj płonnych zbytków i wymysłów modnych, przywiązanéj do praktyk religijnych i pełnéj rezygnacyi, czerpiącéj siłę ze ściśłego pojmowania i pełnienia obowiązków chrześciańskich i obywatelskich.

Z tém wszystkiem pomimo że każdy wypadek każde prywatne nawet nieszczęście znajdowało współczucie w jéj duszy, dobrotliwa Opatrzność, jakby dla ubezpieczenia jéj przeciw tylu dotkliwym ciosom znoszonym, przez ciąg długiego żywota, udzieliła jéj obfitą cząstkę tego dobrego humoru, co okraszony dowcipem, towarzyszył jéj nawet w najkrytyczniejszych położeniach, i zawsze prawie był na zawołanie, ilekroć chciała dać uczuć swoją lub cudzą krzywdę. Można powiedzieć że ostatnia ta matrona zaniosła z sobą do grobu ów rubaszny jowializm ojców naszych, niezastąpiony niczém, niepodobny do naśladowania, jak niepodobna wskrzesić społeczności z któréj wypłynął. Popularna pamięć kasztelanowéj kamieńskiéj przechowuje się téż najwięcéj w anegdotach opowiadanych o niéj. Podobnie jak wyrównywające jéj dowcipem anegdoty o Marcinie Badenim, radził kiedyś Niemcewicz zebrać pod nazwą: Badenianów,

tak możnaby z anegdot o kasztelanowéj kamieńskiéj, utworzyć Kossakowściana. Jest ich mnóstwo; lecz w liczbie prawdziwych, znajdzie się niemało na jéj karb zmyślonych; bo jak mówi francuzkie przysłowie: on ne prête qu' aux riches. Niektóre tak powszechnie są znane i powtarzane, że spis ich byłby zbytecznym; najwięcéj wymierzone były przeciw dokuczliwym austryackim oficyalistom, panoszącym się nadzwyczaj prędko w Bärenlandzie, jak pospolicie nazywali Galicyą. Nic to jednak nie przeszkadzało, że jak z początku była w wielkich łaskach u cesarzowéj Maryi Teresy, która ją zrobiła damą krzyża gwiaździstego, tak następnie doznawała tych samych względów u cesarza Józefa II. Monarcha ten podczas bytności dwukrotnéj w Galicyi, obydwa razy zaszczycił ją swoją wizytą, a kiedy po kilkunastoletniem niewidzeniu znalazł ją zgarbioną i z tego powodu wyraził swoje ubolewanie, odrzekła mu, że od częstego kłaniania się lada kanceliście, musiała się tak zgarbić. Cesarz roześmiał się i przykazał gubernatorom, aby obchodzili się z nią najdelikatniéj i oszczędzali jéj sekatur.

W niewydanych pamiętnikach wojewody W. znajduję jeden ustęp, poświęcony wspomnieniu

kasztelanowéj kamieńskiéj. Znał ją około roku 1784 i później odbywając we Lwowie kurs nauk uniwersyteckich. W tych słowach opisuje on i samą osobę i tryb jéj domowy: „Z kolegą moim uniwersyteckim Stanisławem Tarnowskim uczęszczaliśmy do jéj domu na obiady i wieczorki, gdzie spotykając najznakomitsze osoby, mieliśmy sposobność zawiązać odpowiednie urodzeniu naszemu stosunki i znajomości. Ponieważ o kasztelanową opierały się różne sprawy, a mianowicie obchodzące Potockich, których była wyrocznią, więc przypominam sobie, jak podczas téj haniebnéj sprawy z awanturnicą Dugrumów, gdzie szło niby o strucie ks. Adama Czartoryskiego generała ziem podolskich, a do czego i Potoccy byli wmięszani, widywałem w jéj domu pierwszych reprezentantów téj rodziny, mianowicie Ignacego i Stanisława, przyjeżdżających z Warszawy po radę w téj zawiłéj sprawie.

„Gdym ją poznał, na dobre była już głuchą, i nieraz, mimo trąbki, musiałem zrywać piersi przy każdéj dłuższéj rozmowie. Zwyczajem magnatów staropolskich trzymała zawsze otwarte stoły. Nieraz zdarzało się, że mimo licznych gości przy obiedzie, sama gospodyni ponosiła nie-

mal wszystkie ekspensa konwersacyi i dowcipu; słuchacze byli echem, które je roznosiło po mieście.

„Ile sobie przypominam, była wzrostu średniego, ubierała się w robrony na rogówkach, staroświeckie, z mocnéj materyi, z długiemi angażantami, z brabanckich koronek, na głowie zaś na gęstéj z siwych włosów fryzurze wzbijał się fantastycznie upięty kornet. Cała postać matrony wiernie przypominała pompatyczne saskie czasy. Głos jéj męzki, tubalny, rozlegał się po całéj sali, a tak żaden jéj koncept niebył stracony.

„Treść rozmowy nigdy nie była płocha, ani też o byle czém, aby gadać; zawsze materyi dostarczał jaki publiczny wypadek. Zdanie o rzeczach miała trafne i uczciwe; ilekroć jednakże tyczyło się co familii Potockich, bezstronność jéj ulegała ślepemu przywiązaniu. Rzadko bowiem znaleźć było osobę tak dbałą o powodzenie i sławę swoich bliższych i najdalszych familiantów, jak ona. Nietylko dopomagała im, ujmowała się za nimi, ale nawet umiała macierzyńską ręką karcić, jeżeli który z młodszéj generacyi co przeskrobał, jak się to stało jednemu z jéj wnuków, za wmięszanie się do niemiłéj jéj partyi pana Szczęsnego.

„W zwykłym trybie życia stawała bardzo rano.

i czasem już o ósméj oddawała wizyty. W ciągu dnia zajmowała się drylowaniem galonów i haftów i słuchaniem gazet, które zazwyczaj lektor donośnym obdarzony głosem, czytywał, a ona najpospolitszych nocyj geograficznych nie mając, wyrywała się nieraz z zapytaniem o najbłachszą rzecz, którą stary kasztelan Konarski, wielki jéj przyjaciel, lecz także niewielki geograf i statysta, zazwyczaj objaśniał.

„Przez trzy lata bywając u niéj raz lub dwa na tydzień, krocie pamiętałem jéj dowcipnych odpowiedzi, które przy podeszłym wieku wywietrzały mi z głowy. Zacytuję jednakże kilka dowcipów mniéj znanych, które w mojéj obecności na świat przyszły.

„Jakoś w porę krwawego terroryzmu we Francyi, przyszła do nas moda noszenia krótkich stanów u sukien damskich i zakrywania czoła włosami, a że we Lwowie w tym samym czasie panowała wielka rozwiązłość w obyczajach i rozwodzono się na wszystkie strony, tedy kasztelanowa, widząc takie modne damy, powiedziała o nich, że są teraz bez czoła i stanu.

„Zdarzyło się, że jakiś wędrowny obdartus przyszedł do niéj po wsparcie, i zaczął łamanym

językiem z czeska zachwalać swoje zdolności do wszystkiego. Kasztelanowa wysłuchawszy go, zapytała: — Zkądże waść jesteś i jak się nazywasz? — Z Czech jestem nazywam się Nagi — odpowiedział uradowany, że umiał swą osobą zainteresować. — Nie turbuj się wpan, choceś nagi, prędko u nas w pierze porośniesz.

„Inną razą jadąc poczwórną landarą z gubernatorem Brigido, spotkała obdartego Niemca. „Stój!“ krzyknie na stangreta kasztelanowa, — a do hajduka: „otwieraj i spuść stopnie!“ — Zapytuje ją Brigido, co zamyśla robić? — „Zaproszę tego szanownego pana do karety, odpowiedziała, bo kto wie czém on jutro będzie; wypada zawczasu skarbić sobie jego względy.“ Docinek ten uczuł Brigido i ledwo uprosił kasztelanowéj, że obdartusa zbyła jałmużną.

„Podeszła ta matrona nielubiła nic obwijać w bawełnę i cięła prawdę każdemu w oczy, choć czasem niegrzecznie.

„Przytoczę wypadek, który w obecności mojéj spotkał niewygasłéj pamięci Tadeusza Czackiego. Wtedy był to człowiek młody, ale do spraw politycznych używany i już głośny z nauki. Owóż przyjechawszy z Warszawy do Lwowa po intere-

sie, prosił mię jako krewnego i przyjaciela, abym z nim pojechał do św. Jura i przedstawił go kasztelanowéj, któréj pragnął złożyć powinną atencyą; co téż chętnie uczyniłem. Przy prezentacyi wyciął sam Czacki długi kompliment, przypominając jéj ojca swego podczaszego koronnego, a zapominając że kasztelanowa miała z nim niegdyś uporczywy graniczny proces. Kasztelanowa, stojąc na środku sali, wysłuchała oracyi cierpliwie i bez najmniejszego poruszenia, a w końcu z najzimniejszą krwią rzekła: „Słyszałam nieraz od pani Krakowskiéj (jako nieomylną powagę, często lubiła ją cytować) że do kogo miała urazę, to i jego dzieci, krewnych, a nawet karet, koni, piesków i cokolwiek do niego należało, nie lubiła; to samo i ja czynić zwykłam.“ Wymowny i zawsze umiejący się odciąć Czacki, nie spodziewając się takiego powitania, stanął jak wryty, zapomniawszy w gębie języka. Kasztelanowa zaś, jakby nic nie zaszło, najspokojniéj powróciła na swoje krzesło...

„Muszę tu dodać nawiasem, że śp. Czacki podczaszy koronny, acz najszanowniejszy obywatel, miał wadę pieniacką, i nie było sąsiada, któremuby procesem niedokuczył. Kasztelanowa, pa-

miętając na przykrość od ojca doznaną, odpłaciła synowi, nabawiwszy go niemałéj konfuzyi.

„Przypominam sobie także, gdy raz przy stole była mowa o panach Mirach, wojewodzie i kasztelanie, których nie lubiła, odezwała się do obecnych osób: „Słyszałam od staréj pani Krakowskiéj, jak się chwaliła że nikt nad nią większéj nie powinien doznawać opieki; ma bowiem świętego w niebie (Jana z Dukli), w senacie Karasia a w wojsku generała Mira, wszystkich trzech rodem z Dukli.“ Ten generał był ojcem wspomnionych Mirów.

Zdarzyło się czasami że kto, ucinkom kasztelanowéj, odciął się jéj równie dobrze i dowcipnie, wtedy nie gniewała się bynajmniéj, owszem powtarzała: „toś mi niemiłosiernie odpłacił; nigdy cię już nie zaczepię!“

Wiele anegdot jéj, zarywających na ton bardzo rubaszny, nigdy nie mogłoby dostać się do druku, bez obrazy dzisiejszych delikatnych uszu. Rzecz osobliwa: nasi starzy ojcowie i matrony nie przebierali w słowach i konceptach, a mimo tego nie można ich pomówić o rozwiązłe myśli i gorszące słowa. Była to po prostu jowialna rubaszność, zdradzająca raczéj brak salonowego poloru, niż

duszę zepsuciem skażoną; była to prostota obyczaju, nie zaś wyrafinowana rozpusta. Kasztelanowa w dowcipach swoich zostawała w ścisłem powinowactwie z fraszkami Kochanowskiego i z Jovialitates Wacława Potockiego. Dzisiejszy dowcip całkiem innego kroju...

Do ustępu podanego z pamiętników wojewody W. wypada mi jeszcze dorzucić kilka rysów, jakie mi skreśliła o domu kasztelanowéj osoba znająca ją niegdyś.

Dom jéj urządzony był całkiem w sposób staropolski. Meble ozdobne, ale odwieczne, nieodmieniane podług zmieniającéj się mody. Gościnność niesłychana; ale nie w tém rozumieniu, aby jak do domu zajezdnego każdy bez przedstawienia się gospodyni wchodził — tylko gościnność umilona uprzejmem przyjęciem saméj pani, lubiącéj pamiętać o najdrobniejszéj wygodzie gościa. Stół smaczny, lecz niewykwintny, także na dawny sposób, potrawy tłuste, korzenne, półmiski czubiaste. Służby wszelkiego gatunku mnóstwo; każdy wychowany od małego i do śmierci służyć gotowy. Byli tam: marszałek, kamerdynery, lokaje, pajucy, hajducy, laufry, kredencerze, masztalerze, stangrety, forysie, Węgrzyny, Kozaki i najliczniejszy

frauencymer. Kasztelanowa kochała się przytem w karłach i miała ich cztérech, a dwie karlice. W podróż zabierała je z sobą do landary; w czasie zimy, gdy karlątka poziębły, kazała im w pierwszéj lepszéj karczmie gotować jaja i dawać w ręce dla ogrzania się. W ciągu długiego życia nigdy prawie nie zapadała na zdrowiu; nawet ból głowy i zębów był jéj nieznany. Jadła wiele i z apetytem; najulubieńsze dla niéj specyały były: grzyby, sztokfisz i bigos hultajski. Kogo bardzo faworyzowała, temu sama dokładała na talerz ulubionych potraw. Interesa własne i cudze umiała prowadzić z rozsądkiem i taktem; nie zasypiała żadnéj sprawy: bo umysł jéj bystry i czynny wiele przedmiotów naraz obejmował. Jednocześnie dyktowała list i rozmawiała z adwokatem, bawiła gościa i kommissarzowi wydawała polecenia, liczyła pieniądze z dzierżawy i ekspedyowała je różnym potrzebnickim, których zanotowała sobie w pamięci; a w ciągu tego znalazła zawsze sposobność na jaki zabawny koncept lub dowcip, który wszystkich rozśmieszał. Nie mając dzieci, nie miała dla kogo zbierać; nie zbierała téż grosza, ale starała się o utrzymanie fortuny w dobrym stanie, raz dla pozostawienia jéj familii, po

drugie, że było to źródło, z którego czerpała w najlepszych celach. Ostatnia ta matrona umarła we Lwowie r. 1801. O sukcesyą po niéj rozpoczęły się długo trwające procesa między jéj a mężowską familią. Ogromna fortuna poszła po różnych rękach; została tylko pamięć przechowana o jéj dowcipie, którym długi czas dla zabawy kompanii zaprawiano konwersacyą.

MARYA Z X. CZARTORYSKICH
XIĘŻNA WIRTEMBERSKA.

(1768—1854).

Sławny nasz filozof moralista siedmnastego wieku, Andrzej Maxymilian Fredro, powiedział: „Wielkie rzeczy zamilknieniem najlepiéj się mówią“ — co zastosować można do tych rzadkich istot o których niewiele mówią za życia, bo życie ich jest ciche, uczynki ukryte, poświęcenia się nieznane, chyba bardzo małéj liczbie poufnych. Mówiące to zamilczenie staje się dopiéro głośném na mogile, jeżeli żyjącym uda się pozbierać te wonne kwiaty żywota i położywszy je przy sercu obdzielać ich wonią nowe pokolenia. Kwiaty te nieusychają nigdy,

przynajmniéj tak długo, jak żyje w nas wiara w dobre i piękne; dlatego téż miejsce naznaczyłem im przy sercu, aby stały się balsamem na rany zadawane przez świat samolubny i próżny, wymagający a dokuczliwy, obojętny na cierpienie i nieskwapliwy do usług, jeżeli te niemają mieć rozgłosu, lub prędszéj nagrody.

Budującym jest żywot chrześciańskiego poświęcenia się w ubożuchnym stanie; lecz wśród wielkości, dostatków i dostojeństw, żywot prosty a cichy, a skazujący się na ubóstwo dla tém większéj liczby miłosiernych uczynków, na wytrwałą pracę służenia bliźnim, budzi o tyle większe uwielbienie, gdy ze sfer swoich wysokich dopatrzeć umie i najdrobniejszéj istoty, aby ją wesprzeć ramieniem, jeżeli upada, przytulić, jeżeli opuszczona.....

Taka była treść żywota księżnéj Maryi Wirtemberskiéj; a żywot to bardzo długi, bo przechodzący nieledwo zwykły zakres lat dzisiejszych ludzi.

Marya Anna, córka księcia Adama Kazimierza na Zukowie i Klewaniu Czartoryskiego generała ziem podolskich, feldmarszałka woj. austr. i Elżbiety (Izabelli) z Flemingów podskarbianki W. X. Litt. przyszła na świat d. 15 marca 1768 r. i była najstarszą w rodzeństwie, które szło w tym po-

rządku: Adam (urodz. 1770), Konstanty (1773) i Zofia (Zamojska) 1774. —

Od pierwszych lat dzieciństwa rozwijała się w niéj ta wrodzona słodycz duszy i charakteru, ta niewyczerpana dobroć, która łącząc się z urokiem młodości i z pięknémi darami umysłu, robiła z niéj istotę wyjątkową, prawdziwą rozkosz i pociechę rodzicielskiego domu, a przedmiotem uwielbienia dla mających szczęście zbliżyć się do niéj. W pańskim tym dworze wszyscy, do najniższego pachołka, kochali ją i gotowi za nią dać głowę, świadczyli tém samém, ile szczęścia umiała rozlewać w swém kółku, ile obudzać sympatyi. Nieraz kiedy jéj miłosierdziu i chęci świadczenia dobrodziejstw, zbywało na sposobności wywiązania się względem podobnych sobie istot, zwracała pieczołowitość do zwierząt, a nawet roślin, dlatego że je cierpiącemi widziała. Śliczna ta dusza niemogła patrzeć na cierpienie, żeby je niepodzielić; a chociaż nieraz pognębiona istota niepotrafiła opowiedzieć co jéj dolega, miała na to dar zgadywania, miała tę *domyślność serca*, którą położyła na tytule miłośnéj i tkliwéj powieści: *Malwina*.

Wychowanie Maryi staranne i pańskie, odbyło się pod okiem matki, śród przepychu i wspania-

łości Puław, tego czarującego ogrodu, opiewanego przez Delila i innych rymotworców zeszłego wieku. Dwór prawdziwie książęcy, napływ gości sąsiednich i zagranicznych wabionych uprzejmością, dostojeństwem i światłem gospodarzy, głośne uczty i festyny, zgoła ten wir wielkiego świata, który po Warszawie miał tu drugą stolicę — wszystko to niemogło ani jéj skromnych nawyknień, ani wstrętu do wykwintnego i rozrzuconego życia przerobić. Zostając zawsze przy uroczéj prostocie, poczytywała się za najszczęśliwszą, kiedy składając wymuszoną etykietę przywiązaną do swojéj pozycyi, mogła zamięszać się w tłum i zniknąć, aby pospieszyć do swoich ulubionych włościan i poufnych przyjaciół, których jéj serce wybrało.

Zaledwie wchodziła w lata panieńskie, kiedy w r. 1784 na d. 28 października przyszło jéj oddać rękę Ludwikowi Księciu Wirtemberskiemu*). Lubo przez związek ten wchodziła w powinowactwo z domami monarchicznémi, nietylko niewzbiła się w dumę z tego wyniesienia, ale owszem niemogła się z tém oswoić, że jéj tyle nowych wielkości przybyło. Niektórzy utrzymywali, że związek ten

*) Był stryjem panującego króla Wirtemberskiego; zgon jego przypadł w r. 1817.

skłonił się w widokach politycznych, będąc popierany przez Fryderyka II. króla pruskiego, który nawet własnoręcznym listem miał polecić księstwu Czartoryskim swego siostrzeńca; z tém wszystkiem podanie to znajduje zaprzeczenie w niedukontentowaniu rodziców pana młodego. Książe Ludwik podbity był wdziękiem i przymiotami księżniczki Maryi, a do tego pochodząc z niezamożnéj linii Wirtembergów — Montbeliard, widział dobry interes w pojęciu posażnéj panny. — Ona również, przynajmniéj tak opiewa nadworny poeta Kniaźnin w poemacie poświęconym temu aktowi, pod tytułem: *Rozmaryn*, po zwykłych wahaniach się i łzach, uczuła potrzebę wynagrodzić oblubieńca tą miłością do jakiéj ją zobowiązywał:

Z pośród pieszczonéj swobody
Kwapliwa chwyta ją ręka
I do złotéj niesie klatki:
Ona zaś od lubéj matki
Jak wonny listek różany
Świeżo z pączka oderwany,
Jakże okrutna to chwila!
Doznała jéj Amaryla,
Nim umysł smutnie wahany
Serce, *po ciężkiéj przewadze,*
Oddał miłość pod władzę.

Amaryllа i Lindor! pod tym sielankowym kostiumem ukrywa się księżniczka Marya i Książe Ludwik. Lubo trudno z sentymentalno - ckliwo - symbolicznego języka poety dojść rzeczywistych szczegółów, tyle jednak z amfigurycznych obrazów dociec można, że Książe był podobnoś w służbie pruskiéj i konsystował koło Gdańska, gdzie dowiedziawszy się o pięknéj księżniczce, zapragnął ją poznać,.., i zajechał do Puław.

Jeżeli konkury niedoznawały trudności ze strony rodziców panny — to przeciwnie rodzice narzeczonego dowiedziawszy się o jego zamiarach, odmawiali pozwolenia swego na ten związek. Uważali bowiem, że chociaż księżniczkę Maryą łączyło blizkie pokrewieństwo z królem Stanisławem Augustem urodzonym z Czartoryskiéj, to zawsze rodzina wyniesiona na tron elekcyjny, niemogła rościć sobie prawa do tego znaczenia w hierarchii panujących, co domy należące do starych dynastyi. Tak przynajmniéj tłumaczy nam to baronowa Oberkirch w swoich pamiętnikach, zawierających i inne szczegóły tego maryażu.

„Owoż starzy księstwo Wirtemberg — Montbeliard — pisze baranowa — nalegali na syna, aby ten maryaż odłożył, albo go całkiem zerwał.

On zaś trochę lekkiego charakteru, przytem uniesiony namiętnością, niezważał na to i ożenił się wprzód, nim pozwolenie rodziców otrzymał. Być może, że książe Czartoryski źle zrobił przychylając się do tego związku nieupoważnionego zezwoleniem domu Wirtemberskiego, lecz powody dla których tak postąpił, łatwe są do wytłumaczenia: raz, że mu ten związek pochlebiał, następnie, że się czuł słusznie obrażonym przez lekceważenie jego koligacyi; krew bowiem królewska płynąca w jego żyłach robiła go godnym mieszczenia się w jednym rzędzie z domami udzielnych książąt; nareszcie, i to najważniejsza, że córka jego szalenie zakochana w Księciu Ludwiku widocznie traciła zdrowie, czego ojcowskie oczy znieść niemogły...

„Odbyło się więc wesele — a po tym akcie zaczęto myśleć o ukojeniu nieukontentowanych rodziców w Montbeliard. Książe Ludwik udał się o pretekcyą do swojéj dostojnéj siostry (żony W. księcia Cesarzewicza Pawła), a ta odesłała go do mnie z następującym listem:

$^{17}/_{28}$ grudnia 1784 r.

„„Kochana Lanele. List ten dojdzie rąk Twoich przez mego brata Ludwika, który jedzie upaść do

nóg drogich naszych rodziców i prosić ich o przebaczenie, wraz ze swoją miłą małżonką. Zaklinam Cię na Boga, kochana Lanele, nieodstępuj mojéj bratowéj, która zatrzyma się w la Chapelle i w Belfort do chwili, póki pierwszy wybuch złego humoru nieminie, a która mimo tego po kilku dniach nieomieszka rzucić się do nóg naszych drogich rodziców. Bądź jéj aniołem opiekuńczym, radź jéj i naucz, co ma robić, żeby pozyskać względy i miłość papy i mamy. Żądam od Ciebie tego dowodu przyjaźni, w przekonaniu że mi nieodmówisz. Zaklinam Cię również żebyś mię niemięszała w to wszystko i powiedziała za bytności w Montbeliard, że towarzyszysz mojéj bratowéj, li tylko na żądanie mego brata. Jakże Ci podziękuję kochana Lanele! gdy Tobie zawdzięczymy zgodę w téj rodzinie, co zawsze była przykładem miłości i zgody. Jeżeli mój brat opowie Ci całą swoję historyę, przekonasz się, że niezasługuje na naganę, i że każdy inny w jego położeniu byłby zrobił to samo. Żegnam Cię kochana Lanele i t. d.

Marya Feodorówna.“

Pokazuje się z powyższego listu że nawet wdanie się córki musiało być tajone przed rodzicami,

kiedy ta zaklina baronowa, aby niemówiła, że z jéj natchnienia interesuje się młodą małżonką Księcia Ludwika. W obec gniewu starych księstwa nawet protekcya Wielkiéj Xiężnéj rosyjskiéj; niezasłaniała pary szukającéj przebaczenia.

Baronowa tak opisuje sceny pojednania:

„Pewnego wieczora, kiedy się niespodziewałam nikogo z gości, zjawił się u mnie Książe Ludwik ze swoją żoną, zachowując największe *incognito* i niemeldując się nawet. Łatwo pojąć zdziwienie moje, zwłaszcza gdy przeczytałam list Wielkiéj Księżny, i zrozumiałam czego po mnie żądano.

— Nieprawdaż kochana baronowo, pojedziesz z nami? Jutro wyjedziemy z tąd. Zastąpisz mi siostrę moją, dla której masz taką przyjaźń; ona bowiem będąc daleko, niemoże podjąć się pośrednictwa.

— Mości Książe, zrobię co można, ależ ja na nieszczęście, niejestem Wielką Księżną.

— Matka moja, taka dobra, przebaczy nam i będziemy szczęśliwi!

Wtenczas byli oni prawdziwie szczęśliwi, lubo szczęśliwość małżeństw z przywiązania niestety! trwa niedługo; inaczéj byłby to raj na ziemi.

Ułożyliśmy się aby między sobą trzymać się

panu W. księżnéj; podług tego miałam z żoną Księcia Ludwika pojechać do Belfort lub do la Chapelle i tam czekać, póki Książe nieprzełamie pierwszych wybuchów ojcowskiego gniewu. Pan Oberkirch pozwolił mi wmięszać się w tę sprawę, zalecając największą roztropność, aby w niczem nienarazić się staréj księżnie, mającéj dla mnie tyle względów.

Wyjechałam nazajutrz rano w karecie Księcia Ludwika, w towarzystwie téj pary gołąbków zakochanéj w sobie aż miło. Młoda księżna drżała jak listek, ale Książe ją uspokajał, mówiąc: Moja matka, to sama dobroć! —

— Opieraj się Książe na Jagiellonach — mówiłam mu — to gałąź twego zbawienia.

— Czyż tyle razy nieocalili i kraju swego i chrześcijaństwa? — dodawała z pewną dumą księżna Marya. Przyjechaliśmy w wieczór. Chciałam natychmiast wyprawić Księcia Ludwika do Montbeliard, ale się uprosił do jutra rana, dodając: Ta noc potrzebna mi do przygotowania się; pierwszy moment powitania, to trudny do zgryzienia orzech.

„Odjechał więc nazajutrz. Młoda jego małżonka płakała przez cały dzień, a lubo starałam się uspokoić ją, nic niepomogło. Cały czas stała

oknie i niemówiła o niczém tylko o swoim mężu i przeprawie z rodzicami.

— Jeżeli zaraz powróci — to najgorszy znak — mówiła do mnie — a przecież pragnę żeby wrócił. Książe niewrócił tego dnia; nazajutrz napisał tylko że przeprawa była trudna, ale że niewątpi o pomyślnym końcu. Jak zaś ma daléj postąpić, ułożył plan ze siostrami. Drugi ten dzień przeszedł jak poprzedni; te same obawy, żale, nadzieje. Wieczorem około piątéj usłyszeliśmy turkot powozu. Księżna Marya pobiegła do sieni i znalazła się w objęciach swego małżonka.

„— Zabieram was obiedwie moje panie — rzekł do nas. Ciebie moja droga Maryniu schowamy w pokoju hrabiny Wartensleben, a tymczasem poczciwa Lanele, pomoże mi w imieniu mojéj siostry (W. Ks. Rossyjskiéj) przebłagać naszych rodziców, już nieco zmiękczonych. Pokażesz się dopiéro, gdy cię zawołamy.

„— Ruszyłyśmy w drogę, ukrywając księżnę, a ja tylko sama weszłam do salonu, gdzie księżna Montbeliardzka bawiła się konwersacyą przed wieczerzą. Postrzegłszy mię podniosła głowę.

„— Witam, witam! rzekła oziębléj niż zwykle.

Domyślam się co tu Wpanią sprowadza. Czy stoisz po stronie nieposłusznych?

Chciałam odpowiedzieć!

„— Dosyć już, ani słowa — dodała przerywając; dziś wieczór pogadamy o tém. Książe Pan niepomału gryzie się tém szaleństwem, niepotrzeba go dręczyć.

„W rzeczy saméj, znalazłem smutnie usposobionego starego księcia, co oddziaływało na towarzystwo zebrane w salonie. Rozmowa téż była urywaną. Pani Wartensleben dała znać, że niezejdzie do salonu z powodu migreny; a książe Ludwik co chwila wybiegał, niemogąc na miejscu dosiedzieć. Rodzice jednak zdawali się niezwracać na to uwagi. Stara księżna wcześnie pożegnała kompanię i dała mi znak żebym poszła za nią. Znalazłszy się sama w jéj apartamencie, rzekła do mnie:

„— Powiedzże mi, z jaką misyą przybywasz od tych nieszczęśliwych dzieci? Gdzie jest jego żona?

„Wahałam się odpowiedzieć.

„— Mówże gdzie jest? Nielękaj się mego gniewu.

„— Tutaj! — odrzekłam.

„Księżna wzdrygnęła się.

„— Tutaj! w moim domu! bez mego zezwolenia!! Któż był tak śmiały przyjąć ją?

„— Ja, pani!

„— Ty, Lanele! i nielękałaś się rozgniewać mię, zasmucić?

„— Książe Ludwik jest, Pani, twoim synem, a Księżna Marya jego żoną; zbyt wiele masz wielkości i serca, żeby nieuznać, że co się stało, odstać się niemoże. Opór do niczegoby niedoprowadził, chyba do nieszczęścia tych dwojga dzieci, a tego pewnie sobie nieżyczysz.

Księżna milczała; po chwili rzekła spokojniéj:

„ Mniemasz-li że panujący książe, że król pruski, pochwalą ten wybryk? Jak ci się zdaje baronowo?

„— Czy pochwalą? niesądzę; ale jestem pewna, że przyjmą:

„Maryanna ma nazwisko, krew Bogów w niéj płynie"

„Na tę cytatę księżna uśmiechnęła się nieznacznie; lubiła bowiem wiersze i cytacye trafnie zastosowane.

„— Czartoryscy — mówiłam daléj — pochodzą od Jagiellonów, którzy byli panującą dynastyą. Król polski, Stanisław August, jest stryje-

człym księżniczki; takie pokrewieństwo jest przecież bardzo zaszczytne.

„— Nieprzeczę; z tém wszystkiem Czartoryscy są rodziną prywatną...

„— Być może; ale należą do najpierwszych magnatów swego kraju.

„— To prawda; jednakże....

„— Księżniczka, taka urocza....

„— Wiem o tém.

„— I czyż więcéj potrzeba? kochają się, są szczęśliwi, aż miło patrzeć.

„Księżna coraz bardziéj była wzruszoną.

„— Ależ to takie młode!

„— Książe Ludwik także nie stary.

„— W tém też największe nieszczęście! pobrało się dwoje dzieci. Zresztą mój wuj, król Fryderyk, wiesz jak nielubi czułości; miłość go żadna niewzrusza. Przedewszystkiem chce on uszanowania i posłuszeństwa — zobaczysz że niedaruje im tego.

„— Jeżeli księstwo przebaczycie, to i on przebaczy.

„— Mój mąż bardzo rozjątrzony.

„— Pani!....

„— Cóż takiego?

„— Powtarzaj mu ciągle o Jagiellonach, o wdzię-

lach księżniczki Maryi, o waszem przywiązaniu w latach młodych, o jego czułości dla dzieci — a zmięknie.

„— Dobry z ciebie adwokat, Lancie.

„— Zresztą — co się stało, trudno odrobić. Niepodobna żebyś W. książęca Mość chciała rozerwać to, co Pan Bóg złączył; niebyłoby to ani po chrześciańsku, ani po rodzicielsku.

„— Po cóż było sprowadzać tutaj księżniczkę? jest to zuchwałość nie do przebaczenia, żeby was ukarać, powinnam ją natychmiast z domu wyprosić.

„— Jakto? żonę twojego syna, księżno, syna ukochanego? Nieprzypuszczam aby rodzina tak zgodna, tak szczęśliwa, odpychała od siebie jednego z swych członków, za to, że szukał szczęścia dla siebie. Pomyśl Pani, czy to rzecz możebna.

„— Cóż mówi na to Wielka księżna? czy wie o wszystkiem?

„— Wielka księżna powiada — że Wasza Xiążęca Mość jesteś wzorem najczulszych matek.

„— Duża łza potoczyła się po licu księżny.

„— Słuchaj Lancie — rzekła — dziś jeszcze pogadam z mężem; jutro rano przyjdź do mnie, a dowiesz się o skutkach moich perswazyi.

„Uradowana zwycięztwem otrzymanem w pole-

wie pożegnałam księżnę, i pobiegłam zdać sprawę młodéj parze z téj całéj rozmowy. Wyznaję, że obiecywałam sobie zupełną wygraną. Niemogąc prawie zasnąć, wstałam do świtu, i udałam się na przedpokoje staréj księżny, która kazała mię przywołać, gdy jeszcze była w łóżku. Na pierwsze wejrzenie wyczytałam z jéj twarzy pomyślną wróżbę.

„— Lanele, rzekła do mnie — siadaj tu i słuchaj; powtórzysz im co ci powiem, z całą twoją oględnością. Mówiłam z mężem; cała ta noc zeszła nam na téj rozmowie, aczkolwiek boli nas to głęboko, z tém wszystkiem, jak powiedziałaś: co się stało, odstać się niemoże; a więc trudno odepchnąć ich od siebie, niechże przynajmniéj postępowaniem swojem, wzajemnem przywiązaniem i szczęściem jakiego będą doznawać, starają się zasłużyć i usprawiedliwić naszą wyrozumiałość. Najwięcéj przestrasza mię, ta ich zbytnia młodość i ta gwałtowna miłość tych dzieci; najczęściéj bowiem tego rodzaju stadła, zawiązane mimo woli rodziców, niewiodą się. Obojgu gruba zasłona zakrywa oczy i serce; jedno drugiego niezna, dopiero po upływie kilku lat inaczéj patrzą na siebie, oziębiają się, swarzą, nienawidzą i rozwodzą. Oby dobry Bóg oszczędził tych nieszczęść tym

ukochanym dzieciom! Błogosławieństwo moje i modły może oddalą od nich ten kielich goryczy!

„Niemniéj jak księżna i ja czułam się wzruszoną; ucałowałam jéj ręce; ona zalewała się łzami, mnie również na płacz się zbierało.

— Jak tylko wstanę, pójdę do męża — mówiła daléj księżna — tymczasem ty sprowadź swoją parę, niech do nóg ojcu upadnie, a on ich przyciśnie do serca. Uspokoj ich żeby niebyli bardzo pomięszani; bo czegoż się mają obawiać? potém pójdziemy na śniadanie, i nowe to dziecko tak będzie przyjęte, jakbyśmy ją wybrali sami.

„Kochana, nieoceniona Matko, jakież to serce! jaka wyrozumiałość!

„Niepotrzebuję opisywać sceny pojednania; łatwo ją sobie wyobrazić. Rodzice okazali się, jakimi byli w gruncie, najlepszymi, najtkliwszymi. Płakaliśmy wszyscy. Książe Ludwik zanosił się od płaczu; księżna Maryanna omal niezemdlała; wzruszenie było powszechne. Młoda synowa miała niewypowiedziany urok; w każdym jéj ruchu i słowie, tyle gracyi, taka swoboda, tak coś ujmującego, że niepodobna było niepokochać jéj odrazu.

„— Oto najlepsza twoja exkuza — rzekł stary książe do syna wskazując na księżnę Maryannę —

teraz tłumaczę sobie dla czegoś nieczekał na nasze zezwolenie.“ —

Łatwo pojmiemy jak przykremi były dla panny wielkiego domu, wychowanéj w pieszczotach, należącéj w swoim kraju do najpierwszych partyi — te wszystkie sceny pojednania. Zniosła je przecież bez szemrania, bo miodne miesiące zamężcia słodziły przykrości upokorzenia. Nowy ten jednak rodzaj dworskiego etykietalnego życia, dla niéj, wychowanéj w swobodzie wiejskiéj, w prostocie patryarchalnéj choć na pańskim dworze — stawał się nieznośnym. Mawiała też często w starości swojéj gdy wspominała dawne czasy; że nigdy się nieczuła bardziéj nieszczęśliwą, jak wtedy, kiedy dama honorowa i szambelan, zaczęli składać główną część jéj dworu. — Do niéj możnaby zastosować słowo poety:

„Wyniesiona do szczytu, pragnęła się zniżyć.“

Niewiem jak długo pociągnął się jéj pobyt w Montbeliard. To tylko wiadomo, że starzy księstwo chcieli ją zawieść do Paryża i przedstawić na dworze Wersalskim; z drugiéj strony książe Ludwik zostający jeszcze w służbie króla pruskiego, spieszył się do swego garnizonu w małem miasteczku Pomeranii.

Była to nader pociągająca pokusa poznać ten dwór pełen uroku elegancyi i dowcipu, a nadewszystko królowę Maryę-Antoninę będącą w ówczas przedmiotem uwielbienia i dumy całéj Francyi; pokusa tém większa, że już niektóre niesmaki pożycia małżeńskiego dawały się jéj uczuwać; jednakże w duszy szlachetnéj i pobożnéj umiała odróżnić czego po niéj wymagał obowiązek małżeński: i bez wahania się wybrała z mężem swoim drogę do Pomeranii. Jeżeli dziś Pomorze pruskie liczy się do bardzo smutnych krajów, to czemże musiało być w upłynionym wieku, kiedy ciemnota i nieokrzesanie jéj mieszkańców odpowiadały dzikiéj i jałowéj ziemi. Nic naturalniejszego, że się znalazła tam zupełnie obcą, prawie wygnanką; a co gorsza ofiarą nudów swego małżonka. Jednakże piękna ta dusza umiała sobie złagodzić to położenie, dzieląc tęskne i długie chwile osamotnienia (książe bowiem lubił towarzystwo oficerów i polowanie) między modlitwą a nauką. — Mając wykształcony umysł na literaturze francuzkiéj, postanowiła pisać w języku autorów, których uważała za swoich mistrzów i wtenczas to miały wypłynąć z jéj pióra wiersze pełne wdzięku, których świat nigdy nieznał; jeżeli je zachowała,

to tylko jako prywatną pamiątkę, wspomnienie chwili.

Bardzo można przypuścić, że w stosunkach domowych krótko trwała harmonia; humory się niezgadzały. Jeżeli weźmiemy na uwagę skromne nawyknienia księżny, jéj usposobienie całkiem sercowe wypieszczonego dziecka, zmuszone co chwila ścierać się z zimną etykietą dworską, któréj po niéj w każdym kroku wymagał niedość delikatny małżonek, a do tego ciągle dręczone przywidzeniami uwłaczającémi jéj charakterowi — to nam może się wyjaśnią niektóre ustępy w późniejszym jéj romansie, *Malwinie*, gdzie bohaterka zdaje się mieć blizkie powinowactwo z jéj własną osobą. —

Posłuchajmy téj ukrytéj pod przybranem imieniem autobiografii:

„Idąc za mąż Malwina, choć daleka od tego, żeby powab, albo przyjemność jakąkolwiek w przyszłem obiecywała sobie postanowieniu, wstręt nawet i odrazę czując do męża, którego jéj radzono, — przyjęła go jednak, bo rodzice przyjąć kazali; lecz nim ostatnie dała swoje zezwolenie, oświadczyła przyszłemu mężowi, że nieczując żadnego do niego przywiązania, jedynie z rozkazu

rodziców za niego idzie. Na co jéj odpowiedział: że bynajmniéj to nieszkodzi; że raz będąc jego żoną, do niego się przyzwyczai, i że w wypełnieniu swoich obowiązków znajdzie i szczęście. Zupełny ten brak delikatności przejął trwogą serce Malwiny, nader smutnym nadal wróżąc losem!...

„Mąż który niewyrozumiałą zazdrość do wielu innych łączył przywar, wywiózł ją zaraz od familii i znajomych do odludnego zamku w głąb najdalszéj prowincyi. — Tam dzikością charakteru, zazdrością bez powodów i ustawicznemi i popędliwemi wyrzutami: że go niekocha, truł młode jéj lata, dnie i godziny.... Malwina wprawdzie kochać go niemogła, ale żadnéj mu przyczyny niedawała, aby mógł słusznie powiedzieć, że mu w czém uchybia....

„Po dwu leciech takiego pożycia, uprzykrzył sobie męczyć żonę niedzielonem kochaniem, i zmieniwszy całkiem sposób życia, dnie całe trawił z kilką sąsiadami, równie jak on grzecznymi, na gonieniu, męczeniu i zabijaniu biédnych sarn, lisów i zajęcy, a wieczorami, z polowania wróciwszy, z tymiż samymi sąsiadami, pił okropnie do późnéj nocy....

„...Z razu, to zupełne opuszczenie zasmuciło

i zatrwożyło Malwinę — ale szczęściem, natura dała jéj imaginacyą żywą i chęć zatrudnienia się. Te dwa przymioty broniące ją od nudów, uczyniły stan Malwiny nietylko znośnym, ale często nawet przyjemnym.

„Obfita biblioteka pozwalała jéj kształcić umysł, dziecinny jeszcze, i w zasady pewne ustalić... przytem niegardziła niewieściemi robotami, a ranki i wieczory poświęcała długim przechadzkom pomiędzy skałami, lasami i t. p. Nieraz w tych samotnych przechadzkach, serce jéj znajdowało miłe zajęcie, gdy do ubogich chat wstępując, pocieszenie, dobry byt i zdrowie, co zatem idzie, ze sobą przynosiła. Błogosławieństwo starych, dzięki młodych, uśmiech dzieci, odbierała w nagrodę i w wieczór do ponurego swego zamku z najpogodniejszém sercem wracała...“

Lubo ten portret w niektórych może rysach oddala się od rzeczywistości, mianowicie gdy Malwina utrzymuje, że niemiała od samego początku żadnéj skłonności do swego, narzuconego jéj męża, to po ostatnim rysie, któżby niepoznał portretu księżny Maryi? —

Co miała na myśli autorka Malwiny, kreśląc pierwsze lata swego małżeństwa, czy pobyt swój

w zamku Montbeliard, czy życie garnizonowe na Pomorzu? niewiem; mniemam jednak, że przykre wspomnienia zlały się tu w estetyczną całość. Mniejsza o to; dość, że miodne miesiące prędko minęły. —

Zdaje się nawet, że kwasy pożycia niebyły żadną tajemnicą na zewnątrz; zdradzał ją co krok postępowaniem swojem niedelikatnem Książe, jéj małżonek, i to w miejscach gdzie sztuką przyzwoitości, a raczéj ukrywania nieprzyzwoitości doskonale bywa praktykowaną, to jest na dworach.

I tak na dworze Fryderyka II. gdzie się prezentowała młoda para, księżna Marya odrazu zyskała przychylność monarchy, który ją nazywał swoją siostrzenicą, bawił rozmową i w każdem zdarzeniu wyszczególniał. Raz nawet jak powiadają, dostrzegłszy coś niedelikatnego w obejściu się z nią jéj męża, miał odezwać się do obecnéj księżnéj Izabelli Czartoryskiéj: *Qu'est ce qui vous a porté à donner vôtre ânge de fille â mon diable de Cousin?* — Monarcha ten wielki znawca ludzi, ocenił odrazu oba te charaktery, i w młodziuchnéj kobiécie odgadł ofiarę smutnego losu.

Zdaje się, że ze śmiercią Fryderyka II. (1786) Książe Ludwik widząc jakąby karyerę mógł zrobić

w Polsce, a najpewniéj idąc za insynuacyą Fryderyka Wilhelma II., który zamyślał o ścisłym aliansie z rzecząpospolitą, postarał się o indygenat, otrzymał go z łatwością i jako wyćwiczony w dobréj szkole wojskowéj, wszedł do wojska w stopniu generała. Współczesny Kitowicz powiada o nim: „Książe Ludwik, w czasie pokoju dosyć się dobrym żołnierzem pokazywał, pilnie i pożytecznie jazdę i piechotę swojéj komendzie oddaną exercytował, że u całego narodu zyskał wielką reputacyą i wdzięczność. —

„Aż gdy wojna nastąpiła z Rosyą 1792 w któréj wodzem był synowiec królewski Książe Józef — on się naprzód uczynił chorym na nogę, a gdy mu tę racyę żona, poczciwa obywatelka, wyperswadowała, pogroziwszy rozwodem, jeżeli niezechce służyć krajowi w téj potrzebie — wynalazł drugą, że niema o czém jechać na kampanią. Król wiele się po nim dobrego spodziewając, ułatwił mu i tę przeszkodę, kazawszy wyliczyć ze skarbu koronnego 20 tysięcy czer. złot. Nabrawszy tego złota, poszedł rad nierad z wybornym pułkiem swoim od generała Byszewskiego niedawno nabytym. Jednego dnia maszerował, a drugiego nazad się cofał, jak rak. Nieprzyszedł tedy z nieprzyjacie-

lem do rozprawy, który małe oddziały wojska rzeczypospolitéj łatwo przełamawszy, opanował Wilno i posunął się aż do Grodna...“

Niemcewicz w swoich Pamiętnikach tak pisze o nim:

„Książe Wirtemberski zamiast udania się w głąb Litwy osiadł na jéj krawędzi w Wołczynie, dobrach teścia swego, rozrzuconym wojskom żadnych niedając rozkazów. Powody nieczynności téj okazały się wkrótce; przejęto list jego do króla Pruskiego pisany, w którym mu donosił, iż podług zleceń jego zostaje nieczynnym, nieściąga nigdzie korpusów polskich, i owszem trzyma je rozrzuconemi, by tém łatwiéj stały się łupem wojsk imperatorowéj*). Potrzebaż było większéj zdrady dowodów? powszechna nienawiść i wzgarda okryły bezwstydnego zdrajcę: nikt jéj żywiéj nieuczuł jak nieszczęśliwa żona i świekra jego księżna Czartoryska. Pierwsza zaraz mu wydała pozew do rozwodu i podług zwyczaju zamknęła się w klasztorze pp. Sakramentek. Rozpacz matki księżnéj

*) Fryderyk Smitt w dziele: *Suworow* und Polens Untergang mówi że książe napisał do króla pruskiego te słowa: „że nic nieprzedsięweźmie coby sprzeciwiało się interesom jego siostry, Wielkiéj księżny Rosyjskiéj.“ —

Czartoryskiéj, najgorliwszéj z Polek, była bez granic; gdym przyszedł koić i cieszyć ją: „„Jam to, zawołała, nieszczęsną pchnięta ambicyą spokrewnienia się z monarchami, przymusiła córkę moją do dania ręki bezecnemu zdrajcy temu!““ — Książe Ludwik widząc zdradę swoją odkrytą, kryjomo uciekł do Prus. Komendę po nim objął generał Judycki.“ —

Z małżeństwa tego został syn jeden Adam generał brygady ułanów za czasów Konstantego. On to w powstaniu 1830 r. stanął po stronie Rossyi i z korpusem swoim rabował i palił Puławy. Można sobie wyobrazić przez jakie tortury przechodziła nieszczęśliwa matka, patrząc na postępki tego wyrodka.

Koligacye takie rzadko na dobre wychodzą. —

Taki był koniec ich pożycia. —

Księżna odzyskawszy w pewnym względzie niepodległość swoję, dzieliła życie między prace literackie a miłosierne uczynki. To jednak pewna, że póki uczucia były świeże, wyobraźnia żywa, póki tylko szukała a nieodkryła ostatecznego powołania do jakiego ją przeznaczyła Opatrzność — oddawała się literaturze z całym zapałem i gorliwością. Zrobiwszy sobie imie wprawdzie powta-

rzane po cichu, w ojczystym piśmiennictwie, przez ogłoszenie dwóch szczupłych ale znaczących dziełek — odrzuciła później te zwodnicze ponęty miłości własnéj, i jeżeli kiedy brała pióro do ręki, to na to, aby pisać ustawy miłosiernych swoich zakładów. Ktokolwiek też mniemał, że się jéj przypodoba, gdy naprowadzi rozmowę o jéj dawniejszych utworach, aczkolwiek pełnych powabu i oryginalności, mocno się mylił. Niełubiła nawet wspominać o nich. Matrona oddana Bogu i wielkim obowiązkom chrześciańskim przyjętym na siebie, żałowała może zmarnowanych chwil na tych igraszkach fantazyi i dowcipu. — Nam jednak, choćby jéj czyste cienie oblokły się wyrazem politowania nad marnościami ziemskiéj sławy, niech wolno będzie pomówić o tych dwóch dziełkach, któremi wzbogaciła literaturę naszę. Wspaniały dawca może być nierad, kiedy odbierający rozgłasza imię i hojność jego — a jednakże głos wdzięczności świadczy, że datek niepadł na grunt jałowy. —

. . . . . .

Powieść *Malwina czyli domyślność serca* ukazała się bezimiennie w r. 1816 w Warszawie. Poufne osoby wiedziały zapewne kto był jéj autorem i że ją mogła pisać tylko kobiéta; ale wła-

ściwe nazwisko, pomimo wielkiego powodzenia, bo nawet Jan Śniadecki oderwał od gwiazd swoją uwagę a na ten romans skierował, nieukazało się nigdy na licznych wydaniach, których było do r. 1828 aż cztéry; nielicząc w to przekładu na francuzki język dokonanego przez Annę Nakwaską.

O ile wnosić można z barwy i szczegółów zawartych w romansie, utwor ten mógł być napisany za czasów Księstwa Warszawskiego. Już w nim niewidać téj młodziuchnéj kobiéty „co — jak sama powiada o swojéj Malwinie — ledwo z dziecinnych lat wychodząc, nigdy nad przyszłością niebyła się zastanowiła“ — a ja dodam: i nad rzeczywistością i ludźmi którzy ją otaczali — „co o szczęściu, o nieszczęściu sądzić niemogła, świata bynajmniéj nieznała, i żadnego innego uczucia, żadnéj innéj myśli niemiała, prócz przywiązania do rodziców.“

Taką mogła być zapewne, i była nią Księżna Marya, kiedy w pierwszych dniach zamęścia osadzona w smutnym zamku Montbeliardskim, lub rzucona w głuchy zakąt Pomeranii nieznajdując szczęścia w pożyciu małżeńskim, szukała go w książkach, i w tych natchnieniach serca wylewających się na papier w języku francuzkim uzna-

nym w ówczas za jedyne narzędzie mogące oddać tkliwe i delikatne uczucia.

Ta uwaga naprowadza, w braku bliższych szczegółów na ten prawdopodobny domysł, że Malwina powstała daleko później, kiedy jéj autorka przeszła już przez gorzką szkołę doświadczeń; nauczyła się obserwować i poznawać ludzi; patrzyć z wysokości swojéj moralnéj na grę namiętności; oceniać skryte pobudki, zgoła, ogarniać świat rzeczywisty grający do koła niéj wszystkiemi interesami i sprężynami życia. Serce jéj, które tyle cierpiało, które zasługiwało aby kochać i być kochanem, szukało choćby urojonego świata, urojonych postaci, urojonéj miłości, dla powierzenia im własnych tęsknot i marzeń. Była to właśnie ta poetyczna szata w jaką oblokła swoją bohaterkę i bohatyra i scenę, na któréj ich pokazała; reszta jest owocem poznania charakterów i stosunków towarzyskich, tak, jak je malowała rzeczywistość. Ztąd możnaby dwie strony ukazać w tym romansie: jedną jako płód wyobraźni i maniery urobionéj podług współczesnych romansów francuzkich przedstawiających świat i ludzi zbyt konwencyonalnych, a często zbyt nieprawdziwych; drugą jako owoc studyów branych z natury, po-

strzeżeń chwytanych na uczynku; słowem, odbicia się tego społeczeństwa, na jakie autorka codzień własnemi patrzyła oczyma. —

Co do pierwszego: *Malwina* ma główną zaletę w ruchliwości akcyi, w utrzymaniu ciekawości czytelnika do końca przez wplątanie go w najdziwaczniejszą intrygę. Żywa wyobraźnia autorki zatrudnia co chwila różnemi niespodziankami wcale efektowemi, które trącają niekiedy o nadzwyczajność i niepodobieństwo, a częstokroć są powtórzeniem scen i obrazów używanych i zużytych przez współczesnych romansistów. Nieopowiadając tu treści znanéj powszechnie, tyle napomknę, że zawikłania pochodzące z tych dwóch bliźniaków Ludomirów, tak są nieprawdopodobne, jak i owe turnieje, które zapewne dały powód wcale nieusprawiedliwiony, pewnemu krytykowi*) że Malwinę położył tuż obok *Koloandra* i *Leowildy*. Sceny te grzeszą wadą wyszukania i naciągań. Dodajmy do tego spotkania się nadzwyczajne, znikania nagłe, trafy losu najdziwaczniejsze, a znajdziemy w kompozycyi *Malwiny* nic innego, tylko użycie tych samych środków i sprężyn jakiemi się posłu-

*) Sowiński, o nowych Polkach w Warszawie 1821 r.

gowali w modzie będący pisarze romansów francuzkich z czasów cesarstwa. To pewna, że każda epoka ma swoich ulubionych bohatyrów, którzy się mniéj więcéj kopiują. —

Druga strona, o któréj nadmieniłem, strona własnych studiów nad otaczającem autorkę społeczeństwem wyższego świata Warszawy — zasługuje na szczególne uznanie jako pierwszy krok stawiony na drodze samodzielnych studiów. Charakterystyka jeszcze słaba wprawdzie, niema wybitnego kolorytu, ale jest podmalowanie, jest wyborna wskazówka. Któż przeczytawszy Malwinę, może zapomnieć te elegancką, zalotną, mieszającą się do wszystkiego, kłócącą wszystkich, złośliwą kokietkę Dorydę „która niekubiona od nikogo, bo nikogo niekubiła, niemogąca wytrzymać życia wielkiego świata, gdzie pierwszych ról grać niemogła, a nieumiejąca się zatrudnić w samotności, ciężaru nudów znieść dłużéj w Warszawie niemogąc, umyśliła nareszcie długie przedsięwziąść podróże, i tęsknotę swoję z miejsca na miejsce przenosząc, niewięcéj szczęścia za granicą, jak na ojczystéj ziemi znalazła.“ —

Podobne postrzeżenia trafnie pochwycone z ruchliwych czasów Księstwa Warszawskiego, mięszają

się tu i owdzie w toku opowiadania romansowych awantur; a niektóre nawet osobne rozdziały, stanowią skończone w sobie charakterystyczne studium. Do takich należy najlepszy, pod napisem *Kuzesta*. Malwina z skarbonką czy woreczkiem wychodz w piękny dzień marcowy, zbierać dla ubogich i puka do mieszkań nieznanych sobie osób.

Tym sposobem, jak w latarni czarnoksięskiéj pokazuje nam autorka różne warstwy społeczeństwa: tu miłosierdzie przy ubóstwie, owdzie zatwardziałość przy bogactwie, gdzieindziéj pysznoskąpstwo i próżność, lub światowe roztargnienie i lekkość, przy niezłem sercu. Są to wszystko szkice domowego życia, niepowiem skończone i doskonałe, ale często bardzo szczęśliwie schwycone, z flamandzką chęcią zbliżenia się do rzeczywistości, a nadewszystko pierwsze w swoim rodzaju. —

W historyi rozwoju idei literackich, *pierwszeństwo*, zawsze na uwagę zasługuje, chociażby mu nietowarzyszyła doskonałość i skończoność obrobienia.

Przypatrując się jaką koleją szła u nas powieść domowa, zawsze autorce *Malwiny* należy się ta nieoceniona zasługa, że ona pierwsza pół-spojrzeniem uwięziona jeszcze w sferze urojonego romansu, dru-

gą połowę ośmieliła się zapuścić w odmęt życia i wzory brać z natury. Wprawdzie rysunek jeszcze niepewny i efekta sztucznie przysposobione — ale droga prawdziwa już odkryta. —

Kreśląc ten żywot tak niezupełny w szczegółach, miałem sobie za obowiązek nagrodzić te niedostatki podniesieniem choćby talentu pisarskiego księżny Maryi, którym ubogaciła naszą literaturę; a talent to nieurojony, ani pośledni; bo przed nią gdzie jest powieść któraby na ten ślad trafiła? a i po niéj, jakże nierychło znaleźli się tacy, coby nań trafili? Zjawienie się Walter-Skockich romansów, pchnęło pióro ku historycznym postaciom, którym znowu niedostawało życia, tak samo jak go niemiały sentymentalne Julie i Adolfy, żyjące reminiscencyami Heloiz i Werterów. —

Niewiadomo mi czyli co więcéj pisała w tym rodzaju księżna Marya; to jednak dałoby się zapewne przypuścić, że gdyby powołanie autorskie przyjęła była za cel swojego życia, ona jedna byłaby w stanie obdarzyć nas obrazami współczesnego jéj społeczeństwa, tak doskonałemi i trafnemi, a pełnemi tak delikatnych cieniowań i obserwacyi niekażdemu dostępnych, że kto wie, azali przy nabytéj wprawie w język, i styl, niebyłaby tém, czém

jest pani Zofia Gay w nowszéj literaturze francuzkiéj. —

Jeżeli dzisiaj wartość literacka *Malwiny* niemogłaby wytrzymać próby porównania z płodami nowszego smaku — bądź jak bądź pozostanie ona drogą pamiątką uczuć i marzeń księżny Maryi; tém droższą, że przypatrzywszy się niektórym rysom Malwiny, odgadujesz jakby własny jéj portret obwinięty w kilka wspomnień z młodości, ale nie tych szczęśliwych i uśmiechających się w krzewinie, lub stolicy — tylko w posępnym Głazowie.....

Kiedy Opatrzność dotknąwszy ją smutnym losem, zapewne w tym celu, aby duszę swoją oderwała od ziemi, a zwróciła ją ku niebu — natenczas małżonka i matka niepocieszona, przyszła pod dach rodzicielski szukać przytułku i pociechy. Odtąd żyła tylko obowiązkami dziecka względem swoich rodziców i temi, które Bóg wkłada na możnych względem cierpienia i nędzy. Spełniała je téż z gorącością chrześcianki i pilnością siostry miłosierdzia.

Niebyło nic bardziéj rozrzewniającego jak słyszeć ją, kiedy pod koniec życia mówiła o swojéj matce; myślałbyś że się dopiero wczoraj rozstały; głos drżący, oczy łez pełne, towarzyszyły każdemu słowu: „Jakżeż to słodko! mawiała, kiedy córka

nieodłącza się od matki! Bóg i rodzice, to mi wystarczało w życiu, aby zapełnić wszystkie pragnienia serca mego!“ — Tak zapełnione serce musiało być niewyczerpanem skarbem. Miłosierdzie jéj doznało nowego popędu i bodźca, kiedy się znalazła w tych Puławach ubłogosławionych przez dwa pokolenia. Pożyteczne zakłady mnożyły się; a młoda dobroczynna Pani przemyśliwała tylko o nowych ulepszeniach. —

Wiadomo że ojciec jéj, książe generał Ziem Podolskich kierował szkołą kadetów za panowania Stanisława Augusta, a matka jéj miała pod swoim bokiem instytut wychowania panien szlacheckich. Do tych zakładów dołączyła księżna Marya szkołę dla dziewcząt wiejskich, gdzie się takowe kształciły na poczciwe i pobożne i umiejętne gospodynie. Jeszcze prawie nikt w tamtych prowincyach niemyślał o szkołach wiejskich, kiedy ona utworzyła zakład, z którego w znacznéj liczbie wychodzili uzdolnieni parobcy i rolnicy. —

Dla użytku tych szkołek, widząc brak elementarnych książek, ułożyła ona popularne dziełko: *Pielgrzym w Dobromilu*; drugie, które nam przekazała w spuściznie. Są to rysy z dziejów wplecione w opowiadanie z żywota wieśniaczego. Nie-

porównana prostota stylu, połączona z moralnością praktyczną, zrobiła niezmierną wziętość téj książki, do czego przyczyniły się także trafnie dobrane obrazki, wystawiające każde zdarzenie. Od r. 1817 kiedy się ukazał *Pielgrzym* po raz pierwszy, do dziś, niewiem już wiele wyszło edycyi. I w téj pracy przy księżnie Maryi zostaje pierwszeństwo pomysłu, --- forma przez nią przyjęta, okazawszy się nader ułatwiającą naukę, znalazła późniéj częste zastosowanie. —

Ależ wszystkie te prace miłosierdzia i pióra niewystarczały jeszcze téj szlachetnéj duszy; chciała ona głębiéj wejrzyć w przyczyny zepsucia i nędzy wieśniaków, aby im skutecznie zaradzić. Tym końcem postanowiwszy nieodmawiać nikomu z włościan kiedy ją prosili aby im dzieci trzymała do chrztu, weszła z niemi w duchowe krewieństwo czyli jak zwykle mówią: pokumała się. Przez ten stosunek mogła wiele wpływać na poprawienie obyczajów i życia prostego ludu, który, czy to w obawie zasłużenia na jéj nieukontentowanie, czy w chęci przypodobania się dobréj pani, wszystkich sił dokładał, aby niewykraczać z karbów moralnego i pobożnego życia. —

W późniéjszych czasach, gdziekolwiek obrała

sobie siedlisko, wszędzie używała w ten sposób swego czasu i dochodów. Do dóbr swoich w Wysocku (w Galicyi) sprowadziła z wielkim zachodem i kosztem Siostry miłosierdzia; a chcąc im zapewnić utrzymanie i fundusze opatrzyć na szpital dla chorych, uposażyła je wsią Moszczaną. —

Ktokolwiek cierpiał — czy swój, czy obcy, już tém samem miał prawo do jéj wspaniałości i miłosierdzia nierobiącego różnicy. Cały świat był jéj ojczyzną, kiedy szło o członki cierpiące Chrystusa. I tak przed wielą laty przejeżdżając przez Genewę, chciała mieszkańcom tego miasta tę samę zapewnić korzyść, jaką zapewniła włościanom klucza Wysockiego. Po przełamaniu wielu przeszkód sprowadziła tamże zakonnice Śgo. Wincentego a Paulo i uposażywszy je, osadziła w ojczyznie Kalwina i Russa. Dziś może już tam zapomniano o dobroczynnéj fundatorce, ale niemniéj miłosierny zakład trwa dotąd i mieszkańcy, bez różnicy wyznania swego jednogłośnie błogosławią tym aniołom miłości chrześciańskiéj oddającym najpokorniejsze usługi cierpiącéj ludzkości. —

Straty majątkowe zniosła księżna Marya ze zwykłą sobie pogodą i tylko wtenczas przypominała sobie że była dawniéj bogatą, kiedy szczupłe do-

chody niepozwalały iść za popędem miłosiernych uczuć. Sądząc po zwykłych jéj datkach w ostatnich latach, niemożna się było domyśleć, że fundusze jéj były uszczuplone; albowiem kiedy miała ogromny majątek oddawała wszystko, co jéj od skromnych potrzeb zbywało; a kiedy go niestało, z równąż hojnością ogołocała się z samychże potrzeb. —

W ośmdziesiątym roku życia opuściła Wiedeń, gdzie długi czas bawiła, i przeniosła się do Paryża aby połączyć się z bratem. . . . W późnéj starości zachowywała umysł czerstwy, wesoły i żywość młodocianą: bo téż i czystą była jak młodość. Umiała należeć do każdéj rozmowy, prowadzić ją z ujmującym wdziękiem i niekiedy dowcipem okraszać.

Nigdy niestraciła wiary w dobroć i poczciwość ludzi; a chociaż wiele złego doznała w ciągu długiego żywota, nikogo niepomawiała o złe uczynki lub niewdzięczność. Niewziąwszy nic od świata, a oddawna objaśnioną będąc światłem wiary i słońcem miłości Bożéj, w całéj nieskazitelności oddała piękną duszę niebu na dniu 21 października 1854 r. Ostatniem słowem pożegnała ukochanego brata i jego rodzinę, ostatnią myślą wznosiła się do Boga. —

ADAM MICKIEWICZ.

(1798—1855).

Bolesne uczucia ogarnęły i najzimniejsze serca, na wieść o śmierci człowieka będącego najwyższym wyrazem swojego wieku i narodu! Trudno hamować się w żalu na widok gasnącego życia, jeszcze jakiego życia! na widok znikającego geniuszu, jeszcze jakiego geniuszu!

Wiemy, jak rzadko bogaty duch dojrzewa tutaj i przebiega całe koło swego zawodu. Nieraz długie potrzeba czekać wieki, żeby wynagrodzić sobie tę chwilę, w któréj uprzywilejowana istota opuściła ziemię.

Nasze dni były świadkami tylu strat niepowetowanych; śmierć ledwo nie rokrocznie uderzała w same czoło szeregów. Któż tych zastąpi co padli? Kto tych, co jeszcze zostali?

Śród naszych zajęć często tak drobiazgowych, gonitw i szamotań się bez celu, nadziei budowanych na niczem, a ztąd rozczarowań i zwrotów ku tak zwanéj praktyce życia, przyciętéj do bardzo poziomej skali — wiedziano, że był jakiś mąż wielkiego serca i ducha, znający wszystkie drogi do uczuć, umiejący niemi wstrząsać, a z okiem wlepionem w wyższe sfery, z których wykradał boskie natchnienie, śpiewający dla ludzi dobréj woli:

.....prawdę świętéj wiary:
Że miłość rządzi plemieniem człowieczém,
Że trofeami świata są: ofiary. —

Oddalonego wieszcza znali wszyscy: i swoi i obcy, jak gwiazdę zawsze świecącą w jednem miejscu. Kiedy więc smutna wieść doszła ze wschodu: Gwiazda nasza zgasła! *Mickiewicz umarł!* — zrobiła się jakby wielka próżnia w téj trzywiekowéj literaturze, któréj on był i najwyższym spadkobiercą i zaszczepcą przyszłości. Każdy czuł instynktowie, że coś stracił, choćby to, czego się jeszcze spodziewał; bo czyż niewołano ustawnie: Pieśni, pieśni, daj mistrzu!

Co mąż ten dokonał w swojem wieszczym zawodzie, co mógł dokonać, jak sięgnął daleko

wpływem, jakie kierunki stworzył, jaki świat wychował? będzie to zapewne przedmiotem szerokich badań i wywodów. Tego rodzaju bogacze dostarczają zazwyczaj strawy całemu pokoleniu, które ich przed sąd swój na podziw lub potępienie pozywa.

Niniejsza wzmianka kreślona pod wpływem świeżéj wieści, jest krótkiem raczéj wspomnieniem, drobnym kwiatkiem złożonym na téj mogile, co obrała sobie najpiękniejsze miejsce na świecie; bo tam gdzie tracki Orfeusz pieśnią ożywiający kamienie, zbudził geniusza Grecyi, i gdzie tenże sam geniusz pod stopą najeźdzcy — skonał.

Wielkiemu w całem życiu, wielkość towarzyszy i w zgonie.

Adam Mickiewicz urodził się d. 24 grudnia w dzień Bożego Narodzenia 1798 roku — a więc na schyłku tego wieku, którego przedłużonemu u nas wpływowi miał najsilniejszy cios zadać. Rodzice jego dziedziczyli Zaosie małą własność w okolicy Nowogródka na Litwie, gdzie poeta nasz na świat przyszedł. Dom Mickiewiczów stary i rozrodzony na Litwie, acz skoligacon

z książęcémi rody — podupadł — a raczéj zszedł do tego stanu uczciwéj mierności szlacheckiéj, w którym łatwiéj było o cnoty domowe i publiczne, niż o ton górny i fortunę. Rodzice jego mieli cztérech synów; Adam był najmilszem ich dzieckiem; najstarszy Franciszek był urzędnikiem, potém oficerem w powstaniu; drugi Alexander biegły prawnik, zaszczytne dotąd zajmuje miejsce na katedrze uniwersytetu charkowskiego; trzeci Jerzy, lekarz wojskowy, zginął w kampanii tureckiéj 1824 r. Matka tych synów z domu Orzeszkówna za pierwszym mężem Majewska, którą Adam nad wszystko kochał, miała być niepospolitą kobiétą; ojciec Mikołaj podobnoś prawnik, a przytem obeznany z naszymi Zygmuntowskimi pisarzami, czytywał rytmy Jana Kochanowskiego i sam rymy składał, co wcześnie oddziaływało na umysł i serce ciekawego Adama. To też pierwsze zarody wychowania pod rodzicielskiem okiem musiały być całkiem w duchu dawnego surowego a prostego obyczaju; bo przez cokolwiek później przechodził, jakiekolwiek otaczało go towarzystwo, zawsze tam, na dnie, mimo głuszących zdań i nowostek réj wodzącego świata — odzywała się struna patryarchalnego rygoru i prostoty.

Wyrafinowanych mędrków najczęściéj pobijał zdrowym swoim rozsądkiem i temi prawdami, których niepotrzeba dobywać z książek: bo każdy znajdzie je w sobie, byle je umiał tam szukać.

Gdy wyszedł z lat dziecinnych, rodzice oddali go do blizkiéj szkoły powiatowéj w Nowogródku. Utrzymywali ją X. X. Dominikanie, u których znalazł ten sam tryb wychowania co w domu, a nadto wdrożenie się do pracy, gruntowne początki nauk, i tę gorącość religijnéj wiary co się późniéj w jego przelała pisma i co nieopuściła go nigdy, nawet kiedy się dawał unieść nauce niezbyt zgodnéj z nauką kościoła. — Jak to zazwyczaj bywa, młody wiek okazuje często takie skłonności, jakim późniejszy zaprzecza; któżby powiedział, że nasz przyszły poeta okazywał wielki pociąg do chemii? W domu gdzie mieszkał, była apteka; z niéj dostawał potrzebnych aparatów do swoich doświadczeń, które robił przed jego oczyma jeden z ojców Dominikanów wykładający naukę chemii. Mickiewicz długo zachowywał tę skłonność do nauk fizycznych i przyrodniczych, co się nawet odbiło w niektórych jego poezyach, szczególniéj w wierszu do Doktora S. — Podobien w tém Goethemu, z tą różnicą, że w momentach kiedy rzecz publiczna wołała na niego

o myśl lub współczucie, niepisał o Metampsychozie roślin, lub o kolorach.

Niedługo jednak trzeba było czekać aby poetyczna odezwała się żyłka w Adamie. Jedno silniejsze wstrząśnienie stawia nas zwykle na właściwéj drodze. Pożar wybuchnął w Nowogródku — niszczący żywioł śród ciemnéj nocy, samą okropnością piękny — zgiełk ratujących, płacz kobiét — i ta grupa smutnych pogorzelców siedząca na stosie niedopalonych szczątków, którą ranne słońce oświeca, tak pogodnie i spokojnie, jakby żadne nieprzeszło tędy nieszczęście — wszystko to rozbudziło młodą fantazyą, że musiała się wylać w wierszowany opis tego wypadku. Była to pierwsza próba; szkoda że nieznana, bo niewątpliwie dostarczyłaby ciekawych studiów nad iskierkami geniuszu poetycznego w zapasach z nieznajomą mu sztuką.

Drugie jeszcze silniéjsze wrażenie o jakiem rad rozpowiadał, odebrał podczas wkroczenia armii Napoleońskiéj na Litwę w r. 1812. Sama natura na niebie i ziemi zdawała się objawiać przeczucie wielkiej jakiejś katastrofy gotującéj się w świecie. W początku jedynastéj pieśni Pana Tadeusza odmalował on tę przedburzę ogromnemi pociągami

pendzla z tą tajemniczą prawdą, jaką tylko poeta odgadnąć jest w stanie. Pisząc ten poemat w dwadzieścia lat później pamięcią serca mógł znaleźć to wrażenie, jakiem wrzała podówczas dusza chłopczyny; — była to wiosna i na świecie i we krwi — a takiéj się niezapomina, mimo nawet piękniejszych wiosen pod niebem Italii.

„O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju,
O wiosno, kto cię widział jak byłaś kwitnąca.
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę piękna maro senna.
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu."

Sam widok a cóż dopiéro zbliżenie się do tych żelaznych ludzi co zwycięzkim krokiem mierzyli Europę od Tagu do Dźwiny, co urzeczywistniali najzuchwalsze marzenia o bohatyrach epopei — musiało działać na młodą wyobraźnią jak świeże wonne powietrze majowe na chorym, który długą zimę przepędził w łóżku. W domu jego rodziców stał kwaterą jakiś stary wiarus, rotmistrz, czysto obozowa figura, a napoleonista zagorzały, co gdzie trzeba i nietrzeba we wszystko mięszał ukochanego

cesarza i zawsze klął się, przysięgał „na imię wielkiego Napoleona.“

Ta ślepa wiara w jednego człowieka trzymającego w ręku losy narodów udzieliła się i chłopięciu; widmo wojennéj sławy zaczęło go trapić na jawie i we śnie, a że w młodym wieku czyn tuż bieży za myślą, więc téż podmówiwszy szkolnych kolegów, stawił się przed jakimeś dowódzcą z żądaniem przyjęcia go wraz z innymi w szeregi. Trzynastoletni studencik, sił wątłych, małego wzrostu, wzbudził tylko uśmiech na wąsatéj twarzy starego żołnierza. Nie był to jego zawód; Opatrzność inny mu przeznaczyła, hetmanić duszom.

Olbrzymia ta kampania wiemy jak się skończyła i jakie pogrzebała nadzieje. Ze spokojnéj ławki szkolnéj patrzał on na niedobitki wielkiéj armii zagrzebywane i pędzone tumanami śniegu co z niemi grzebał wszystkie nadzieje wiosenne.

W r. 1815 siedmnastoletni młodzieniec udał się do Wilna, dokąd go daleki krewny ksiądz Józef Mickiewicz exjezuita, kanonik żmudzki a wówczas dziekan wydziału filozoficzno-matematycznego powoływał. Stanąwszy tam, gdy trzeba było zdać examin przygotowawczy przed wstąpieniem do fakultetu, wypadło mu czekać w pobocznéj sali na

kolej, wraz z wielą innymi uczniami przybywającymi ze szkół wydziałowych. Przypadek zrządził, że się znalazł na ławce obok nieznanego mu młodzieńca, z obliczem wyrazistem i myślącem, z postawą dziwnie ujmującą i szlachetną. Niewytłumaczony pociąg uczuwszy ku sąsiadowi, wszczął z nim rozmowę, zabrał znajomość, i w kilka dni najściślejsza zgodność uczuć i myśli połączyła ich nierozerwanym węzłem. Tylko wiek młody umie odkrywać i robić przyjaciół tak prędko, ale i na zawsze. Tym przyjacielem poety był Tomasz Zan, pamiętny w dziejach uniwersytetu wileńskiego, unieśmiertelniony w trzeciéj części Dziadów, kiedy poeta wkłada mu w usta wiersz:

„Mam obowiązek cierpieć za was przyjaciele: i t. d."

Mickiewicz rzucił się z zapałem do nauk uniwersyteckich, zrazu obrał sobie za przedmiot umiejętności fizyczne i matematyczne, lecz niebawem uczuł się w nieswoim żywiole, śród liczb i figur. Sława ówczesnych profesorów Gotfryda Grodeka i Leona Borowskiego, wykładających literaturę starożytną i nowożytną w sposób świeży i porywający, a nadewszystko z gruntowną erudycyą, pociągnęła go ku sobie, tém łatwiéj, że oczy otworzył na dar wrodzony jaki miał do literatury i poezyi. Prze-

szedł więc w seminarium nauczycielskiem z kursów matematycznych, na kurs filologii i literatury. Borowski zasłużony krytyk i literat, który umiał sobie otworzyć szerszą i wyższą sferę literatury niż ta, jaką obrabiali koledzy jego niewychodzący po za obręb Boalów i Laharpów, wprowadził go w nowy świat pojęć i kształtów jakich dostarczyły inne literatury, jak: włoska, niemiecka, angielska. Łącząc z tém gruntowne poznawanie arcydzieł starożytnych, a przedewszystkiem Grecyi, kształcił się i bogacił témi skarbami, w których miał potém narodowi zajaśnieć całą potęgą twórczego geniuszu.

Wpływ ówczesnéj Europy, a raczéj wpływy takich mocarzów pióra jak: Walter-Skot, Byron, Goethe, Chateaubriand, Szleglowie, pani Staël, nieuznany a raczéj niepoznany jeszcze u nas, omijał inne mniéj szczęśliwe strony a dostawał się jedynie do Wilna, gdzie wspaniałomyślność cesarza Alexandra złożywszy kuratoryę uniwersytetu w najzacniejsze ręce X. Adama Czartoryskiego, pozwalała korzystać ze wszystkich nabytków i postępów oświaty i myśli zachodu, które długi czas przygłuszone hukiem dział, wyłamywać się zaczęły z pod panowania szabli. Szkoła tak zwana ro-

mantyczną, rozsadziwszy zastarzałe formy nieprzypadające do miary nowych uczuć i wyobrażeń, które niemogły znaleźć głosu wtenczas, kiedy jeszcze inny głos wielki rozlegał się po polach bitew, zawichrzyła spokojniejsze pole literatury. Z średnich wieków wywołani zaklęciem paladyny, czarnoksiężniki, piękne damy, turnieje i trubadury kruszyli kopie swoje, z trzema jednościami klassycznéj trajedyi, a okrzyk: w Imię krzyża i pani tajemnéj myśli! głuszył zimną inwokacyę do pogańskiéj muzy. Całéj téj walce przysłuchiwał się chciwie nasz wileński uczeń; trafiała ona mu do ognistéj duszy, rozprzestrzeniała granice fantazyi, budziła uczucia całkiem nowe, i zachęcała do starcia się z témi formami i pojęciami, jakie kształcąc się na klassycznéj drodze przyjął był, i już w sobie na wiarę mistrzów wyrobił. Zapewne to wtenczas jeszcze, pod wpływem klassycyzmu, napisał był krytyczną rozprawkę nad Jagiellonidą Tomaszewskiego, umieszczoną w Pamiętniku warszawskim; już i w téj próbie przebijała ścisła znajomość starożytnych, sąd zdrowy, i pewien urok stylu rzadki nawet u tych, co wszystko na wygładzeniu okresów zasadzać lubili.

Z ukończeniem nauk uniwersyteckich, które

odbył na funduszu rządowym, był zmuszony przyjąć posadę profesora literatury polskiéj i łacińskiéj w Kownie. Było to w r. 1820, kiedy z końcem wakacyj przyjechał do tego miasta głośnego w dziejach Litwy i słynnego nadzwyczaj uroczą okolicą. Niewiadomo czyli już wtenczas zrodziło się było w sercu jego silne ogniste przywiązanie do Maryi Wereszczakównéj siostry jednego z przyjaciół szkolnych, mieszkającéj w Płużanach w blizkiem sąsiedztwie Zaosia. Daty wiedzieć niemożna, bo takie uczucia przychodzą zwykle niewiedzieć kiedy, albo téż są pokryte uroczystą tajemnicą, do któréj klucz mają tylko sami kochankowie; a trzeba wiedzieć, że Mickiewicz, podobnie jak poezyi swoich nielubił pokazywać wpierw nim je ogłosił, tak jeszcze bardziéj umiał się taić z uczuciem ogarniającym całą jego istotę. Każdéj świętości, czy będzie miłością, czy poezyą, najlepiej w tajemniczym półcieniu. Dorozumiewać się tylko można, że kiedy przybył do Kowna, dusza jego przeszła już przez wszystkie wstrząśnienia nieszczęśliwie kończącéj się miłości; Maryla oddała rękę hrabiemu Putkamerowi bogatemu obywatelowi z Lidzkiego — dramat serca odegrał ostatni akt — zasłona zapadła — pogaszono światła, a on z aktora stając się wi-

dzem, zaczął pisać na ciemnem tle rozpaczy ognistemi głoskami wzburzonéj namiętności, całą tę spowiedź o Maryli, która miała stanąć obok Heloizy i Wertera.

Podobnie jak wielu innych poetów, tak i Adama nieszczęśliwa miłość zrobiła poetą; nierozumiem tu jednak żeby i bez niéj nietrafił był na tę żyłę; ale to pewna, że długo byłby niepoznanym gościem śród swoich, gdyby nie silne zainteresowanie swoją osobą. O ile każdy podziwiał poetę, o tyle ciekawy był poznać młodzieńca, z bladem czołem i rozdartą piersią Gustawa.....

Cudna kowieńska dolina tworzyła bogatą ramę w samotnych przechadzkach dumającego profesora. Koledzy i uczniowie brali go za dziwaka, albo za zakochanego; pierwszym niebył, bo każde jego słowo tchnęło wyższością umysłu, o drugim nikt nie wiedział — wszystkiego się domyślano, prócz że był wieszczem. Tymczasem w miejscach tych rozbudziło się w nim coraz silniejsze natchnienie, i przez ciąg dwuletni wylały się z jego piersi dźwięki tak czyste i porywające, że żaden prawie ze znanych poetów nierozpoczął tak swego wystąpu na scenę. Jeżeli Tibur, Sorento, Wokluza żyją pamięcią pieweów, tedy i dolina kowieńska

oddawna ochrzconą została *Doliną Mickiewicza*, bo czyż nie on rozsławił ją po świecie?

Widziałem piękną dolinę przy Kownie
Kędy Rusałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, krasnym dzierzga kwiatem,
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie!

W dwóchletniem prawie pełnieniu obowiązków nauczyciela literatury, urosł piękny zbiorek utworów poetycznych. Były to *Ballady i Romanse* — był bez początku i końca fantastyczny poemat *Dziady* — powieść z dziejów litewskich: *Grażyna* i dydaktyczne *Warcaby*. Pierwiosnki te wyszły w Wilnie w 2 tomikach w r. 1822 jedynie za naleganiem przyjaciół. Poeta stawając przed publicznością wiedział, że będzie sądzonym, lecz i to przeczuwał, znając ówczesny stan krytyki, że ten sąd wypadnie podług statutów innéj szkoły niż téj, do któréj się przyznawał. Chcąc tedy postawić publiczność na właściwym punkcie widzenia, poprzedził swoje poezye krótkim, lecz pełnym treści rysem rozwijania się poezyi pod względem dziejowym i estetycznym. — Zjawienie się tych dwóch tomików było prawdziwą niespodzianką. Młodzież i kobiéty z instynktowym zapałem pochłaniały te kreacye tak niepodobne do

tych, jakiemi je dotąd karmiono. W umysłach i sercach dokonywała się rewolucya potężniejsza niż wszystkie widziane za naszych dni. Falanga tak zwanych pseudoklassyków jedna zaprotestowała przenicowując znaną inwokacyę Guślarza, na:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie
Głupio było, głupio będzie.

Sarkazmy w kołach obiadujących literatów i po dziennikach, drażniły tylko a nie tłumiły entuzyazm młodych zwolenników, którzy puszczając się torem mistrza zwyczajnie jak wszyscy naśladowcy, popadli w romantyczną przesadę parodiującą najpiękniejsze i najoryginalniejsze zwroty śpiewaka Ballad, co dostarczało przeciwnemu obozowi dzielnéj broni przeciw nowatorom. Walka tedy klassyków z romantykami przeniosła się do nas w najlepsze: było to tylko początkiem tego, co się gdzie indziéj kończyło. Wszakże w sercach i umysłach wrażliwszych zaczęły fermentować nowe żywioły: w poezyi wypowiedziano posłuszeństwo powadze kodeksu Horacego, a ztąd zerwano i z tradycyami szkolnego klassycyzmu, zawięzując natomiast tradycyą chrześciańską właściwszą duchowi nowożytnemu, a zarazem zwracając

uwagę na poezyę gminną, która miała podsycić i ożywić wyczerpane już źródło natchnienia.

Lecz nietylko w saméj dziedzinie sztuki dokonywało się przeobrażenie: jakby dotknięte czarnoksięzką rószczką serca młode zaczęły się zbywać *spleśniałéj kory*, kochać jak Gustaw, jak on sentymentalizować, i jak on podnosić kobiétę postawioną zbyt nizko ironią materyalnego i filozoficznego wieku do ideału, w jakim jaśniała w epokach rycerskich. Każdy zwolennik romantycznéj szkoły musiał mieć swoję Beatriczę lub Laurę. Z tém się wiązał i wybitny zwrot do spirytualizmu, czyli połączenia świata widomego z niewidomym. W utworach Adama wszędzie przebijała wiara pełna dziecięcéj prostoty, jakaś tęsknota za lepszym światem — bo téż i niebyłoby poezyi natchnionéj bez religijnego uczucia; tak po woni kadzideł odgadujesz nabożeństwo świątyni. — Przykrzyła się już ludziom suchość serc i trzeźwość rozumów; dlatego kiedy się odezwał głos litewskiego wieszcza otwierający jakby dwa nowe światy, świat uczucia i świat duchowy, a tém samem odpowiadający najdroższym potrzebom głębiéj czujących ludzi — został pojęty przez tych, których on pojął, i poezya jego stała się, że użyję tego wy-

razu inaczéj, niż dziś bywa użyty — stała się *socyalną*.

Chcąc opowiedzieć jak się ten cały proces wewnętrzny odbył, jak się z jednego wywięzywało drugie, zaszlibyśmy daléj, niż krótkie to wspomnienie pozwala. Dość, że poezye Adama wprawiły umysły w ruch i szał o jakim niesłyszały dzieje nasze, chyba żebyśmy chcieli szukać porównania do owéj zażartéj za Zygmuntów polemiki sekciarzy z kościołem i między sobą, z-tą różnicą, że tam zwycięztwo nie przy nowatorach zostało, i że w pisma ich chyba uczony szperacz zagląda.

Mickiewicz czy znudzony nauczycielstwem na małém miasteczku, czy wyleczony w samotności z ran zadanych przez miłość, czy ośmielony wrażeniem, jakie utwory jego zrobiły w świecie — opuścił Kowno i pojechał do Wilna; najpewniéj aby połączyć się z przyjaciołmi, do których tęsknił. Jakoż stanąwszy w tém kole, gdzie wszystkie serca biły w jeden takt, gdzie go kochano, gdzie się dzielono każdą myślą i wszystkiem co kto miał, odpadła mu chęć do profesury. — Któryś z wielbicieli poety mający wpływ u księcia kuratora, wyrobił to, że go uwolniono z obowiązkowych pięciu lat nauczycielstwa i pozwolono pozostać

w Wilnie. Obecność poety w litewskiéj stolicy dodała życia i tak już ożywionemu kołu rówieśników, które krom połączeń przyjaźni, łączyło się jeszcze pod godłami promienistych, filaretów i filomatów. Celem tych młodzieńczych skojarzeń było najczystsze zamiłowanie i uprawa nauki, a oraz obowiązek dawania pomocy pieniężnéj i naukowéj ubogim studentom, pozbawionym funduszów i korrepetycyi.

Była to wtenczas chwila, kiedy rządy zniecierpliwione wybrykami tak zwanych *Burschenschaftów* na uniwersytetach niemieckich, co zamiast myśleć o ukształceniu się na pożytecznych obywateli kraju, przedwcześnie rzucali się w odment rewolucyjnéj polityki — zaczęły zwracać pilne oko na tego rodzaju związki między uczącą się młodzieżą. Promieniści i filareci wileńscy tworzący od lat kilku otwarcie i z wiedzą zwierzchności uniwersyteckiéj pewne uorganizowane ciało, musieli się na pierwsze skinienie rozwiązać. Zapewne byłoby się na tém skończyło, bez szkodliwych następstw dla jednéj i drugiéj strony, gdyby nie źle pojęta gorliwość senatora Nowosielcowa zesłanego na śledztwo. Komu wiadomo co w Rosyi znaczy wyraz: śledztwo, ten wie że

przytem koniecznie, choćby je stworzyć przysało, musi bydź lub przestępstwo lub zbrodnia. Koniec końców pomijając ten znany z historyi mistyczno tajemniczy proces, Śpiewak Dziadów głośniejszy wtenczas imieniem poety, zwrócił na siebie uwagę i razem z wielą innymi poszedł pod śledztwo. Ciągnęło się to długo, wykryto kilka młodych głów zapalonych, kilka wierszyków, parę figli studenckich, ale choć nieznaleziono winy, dla samego przykładu skazano kilkunastu na wywiezienie w głąb Rosyi — innych puszczono wolno.

W liczbie wydalonych znajdował się i Mickiewicz; lecz on jeden tylko miał szczęście dostać w lat kilka pozwolenie wyjazdu do Włoch, kiedy inni, jak Zan, Kowalewski, Daniłowicz i t. d. użyci przez rząd do naukowych celów, znaleźli odpowiedne zdolnościom swoim posady. Z tém wszystkiem bolesna to była chwila pożegnania i drogich miejsc i droższych jeszcze osób — może na zawsze.

Było to dnia 24. października 1824 — pamiętna data w życiu poety — kiedy jeden z dobrych przyjaciół, podobnoś Czeczot, przyniósł mu album swojéj narzeczonéj i prosił aby się wpisał. Powózka z pocztowémi końmi czekała przed bramą, Mickiewicz był na wsiadaniu, oficer naglił — owóż

między prośbą przyjaciela a nagleniem rzucił kilka wyrazów:

Nieznajomêj, dalekiéj, nieznany, daleki,
Kiedy nas jeszcze daléj losy chcą rozegnać:
Posyłam, by cię razem poznać i pożegnać
Dwa wyrazy: „Witam cię!“ „Bądź zdrowa na wieki.“

Byłoż to przeczucie w tém pożegnaniu „na wieki,“ że nigdy już niemiał Litwy zobaczyć? Niestety, wieszczy duch jego często czytający w odległéj przyszłości i tym razem niepomylił się.

„Po śniegu, coraz ku dzikszéj krainie
Leci kibitka, jako wiatr w pustynie;
I oczy moje, jako dwa sokoły
Nad oceanem nieprzejrzanym krążą
Porwane burzą do lądu niezdążą,
A widząc obce przed sobą żywioły,
Niemają kędy spocząć, skrzydła zwinąć,
W dół patrzą, czując że tam muszą zginąć...“

Tak on zaczyna opis swojéj podróży na północ — do Petersburga. Zawieziony do téj stolicy zostawał tam czas niedługi, doznając ile się zdaje wiele wrażeń w towarzystwie światłych Rosyan — tam zapewne musiał zrobić i znajomość z Puszkinem, który tém był dla Rosyan, czém Adam dla swoich, z różnicą plemiennego ducha. — Pobyt ten pamiętny jest sławną *Odą, do Młodości*, którą napisał w uniesieniu płomiennem. — Nigdy jeszcze z pod

biegunów nie wylał się taki potok lawy.*) Rozrywano ją sobie, a każdy co raz przeczytał umiał na pamięć. Wielkie kreacye mają zawsze ten przywiléj. — Ponieważ Petersburg nie był mu przeznaczony na stałe mieszkanie, przeto po niejakim czasie odebrał rozkaz udać się do Odessy, gdzie został przydzielony do kancelaryi księcia Worońcowa. Pod bokiem tak światłego i uprzejmego zwierzchnika, w cieplejszym klimacie i towarzystwie mieszkających tam rodaków weseléj zapewne było naszemu poecie; znać to z niektórych piosnek więcéj zalotnych jak namiętnych, które tam złożył. Momentalne może roztargnienie, kaprys i nic więcéj, bo Sonety Krymskie zebrane z doznanych wrażeń na czarującym półwyspie, brzękną nieraz struną tęsknoty tak głośną, że aż w odwiecznych borach nadniemieńskich odbrzmiewa. Dziwny też to kontrast tworzy ta nieutulona tęsknica podróżnika z tém morzem grającym jak oczy tygrysa, z tém

*) Autor rysu biograficznego; Adam Mickiewicz — w Wiedniu 1863 twierdzi że *Odę* tę złożył jeszcze w Kownie — niewiem jaki ma dowód, lecz to pamiętam że dopiéro w 1825 r. czy szóstym udzielił mi jéj mój Nauczyciel, były kolega wileński Mickiewicza, powiadając że to jest jego najświeższy utwór jaki mu z Litwy przysłano.

niebem wschodniem lejącem potoki żywego złota na wystrzelone w niebo minarety, z tym śpiewem słowików Bajdaru, z témi fontannami, gdzie się pluskały odaliski Bakczyserajskich Chanów! — Fantazyjne krajobrazy, wonie sadów, śpiewy muezinów, stepy i morze, czarne oczy dziewicy — to jakby złoto i lazury, purpura i rubiny, któremi potrząsa po myślach rysujących mu posępne lasy i trzęsawice Litwy, i tych co tam zostawił.

O myśli! w twojéj głębi jest hydra pamiątek
Co śpi pośród złych losów i namiętnéj burzy;
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony.

Śmiało można powiedzieć, że Krym, znany dotąd z kilku opisów mających może zasługę u jeografów, odkrył dopiéro Mickiewicz, a to skrapiając go różanym olejkiem poezyi, tak mocno, że turyści z ciekawości dostawali zawrotu głowy. Niedziwiłbym się gdyby jaki Sainte — Beuve zastanawiając się za lat dwieście nad Sonetami podniósł ich wpływ jeszcze wyżéj i wykazał, że poeta umyślnie tak wyexaltował te cuda południowego wybrzeża, aby sprzymierzonych w lat trzydzieści zlakomić na Sebastopol, co byłoby prawdziwą zemstą wygnańca. —

Sonety te wydał poeta w r. 1826 w Moskwie,

albowiem po odbytéj przejażdce do Krymu, którą także zawdzięczał uprzejmości księcia Worońcowa, kazano mu jechać do Petersburga, a ztamtąd może i daléj. Żal mu było opuszczać ciepłe słońce i Czarne morze, chociaż przypominało bliskość tych miejsc, gdzie pokazują grób Owidiusza — bo téż siła atrakcyi działała w obu w przeciwnym kierunku.

Na szczęście, przyjechawszy do Moskwy uczuł się mocno cierpiącym na piersi. Imię jego było już głośne, były i listy polecające — więc w mgnieniu oka zajęto się młodym, a tak nieszczęśliwym poetą. Aniołem opiekuńczym była kobiéta — Rosyanka — księżna Zenejda Wołkońska. Ona to wyrobiła mu wolność pozostania w Moskwie, ona mu dom swój otwarła, ona wprowadziła w najpierwsze towarzystwa, ona czała i tłumaczyła jego poezye, ona mu była ojczyzną, rodziną, wszystkiem — bo nawet za jéj wstawieniem się u monarchy otrzymał nieograniczony paszport do Niemiec, Włoch i Francyi, z zaszczytnym jeszcze dodatkiem przy opisie osoby: „sławny poeta polski.“

Niemogąc napewne oznaczyć wszystkich dat mających styczność ze zmiennemi kolejami życia poety, tyle przynajmniéj domyślam się iż rok 1825 i część 1826 spędził w Odessie, a następny w Mo-

skwie, gdzie złożył prześliczny wiersz na *Pokój Gracki* księżny Zenejdy Wołkońskiéj, gdzie wreszcie ogłosił *Sonety*, które jak bomba spadły na zdumionych krytyków warszawskich nieumiejących sobie zdać sprawy z tego zjawiska.

Jak wiadomo Rosya gotowała się wtenczas na kampanię turecką. Cesarz Mikołaj powołał wszystkich gubernatorów do Petersburga dla wydania potrzebnych rozporządzeń na czas wojny; między innymi i gubernatora Moskwy księcia Golicyna, który poznawszy piękną duszę i zdolności Mickiewicza, umieścił go przy swoim boku i zabrał do stolicy, gdzie się poeta mógł pokazać w swobodniejszych stosunkach osłoniony tak wysoką protekcyą. Otwarto mu najświetniejsze salony, wyrywano sobie — a choć dusza wieszcza nie lgnęła do tych oznak często pozornych, przyjmowała wdzięcznie jako dowód gościnności i współczucia. Że go nic nie mogło z raz obranéj drogi sprowadzić ani ściągnąć na ziemię dla marnéj próżności, najlepszy dowód w *Konradzie Walenrodzie* ogłoszonym w Petersburgu. Olbrzymia ta karta dziejów krzyżackich i Litwy, podobna lawinie, stoczyła się aż na brzeg Wisły. Tym razem klassycy staréj daty oniemieli — dźwięk rymów, czar stylu, świe-

łość obrazów i porównań, jedyne rzeczy które dotąd w kategoryę ich sądów wchodziły, znalazły się tam w przeważnéj sile; zaczęli więc kapitulować, — pomysł sam, uderzający głębokością i ogromem, w duszach żywiéj czujących robił ogromne wstrząśnienie; a to podniosło tylko o wiele sążni ten parnas na jakim pierwszy wieszcz siedział. — Rzecz pewna, ideę tego poematu mógł tylko ten zrodzić, co się znajdował w samem ognisku miasta granitów — co widział z blizka pierwszą potęgę po Bogu; co się otarł o wszystkie sprężyny poruszające olbrzyma. Niektórzy krzyknęli, biorąc poezyę jak martwą literę, że to myśl niechrześciańska, nienaturalna duchowi słowiańskiemu! — nieprzeczę — ale krótki wzrok ich niedostrzegł, że odrzuciwszy przybory epickie do jakich musiała się uciec poezya, że stosując do praktyki fikcyę średniowieczną — pokazałaby się na dnie prosta polityka do codziennego użytku: panować wyższością ducha nad materyalizmem zwierzęcym, światłem nad ciemnotą, prawdą nad kłamstwem. Leżało to w naturze rzeczy — geniusz dostrzegł i objawił, a nie jego wina, że go niepojęto.

W roku 1828 wydał jeszcze dwa tomiki różnych poezyi już dawniejszych, już całkiem nieznanych;

w liczbie ostatnich był *Faryz*, prawdziwy liryczny uragan, uosobiony duch północnego wieszcza, uciekający na koniu swojéj fantazyi ze śnieżnych stepowisk w słońce i rozpalone piaski Sahary. Zbiorek ten poprzedził przedmową: *O krytykach i recenzentach warszawskich*, w któréj roztrząsnął wszystko, co przeciw niemu pisano, i stosem własnych ich argumentów jednych śmieszniejszych nad drugie, przywalił biédne organa publicznéj opinii. Zdawałoby się, że to powinno było wyleczyć na długo z tego rodzaju krytyk, co jak bodiaki czepiają się sukni przechodnia, a niema sposobu, chyba przez rękawiczki oczyszczać się z natrętnego zielska.

Zapewne w niejednem wspomnieniu przechowała się pamięć artykułu *Gazety Polskiéj* warszawskiéj z roku 1828, w którym ktoś z Petersburga opisuje przyjacielowi ową ucztę wyprawioną na imieniny Adama w wilię Bożego Narodzenia. Towarzystwo zebrało się podobnoś w domu hr. Henryka Rzewuskiego: były tam same znakomitości literackie i artystyczne. Gospodarz niewyczerpanym dowcipem ożywiał grono, Orłowski rysował jenialne szkice, jakiś wirtuoz grał na fortepianie, w końcu przyszła kolej na Mickiewicza improwizować. Dano mu temat: *Samuel Zborowski*. Poeta

nakreśla plan na rozmiar Szekspirowskiego dramatu, a wybierając sceny po scenach, najbardziéj przemawiające, improwizuje. Cudna tam miała być scena, kiedy Zborowski pada przed Batorym na kolana i dziękuje mu za przebaczenie mordu popełnionego na Wapowskim — zapał tak daleko uniósł wieszcza, że siły fizyczne niesprostały sile natchnienia — zemdlał. —

Z téj improwizacyi zaledwie kilka wierszy ktoś potrafił spamiętać i wydrukował je w tym liście — dramat przepadł na wieki! Kilka pomniejszych jego improwizacyi dochowało się szczęśliwie; jaka naturalność, jaka w nich całość, jaki rzut jeden! Znać co improwizacya poety w natchnieniu, w prawdziwem natchnieniu spływającem jak łaska niebios w niewiadoméj chwili, a co są improwizacye tworzone na zawołanie.... Zazwyczaj towarzystwo gorących przyjaciół, lub urok miejsc historycznych obudzały w nim zdolność improwizatorską, lecz ażeby dłużej nieopuszczało go boskie natchnienie, potrzeba było podtrzymywać je muzyką, za którą przepadał i wyżej stawiał nad samą poezyę. Najulubieńszą jego melodyą wprowadzającą go w poetyczną extazę była nasza piosenka o Filonie i Laurze i menuet z Don Juana. Można było wygry-

wać je po całych godzinach, i zawsze było mu nie dość jeszcze.

Wspomniałem już czyjemu wpływowi winien był wolność wyjazdu za granicę. Owóż w 1829 r. dnia 29 maja wsiadł na statek w Kronsztadzie, a wylądowawszy w Lubece zwiedził w towarzystwie Odyńca Berlin, Drezno, wody karlsbadzkie, Pragę, a wracając znowu do Niemiec zatrzymał się najdłużej w Wejmarze gdzie się przedstawił Goethemu, który znał już niektóre jego poezye z przekładów. Jeżeli bystry wzrok olimpijskiego Jowisza Niemiec nieodgadł w nim największego wieszcza tych czasów, to niezawodnie powiedział mu grzeczność na jaką się tylko dworak nowych Aten mógł zdobyć, bo ofiarując mu *pióro złote*, dołożył: „Tyś jest najpierwszym dziś wieszczem europejskim — Goethe zstępuje już do grobu.“— Druga jeszcze owacya czekała Adama w Wejmarze: Sławny rzeźbiarz David d'Angers bawiący tam, zrobił jego medalion; podobieństwo rysów i wyrazu duszy najlepiéj umiał schwycić rzeźbiarz francuzki; podług tego wzoru sztychował go później Oleszczyński.

Z Wejmaru, krajami nadreńskiemi, dostał się poeta do Szwajcaryi. Tu jeszcze raz na szczy-

tach alpejskich, w Splügen, zatęskmił silniéj za Marylą swojéj młodości:

Nigdy więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę,
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady,
I głos twój słyszę w szumie alpejskiéj kaskady,
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
I postać twoją widzieć lękam się i żądam.
Niewdzięczna gdy ja dzisiaj w tych podniebnych górach
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach,
Wstrzymuję krok wiecznemi utrudzony lody,
I oczy przecierając z lejącéj się wody,
Szukam północnéj gwiazdy na zamglonem niebie,
Szukam Litwy i domku twojego i ciebie;
Niewdzięczna! może dzisiaj królowa biesiady,
Ty w tańcu rej prowadzisz wesołéj gromady i t. d.

Tu następują gorzkie wyrzuty, tu obraz tego szczęścia, jakieby z nim mogła była dzielić zwiedzając te miejsca. — Była to ostatnia głośniejsza skarga kochanka wyrzucona ze szczytu Alp.

Pod pięknem niebem Włoch, śród cudów starożytnéj i nowożytnéj sztuki, śród najdobrańszego towarzystwa rodaków w Rzymie, humor poety wypogodniał, żmija tęsknoty rzadziéj szarpała serce, czuł się tak swobodnym, jak nigdy. Zawsze to powtarzał i widać było, jak wszystko go tu zajmowało, uczyło, podnosiło w duchu, szczególniéj

wielkie dzieje chrześciaństwa zapisane w niepożytych pomnikach architektury, rzeźby, malarstwa, oraz tradycyj i legend tulących się do tych zabytków, jak gałązki powoju.

Żywo ogarniający umysł jego niepotrzebował grzebać w książkach i w archiwach — dość mu było widzieć, aby rozumieć zagadkę kamieni i ludzi. Dlatego niezmordowanie zwiedzał wszystko, co było do widzenia na całym półwyspie, niepomijając Lombardyi, aż do Jońskiego morza i Neapolu. Te wycieczki odbywał najczęściéj w gronie osób, z którémi łączył go sympatyczny związek.

Szczęśliwym trafem, dającym się wytłumaczyć siłą atrakcyi, zjechało się wtenczas do Rzymu, jakby na hasło, piękne kółko, godne otaczać litewskiego wieszcza. Oprócz nierozdzielnego z nim Odyńca był tam: Henryk Rzewuski, ksiądz Chołoniewski, Stefan Garczyński, wszystko głośne krajowe sławy, z obcych: ksiądz de la Mennais i Montalembert, — z kobiét: księżna Zenejda Wołkońska, prawdziwy geniusz opiekuńczy poety — i jeszcze jedna, która go zajęła więcéj niż prosta znajomość — hrabianka Ankwiczówna. Zajęcie to jednak, dla jakicheś przeszkód, zmieniło się późniéj w dozgonną przyjaźń.

Jak samo zbliżenie się do Mickiewicza musiało silnie oddziaływać na umysły, jak otwierało oczy, jak ciągnęło w świat prawdy i wiary — przykład na Stefanie Garczyńskim. Kiedy się zetknęli ze sobą w Rzymie, Stefan, Poznańczyk, na wskróś przesiąkły filozofią Heglowską utopiwszy w niéj resztki wiary ojców wyniesionéj z domu, przekonał się w końcu, że całe to wyalembikowane systema, niezgodne z duchem naszym, bo niezaspokaja jego potrzeb, bo to, coby mu dać mogło, niewarte w setnéj części tego, coby stracił, tracąc prostotę serca i wiarę, porzucił więc to jałowe pole, a wszedł na grunt wdzięczniéjszy. Mickiewicz sercem swojem rozgrzał w nim wiarę i rozbudził zdolność wrodzoną, a dotąd tak źle skierowaną. Garczyński stał się poetą znamienitym i napisał *Wacława dzieje*, które Mickiewicz w dziesiątek lat późniéj, w odczytach swoich mianych w *Collège de France* podniósł nad wszystkie utwory polskich poetów. Zdaje się, że cztéry wiersze zapowiadające *słowo wcielone* czyli przyjście człowieka

Który śród głosów mylnych, śród wrzasków tysiąca
Uchem duszy rozpozna przeznaczeń kół grzmienie,
Wskoczy w rydwan wyroków i zajmie siedzenie,
I po czasie przejedzie jako przeznaczenie.

Że te cztéry wiersze kwadrujące z nauką *mesyanizmu* wykładaną wówczas przez profesora, zyskały mu ten niepożyty nagrobek, jakiego zgasłemu przyjacielowi niemógł wystawić w Avignonie*).

Możnaby więcéj naliczyć przykładów tego wpływu wywieranego na tych, co do naszego wieszcza przychodzili nie z zarozumieniem i arsenałem rogatych argumentów, ale z miłością i chęcią szukania prawdy. Że tu nieda się nic złożyć na karb narodowego entuzyazmu, dowód w światłych cudzoziemcach szukających jego znajomości, poddających się nieraz jego natchnieniu. — Lamennais i Montalembert w zetknięciu z nim w Rzymie zaraz poczuli pociąg do idei dotąd im obcéj, a przynajmniéj obojętnéj — i pierwszy w dzienniku *Avenir* stał się wymownym i szczytnym jéj tłumaczem; a drugi, zawsze ilekroć głos zabierał wiernym obrońcą. W późniéjszych czasach swojéj profesury w *Collège de France* najpierwsi pisarze francuzcy starali się przejmować od niego tę świeżość

*) Garczyński z suchot umarł w Avignonie r. 1833 we wrześniu — Mickiewicz towarzyszył mu z Genewy aż na miejsce i tam przyjął ostatnie tchnienie młodzieńca zgasłego w 27 roku życia.

pojęć, to bogactwo poezyi jakie im sypał w języku zdradzającym cudzoziemca, obrażającym częstokroć ucho paryżanina; lecz wyborna rzecz przez się, śmiła niedostatki powierzchownéj szaty. George Sand, Balzac, Michelet, Quinet, szczególniéj ci dwaj ostatni, żywili się okruchami tego homerycznego stołu, acz nieraz brali zeń to, co w nim niebyło jeszcze najprzedniejsze, a może téż tylko dlatego, że co wyższe, wymagałoby w zastósowaniu ofiary. Z ust wieszcza rzadko wyszło coś takiego, coby ci nieotworzyło dróg mądrości, coby nierozgrzało duszy, jeżeli była zdolną rozgrzania.

Ależ zostawiliśmy go w Rzymie, wróćmy doń. Pod wrażeniem tych miejsc, drżały w nim poetyczne struny, inaczéj być niemogło; ale cóż dla niego to niebo bez chmurki, co te posągi i kolumny, co Apeniny, co te ogrody Lombardyi, jeżeliby nie znalazł nici mogącéj je połączyć z jakim rodzinnem wspomnieniem?! I, znalazło się wspomnienie — w Legioniście — w tym Legioniście co go Brodziński w kilku rzewnych unieśmiertelnił zwrotkach; w tym wreszcie, co nieśmiertelniejszą piosnkę złożył śpiewaną przez wszystkich, co przetrwała już tyle poematów pisanych i kilka pokoleń. Poemat ten zapewne niedokończony,

musiał się przelać w późniejszego pana Tadeusza, osobliwie w ustępach gdzie sentymentalny Hrabia exaltuje się nad widokami Włoch, a Tadeuszek domator, staje w obronie litewskiego nieba i drzew; lubo z drugiéj strony, osoby bawiące wtenczas w Rzymie słyszały zeń prześliczne ustępy o Watykanie i Koloseum. Być może, że w pośmiertnych papierach Adama znajdą się choć urywki Legionisty! Kto tyle rozdał za życia, miałżeby nic niezachować po śmierci? —

We Włoszech zeszedł mu w części rok 1829 i cały 1830 r.

W miesiącu grudniu zdarzyło się, iż był pewnego wieczora na licznem zebraniu u kardynała C. ministra spraw zagranicznych. — Kiedy bawiono się w najlepsze, wchodzi sekretarz i wręcza kardynałowi depeszę... minister przeczytał ją — a obecni mogli tylko dośledzić na jego twarzy niejaki wyraz pomięszania.... Po chwili dopiéro odezwał się do gości: Czy wiecie państwo, że w Warszawie wybuchło powstanie —?!

Wiadomość ta przejęła wszystkich; gdy zaś ochłonięto z pierwszego wrażenia, kobiéty zaczęły nalegać na kardynała, aby im odczytał depeszę. Była to szczegółowa relacya pierwszych dwóch

dni... Każdy biorąc z tego pochop puszczał się na domysły, przewidzenia, rachuby polityczne, co trwało dość długo. W końcu kardynał przemówił w tych słowach: „Podajcie mi biblię — jest to bowiem u nas ludzi duchownych tradycyjnym zwyczajem, żeby w rzeczach wątpliwych radzić się téj świętéj księgi.“

Gdy mu takową podano, zwrócił się do Mickiewicza: Wpan co jesteś wieszczem, powiedz na którem miejscu mam czytać?

— Na prawéj stronie, wiersz trzeci — odrzekł poeta. I kardynał otworzył, a miejsce to było, kiedy Jezus pyta kalekę, leżącego przy sadzawce Betsaidy, czy chce być uzdrowion? a on na to odpowiada: *Domine — hominem non habeo.* — Właśnie te wyrazy przypadały w trzecim wierszu.

Odtąd tęskniąc do swoich, chciał Mickiewicz z Włoch wyjechać; lecz nieprzełamane trudności stanęły mu w drodze. Było z nim zupełnie tak, jak kiedy się komu śni, że ucieka, a czuje, że się z miejsca ruszyć niemoże. W końcu dopiéro tego roku mógł dojechać do swoich znajomych w okolicy Kościana i zatrzymać się w domu pani Konstancyi Łubińskiéj aby patrzeć własnemi oczyma

na koniec dziewięciomiesięcznego dramatu listopadowego powstania. —

Do Drezna przyjechał po upadku rewolucyi i zastawszy tam wielu rodaków, zatrzymał się na dłuższy czas. W otaczającym go wirze świeżych wspomnień i politycznych namiętności pisał przez rok 1832 poemat swój wielkiego rozmiaru: *Pan Tadeusz*, tę jedyną epopeję jaka się udała u nas, bo osnutą na żywéj tradycyi, bo wskróś przejętą tą cudownością, która tworzy bohaterów, która samemu poecie włożyła w dłoń różczkę czarnoksięzką, cudownością — co się zwie miłością rodziny i ojczyzny. Słyszeliśmy nieraz bajki dzieciom opowiadane o zaklętych pałacach zamieszkanych przez ludzi i zwierzęta skamieniałe i oniemione. Poeta, potężny czarodziéj wstępuje w taki zamek — a tym zamkiem cała Litewska natura, i jednem dotknięciem ożywia, przywraca mowę od pogańskiego dębu Baublisa do najdrobniejszéj główki kapusty i różowego maczku w ogródku Zosi, od mateczników przemawiających przedpotowémi głosy do stawów prowadzących ze sobą rozmowę. Ze wszystkiego tam tak rzewny, tak głęboki odzywa się ton, że niepodobna niepokochać téj ziemi, co jak niepozorna kobiéta, dopiéro

wtenczas jaśnieje najwyższą krasą, kiedy usta otworzy i całą piękną duszą do ciebie zagada! Szeroko byłoby mówić o nieprzeliczonych zaletach téj szlacheckiéj epopei — dość gdy powiem, że jest z wszystkich utworów najbardziéj charakteryzującym nasz kraj i ludzi — płodem ze krwi, kości i ducha. Nigdy téż obcy nie potrafią go ocenić, bo żadne tłumaczenie niechwyci się tego oryginału. Niemiecki przekład usiłując być wiernym, dał raczéj parodyę, niż kopię.

W r. 1833 pełnym zawieruchy politycznéj usunął się Adam do Szwajcaryi i w Genewie pisał trzecią część Dziadów — przynajmniéj to wiem, że owa sławna improwizacya Konrada urodziła się w tém mieście w hotelu *à l'Ecu de Génève*, gdzie poeta mieszkał. Było to w miesiącu maju — we wrześniu tegoż roku odprowadził umierającego przyjaciela, Garczyńskiego, do Avignonu, któremu dla zdrowia kazali jechać lekarze do południowéj Francyi. Tam téż stracił go, pochował i opłakiwał długo.

Zgryziony tą śmiercią, oburzony na wiele niedorzeczności jakie się w koło niego działy, uczuł niesmak do Europy i naprawdę przemyśliwał już o dalekiéj podróży do południowéj Ameryki.

Przyjaciele zapobiegając temu, ściągnęli go do Paryża, a chcąc przykuć do miejsca, podsunęli różne projekta ożenienia. Traf zdarzył, że jeden z jego dawnych znajomych przyjechał z Petersburga do Paryża. Mickiewicz zaczął go wypytywać o różne osoby, między innemi o rodzinę sławnéj fortepianistki Szymanowskiéj. Od niego się tedy dowiedział, że Celinka, którą małą dziewczynką zostawił w Petersburgu, wyrosła na prześliczną pannę.

— Gotówbym się z nią ożenić gdyby tu była, rzekł poeta obojętnie, puszczając kłąb dymu....

Słowo to widać w dobréj powiedziane chwili, odniosło skutek niespodziewany. Ów przyjaciel powrócił do kraju — całą rzecz ukartował — i panna Celina niebawem znalazła się w Paryżu. Mickiewicz słowa niecofnął; poślubił ją w r. 1834.

Powiadają: śmierć i żona od Boga przeznaczona — Mickiewicz mogąc tyle świetnych zrobić partyi, ożenił się z osobą, któréj, kiedy jeszcze była dziewczątkiem napisał był w Petersburgu w 1829 r. do album żartobliwy wierszyk:

Zaczyna się werbunek, widzę z dala, goni,
Ogromna ciżba pieszych, ułanów, huzarów:

Niosąc imiona nakształt rozwitych sztandarów,
Chcąc w albumie założyć obóz różnéj broni.
Stanie się — będę wtenczas siwym bohaterem
I z żalem rozmyślając o mych lat poranku,
Opowiem towarzyszom, że na prawym flanku.
Jam w téj armii pierwszym był grenadyerem.

I stało się tak. Pierwszy grenadyer utrzymał się przy prawie; lecz to dziwna, że i w tym drobnym wierszyku przebija się dowód jego jasnowidztwa.

Odtąd jednak jak został mężem i ojcem rodziny — lutnia jego niebrzękła ani razu, przynajmniéj świat tego brzęku niesłyszał; lubo zawsze bliżsi i poufniejsi powtarzali, że pisze. Niedziwiłbym się jednak, żeby był całkiem złożył pióro. Im daléj bowiem posuwamy się w lata, tém więcéj przed rzeczywistością ucieka poetyczny ideał. Któż wreszcie tak dokładnie umiał określić i rozebrać organizm poety, aby można odgadnąć ścisłą przyczynę rozwijania się jego lub śmierci? Jeden przestaje śpiewać kiedy niepatrzą nań oczy co weń tchnęły życie i radość; drugi milknie, kiedy cierniowy wieniec zamienił się w miękki wawrzyn; zawsze jednak bądź to ból, bądź szczęście głaszczą lub rwą struny na lutni.

Niezbadana to zagadka zwłaszcza u wieszcza, co nigdy ręką strun gęśli dotykać nie śmiał, jeśli nie czuł, że w jego pierś niezstąpiło boskie natchnienie.

Nieudzielając się na zewnątrz, spędził w domowéj ciszy kilka lat do r. 1839, w którym akademia w Lauzannie ofiarowała mu katedrę literatury starożytnéj. Przyjął ją z wdzięcznością, chociaż to nie było pole godne takiego geniuszu. Jak się wywiązał Szwajcarom z położonego w nim zaufania, powiedzą te kilka słów *Kuryera Szwajcarskiego*:

„Długo niewyjdzie nam z pamięci ta nauka tak poważna, a oraz tak zajmująca, ożywiona tak szlachetną prostotą; ta krytyka natchnienia, jasnowidząca niejako, w któréj syntezya poprzedzała analizę i panowała nad nią nagłem i najdelikatniejszem uczuciem piękności i sztuki, i ten kurs literatury łacińskiéj, w którym spotykały się wszystkie literatury na głos profesora, które mu wszystkie były znane; tych postrzeżeń obfitych i tych nowych uwag, tryskających nagle z każdéj części przedmiotu; tych lekcyi dobrego smaku, które były często lekcyami moralności; tego jędrnego i przejrzystego wysłowienia; tego wytra-

wnego stylu noszącego piętno starożytne; nakoniec tego zdrowego rozsądku tak wzniesłego, że mógł uchodzić za najszczytniejszą wyobraźnię, i téj imaginacyi tak czystéj, że się równała z najszczytniejszym rozumem.“

Mało co więcéj nad rok zostawał Mickiewicz w cichéj Lauzannie, gdy francuzki minister oświecenia, pan Cousin zachęcony przez hr. Montalemberta utworzywszy katedrę literatury słowiańskiéj w *Collège de France*, wezwał go do zajęcia jéj w r. 1840. Pierwszy to raz ta Francya cywilizowana i cywilizująca zwróciła baczniejsze oko pod względem kultury umysłowéj na bliższe swych interesów ziemie, niż odległy Tybet, Chiny, Mongolia, których literaturę publicznie wykładano. Profesor rozpoczął pierwszą swoją prelekcyę na dniu 22 grudnia 1840 roku a pełniąc ten obowiązek przez lat cztéry, dał się słyszeć po raz ostatni dnia 28 maja 1844 r. Postanowieniem ministra odjęto mu tę katedrę — miejsce jego zajął małych zdolności Ciprien Robert, a on otrzymał natomiast posadę Kustosza przy bibliotece arsenalskiéj.

Peryod jego prelekcyi w *Collège de France*, możnaby podzielić na dwie części. Przez pierwsze

dwa lata rozwijał z nieporównanym talentem wszystko to, co bystry wzrok jego ogarniał na polu utworów literatury Słowian i ich historyi; wnikał w ich ducha, porównywał między sobą i odnosił do starszéj cywilizacyi na zachodzie. Były to rzeczy całkiem z nowéj ukazane strony, drgające świeżem życiem. Profesor niepoprzestając być poetą umiał wszystko ożywić, a tém samem wzbudzić interes Francyi, przekonanéj, że po za jéj granicami, świat niedaleko się kończy.

Najbardziéj zaś to uderzyło w jego poglądach, że natrafiał na takie miejsca w kronikach lub pieśniach, co podniesione przez niego, wylatywały w górę jak race i rozświecały cały horyzont zamierzchłych wieków — w bliższych zaś, zawsze palcem namacał najsilniéj bijące tętno. Zgoła wcielał zamarłe słowo.

W następnych dwóch latach wykład się zmienił; literatura była tylko rzeczą podrzędną, a idea profesora nieobjęta w programacie, prawie wszystkiem.

Zkądżeż ta zmiana?

W r. 1841 Ludwik Filip sprowadził był zwłoki Napoleona z wyspy św. Heleny. Na ten wielki ceremoniał garnęli się ludzie do Paryża z różnych

stron ziemi. Owóż i szlachcic jeden z Litwy wsiadłszy na wózek zaprzężony jednym żmudzkim konikiem, przybył nad Ren — konika i wózek sprzedał — a sam zapisawszy się na dyliżans ruszył na obchód pogrzebny... Tym szlachcicem był Towiański, grający tak przeważną rolę w życiu poety. Zdarzyło się, iż pod ten czas Mickiewiczowi nagle zachorowała żona; nieszczęśliwy mąż musiał ją oddać do domu obłąkanych. W tém — jawi się Towiański i uzdrawia ją cudownym sposobem, nieledwo potęgą słowa....

Przed laty poeta nasz w chwili extazy napisał był te prorocze wiersze, które mu w pamięć przyszły za pierwszem ujrzeniem Towiańskiego, a które poznawszy go bliżéj, całkiem doń zastosował.

Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę,
Będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie,
Szukaj męża, co więcéj niźli oni umie;
Pozpasz, bo cię powita pierwszy w Imię Boże,
Słuchaj co powie....

Tak tedy znalazł się ten mistrz, którego miał słuchać.. od niego téż brał natchnienie do późniéjszych messyanicznych wykładów, do niego wreszcie zastosował ostatnią prelekcyę pokazując w nim człowieka przeznaczeń.

„Który na sławie zbuduje ogromy
Swego kościoła —“

Nie wszystkim zdał się potrzebny ten drugi kościół kiedy już był jeden zbudowany na Piotrowéj epoce, nasz powszechny i niepodzielny kościół, pod którego skrzydłami tworzy się jedynie możebne braterstwo i jedność katolickich ludów. — Późniéj i sam Mickiewicz przeszedłszy różne koleje i próby, które się wcale niepowiodły, usunął się nareszcie od tego koła wirującego w powietrzu. Miłość własna niepozwalała może przyznać się do błędu, choć sumienie wskazywało go palcem. Wiele da się tu złożyć na karb wyjątkowego położenia — lecz i to pewna, że nawet w takim upadku, gdyby się dotknął był jak Anteusz swéj matki ziemi, byłby powstał silniejszy wiarą i prawdą. Kto pod nogami niema punktu oparcia, zawsze zawiśnie między niebem a ziemią.

Były to zboczenia i błędy, nie człowieka zwyczajnego, na które jest miara w uznanych regułach religijnych, moralnych i politycznych, ale błędy geniuszu, niedające się jak tarcza księżyca lub Saturna zmierzyć tym łokciem, którym się towar mierzy.

Na nieszczęście z zaciekłą gorliwością, lub w du-

chu partyi, rzucono się na wieszcza i wleczono go jak obdarte ciało Hektora za wozem — z tą odmianą, że niestał w nim żaden Achilles, lecz powoziły proste tylko Automedony.

Kościół ma tyle siły żywotnéj, że dziś niepotrzebuje uciekać się do stosów lub mieczy; prawda jego ogrzana miłością dostateczną jest na przeciwników i odstępców. Gdyby postępował inaczéj jątrzyłby tylko, a nieprzekonywał i zwyciężał.

Nie przeczę, nadmiar exaltacyi wieszcza i jego zwolenników, rozsadzający wiele form bezdusznych, naruszał i takie, których tknąć niewolno bezkarnie — lecz za to ileż znowu gorącym duchem napełnił? Jak przed dwudziestą laty poezyą swoją zbudził śpiące uczucia, tak późniéj poglądami na dzieje ludzkości — zbudził ducha. Zawsze, jak mówiłem — *najsocyalniejszy* geniusz tego wieku.

Wieniec cierniowy pokryty liściem wawrzynu opasywał go w całéj pielgrzymce.

Demagogia chciała go zrównać ze sobą i rzuciła się na jego poezye, wytrząsając z nich arystokratyzm, jezuityzm, naśladownictwo Goethych i Byronów — cierpieć jedną wielkość w narodzie, było dla niéj z ujmą równości!

Non ragioniam di lor, ma guarda, e passa.

Wiele ma on podobieństwa z Dantem, którego dziś pomawiają niektórzy o herezyę w tém uprzedzeniu, że są lepszymi jeszcze katolikami niż sami ówcześni doktorowie kościoła komentujący publicznie i zalecający tę epopeję średnich wieków. Wiele podobieństwa i w kolejach życia; a lubo Maryla niewyrównała Beatryczy Portinari, i nieniosła mu szczytnych nauk i pociech, niemniéj cierpiał on prześladowanie, jak wieszcz boskiéj komedyi śpiewający o sobie:

Tu proverai si come sa di sale
Lo pane altrui, e come duro calle
Lo scendere e'l salir per l'altrui scale.

Uspokój się cieniu! potomność pomści cię jak tamtego, bo chociażeś doznawał prześladowań — rzesze cisnąć się będą do ciebie i czołgać byś je nakarmił i rozgrzał słowem twych pieśni....

Czyż na ogromnéj karcie naszéj literatury nie stoisz jako wyobraziciel drugiéj epoki — twarzą w twarz z Janem Kochanowskim, reprezentującym tę epokę, co się u stóp twoich skończyła?.... Szczególna myśl uderza w tém postawieniu tych dwóch postaci: literatura cała pod laską pierwszego rozpływa się w jakicheś niepewnych rysach, lice jéj blade jak cień życia — bo téż życie było gdzie

indziéj w takiéj pełni i czerstwości, że poezya pisana — to cień... Pod berłem Śpiewaka Dziadów, zmieniają się role; rzeczywiste życie — to cień; a poezya — to życie, wyraziste i pełne krasy...

Prawa geniuszu niedadzą się zanegować. A któż nieprzyzna geniuszu naszemu wieszczowi? Czyż niewycisnął on swojego piętna na wszystkiem czego dotknął, czyż nie zlał w jedno, co było rozpierzchłe? Czy niebrał natchnienia z pierwszego źródła — z nieba? — Śmiesznem byłoby twierdzić, aby geniusz miał posłannictwo tworzyć z niczego, lub nowe idee w świat wprowadzać. Przeciwnie; on pojęcia mgliste, zawichrzone, niezastosowane, źle wyrażone, łowi że tak powiem w przelocie, zatrzymuje, wiąże w ład i zmusza objawić się w swém dziele. Największa oryginalność będzie podobnoś w téj potędze wielkiego ducha, co umie owładnąć własne pomysły i otrzymać z nich co zechce... tak, że jedyna tajemnica geniuszu podobnie jak cnoty byłaby w panowaniu nad sobą. Bóg władzę tworzenia zachował dla siebie; wielkim zaś ludziom przekazał drugi ten stopień swojéj potęgi: jedność wprowadzać w liczbę, harmonię w zamęt.

Lecz dość tego — jam tylko miał kreślić w krótkości żywot poety zebrany z niektórych dat przy

jego poezyach, z niektórych znajomszych o nim opowiadań. — a tymczasem puszczam się na sądy p. pismach i o człowieku, wtedy, kiedy jeszcze tak świeży żal po nim, a tyle szczegółów rozpierzchłych lub w cieniu ukrytych. . . .

Wszak i na dnie fali,
Kiedy ją wicher zmięsza, kiedy piorun pali,
Czyż widać krasne konchy, perłowe jagody?
Nim mię osądzisz czekaj słońca i pogody.

Zapewne tylko w słońcu i pogodzie postać wieszcza może się wydać w całym majestacie rozmiarów, rysunku i delikatności rzeźby, — podobnie, jak tylko pod włoskiem lub greckiem niebem możesz podziwiać marmurowe posągi i świątynie.

Nim to nastąpi, dokończmyż ostatniego najsmutniejszego aktu tego dramatu życia. . . .

Na wiosnę w marcu 1855 roku odumarła go żona, zostawując sześcioro sierot. Co drobniejsze znalazły opiekę i macierzyńskie serce kilku kobiét, szczęśliwych, gdy mogły tą przysługą ubiedz hołd od wszystkich należny poecie.

W czerwcu wyjechał Mickiewicz w misyi do Stambułu. Miał on z polecenia rządu francuzkiego zbadać kraje słowiańskie pod panowaniem Turcyi zostające. Osobliwe przeznaczenie!

Z taką bowiem samą misyą przed 26 laty wyprawiał go cesarz rosyjski i tylko dlatego puścił za granicę, że się wiele po nim spodziewał. Następne wypadki inną wskazały poecie drogę.... a lubo po krainach umysłowości słowiańskiéj odprawił innego rodzaju podróż w *Collège de France*, wszelako właściwéj podróży śmierć niedozwoliła mu dokonać.

Umarł na przedmieściu w Stambule Galata d. 28 listopada.... Zamknął mu oczy nieodstępny przyjaciel i wielki ulubieniec Adama, Henryk Służalski.

Dla uspokojenia tych, co powątpiewali o religijnych uczuciach Poety, co go mienili być odstępcą od Kościoła, przytaczam w oryginale i przekładzie list umieszczony w dzienniku katolickim L'Univers z d. 13 grudnia, a pisany z Pera, który brzmi jak następuje:

„Adam Mickiewicz le célèbre poéte polonais, sentant qu'il etait atteint mortellement, fit appeler un prêtre polonais qui lui donna les Sacrements et toutes les consolations que l'on trouve dans la religion chretienne. Sa mort a été celle d'un chretien fervent."

„Adam Mickiewicz sławny poeta polski, czując zbliżający się kres życia, kazał przyzwać polskiego

kapłana, który mu udzielił śś. Sakramentów i wszelkich pociech, jakie tylko religia chrześciańska dać jest w stanie. Umierał jak najgorliwszy chrześcianin.*

Dnia 30 grudnia 1855 przeniesiono trumnę na parowiec *Eufrat;* zwłoki przywiezione do Francyi, pochowane zostały na cmentarzu w Montmorency, gdzie spoczywają wszystkie nasze znakomitości, którym niedano umierać na ojczystéj ziemi. —

Niema go! a my zawołajmy słowami Danta:

Onorate l'altissimo poèta!

Do tego rysu, rzuconego na prędce pod wrażeniem żalu za tą narodową stratą, żalu, co tém boleśniéj mię dotykał że w kilku szczęśliwych chwilach życia, miałem sposobność zbliżyć się do osoby wieszcza, chciałbym dorzucić parę wspomnień z rozmów prowadzonych w różnych okolicznościach. Było to r. 1840 ile przypominam sobie, w brzydkiéj porze, w miesiącu październiku, kiedy Mickiewicz z żoną i dziećmi jadąc z Lauzanny do Paryża zaczepił o Strasburg i tu kilka dni zabawił. Pułkownik Radziszewski, Litwin, mieszkający w tém mieście z żoną i córkami niedawno przybyłemi

z Litwy, zaprosił Mickiewicza do swego domu w gościnę. Tam zbierało się na obiady i wieczory wielu rodaków, pragnących złożyć hołd uwielbionemu gościowi, między innymi pospieszyłem doń jeden z pierwszych, do czego mię ośmielił pierwéj już z nim zawiązany listowny stosunek. — Mickiewicz był wtedy w wesołem usposobieniu; mówił wiele i do najpoważniejszych rozmów mięszał wspomnienia litewskie, a często i jowialne anegdoty o dawnych znajomościach, podsuwanych mu przez gospodynią domu, Litwinkę, niedawno z tamtych stron przybyłą. O literaturze mało było mowy, więcéj o kraju i ludziach w nim pozostałych. Pewnego dnia, wstawszy od stołu powiada do mnie Mickiewicz: Pójdę do ciebie na kawę i fajkę....

— Służę — odrzekłem — fajkę i dobry tytoń mam u siebie, kawy każę przynieść.

I wyszliśmy obydwa wymykając się bez pożegnania. Miasto niewielkie, więc w kilka minut stanęliśmy w mojem kawalerskiem mieszkaniu. Adam zasiadł wygodnie na sofie, nałożyłem mu fajkę, kawę podano. Puszczając gęste kłęby dymu — milczał, dopiéro po chwili zagadł mię: Co teraz robisz, czy piszesz co?

— Uczę się — odrzekłem — Chodzę na wy-

kłady księdza Beautain, Cuviera i Bergmana...

— Cóż wykładają?

— Pierwszy filozofię, drugi historyą, trzeci literaturę.... Ten ostatni najwięcéj mię interesuje, dlatego że w wykładach jego znajduje się cząstka méj pracy.

— Jakto?

— Bergman nieznając literatur Słowiańskich zaprzyjaźnił sie ze mną i parę razy w tydzień udzielam mu, co wiem w tym przedmiocie. Właśnie wykłada Fausta Goethego i dostarczyłem mu naszych legend o Twardowskim.

— To dobrze robisz, niech się starają nas poznać. O księdzu Beautain słyszałem, ma być bardzo wymowny i bystry?

— W rzeczy saméj wykład jego porywający, a bystrość dobrze dała się we znaki panu Edgarowi Quinet, który się tu doktoryzował; ksiądz Beautain, jeden z examinatorów, potężnie mu dojeżdżał a raczéj refutował argumenta Hegla, któremi Quinet przesiąkły. Dziwno mi było widzieć, głośnego autora *Prometeusza* i *Ahasweera*, tak niemiłosiernie branym na pytki .... ale Francuz jeśli nie gruntownémi argumentami, to bardzo trafnym dowcipem,

odcinał się z wielką przytomnością umysłu, i uciechą publiczności.

— O tak — u nich dowcip zawsze wygra nad najfundamentalniejszémi prawdami!

— Zdaje mi się — rzekłem — że zachodzi pewna analogia między *Ahaswerusem* Quineta a *Nieboską Komedyą* i *Irydionem?*

— Zapewne - odrzekł po namyśle Mickiewicz — ale tylko w zewnętrznéj szacie — u Krasińskiego nierównie większa żywotność; u Quineta wiele książkowego szumu. Już dziś go zapomnieli Francuzi mający w tych rzeczach węch doskonały.

Potém zwrócił rozmowę do literatur i badań Słowiańskich i rozpytywał o niektóre książki w tym przedmiocie:

Były tam na stole i Starożytności Szafarzyka, i Rękopis Kroledworski i Pieśni Serbskie, i Gundulicz, i *Starobyla Skladani*, którą przypominam sobie że mu ofiarowałem jako, mogącą przydać się do prelekcyi w *Collège de France.*

Mówił mi że czytał mój przekład Rękopisu Kroledworskiego, chwalił tę pracę — lubo ja niebyłem z niéj kontent postrzegłszy się po niewczasie, żem się dał uwieść niestosownemu podziałowi na wiersze, w czém pobałamucił mię czeski zna-

•arca i wydawca Hanka. Pytałem go też, czy poemata te ma za oryginały czy za apokryfy?

Popatrzał na mnie, i zastanowiwszy się, jakby pamięcią szukał — odpowiedział zwolna: — Jeżeliby co mogło wzbudzić podejrzenie, to ów Zabój, który mi bardzo wygląda na dzisiejszego emisaryusza.... Jednakże niemożna na tém opierać się....

— Mnie się zdaje — wtrąciłem — że za autentycznością tych poezyi najwięcéj przemawia ta okoliczność, iż między żyjącymi Czechami żadenby się niezdobył na podobny utwor, a gdyby się zdobył, pewnie nieutaiłby swego autorstwa: Sława ma nieprzezwyciężoną pokusę do rozgłosu.

— Więc przyznajesz autentyczność?

— Najzupełniejszą; tylko niezgadzam się z czeskimi wydawcami, którzy w entuziazmie odkrycia tego skarbu niepotrzebnie zrobili go starszym niż jest, a najniepotrzebniéj usiłowali nadać tym pieśniom piętno poezyi gminnéj, jakie mają takie rapsody o Marku Królewiczu. — Dlatego też mam je za płód literacki z czasów kiedy Dalemil pisał swoją rymowaną kronikę, lub z epoki Luxemburgów, kiedy błyszczeli tacy pisarze jak Tomasz Sztitny, lub Szmil z Pardubić i inni, co tak wysoko wznieśli tę literaturę. Zacięta nienawiść do Niemców

przebija w pismach téj epoki — a treścią natchnienia poematów Rękopisu Kroledworskiego, jest kubek w kubek to samo uczucie....

— Masz słuszność — ta idea, jeżeli można nienawiść zwać ideą, znachodzi swój punkt kulminacyjny w Taborytach i w Zyszce.

Na wzmiankę o ślepym wodzu Taborytów, pochwyciłem gruby pęk rękopisów.

— Oto materyały do Zyszki! Przed dwoma laty jadąc przez Pragę poznałem się bliżéj z kilkoma uczonymi, którzy mię namawiali żebym im wyśpiewał Zyszkę — lecz gdym się składał nieznajomością ich kraju, podań, szczegółów — obdarzyli mię tym materyałem.....

— I mnie kiedyś to spotkało — wtrącił z uśmiechem Mickiewicz, ale przyznam ci się, że jednooki bohater przedstawiający się z jednéj tylko strony nienawiści i zemsty, wydał mi się ustępem, nie zaś skończoną całością. W konkluzyi trzebaby dowieść co innego jak się założyło. — Wojny husyckie choć z taką heroiczną prowadzone zaciętością, strawiły naród czeski i odjęły mu wszelką żywotność. W walce téj wyczerpał wszystko i nic mu niezostało do życia; teraz przez gramatykę i archeologią odgrzebuje i język i tradycye.....

Niepamiętam już co nasunęło Mickiewiczowi materyą do mówienia o Konfederacyi Targowickiéj — ale to wiem, że wpadłszy na ten przedmiot, mówił przez całe dwie godziny; a jam słuchał i od czasu do czasu, kiedy wydymił fajkę, nakładałem mu świeżą... Mówiąc oczy miał przymknięte a słowa mu tak płynęły jakby czytał w otwartéj książce. Była to niezrównana jasnością, prostotą i ścisłością historyczna improwizacya. Jeżeli czego mi żal, to żem jéj niespisał zaraz za świeżéj pamięci. Dziś tylko główne zatrzymałem myśli.

„Konfederacyą Targowicką — mówił on — trzeba odróżnić od niektórych jéj przywodzców, ludzi ambitnych, intrygantów lub łatwowiernych. — Była to prawna protestacya przeciw reformie obalającéj odrazu prawa kardynalne rzeczypospolitéj; reformie, która przerzucała ustroj historyczny narodu na całkiem racyonalne pole. Ztąd obywatelstwo Litwy i Wołynia obce nowemu duchowi, a przeto nie umiejące zdać sobie sprawy z téj konstytucyi improwizowanéj, pisało się z bardzo małemi wyjątkami za Konfederacyą Targowicką. Nazwisko zdrajców służyć im niemoże; byli to bowiem obywatele najpatryotyczniéj usposobieni; tacy Chreptowicze, Białopiotrowicze, Prozory, Kubliccy,

Korsaki i wielu innych których zapamiętałem z lat młodych i którzy mi całą tę sprawę objaśnili z ówczesnego punktu widzenia. Argumenta ich miały za sobą wiele słuszności. Jakto? powiadali — mamy sejmy wolne, mamy stare nasze konstytucye, a niemielibyśmy za wspólną naradą uchwalić zmian odpowiednich duchowi czasu i potrzebom kraju? Dla czegoż od początku wielkiego sejmu niepropono-wano poprawy w ustawach i Konstytucyach? dla czego zaraz porobiono jakieś komisye niepraktykowane dotąd? Czy nowy tytuł miał coś lepszego stworzyć? Powiadano żeśmy przeciwni byli nadaniu swobód stanowi miejskiemu i włościańskiemu? A od kogoż jeśli nie od posła Republikańskiéj partyi wyszedł był projekt o miastach, który tak skwapliwie pochwycili konstytucyoniści i obrócili jak wodę na swoje koło? Wszyscy z nas pragnęli poprawy, ale niechcieli reformy niezgodnéj z przeszłością i konstytucyami. Wreszcie każdy oburzał się na pogwałcenie przysięgi królewskiéj. Król zaprzysiągł był narodowi *Pacta conventa*; czyliż kilkunastu posłów ma prawo uwalniać go od niéj bez zezwolenia wszystkich sejmujących? Nam partya przeciwna zarzucała że trzymamy z Moskwą; my równie mieliśmy prawo zarzucać im, że służą kró-

lowi pruskiemu. W opłakanem położeniu naszem gwarancya Moskwy zabezpieczała nam posiadanie tego cośmy mieli; przymierze z Prusami różniąc nas z gwarantką widocznie przygotowywało nowy zabór; sąsiad ten ciągle łaknął powiększenia się naszym kosztem, kiedy Moskwa chciała u nas tylko mieć wpływ, niepotrzebując powiększenia się. Cóż robiła partya konstytucyjna? oto marnowała drogi czas na sporach o wyrazy, a dopiéro późno się wzięła do powiększenia wojska, niedoprowadziwszy go do proponowanéj liczby stutysięcy głów. Nie tém zgrzeszyliśmy, żeśmy bronili praw kardynalnych; żeśmy obstawali za wolnościami rzeczypospolitéj, żeśmy chcieli poprawy a nie rewolucyi — ale tem że najsłuszniejszą sprawę wzięli w swe ręce naczelnicy ambitni, przewrotni albo łatwowierni. Zdrada niepostała w sercach naszych, a jednak podciągnęła nas opinia pod miano zdrajców. Niestety! Obrot rzeczy ukazał nas w takiem świetle niezasłużoném. —

W części mieli słuszność tak mówić, — sejm grodzieński z kogoż się składał, jeśli nie z posłów należących do Konfederacyi Targowickiéj; a jednak mimo nikczemności i podłoty tylu indywiduów, znalazły się głosy Mikorskiego, Kimbara, Gałęzow-

akiego, Skarżyńskiego, Karskiego i wielu innych, którzy gotowi byli pójść na Syberyą a niepodpisać zaboru. To właśnie służy za dowód, że samego ducha Konfederacyi oddzielić trzeba od ducha przywodzców; hańba ich niemoże spadać na połowę narodu, za to, że chciała stać przy prawach, instytucyach odwiecznych i używać służącéj sobie wolności do poprawy tychże stosownie z wymaganiami czasu. — Był to ten sam duch co w Konfederacyi Barskiéj, z różnicą, że Barszczanie wojowali z Moskwą, a Targowica uciekła się pod jéj skrzydła i zużyła się w kilka miesięcy. — Jest to jak widzisz, tradycya domowa, któréj nienależy spuszczać z oka, żeby niepopaść w niesprawiedliwe sądy względem ludzi wielkiego serca i wielkiéj miłości ojczyzny. Najlepiéj to mówi na ich obronę, że wielu i majątkami i osobami wspierało powstanie Kościuszki, z którem wybiła ostatnia godzina narodowego bytu — późniéj jeźli nie sami, to synowie ich zapełnili szeregi legionów. Dla kilkunastu wyrodków, niemoże cierpieć połowa narodu.

Z téj materyi zeszedł Mickiewicz w miarę zapytań moich, do innych szczegółów odnoszących się do osób stojących wówczas na świeczniku i wybornie oceniał ich sposób myślenia i czynności,

nadając nieocenioną wartość swoim portretom przez urozmaicenie ich anegdotami charakteryzującémi lepiéj i epokę i ludzi niż niejedna poważna historya. Miał on skarb nieprzebrany takich tradycyi i anegdot — dowiódł tego w panu Tadeuszu; a kiedy się rozgadał, sypały się mu jak z rękawa. Obdarzony pamięcią i cudownym darem improwizacyjnym, opowiadał z tak porywającym urokiem, jak nikogo niezdarzyło mi się spotkać w życiu; a spotykałem w dzieciństwie sławnych opowiadaczy, między innymi niejakiego Chobrzyńskiego, który znał na palcach historyę domu Radziwiłłów, a szczególniéj wszystkie ich procesa majątkowe, rozwodowe, a nawet kryminalne, i kiedy puścił się w ten przedmiot prawił bez odetchnienia po kilka godzin, zapominając się częstokroć do tego stopnia, że mu słuchacz wynosił się po słuchaczu, a on, sam jeden wielkiémi krokami chodził po pokoju i prawił o swoich pozwach, replikach, duplikach, kondescensyach, exdywizyach, wyrokach i exekucyach. W téj powodzi terminów jurydycznych, zaplątała się nieraz jaka walterskocka scena malująca wybornie obyczaje owego czasu — ale nic się nieuchwyciło z tego méj pamięci dziecięcéj, odpychanéj palestranckim językiem niezrozumianym dla

mnie. Co za szkoda! myślałem sobie nieraz, że kto ze starszych niespisał opowiadań tej chodzącej kroniki. —

Odtąd już nigdy niewidziałem Mickiewicza w tém nastrojeniu. — Parę lat później znajdując się w Paryżu, zastałem go zamyślonym, milczącym, a jeżeli mówił to o rzeczach mających związek z nauką Towiańskiego. Wyobrażenia te, któremi się przejął spychały w cień historyą i literaturę, czego dowodem ostatnie dwa kursa prelekcyi jego: mesyanizm pochłania tam wszystko, a raczéj stoją na takim punkcie zkąd dotychczasowe prace ducha i umysłu człowieka, z nader rzadkiemi wyjątkami, wydają się jakby powleczone grubą mgłą. Gdy słowo miało się w czyn wcielić, uznano nieużyteczność pisanego słowa, przynajmniéj w kole wyznawców, z czego poszło że jak sam Adam, tak kilku innych z wyjątkiem Słowackiego przestało pisać i zajmować się rzeczami literatury. W domu swoim najczęściéj lubił słuchać muzyki; panna D. grała mu na fortepianie ulubione kawałki z Don Juana i różne melodye gminne białoruskie i litewskie — a czasem przy herbacie słuchał humorystycznych opowiadań Henryka Skatalskiego, przyjaciela, który go do śmierci nieodstąpił. Pewnego

razu, pamiętam — szliśmy we trzech: on, Henryk i ja, bulwarami. Przed wystawą jakiegoś magazynu rycin, zatrzymał się Adam i zamyślił, a po chwili macnąwszy się po kieszeni, wszedł do sklepu.

— Tam do biédy! rzekł do mnie Henryk — pewnie coś kupi niepotrzebnego, a kasa pusta..

I zgadł — Adam wyszedł po chwili z ogromnym arkuszem w trąbkę zawiniętym, Henryk spojrzał na mnie znacząco, jakby mówił: a cóż niezgadłem?

Odprowadziwszy Adama na Batignolles, gdzie wtenczas mieszkał, chcieliśmy go pożegnać ale nie puścił, mówiąc: siedźcie, coś wam pokażę. —

Zostaliśmy, a on wziąwszy ów zwój, pokazał nam przepyszną rycinę wyobrażającą ś. Małgorzatę podług sławnego obrazu Rafaela w Luwrze.

— Niemogłem sobie odmówić tego nabytku — rzekł Adam — to mój najulubieńszy obraz z całéj galeryi Luwru: na olejną kopię mię niestać, niechże przynajmniéj mam dobrą rycinę. Patrzcie! co za spokój, jaka świętość, jaka siła ducha w téj chrześciańskiéj dziewicy, pięknéj jak starożytna bogini, niedarmo na jéj widok zwija się w kłębek smok piekielny i pęka.... Malarz stanął tu na najwyższym szczycie natchnienia; niepotrzebujesz komentarza, bo w tobie rodzi się na pierwszy rzut oka

przekonanie, że od samego widoku świętéj niewinności potężnéj wiarą, piekielny potwór musi ginąć.... Złe niewytrzyma tego blasku.... To nasze dzieje, to nasza przyszłość.... Stańmy się jak ta święta nieskalani i prości, silni prawdą ducha a smok piekielny sam się rozpadnie.... Straszny to i potężny nieprzyjaciel w walce na siłę cielesną; zwojuje królestwa i narody i nic mu się nieostoi, co walczy jego bronią.... jedna broń ducha, siła prawdy i wiary, ta go pokona....

Długo jeszcze mówił w téj materyi, a miał oczy przymknione: zdawało się że nas niewidział i tylko głośno wyrażał serca myśli.

Znowu w parę lat późniéj przepędziłem w jego towarzystwie kilka dni — lecz wtenczas rozmowa toczyła się o najświeższych, nader smutnych wypadkach w kraju..... Stan rzeczy doskonale pojmował — i kilkakrotnie powtarzał: „Złego złem niezwyciężysz“.....

KAJETAN KOŹMIAN.

(1772—1856.)

Po różnych pismach polskich ukazały się już liczne artykuły spowodowane zgonem Kajetana Koźmiana zaszłym w marcu 1856, który oddawna usunąwszy się od urzędów publicznych, piastowanych przez ciąg życia zaszczytnie, osiadł w zaciszu wiejskiém w swoich Piotrowicach pod Lublinem. Tam oddając się ulubionym muzom, nie tracił do saméj śmierci ani bystrości umysłu, ani poetycznego ognia, ani popadał w to zobojętnienie dla spraw świata i ludzi, w jakie najczęściéj popadają ci, co wyskoczywszy nagle w roli posłanników ludzkości, z trąbą zapowiadającą nową erę zbawienia, spędzeni są rzeczywistością rozwijającą się w innych warunkach.

Wydymione te wulkany stoją zazwyczaj bezużytecznie; fundusz ich wewnętrzny starczył ledwo na jeden wybuch; a na żużlach i popiołach trawa nawet nie rośnie.

Kto, jak ś. p. Koźmian umiał do ośmdziesiąt piątego roku życia zachować umysł w takiéj czerstwości, że się prawie z latami odświeżał, jak tego dowód mamy w niektórych utworach lirycznych na krótko przed zgonem pisanych, ten widocznie innego był hartu, niż dawniejsze pokolenie; ten musiał mieć wielki fundusz ducha, którym rozrządzał rozumnie, nie marnując go na czcze rojenie, ani rozpraszając w drobiazgi. Jestto bowiem jednym z ujemnych przymiotów naszego wieku, wkładać całe bogactwo umysłowości w najdrobniejszą cząstkę jakiéj rzeczy i dochodzić jéj składu, podobnie jak fizyologowie, co przez szkło mikroskopu rozbierają atomy i najdelikatniejsze włókna i tkanki. Tego rodzaju praca analityczna, nietylko niepozwala ogarnąć ogromu całości, ale nawet wyobrażenia téj całości w duszach zaciera. W literaturze nowszéj można tę dążność często spotykać w tych zaściankowych prowincyonalizmach, w tém rozczłonkowaniu dziejów i społeczeństwa, zgoła w téj rozkładowéj robocie, z któréj ciągle

nam wróżą rezultaty wielkie: zupełnie jakby kto chciał rolnictwo rozmnożące ciało zchorowanéj osoby, nazwać przyszłymi konserwatorami jéj zdrowia.

Charakter Kajetana Kożmiana, przedewszystkiem zachowawczy, nosił w sobie zapewne wyobrażenia i uczucia tych czasów, które młodością widział, do których w męzkich latach należał; nic dziw że mu się przeciwnym zdawało wszystko, co malało, rozdrabiało się, zapominało tradycyi, co mu wreszcie psuło ten ideał całości, będący, że tak się wyrażę, najpierwszą jego muzą, źródłem wysokiego tonu, na który nastrajał swoję lutnię. Wykształcony na starych wzorach łacińskich, wżyły w tę wielkość instytucyi rzeczypospolitéj, co choć gasnące, olśniły go całym blaskiem, nawykły patrzeć na ludzi budzących poszanowanie dla swych cnót prawie rzymskich, dla swéj biegłości w sprawach publicznych; wychowany nareszcie w karności i prostocie obyczajów staroświeckich, niemógł się tak łatwo oswoić z wyobrażeniami nowego czasu, z odmienną fizyonomią społeczeństwa; z tym wszystkiem co się około niego działo. Człowiek więcéj niż dwóch pokoleń, świadek tylu zmian i przeobrażeń, za-

chowanyż został przez Opatrzność, jak ten dąb, co go zostawiają w wyrąbanym lesie, aby do jego wysokości pięły się młode latorośle zapustu?

Pospolicie, lecz w innych zupełnie stosunkach, takiego człowieka nazywają zabytkiem przedpotopowym, człowiekiem, który się przeżył, — my, w naszym położeniu powinniśmy go nazywać żyjącą tradycyą. Podług mnie, nieznam wspanialszéj postaci w społeczeństwie, jak starca, który młodszemu pokoleniu przedstawia w sobie żywą przeszłość. Kajetan Koźmian przedstawiał ją w swoim żywocie ziemiańskim: dobry gospodarz, nie pan lecz opiekun i przyjaciel wieśniaków, światły doradca, gościnny sąsiadom, poważny ojciec rodziny, a nadto jeszcze pamiątka chodząca, serce podniośléjsze, około którego się można było ogrzać — wszystko to składało męża niezwykłych zalet w życiu domowem, a tacy ludzie nigdy się przeżyć niemogą, przynajmniéj niewiem, ktoby przeżycia się ich pragnął. — Jak ulubieny jego poeta Jan Kochanowski, najszczęśliwszym się uczuł, kiedy z większéj sceny świata zeszedł w wiejskie zacisze; chociaż obowiązki i powinności obywatela powołały go do wysokich urzędów, które piastował, jednakowoż dusza jego zawsze tęskniła za

cichą niepodległością i miernością, jak to wyśpiewał w jednym z najdawniejszych swoich wierszy do fortuny:*)

Szafuj innym twoje względy,
Sławę, bogactwa, urzędy,
Ja się przed twoim ołtarzem nieprzestaję modlić,
By mię nad ludzi twoja nie wzniosła opieka,
Zostaw mi czucie człowieka,
Ja się sam nie dam upodlić.

Taki duch godności osobistéj i obywatelskiéj przebija w każdym wierszu Koźmiana. Gdybym tylko pytał pięknych sentencyi, moralnych, publicznych, domowych, których pełno w jego rymach, odgadnąłbym już charakter i sposób myślenia podniosły i szlachetny; lecz daleko snadniéj mi to przychodzi, gdy zwracam uwagę choćby na tych dwadzieścia kilka lat ostatnich, które wieszcz — starzec przepędził w zaciszu wiejskiem, otoczony jak patryarcha obowiązkami rodziny i obywatelstwa, a przytém wydobywający z lutni swéj ton tak rozgłośny, że wszędy dochodził i tak przenikliwy, że każdą szlachetną duszę poruszał. Kto żył w takiem poszanowaniu i powadze u ludzi, tego we-

*) Prośba wieśniaka do fortuny.

wnętrzna istota musiała się szczerze odzwierciedlać w utworach natchnienia; niemogły to więc być piękne słowa skombinowane sztuką, a w dysharmonii z człowiekiem, który je pisał, a o którym nieośmielono by się wyrzec to, co on sam o Horacym powiedział:

I wieszcz, filozof, dworak, choć wieśniak pozorem,
Coś zalecał w twych pieśniach, zaprzeczałeś wzorem.

Zresztą język prawdy i przekonania ma swoję właściwą cechę, niedającą się sztuką zastąpić. To jednak pewna, że nasi pisarze z tak zwanéj szkoły klassyczno-konwencyonalnéj bardzo mało indywidualności swojéj wkładając we własne utwory, słabo się tylko w nich odrysowywują. Zbyt może zajęci wzorem jakiego klassyka, będącego w ich pojęciu takim *akmé* (*Ἀκμή*) doskonałości, wszystko, i co widzieli zewnątrz i co wewnątrz czuli odnosili do niego, jego przemawiali językiem, jego tworzyli natchnieniem. Głos ich duszy z trudnością się przez te formy przedzierał. Przeciwnie, romantycy obierając inną drogę kreacyi, usiłowali więcéj snuć z siebie, we własną głąb zazierać, a choć i tu niebrakło na konwencyonalizmie i naśladowaniu, z tém wszystkiem indywidualności silniéj się rysowały w tém, co z ich piór płynęło.

Ztąd poszło, że nowa szkoła zainteresowała nietylko pewną odrębnością swoich płodów, ale nawet pisarze należący do niéj intrygowali publiczność, odgadującą w nich wyjątkowe jakieś istoty arcyduchowe i płomienne, cierpiące i tajemnicze, które porównane z klassykami zazwyczaj ludźmi pewnéj pozycyi w towarzystwie, form zimnych, prozaicznych, a zasad konserwatywnych, musiały tych ostatnich zdeskredytować. Łatwo teraz pojąć, gdy się te czasy odsunęły już od nas i sąd nastał spokojniéjszy, jaką krzywdę wyrządzano wyznawcom klassycznym, odmawiając im wszelkich możebnych zalet, nawet gniazdowych, dlatego tylko, że nie poszli za duchem romantycznym. Wyrok ciążący na całym tym rodzaju dotykał i Koźmiana; a jak zazwyczaj stronna gorliwość za daleko się unosi, więc w klassyku potępiono i człowieka, i zastosowano do niego ten wiersz:

„Napisał tysiąc wierszy o sadzeniu grochu"

wtenczas, kiedy dokoła odbywała się ciemna gra gotującego się wybuchu, mogącą czém inném natchnąć jak dydaktycznym *„wieńcem Wirgilego chwały."* Salon literacki warszawski, w trzeciéj części Dziadów naszkicowany, wiele miał rysów zdjętych z natury, tego trudno zaprzeczyć; lecz

za tém nie szło, aby koryfei szkoły klassycznéj był obojętnym na to, co obchodziło żywo każde obywatelskie serce. Co więcéj, on tak twardo stojący na wyłomie swojego obozu, odpowiadający na zaczepki i szały przeciwników dowcipnym sarkazmem lub biczem satyry, sam wkrótce ogrzał się tym ciepłem młodéj literatury, i w późnéj starości zaczął żywiéj i duchowiéj uczucia swoje tłumaczyć. To pokazuje, że w piszącym zawsze odbić się musi duch epoki, choćby najmocniéj się jemu opierał i protestował.

My dziś wolniejsi od uprzedzeń naszych poprzedników, winniśmy to, co z właściwego wyrugowano miejsca, co potępiono bezwzględnie, odnieść do należnego porządku i usprawiedliwić.

Kajetan Kożmian, jak tylu innych, których zastała późniejsza reforma romantyków, należał do epoki pisarzy Księztwa Warszawskiego. Komu wiadomo o jak zwątlonych siłach powstało księztwo, i jakie wpływy działały przeważnie na umysły pod każdym względem, ten sobie łatwo wytłumaczy, że wpływy wyobrażeń francuzkich w epoce Stanisławowskiéj zatrzymane upadkiem politycznego bytu, a więc i upadkiem literatury, musiały silniejsze jeszcze parcie wywierać, kiedy zwycięztwa Napo-

leona dały téj części kraju byt i organizacyą. Jeżeli tedy literatura wielkiego cesarstwa była jakby echem buletynów, deklamacyjna i zimna, jednostronna i formułkowa, nic dziwnego, że się to i u nas odbiło. Zkąd przyszedł kodex cywilny, ztamtąd szło i poetyczne natchnienie i forma. O samodzielności trudno było myśleć, bo ta wymagała geniuszu lub głębokich studyów na innéj drodze; a tymczasem geniusze i talenta absorbowała wojna, a na studya czasu nie było. Ludzie bowiem naukowi i piśmienni wszyscy poszli w służbę publiczną, i tam ich zasług szukać należy, a nie na polu sztuki. Jeżeli więc ukazywały się twory wyobraźni, to jedynie jako owoc chwili wykradzionéj obowiązkom publicznym.

Odnosząc do tych czasów Ody i Pieśni Koźmiana, widzimy w nich niepospolitą siłę, pęd liryczny, ton podniosły, a niekiedy miejsca tak szczęśliwe, że je za wzór poetycznéj szczytności podaćby można. Oprócz tych zalet jest jeszcze forma i język wysoko udoskonalony, co już niepoślednią miało zaletę w ówczesnym stanie naszego języka, którego nie uczono. Niesłusznie tedy zwolennicy przeciwnéj szkoły, wyrzucali klassykom poprawność i ubieganie się o wdzięczne formy, bo porównywając ich

sposób pisania z dawniejszym z epok panegiryków, zawsze pokaże się ogromny postęp. Każde przeto zaniedbanie i lekceważenie tego, co już raz było osiągniętem i zrobionem prowadzi do upadku, jak to się sprawdziło na wielu pisarzach romantycznych, co naśladując genialność gardzącą formą, nanieśli dziwacznych i dzikich wyrażeń, a nadewszystko rozbratali się z loiczną a rozumną jasnością będącą jedną z cech słowiańskiego ducha.

Wirgiliusz i Horacy, jakkolwiek umknięto im znaczenia, przeto że ślepo trzymali się wzorów greckich, niemniéj jednak mają swój odrębny charakter, będący odbiciem się ówczesnéj Romy, pani świata — jest w nich tyle humanizmu, taki wyraz wytwornéj cywilizacyi, taka znajomość życia, że nowożytne ludy przechodząc z pod opieki kościoła, na pole świeckości, wzięły sobie tych swoich przewodników za kodex, podług którego usiłowali kształcić się na obywateli. *Civis Romanus* był to ideał zmodyfikowany pojęciami chrześciaństwa; cóż dziwnego że i dwaj poeci rzymscy, co ten ideał przekazali, stali się owym wzorem najdoskonalszym, poza którym nic już nie widziano. Przypomnijmy sobie wreszcie, że umysły uchylając się z pod jednéj powagi kościoła rozciągającéj wpływ na wszel-

kie stosunki społeczeńskie, poddały się innéj — powadze starożytnych. Długo byłoby rozprawiać o znaczeniu i ważności powagi, któréj dziś wypowiedziano posłuszeństwo, zwyczajnie jak w chwili przechodnéj; chociaż to pewna, że kiedy analiza się sprzykrzy i zużyje, musi nastąpić panowanie syntezy, a z nią powagi, z różnicą że ją przeniosą na takiego Danta, Szekspira i t. p. Koźmian należał do tych jeszcze, dla których wzory rzymskie były nienaruszoną powagą w rzeczach literatury; była to tradycya idąca nieprzerwanym ciągiem przez całe nasze piśmiennictwo. Niesłusznie mu przeto wyrzucano naśladownictwo Wirgilego i Horacyusza, kiedy on, człowiek innéj epoki, nie mógł nawet dopuścić, żeby coś wyrównywało tym wzorom doskonałości; wreszcie, jak każdy nosi w duszy swój ideał, swoje uczucie piękna, tak i on nosił — a trudnoż układać estetyczny kodex dla stosunków formy z treścią, gdyż piękność zachwycająca nas w obrazie i słowie, zawsze będzie tajemnicą świata, jest to właśnie ten czar, wdzięk, gracia, horacyuszowe *dulcia sunto*, którą więcéj czuciem można pojmować, niż wyuczać się z prawideł.

Toż i nasi klassycy mieli insze pojęcie piękności i w czém inném jéj szukali.

Nie ujmuje to nic utworom Koźmiana, ani go robi niewolniczym naśladowcą, kiedy w swoich lirykach co chwila powołuje się na Horacego, a w dydaktyce opisowéj na Wirgila — tak jak nie ujmuje nic kaznodziei, kiedy przytacza texty pisma św. i na nich się opiera, bo i mowca kościelny i klassyczny poeta, dumni są z powag idących im w pomoc.

Z tego punktu uważając jego liryki i inne utwory tak dydaktyczne jak epiczne, niemożna im odmówić niezmiernie wykończonéj formy i tego natchnienia idącego z głowy, co jeśli nie sprawi uroku i wrażenia głębokiéj poezyi, ma zawsze urok rozumu; a przyznam się, ostatni ten przymiot mógł robić śpiewaka *Ziemiaństwa* dumnym, kiedy swoje rymy porównał ze wszystkiémi gminnościami, co weszły przebojem w naszą literaturę. Czuł w tém swoją wyższość, i wiedział czém to zagraża; z wielkim też dowcipem zgromił tę swawolę w jednym nie drukowanym wierszu do jenerała Morawskiego, który może dać miarę o jego talencie w rodzaju satyry:

Gdy równie słynny pieniem jak marsowym szykiem
Morawski mi powiada, niechcę być klassykiem!
I woła na nieśmiałe Feba towarzysze:

„Nieucz się lecz pisz jak chcesz! — a sam tak niepisze —
Przypomnić wiersz klassyka nadaje mi prawo:
„Nierwijcie chłopcy kwiatków, bo wąż jest pod trawą,
Rady sprzeczne z wzorami wprowadzą was w sidła!
Lecz komu uciążliwe rozsądku prawidła,
Niech spali dzieła, takiéj uległe przyganie,
A choć zginie Horacy, Baka pozostanie.
Więc na przekór pierwszemu stargawszy przepisy,
Łączcie węże z ptakami, z jagnięty tygrysy,
Do końskiéj szyje ludzkie przyprawiajmy głowy,
Rybę z piękną kobiétą spójmy od połowy,
I nad témi cudami napełnioną kartą
Niechaj się gmin zadziwi z gębą w pół rozwartą.
U gminu są godniejsze dla wieszczów pamiątki,
Zasiądźmy z lutnią w ręku między wiejskie prządki,
I własnym ich językiem nowe tworząc wzory,
Spiewajmy wilkołaki, widma i upiory.
Wszak już uczeń Krzemieńca*) w ukraińskim smaku
Nuci dyndającego wisielca na haku,
Drugi za nim podobnież budzi podziw w gminie.
Spiewając nam balladę szczytną o pierzynie.
Z tak szczęśliwych początków wróżyć mi jest trudno,
Że nam zaśpiewa kazkę, a choć ta jest brudną.
Przedmiot gminny dostarczy wątku do osnowy —
Cóż ztąd, że nieco trąci — ale narodowy!
A tylko gminny obraz godny wieszcza śpiewu;
Niech więc nasze pasterki pasą trzodę z chlewu,

*) Aluzya ta do Zamku Kaniowskiego, ale Goszczyński niebył uczniem Krzemienieckim.

Niech im pijany Maciek przygrywa na dudzie,
Poco smakiem salonów psuć czysty smak w ludzie?
Zgrzeszył Brodziński, zgwałcił nowych wieszczów prawa,
Gdy krakowskiego Maćka przekształcił w Wiesława!
Precz więc Grecy z Parnasu, precz Rzymian prawidła,
Nasz Helikon za piecem, a Muzy u bydła!
Chceszli nam obraz szczytny wystawić a szczery,
Idź do jaskini zbójców, tam twe bohatéry;
Maluj wielkiéj ludzkości poetyczne dzieje:
Wspaniałe rozbójniki, szlachetne złodzieje;
A gdy owoc twych płodów rozmnoży się wszędzie,
Za mistrzem wielkim głosem wołaj: „Co to będzie?“

Antagonizm obrońcy konwencyonalnego klassycyzmu uderzył tu na żywiół gminny wprowadzony do literatury często bardzo nieszczęśliwie i nieumiejętnie, ale zawsze odświeżający ją tchnieniem rodzinnym, co mimo wstrętu do gminności, nie uszło jego uwagi, gdy Brodzińskiemu oddał słuszność za uszlachetnienie ludowych postaci; zawsze jednak list do Pizonów musiał być na stole; wierny téj powadze nie odstąpił jéj do śmierci.

Daleko jednakże trafniejsze było poczucie Koźmiana, kiedy w ostatnich latach zabrano się do przerabiania ustalonych pojęć narodu, co do usług i wartości niektórych ukochanych pisarzy, i jeden z historyków piśmiennictwa P. Maciejowski, tymże

duchem pędzony, zaczął dowodzić wyższości Klonowicza nad Kochanowskim; — była to prawdziwa obelga zadana czci otaczającéj pamięć słowika Czarnolasu, tego pobożnego ziemianina — wieszcza, co pierwszy miał łzy natchnione, co pierwszy umiał zanucić hymn godny Boga ojców naszych. — Nowy ten estetyk, nie mogąc znieść wyższości uświęconéj, chciał ją zastąpić zgryźliwym, żółciowym Klonowiczem, dlatego że miał koloryt mieszczański. — Kilka wierszy satyry Koźmiana zrobiło doraźną sprawiedliwość:

Jakież to obłąkały rozsądek mamidła?
Czyliż gad, że ma żądło, już ma przeto skrzydła?
Wprawdzie mól tak szczególną odebrał naturę,
Iż z zbutwiałych szpargałów czasem wzleci w górę;
Wiem, że robak, co toczy podwaliny skrycie,
Kiedy szczyt na dół runie, czołga się po szczycie;
Wiem, że złowrogie ptastwo, wśród zamierzchłéj doby
Porze skrzydłem powietrze, nim padnie na groby;
Lecz czy ztąd wniosek idzie i wiary nabierze,
Że gdzie niesięgną orły, sięgną nietoperze?
Pedanci! tworom wieszczów czyniący wyrzuty,
Pomnijcie, że sąd szewca niesięga za buty. —

Jak nadmieniłem, najwięcéj ognia i trafności postrzeżeń znajdziesz w jego satyrycznych wierszach, mających przytém dużo powagi niezniżającéj się

nigdy do szarpania osobistości; karci on tylko grzechy swojego czasu, i staje się wymownym nad podziw.

„Cenzor, przed Rzymem skarży ten sam Rzym wyrodny.“ To jego własny wiersz najlepiéj malujący ducha jego satyry, która nieograniczała się li na samych biczach kręconych na romantyków, ale nieraz chłosnęła i nadużycie publiczne. Do tego ostatniego rodzaju należy *Mowa Katona Censora o obyczajach rzymskich*, którą napisał podobno w roku 1811. Nawykły jak zawsze odnosić wszystkie pojęcia i uczucia do wzorów i dziejów rzymskich, tak i w tym wierszu włożył w usta Katona to, co sam chciał powiedzieć, na pewne swawole w wyższych sferach, szczególniéj na całe otoczenie ówczesnego naczelnego wodza Księcia Józefa. Są to niezmiernie silne i wymowne wyrzuty; każdy wiersz jak grot wpruwał się w odsłonione słabe strony i pewnie ocucił niejedno przygłuchłe sumienie:

„Gdzież są owe cnót wielkich i odwagi wzory,
Niezazdrośni wodzowie, dzielne dyktatory?
Już są w grobie....“

Albo ta apostrofa:

„Kto z was teraz Rzym pozna po tak wielkich stratach?
Czyli pewnie po mowie? czy pewnie po szatach?

Czy go pozna po prawach, zwyczajach, przymiotach?
Poznałby go po męztwie, lecz nigdy po cnotach. . . ."

Najsilniejsze jednak wrażenie — bo strzał był zbyt blizki i celny — zrobiły te wiersze:

Wstyd wspomnieć na co idą składki i zabory,
Które ze łzami ludu odnoszą Pretory.
Spójrzcie na przepych pułków i na wodzów zbytki,
Kannejskie po ulicach żebrzą niedobitki; *)
A śrebro złotem błyszczy wpośród nowych szyków,
I gmachy się pod tłumem walą biesiadników. —

Kto tak się odzywał, nie można mu odmówić obywatelskiéj odwagi. Pieśni i Ody ulubionego mu Horacyusza umiał Koźmian przepolszczać z niezwykłym talentem; jestto najlepszy z naszych tłumaczów; wszakże i tu niepoprzestał na roli prostego tłumacza, gdyż zwykle wybierał takie ody, coby się dały do okoliczności bieżących stosować; brał więc myśl Horacyuszową i wlewał w nią swoję, odpowiednią chwili. Tak on wybornie zastosował wypadki roku 1809 do sławnéj ody *Justum et tenacem propositi virum*, gdzie między innemi przestrogami i tę dorzuca:

„Nędzne są kraju takiego losy,
Gdzie rządzców sławę i czyny

*) Alluzya do kalek i starców z Konfederacyi Barskiéj, żebrzących kiedy młódź tonęła w zbytkach i świeciła złocistemi szlify.

Płochość bez zasług wznosi w niebiosy,
Zazdrość potępia bez winy.“

W Odach na cześć Napoleona pisanych w różnych czasach, widać entuzyazm bez deklamacyi; czujesz, że to nie oficyalne hymny, lecz szczére uniesienie wdzięczności posunięte aż do postawienia bohatéra na równi z Niebiany, za co potém sam siebie strofuje w innéj Odzie, należącéj już do innéj okoliczności; bo opiewającéj upadek Dumnego:

Bóg to, Bóg! głos mój powtarzał,
Bóg z wieczną władzą i chwałą!
Ach! bo kto narody stwarzał,
Jakież mu imię przystało?
Chociaż godne przebaczenia,
O bluźniercze uniesienia!
Zagiąciesz z bezbożnym wiekiem!
Mógłżem tak Stwórcę poniżyć,
By ku niemu tego zbliżyć,
Co się nieznał być człowiekiem!

W ostatnim wierszu znowu za daleko poszedł w potępieniu — ale w okolicznościowych rymach trudna miara, zawsze w czemsiś przebierą, co potém ze zmianą dekoracyi odwoływać trzeba wierszem. W gorączkowych momentach, trudno znaleźć grunt ogarniający całość czy zdarzenia, czy człowieka. Byron i Lamartine dopiéro późniéj mo-

gli nad upadkiem bohatéra podumać. Nie wypada mi, ponieważ nie przytoczyłem dotąd żadnego przykładu wielkiéj lirycznéj piękności, pominąć kilku wierszy z téj ody, w których olbrzymim pędzla pociągiem, oddał zniszczenie armii Napoleońskiéj w śniegach Rossyi.

Porzucaj godowe stoły,
Uchodź zguby w cofnych krokach,
Słyszysz ryczące żywioły,
Poznaj boską dłoń w obłokach.
Lecz cię trwoga niezwycięża,
Jeszcze się rwiesz do oręża;
A tu z twych groźnych zastępów
Marzących boje i łupy,
W marzłe w ziemię stoją trupy,
Pastwa dla kruków i sępów.
U dwóch sprzecznych ziemi kresów,
Gdzie tchną mrozy, gdzie wrą żary,
Na dwóch świata Kambizesów,
Stoi równy pomnik kary.
Świat się pyta z trwogi zbladły,
Jak te góry z niebios spadły,
I zgniotły tłumy szeregów?
Pan, by pychę w proch obrócił,
Ze wszechmocnéj dłoni rzucił
Tam garść piasków, tu garść śniegów. —

Jeśli to nie poezya, cóż nią będzie? natchnienie godne psalmisty sypie pełną ręką piękności

wyższego rzędu, nieprzemijające, jakiekolwiek nastaną szkoły. —

Poemat większego rozmiaru, *Ziemiaństwo*, zaczął Koźmian pisać w r. 1810 i przez wiele lat pisał, dodawał, poprawiał, gładził. Szydzono sobie, że utwor ten trzymał w tece dłużéj, niż dwakroć jak Horacy przepisał. Wszakże wpatrzywszy się w jego zasadę, zbliżenia się o ile śmiertelne siły starczą, do nieśmiertelnego wzoru, jaki sobie obrał, wypada ją uszanować, jako sumienności przykład. Kiedy do większych części dzisiejszych pism mało kto drugi raz zagląda, *Ziemiaństwo* zawsze będzie czytane, nie jak się czytają romanse, ale przez wszystkich chcących się ztamtąd nauczyć siły i wdzięku wyrażeń, jasności i zwięzłego pisania. Każdy utwór w który pisarz włożył wiele rozmysłu, wiele staranności, już tém samem ma większą żywotność, niż wszelkie prace *alla prima* robione. —

Poemat ten, na Wirgiliuszowéj kanwie osnuty, opiewa bogactwa ziemne naszego kraju i zachęca do uprawy roli, pokazując i korzyści i rozkosze wiejskiego żywota. Nie radbym uważać tego utworu za proste ćwiczenie się w opisach znanych dobrze przedmiotów gospodarczych, ale za coś

więcéj istotnego. Urok wojennéj sławy za Napoleona unosił wszystką młódź na pola bitew, gdy tymczasem żywot cichy, rolniczy, mniéj nęcił; społeczeństwo wyrzucone z wielowiekowéj kolei, biegło szukać zaspokojenia swych żądz w różnych zawodach a nadewszystko w przepychach wielkiéj stolicy cesarstwa, ztąd przywiązanie do obyczaju ojców i do domowéj strzechy i roli stygło i zacierało się. W takiéj chwili, obudzić miłość do ziemiańskiego żywota, tego niewyczerpanego źródła zamożności i cnót patryarchalnych, było zadaniem poety. Poczuł to śpiewak *Ziemiaństwa*, jak poczuł wzór jego, śpiewak *Georgik* za czasów Augusta Rzymskiego.

Będę usiłował wyjaśnić lepiéj ten stosunek.

W dydaktyce potrzeba uważać dwa różne od siebie momenta: jeden, gdzie dydaktyka jest naturalną potrzebą; drugi, gdzie jest sztuczną kombinacyą. W epoce takiéj jak Hezyodowa, kiedy czas dla nauk specyalnych i rzemiosł jeszcze nie był przyszedł, gdzie każdy sobie był wszystkiem i wszystko musiał umieć, gdzie zjawiska natury jeszcze powlekała tajemnica, gdzie ciekawość nauczenia się gorąca, a do zaspokojenia trudna — tam poezya wystarczyć mogła, jak wystarczały

Hezyodowe *Prace i Dnie.* — W bardziéj rozwiniętych zaś cywilizacyach, gdzie się już umiejętności ścisłe ustaliły, dydaktyki właściwéj niema, bo jéj niepotrzeba; jednakowoż poeci wśród wykwintów miejskich eleganckiego świata odbiegającego od natury, starają się sztucznémi sposobami przenieść się w niepodobne położenie pierwotnéj prostoty i szukać natchnień, jakie mogły się zrodzić w kolebce społeczeństw. Ostatnia ta epoka jest epoką Wirgila. Z tém wszystkiém *Georgiki* daleko są wyższe od tak zwanych poematów *opisowych*, będących zazwyczaj skalą upadku, bo pisarz nie mając co wysnuć z siebie, szuka tego w przedmiotach zewnętrznych, czego we własnéj duszy znaleźć nie może. Wirgilowe opisy ożywia interes patryotyczny, społeczny. Rolnictwo, z którego wyszły silne cnoty Rzymu i sława, niebyło już w stanie wyżywić odrodnych potomków. Przyczyn tego upadku wiele: to użycie do pracy niewolników w miejscu ludzi wolnych; to zakładanie ogromnych willi i parków bezużytecznych; to spustoszenia wojny domowéj; to zastąpienie dawnych possesyonatów weteranami Sylli, Cezara, Oktawiana, nie mających wyobrażenia o uprawie.

Złe do tego doszło, że nikt się pracy rolnéj

nie imał z zamiłowaniem — rolnictwo uciekło z Italii. Wirgili chce mu cześć przywrócić, ożywić, znowu miłość pługa zaszczepić, a z nim i staroświecki obyczaj i dawne ojców cnoty. Tego rodzaju dydaktyka była na dobie.

Nasz śpiewak *Ziemiaństwa* poczuł tę analogią, i postanowił patronować sprawę zaniedbanego pługa:

„Opiekuj się więc pługiem, z którego szczodroty
Płyną twoje dostatki, a krzewią się cnoty!
Pługiem, za którym jeszcze, niech się wspomnieć godzi,
Dawna wiara i skromność przodków twoich chodzi,
I szczodrość nieobłudna, praca i wstyd prawy,
Lepszy stróż społeczeństwa, niż mędrców ustawy."

Pod opieką ulubionego mistrza, podobnie jak Dant, który Wirgila wziął za przewodnika w podziemne kraje, i on się puszcza po ziemi lechickiéj, z tą jednak różnicą, że Dant patrzał własnémi, Koźmian Wirgila oczyma.

Główna przyczyna, dlaczego ten poemat nie zrobił wrażenia, jest ta, że w nim studiów odpowiednich zbyt mało; malarz natury polskiéj przestał na dostarczonych mu patronach; nie podsłuchał tajemniczych głosów téj ziemi, a wszystko co widział i co mógł czuć, gwałtem przymierzał

do czegoś znanego, obcego. Wszakże z drugiéj strony *Ziemiaństwo* uważane w tym kierunku, jakiego się trzymała klassyczna szkoła, jest najwykończeńszą pracą, w któréj można spotykać miejsca prawdziwie ogniem natchnienia pisane, szczególniéj niektóre apostrofy i ustępy o rasie koni i wołach — rysunek byka po mistrzowsku skreślony:

„Na ich czele poważnie idzie wódz wspaniały,
Tocząc się jak ogromny obłom siwéj skały,
Gruby kędzior pochmurne czoło mu zakrywa,
W grubych marszczkach podgardle do goleni spływa;
Bądź rogiem się zastawia, bądź krzywy zyz toczy,
Pasterz zbrojny kosturem nie śmie zajść mu w oczy;
Przygłuszonym pomrukiem liczne wiedzie stada,
I, jak szeroka przestrzeń, tak szeroko włada.“

Tu czujesz, że śpiewak obraz ten wysnuł ze siebie, że własnémi oczyma widział *„ten ogromny obłom siwéj skały;“* ale Koźmian nie wierzy nawet, żeby mógł co sam przez się czuć i widzieć bez Wirgila, kiedy powiada:

Są cuda, których samo bóstwo niepowtarza,
Raz stworzyło naturę i raz jéj malarza.

Ostatnich lat kilkanaście poświęcił Koźmian napisaniu wielkiego historycznego poematu: *Stefan*

Czarniecki, który liczy do 15 tysięcy wierszy. Zamierzając dać narodowi epopeję, trafił na bohatéra, którego otaczała cudowność, i ta wiara, że był umyślnie przez Boga obranym na wybawienie króla i ziemi swéj od najazdu pięciu groźnych nieprzyjaciół wpadających pod przewództwem Karola Gustawa, a zesłanych na ukaranie grzesznych słabości Jana Kazimierza i swawoli szlachty znęcającéj się nad włościanami.... Cud obrony Częstochowy przez Kordeckiego dał hasło do pokrzepienia się w ufność i na siłach, w skutek czego zawiązała się Konfederacya Tyszowiecka, stawająca przy królu. Tu występuje Czarniecki, którego poeta przeprowadza przez tysiączne koleje bitew i tryumfów, aż do zawarcia pokoju w Oliwie kończącego wojnę szwedzką. Przedmiot niezmiernie bogaty w sytuacye i charaktery; ale jak w innych utworach Koźmiana tak i w tym działanie zastąpione bywa opisem, zawsze na jeden *ton* wygłoszonym, bez zastosowania dykcyi do przedmiotu. Koturnowy Wirgili znowu mu przewodniczył — czemuż nie Homer, który po ziemi stąpał bosą nogą, prosty, z miejsca na miejsce przenoszący się gęślarz?

Zbytnie przywiązanie się do jednego wzoru

i form jego, zwichnęło te bogate dary i zasoby wyobraźni i ducha, jakiemi mógł sędziwy śpiewak Czarnieckiego rozrządzać; tak dalece, że niewiem, czyli sam prosty przekład Homerycznych poematów nie odpowiedziałby więcéj potrzebie naszéj wewnętrznéj patrzenia na rzeczywistość i prawdę, podniesioną do wielkich rozmiarów i niedojrzanych wysokości, duchem boskiego piewcy, — niż ten narodowy poemat, w którym poeta prawdę i rzeczywistość podciągnął pod formy zbyt znane a wysłowił po akademicku, bez téj prostoty i naturalności i bez téj prawdy, bez jakiéj trudno wiarę i serce czytelnika pozyskać.

Są inne jeszcze względy, które czynią *epos* tak trudnem w nowożytnym świecie zadaniem; gdzież owe tradycye bardzo żywe, i wiara niezaprzeczona, podzielana przez wszystkich?

W wieku, gdzie historye piszą, gdzie analiza panuje, opinie się różnią, bohatérowie dzienni cześć odbierają — może być ledwo poemat historyczny. Czy *Stefan Czarniecki* Koźmiana odpowiada temu zupełnie? — najlepiéj to przekona, że po przeczytaniu go, ten i ów uda się do historyi aby się dowiedzieć o prawdzie rzeczywistéj — czemu? bo mu to wszystko choć przyobleczone w szatę prawdy

poetycznéj — niewystarcza; bo nareszcie jest to źródło z którego czerpał i sam poeta, który innych niemiał tradycyi, tak jak Homer lub autor Nibelungów i Romanców o Cydzie.

W ogóle gdzie tylko przedmiot jest natury więcéj lirycznéj, tam Koźmian nic nie pozostawia do życzenia, jak w ustępie gdzie pustelnik w klasztorze Bielańskim obwieszcza Janowi Kazimierzowi przyszłość ojczyzny. Lecz gdzie dramat życia zachodzi, gdzie potrzeba obrazów plastycznych i postaci narysowanych i postawionych tak, aby się mogły utrzymać na nogach, aby się nie rozpływały w mgle sentencyi — tam mniéj go podziwiać mogę; choć zawsze niedostatki te pokrywa szata ślicznie utkana, udrapowana rozumnie, a olśniewająca oczy jak syryjska purpura na którym z Cezarów.

Co do innych pism jego, szczególniéj *Pamiętników*, takowe mieszczą wiele cennych obrazów z staropolskiego życia i społeczeństwa, na jakie Koźmian patrzał w młodości. Sceny trybunalskie, zgromadzenia sejmikowe w Lublinie, pełne są rysów zdjętych z natury i ciekawych anegdot. — Późniéj za czasów Księztwa Warszawskiego, kiedy wszedł w służbę publiczną, spotkać się można z wy-

bornie oddanémi charakterami i portretami osób grających główniéjsze role. Na ludzi i wypadki jestto sędzia surowy, powiem nawet bezstronny gdy patrzy z warownego stanowiska dobrego patryoty i człowieka nieodstępującego od zasad wiary. — Sądy jego w rzeczach literackich i dążeń młodszéj generacyi, wychodzą z powyższego punktu widzenia, i dlatego więcéj są rażące, bo nieuznają nowych kierunków i żywiołów tak zwycięzko opanowujących cokolwiek już ziałowiałe i zapuszczone pole produkcyi umysłowéj. —

Ściera on zarozumiałość młodych, i słusznie upomina się o zasługi jego epoce należne. Mimo tego, sam się ogrzéwa ciepłem młodości i ku schyłkowi życia wchodzi w stosunek z poetą nowéj ery, który ją najwspanialéj i najgodniéj reprezentował, to jest z Zygmuntem Krasińskim, synem jenerała, z którym przyjaźń łączyła go od lat wielu.

Jest to jeden z najwięcéj wzruszających epizodów tak w życiu starego wieszcza jak młodego psalmisty. Koźmian znał małego Zygmunta jeszcze w domu rodziców i podziwiał nadzwyczajne zdolności w dziecięciu, rokujące mu wielką przyszłość, co nawet wyraził w cztérowierszu umieszczonym pod wize-

runkiem Zygmunta siedzącego jak na koniu na szabli ojcowskiéj:

Pogrom Trojan a Greków walecznych nadzieja
Wiesz, czém się przed Ulissem zdradził syn Peleja.
Tak twój Zygmunt do zabaw szablę twą przyswoił,
I czego nikt niedopiął — ojca z niéj rozbroił.

Było to grzeczne pochlebstwo dla ojca; wprawdzie syn nierozbroił go ze szabli i nigdy nią nierobił, ale natomiast wystąpił w pełnéj zbroi duchowéj, tak misternéj roboty, że gdyby cały naród był ją przywdział za jego przykładem, niezmogłyby go złości piekielne. — Późniejszy bieg zdarzeń rzucił Zygmunta za granicę, zkąd dolatywały w ustroń zamieszkaną przez Starca utwory jego, jak: *Nieboska komedya*, *Irydion* i inne. Tyle kreacyjnych zdolności, taka świeżość i oryginalność pomysłów, dziwny urok wspaniałego stylu, wszystko to budziło w klassyku admiracyą dla jenialnego młodzieńca, i zaczęto godzić go z płodami nowéj szkoły, która wchodząc na tor wielkich pomysłów ogarniających naród, i największe zadania ludzkości, jemu zaimponowała. Właśnie pracował Koźmian nad swoim *Czarnieckim*, który miał być ostatniem słowem i usprawiedliwieniem się z zarzutów robionych klassykom pchniętym w za-

pomnienie, — kiedy dowiedział się o przyjeździe Zygmunta do Warszawy. Było to w roku 1844. — Starzec zebrał co miał wykończonych pieśni swego poematu i powierzając je synowi Jędrzejowi, polecił mu zakomunikować je młodemu wieszczowi. Zygmunt z przyjemnością słuchał odczytów, i nie szczędził w ciągu trafnych uwag krytycznych, zachęcając do ukończenia całego dzieła. Wyższy jego umysł odgadł odrazu, co się mieści w téj epopei, — oto duch polski napełniający całość jéj. Uczucie całości, jak to już nieraz wytykałem, nader zmarniało u nas przez drobiazgowość zapatrywań się, a głównie przez stosowanie pewnych teoryi, które mają na względzie człowieka, a naród tracą z oczu. Czego zaś niezbadał w utworze Koźmiana, to daru tworzenia. Jakoż jednym ze swoich listów pisanych do niego powiada: „Niech ten wielki umarły (Czarniecki) weźmie z rąk twoich część i naszego życia, z tém i nam jeszcze lepiéj będzie, bo uwierzym w to; i jemu, bo doskonale i zupełnie odżyje w nas. W tém anielskie posłannictwo poety że wskrzesza, lecz niezupełnieby wskrzeszał, gdyby nic więcéj przebudzonemu niedawał nad to, z czém on się położył w trumnę.“ Zresztą prawdziwa epos powstać może tylko w ze-

spolonéj pracy narodu z poetą — tak że nierozróżnisz co zrobił naród a poeta. Z Czarnieckiego niepodobna było zrobić czegoś na wzór homeryczny, niebyło żywych o nim tradycyi — ale natomiast należało wciągnąć w siebie taką masę narodowego życia i pojęć, aby je wlać w zbudzoną pierś bohatéra — żeby tenże nie do swojéj epoki, którą na zawsze minęła, ale do całéj teraźniejszości i przyszłości należał. Tę mniéj więcéj podsuwał uwagi Krasiński w korrespondencyach z Kajetanem Koźmianem, które ciągnęły się lat kilka, przeplatane rozmaitemi spostrzeżeniami o duchu czasu, unoszącym nas w jakąś straszliwą przepaść i barwione nieraz dla ochłody serc zranionych i przeczuwających wielkie niedole, jakim uroczym rymem, w którym i starzec i młodzieniec szli z sobą w zawody mieniając się na role. Strofy ośmdziesięcioletniego Koźmiana wrzały młodzieńczym zapałem, kiedy w Krasińskim niemającym i połowy jego lat przebijał się głęboki smutek nieurojony, niechorowity, lecz smutek nawiany w duszę darem wieszczącym, który mu był od Boga dany, tak samo jak starożytnéj Kassandrze, albo co bliższe podobieństwa, Jeremiaszowi. Odgadł go starzec, kiedy doń pisał te słowa:

Niechciéj przenikłym dociekać wzrokiem
Co przyszłość brzemienna zrodzi,
Bóg ją okrywa ciemnym obłokiem
Wdzierać się do niéj niegodzi.

Choćbyś myśl lotną zatopił w niebie
Z całym rozumu zarzewiem,
Wyczerpasz umysł, duszę i siebie
I wyrzec musisz: nic niewiem.

Krasiński na to odpowiedział rzewnym wierszykiem, w którym tłumaczy się z przewidywań rozstrajających jego ducha.

Czemu Mistrzu masz siwiznę
Stokroć młodszą méj młodości?
Boś za młodu miał ojczyznę,
A ja tylko proch jéj kości.

Czemu Mistrzu dotąd tleje
Żar ci w piersiach niezrównany?
Boś za młodu znał nadzieje
A ja tylko zwątpień rany.

Z grobuś nieraz wyjrzał w górę,
Czuł już dreszcze zmartwychwstania;
Jam wciąż patrzał tylko w chmurę,
Która Boga mi przesłania.

Młodość Mistrzu jest rzeźbiarką
Co wykuwa żywot cały;
Choć przeminie sama szparko
Cios jéj dłuta wieczno trwały.

Więc już zwiędłem gdyś ty dzielny,
Gdyś żyw jeszcze, mrę nikczemnie;
I niebędę nieśmiertelny; —
Ach szczęśliwszyś ty odemnie!

Odpowiedział na nie Koźmian (d. 20 czerwca 1856) w tych strofkach:

Wyniosły wieszczu w męczeńskiéj koronie
Iskrę twych ogni rzuciłeś daremnie,
Próchno i popiół znalazła w nem łonie
Ledwo zatlała, już zagasła wemnie.

Los i cierpienia wspólne są nam obu:
Gdy cios mordercy wydarł matce życie,
Ja płaczę jak syn schylony do grobu,
Ty, jak od piersi oderwane dziecię.

Choć mu pokarmu obca pierś nieskąpi,
Odwraca usta jakby od trucizny.
Cóż nektar matki dziecięciu zastąpi?
Więdnie bez niego jak ty bez ojczyzny.

Ach krzep się! duszy, niech cię wspiera siła,
Osierocony, niejesteś sierotą;
Ostatnie dziecię co matka powiła
Jest starszych braci pieszczotą.

Jego kwilenie rzewnie przypomina
Bolesnéj straty ostatki —
Tém większy urok czerpa w niem rodzina
Im podobniejsze do matki.

Wieszczu! z twych trenów smutku i żałości
Niechaj odległa potomność uznaje
Jakiéj ta matka godna jest miłości,
Co takich synów wydaje.

Przypominam sobie co kiedyś z okoliczności którychś nowych poezyi Wiktora Hugo napisał był Ludwik Veuillot, ów bicz na wybryki pióra, że poeta, który po pięćdziesiątym roku życia wiersze pisze, wart być ochłostanym publicznie — laurami. Trafna ta recepta niedałaby się do Koźmiana zastosować, chociaż w ośmdziesięciu leciech pisał wiersze — bo też francuzka muza ukwiecona wietrznica co innego niż muza polska z obliczem matki, umęczonéj i zapłakanéj wdowy.... Uczucie syna niema starości, tak jak ma ją uczucie kochanka.... Ostatnie tępiejąc z latami może być tylko pobudzone sztuką, kiedy pierwsze wzmaga się długością życia, idealizuje poezyą wspomnień wielkich lub bolesnych, ożywia się nadziejami nieopuszczającémi do grobowéj deski. —

Pod tém hasłem dusza poetycznego młodzieńca spływała się z duszą starca, i rozmawiały ze sobą, i rozumiały się jakby rówieśnice.

Przez lat dwadzieścia kilka, od powstania 1831 r. Koźmian usunął się od publicznego urzędowania

i osiadł na swoim zagonie, szczęśliwy pod cieniem drzew zasłaniających mu widok na sprawy tego świata, które coraz niezrozumialéj przedstawiały się jego zdrowemu pojęciu i coraz dzikszym językiem odbijały się o serce. Niekiedy tylko ocucał go jaki fenomen, jakie uczone głupstwo, spółczesny lub niepoczesny objaw publicznego entuzyazmu — wtenczas krew mu się psuła i smagał biczem epigramu. Wiadomo jakiemi owacyami przyjmowała Warszawa koncercistę Kątskiego w r. 1853, że niemogłaby lepiéj uczcić którego z bohatérów wracających z pól Raszyna lub Dembego. Tknął go ten brak taktu i chłosnął potężnie ową muzykalną kołowaciznę:

Zagrał był koncert Kątski Turkom przed stu laty
Ugiął ich na kolana, wytrącił bułaty;
Nam dziś tak zagrał Kątski do serca i duszy,
Że słuchaczom z podziwu aż podrosły uszy;
Ten klawiszem brał ruble, tamten mieczem wały,
Jaki wiek, jacy ludzie — taki rodzaj chwały.

Wszystkie literackie prace Korzeniowskiego mają wyjść w cztérech sporych tomach. Pomieszczą się tam wiersze oryginalne, siedm. ód w części nieznanych, pieśni i hymny, listy wierszem, poezye do różnych osób, bajki, epigramaty, napisy; daléj większe

utwory, jak: *Ziemiaństwo — Stefan Czarniecki* — przekłady z Horacyusza, Wirgila, Tybulla — mowy pogrzebowe — Obrona podoficera Grotkowskiego — Żywot kasztelana Jana Tarnowskiego, Jenerała Dąbrowskiego — kilku rozpraw krytycznych — Nekrologi, — nakoniec pamiętniki poczynające się od r. 1779 a doprowadzone do r. 1831. —

Szlachetnie i godnie spełnione posłannictwo pisarza, jeżeli współcześni a tém mniéj idące po nas pokolenia, nieośmielą się mu wyrzucać, że ich serca zatruł jadem, pomieszał rozumy, wyrzucił z karbów świętych powinności, nabawił niesmakiem życia lub rozpalił nigdy nienasyconą żądzą.... Przeciwnie, błogosławić będą, że w pięknéj treściwéj mowie przechował im tyle prawd życia, tyle myśli podniosłych, tyle do cnoty zapału, a do rodzinnéj strzechy — miłości.

Niepodobna mi lepiéj zamknąć tego żywota jak parą strofkami, które Kożmian napisał o sobie w wierszu do księdza Baranowskiego wówczas proboszcza w Bychawce. Miał wtenczas 77 lat wieku:

„Już się przybliża kres mego żywota
Niezbędna starca oczekuje droga,
Pójdę w nią śmiało, bo otworzą wrota
Gdy ty zapukasz i westchnienie do Boga.

Nieszczędź pociechy mojemu plemieniu
Wzorem, nauką, zachowaj od skazy;
Nad memi zwłoki wyryj na kamieniu
Jeślim zasłużył te krótkie wyrazy:
„Tu leży starzec, Bóg mu lat przyczynił,
„Czcił Boga, kraj swój kochał, ludziom niezawinił."

Są to wyrazy prawdy, którym potomność nietylko kłamu nie zada, ale owszem powtarzać je będzie przy każdem wspomnieniu o naszéj wielkiéj i pięknéj przeszłości, która i po swem upadku przeciągała się jeszcze i żyła w takich mężach jak Kajetan Koźmian.

JÓZEF MUCZKOWSKI

PROFESOR BIBLIOGRAFII I BIBLIOTEKARZ UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO.

(1795—1858.)

Nic niema szybszego jak zła wiadomość; lotem prądu elektrycznego obiega ona miasto, kraj, kulę ziemską. Taka wiadomość rano na dniu 31 lipca 1858 r. obiegła Kraków zwiastując nagłą śmierć Józefa Muczkowskiego, professora i bibliotekarza. Niespracowany ten badacz rzeczy ojczystych, nieszukając wypoczynku nawet czasu wakacyi, udał się był na Wawel do katedralnego kościoła dla odczytania cerkiewnych napisów na złoconem i lazurowém tle sklepień kaplicy Ś. Krzyża, gdzie jak się zdaje, wytężając wzrok i podnosząc głowę,

dostał krwi uderzenia i padł, uderzywszy czaszką o krawędź kamiennego nagrobka Jagiełły.

Piękny to zgon uczonego męża, bo taki jak całe jego życie, poświęcone zdobyczom światła i prawdy dziejowéj, które pracowicie wydobywał z bibliotecznych pyłów i oczyszczał zdrową krytyką. On to pragnąc wskrzesić nam wizerunek Jagiełły i Jadwigi, oddawna robił poszukiwania archeologiczne nad starym drzerytem wyobrażającym w głębi lektorium akademickie, a na czele postacie założycieli uniwersytetu; że zaś w kaplicy Ś. Krzyża na drzwiach ołtarza znajduje się wizerunek Jagiełły, a przytem i jego marmurowy grobowiec — zdaje się, że miał zamiar porównać z sobą te szczegóły i krom tego popytać zatartych napisów na wiązaniach sklepienia o odpowiedź na niejednę zagadkę historyi.... Przy tém zatrudnieniu uczony mąż spotkał się z wiecznie nierozwiązaną zagadką — ze śmiercią! —

Strata ta nieodżałowana dla naszego szczupłego grona naukowych ludzi; nieodżałowana dla biblioteki, która pod jego sterem powstała z gruzów, przyszła do porządnego układu i zaczęła się wypełniać we wszystkich gałęziach umiejętności. Wiadomo bowiem, że ś. p. Muczkowski, bibliograf za-

wołany, z prawdziwem zamiłowaniem chodził około urządzenia i pomnożenia powierzonych sobie skarbów. Prace piśmienne zostawione przez niego, najlepsze dają mu świadectwo jak biegłym był w rozgmatwywaniu niepewnych podań bibliograficznych, a nadewszystko jak szczerze miłował ten zakład uniwersytecki Jagiellonów, kiedy wieloletnie poszukiwania poświęcił na odbudowanie jego przeszłości we wszystkich szczegółach, nietylko co do urządzeń wewnętrznych lecz funduszów, życia nauczycieli i studentów, i to przez całe prawie pięć wieków jego istnienia. —

Był to jednem słowem mąż pracowitego żywota, w tém szczęśliwy, że pracy jego zostały widoczne ślady i wyraźny pożytek. Można o nim powiedzieć że jedną ręką pisał rozprawy z dziejów uniwersytetu, bibiloteki i związanéj z nią bibliografii — a drugą porządkował, gatunkował i zbierał naukowe skarby, prowadząc nieprzerwanym ciągiem tę historyą, którą szczodrobliwość Jagiellonów zaczęła.

Ażeby godnie ocenić bibliotekarskie zasługi ś. p. Muczkowskiego trzebaby porównać stan biblioteki jaki był za czasów Bandkiego, a w jakim on ją zostawił. To tylko wiadomo, że kiedy nią

Bandkie zarządzał, wiele zostawało do życzenia. Sam układ ksiąg niezgadzał się z wymaganiami dzisiejszego czasu. Księgi bowiem ustawione były na półkach podług wielkości formatu a nie ze względu na przedmiot i tak: przy dziele teologicznem stał romans, obok historyi, matematyka i t. p. — Wprawdzie Bandkie chcąc bibliotekę prędko przygotować do publicznego użytku, a mając książki prawie na stos zrzucone, użył téj najkrótszéj i zresztą dość praktycznéj metody. Mimo tego jednak powstały za niego porządne katalogi, jako to: katalog ćwiartkowy, czyli główny; katalog repozytoryalny czyli wskazujący w któréj szafie, półce i pod którą liczbą z kolei umieszczone jakie dzieło; katalogi podług języków dla polskich dzieł, dla łacińskich przez Polaków pisanych, dla łacińskich obcych, téż dla greckich, francuzkich, niemieckich, wschodnich, i t. d. dwa katalogi systematyczne rozpoczęte, to jest: dzieł prawnych i medycznych; katalogi manuskryptów, ćwiartkowy i alfabetyczny wedle języków, nakoniec niedokładne i dopiéro w zaczęciu katalogi numizmatów i monet.

Taki był stan biblioteki Jagiellońskiéj gdy po śmierci Bandkiego Muczkowski objął jéj zarząd. Przedewszystkiem i to była niezbędna czynność,

zajął się on sprawdzeniem bytności dzieł podług katalogów. Wskutek zmudnéj téj pracy okazały się liczne braki co do książek i rękopisów niepośledniéj rzadkości i ważności. Tytuły takich zaginionych dzieł odłączył od ćwiartkowego katalogu i osobno zachował pod napisem *Desiderata*. Odłączył także dublety i zarządził spis takowych. —

Jakkolwiek układ biblioteki zrobiony przez Bandkiego dogodnym był ze względu na praktyczne użycie, a to z powodu, iż w katalogach każda książka miała naznaczony numer pod którym stała w szafie, co ułatwiało prędkie znalezienie jéj, jednakowoż ś. p. Muczkowski uznał układ takowy mniéj odpowiednim nowszym wymaganiom bibliotecznym; tém więcéj, że wszędzie wielkie zagraniczne księgozbiory ułożone były systematycznie to jest podług przedmiotów. Widząc atoli szczupłość miejsca, a prócz tego gmach biblioteczny chylący się do upadku, zwrócił całą uwagę na konieczność wyrestaurowania sal tego gmachu, i tak gorliwie poparł swoje żądania, iż na przedstawienie jego niektórzy reprezentanci na sejmie Rzeczypospolitéj Krakowskiéj w r. 1837 poparli tę myśl, i wyjednali fundusz roczny na restauracyą kollegium Jagiellońskiego. Sejm zaś odprawiony w r. 1844 zape-

wnił potrzebny zasiłek aż do zupełnego odnowienia i przebudowania bibliotecznego gmachu. W skutek tego, roboty rozpoczęte w r. 1838 a ukończone w 1851 przyprowadziły kollegium do tego stanu że połowa téj starożytnéj budowli obróconą być mogła na użytek publiczny; jakoż wspaniale w gotyckim smaku odnowione i ozdobnemi z dębu szafami zapełnione sale oddano Muczkowskiemu, który rozporządzając już odpowiednim lokalem, zajął się z niespracowaną gorliwością do systematycznego układu książek. Kto wie ile trudności nastręcza rozklassyfikowanie kilkudziesięciu tysięcy tomów podług ich treści, ten pojmie, w jakim położeniu znaleźć się musiał Muczkowski, kiedy w toku rozpoczętéj pracy odebrał był rozkaz, ustawić w przeciągu 24 godzin wszystkie księżki w szafach. Cesarz Austryacki będący wówczas w Krakowie, miał zwiedzić bibliotekę: nieład zatem pochodzący z rozgatunkowywania książek, wypadło z przed oczu monarchy usunąć. Stało się podług rozkazu zwierzchności — lecz ciężka praca bibliotekarza przez jednę dobę zniweczona, wymagała rozpoczęcia jéj na nowo. Odtąd przy szczupłéj pomocy, bo tylko dwóch bibliotecznych urzędników p.p. Małkowskiego i Piwowarskiego systematyczne uporządkowanie bi-

blioteki odbywało się bez przerwy. Ułożono naprzód literaturę polską i wszystko, co się odnosiło do rzeczy polskich, następnie filologią, historyą i pomocnicze jéj nauki; daléj medycynę, nauki przyrodzone, filozofią, prawo, literatury obce, tudzież encyklopedyą i miscellanea. Układ ten zalecający się dokładnością, miał to jeszcze do siebie, iż ułatwiał znalezienie każdego dzieła, nawet bez zaglądania do katalogu, a oraz pokazywał w jakim stopniu każda gałęź literatury i umiejętności wypełnioną jest najniezbędniejszémi dziełami. — Oprócz téj głównéj pracy niepominął Muszkowski i drobnych szczegółów, w które skrupulatnie wchodził; jakoż dawał on baczność aby kilka dzieł niebyło oprawnych w jednym tomie, co się tak często zdarzało; tym końcem porozdzielał on takowe zbiory, i wyuczywszy jednego z bibliotecznych posługaczów introligatorstwa, polecił mu owe rozdzielone broszury osobno oprawić, sam własną ręką podawał na każdem stosowne intytulacye i podług przedmiotów w pudłach poukładał. Niemniéj polecił sporządzenie katalogów repozytoryalnych wszystkich ulotnych pism i drobnych broszur, w który to poczet weszła i olbrzymia literatura panegiryków, dotąd tak rzadko uwzględniana, a nieraz

nastręczającą tyle ważnych dat do żywotów znamienitych osób. Spisał także i sam ponumerował w znacznéj części atlasy i mapy niemające dotąd katalogu. Ostatniemi laty zajęty rozkładem ksiąg teologicznych i ascetycznych, zapełniających całą ogromną salę Jagiellońską, niemógł zatrudnić się formowaniem katalogów, dopókiby nie rozłożył wszystkich należących do téj gałęzi książek, czego jednak nie mógł wprzód dokonać, gdyż dopiéro 1go listopada 1857 r. oddane mu zostały nowe sale przeznaczone na użytek biblioteki. Gdy to nastąpiło, czynnie zabrał się do rozdziału reszty ksiąg na przedmioty, i w ciągu tego zatrudnienia, śmierć przecięła pasmo czynnego żywota. — Szczerze przywiązany do tego zakładu, co więcéj spojony z nim przez zamiłowanie w badaniach bibliograficznych, niczego nie zaniedbywał do postawienia go na równi z najsłynniejszémi bibliotekami, w czém wielce dopomagały mu rozległe jego stosunki z uczonymi krajowymi i zagranicznymi, którzy dla uczczenia naukowego męża, ciągłemi darami dzieł wydanych przez siebie pomnażali biblioteczne skarby.

Często też miewał do swego pomocnika a tymczasowego zastępcy, p. Małkowskiego, który z naukowego zamiłowania tyle lat pracując wspólnie

z Muczkowskim, sam jeden dziś zna skład i wartość zabytków Jagiellońskiego zbioru — iż niczego goręcéj nie pragnie, jedno by przynajmniéj przed śmiercią doprowadzić mógł bibliotekę do zupełnego porządku.

Nagła śmierć zabierająca go w pełni zdrowia i siły, acz w sędziwych już latach, niepozwoliła dokonać mu tak zaszczytnie i umiejętnie prowadzonego dzieła; przecięła ona również pasma tylu planów do pism, tyle rozpoczętych już badań, które poparte nieznanemi światu źródłami wydobytemi ze składów biblioteki, miały objaśnić niejedną wątpliwość tak pod względem literatury ojczystéj, jak dziejów uniwersyteckich. Nierobię tu bynajmniéj przypuszczenia o rzeczy niewiadomej lub nieistniejącéj, lecz prosty wyprowadzam wniosek z tych prac piśmiennych jakie Muczkowski różnemi czasy drukiem ogłaszał. Przy wyliczaniu ich, niewchodząc w ścisły rozbiór, wskażę przynajmniéj, co nowego przyniosły, jaką rozwikłały wątpliwość, jakie rzuciły światło na oddaloną przeszłość. —

Wykazawszy zasługi zgasłego męża w zawodzie bibliotekarskim, jako stanowiącym główną treść jego powołania, dotknę zasług pisarza historyka; wprzód jednak winienem opowiedzieć żywot jego,

w tych nieledwo słowach w jakich sam go nakreślił. —

Józef Maczkowski urodził się d. 17 marca 1795 r. we wsi Maszki położonéj w dawnem województwie lubelskim, z rodziców ubogiego stanu: Marcina i Katarzyny z Drelanków. Ojciec jego z pracy rąk utrzymujący rodzinę, pojmował to, że tylko przez danie swym dzieciom naukowego wykształcenia, przyszły ich los daleko lepiéj zapewnić im potrafi, niż żeby majątek zostawił. Jakoż po poprzedniém domowem usposobieniu synów w nauce czytania i pisania, oddał w r. 1803 naszego Józefa wraz ze starszym bratem do początkowych szkół lubelskich zwanych podówczas normalnemi. Po ukończeniu tychże w r. 1806 wszedł w poczet uczniów gimnazyalnych, i w ciągu lat sześciu nie bez korzyści przebył szkoły wojewódzkie. —

Zaledwie 15 lat liczący młodzian utracił matkę i ojca (1808—1810) i odtąd osierocony, bez opieki i pomocy, jedynie samemu sobie zostawiony, kierował się daléj i wywalczał nietylko środki do życia ale i chwile swobodne do nauk, a zawsze tworząc sobie los, który go nie znikomemi dostatkami lub czczemi godnościami, ale prawdziwą zasługą i wziętością odpowiednią osobistéj wartości,

miał w oczach ziomków otoczyć. Wszakże pracował on nietylko na samego siebie; serce jego braterskie powiększyło się uczuciem ojcowskiem dla młodszego brata, którego po śmierci rodziców utrzymywał z własnych dochodów, naprzód w krakowskich, później w poznańskich szkołach, a w końcu na uniwersytecie wrocławskim i berlińskim...

Błogosławieństwo Opatrzności najczęściéj spływa na poczciwą pracę ubogich — niedziwmy się i nienazywajmy nieszczęściem, kiedy padają wielkie majątki trwonione w próżniaczym nierządzie — człowiek prawie zawsze jest twórcą swojéj złéj lub dobréj doli...

Po ukończeniu jednocześnie ze starszym bratem szkół departamentowych lubelskich w r. 1812 dotknął go cios najboleśniejszy: bo zgon tego brata i nauk towarzysza. Bardziéj osierocony niż kiedykolwiek, udał się do Krakowa dla pobierania wyższych nauk na tym jednym w epoce Księztwa Warszawskiego uniwersytecie.

„Przybywszy do obcego miasta, młody, niedoświadczony, bez funduszu i znajomości między ludźmi, znalazł w osobie Adama Czapskiego, któremu od jednego z profesorów był poleconym, osobliwą pomoc w uzyskaniu miejsca dającego mu środek

utrzymania życia i uczęszczania na kursa. Musiał to być człowiek z sercem i przyjaciel młodzieży garnącéj się do nauk, kiedy Muczkowski, najczulsze poświęcał mu wspomnienie i chował niewygasłą wdzięczność. Rozpocząwszy z końcem 1812 kurs nauk filozoficznych, jako odpowiedni nauczycielskiemu powołaniu — przerwał go niebawem. Był to rok olbrzymiéj wyprawy Napoleońskiéj na Moskwę. Jeżeli geniusz ten uniosł ze sobą wszystkie ludy Europy, mógłże oprzeć się ogólnemu prądowi młodzieńczy umysł słuchacza filozofii, zapewne natchniony tą samą wiarą co i cały naród, upatrujący w nadzwyczajnym człowieku, wskrzesiciela swojego bytu? — Wstąpił więc w szeregi gwardyi ułanów polskich i udział miał w kampaniach odbytych w r. 1813 i 1814 tak w Niemczech jak we Francyi. W r. 1815 d. 15 marca skończył swój zawód wojskowy i znowu znalazł się w Krakowie, ubogi jak niegdyś za studenckich czasów. Ale czuwała nad nim Opatrzność, ksiądz Felix Jarocki pod którym dawniéj słuchał filozofii, nietylko otworzył mu dom własny i przez wiele miesięcy utrzymywał, ale nadto udzielał mu prywatnych lekcyi języka łacińskiego i odświeżał nauki obozowem życiem wywietrzałe z pamięci. Odtąd zostawszy po-

wtórnie uczniem uniwersytetu, uczęszczał na kursa wydziału filozoficznego przez ciąg trzyletni, a po ukończeniu onych, na przełożenie ś. p. Bandkiego profesora i bibliotekarza, otrzymał posadę adjunkta bibliotéki Jagiellońskiéj. Przy tém zatrudnieniu tak zgodnem z jego skłonnością, zaczął dawać od r. 1818 po cztéry godziny tygodniowo bezpłatne lekcye łaciny, co trwało aż do chwili powołania go na nauczyciela do gimnazyum poznańskiego, gdzie przez 8 lat nauczał języka polskiego, łacińskiego i greckiego. W tym okresie swego życia (1821 r.) wstąpił w związki małżeńskie pobłogosławione sześciorgiem potomstwa, z których troje utracił w czasie grasującéj cholery. Obok nauczycielskich obowiązków nieprzestawał Muczkowski pracować piórem i zwracać na siebie uwagę jako mąż oddany naukowym badaniom szczególniéj w przedmiocie historyi i literatury swego narodu. Ten jego charakter i odpowiednia zdolność, otworzyły mu sposobność zrobienia naukowéj podróży do Danii i Szwecyi w towarzystwie hr. Tytusa Działyńskiego zawołanego miłośnika rzeczy ojczystych, który wziął go ze sobą, dla przepatrzenia bibliotecznych skarbów Kopenhagi, Sztokholmu, Upsali, jak wiadomo wzbogaconych dwukrotnemi na Pol-

akę najazdami: Karola Gustawa i Karola XII. Podróż tę odbył w r. 1823.

W lat kilka uwolniony na własne żądanie od obowiązków publicznego nauczycielstwa, podjął się domowego wychowania syna hr. Mikołaja Mielżyńskiego, z którym w r. 1829 do Krakowa przybył, i nieprzerwanie w tem mieście zostając, przyjął w r. 1831 obowiązki zastępcy profesora a w r. 1832 urząd rzeczywistego profesora liceum Ś. Anny, dopóki w r. 1834 na przełożenie komisarza rządowego przy instytutach naukowych p. Karola Hübnera niezostał mianowany kustoszem bibliotek uniwersyteckiéj. W owym też czasie dostąpił stopnia doktora filozofii i napisał inauguralną rozprawę: *Pauli Paulirini liber* etc. Po śmierci zaś Bandkiego przypadłéj zaraz w następnym roku 1835 otrzymał posadę profesora bibliografii i bibliotekarza, który to urząd wieńczący wieloletnie jego prace, do kresu życia tak zaszczytnie piastował.

Podawszy w krótkich słowach żywot Muczkowskiego, dotknąłem jednéj części jego zawodu, to jest: nauczycielstwa i bibliotekarstwa, teraz o drugiéj wypada pomówić, czyli o jego pracach autorskich.

W ogóle niezostawił on po sobie grubych tomów napuszystych oratorskiemi deklamacyami; umysł

jego praktyczny i prosty, ściśle i treściwie biorący każdą naukę pilnował saméj rzeczy z tą purytańską sumiennością, która zabrania sobie najmniejszego nawet domysłu lub śmielszego przypuszczenia, jeżeli takowe nie jest wielą wiarogodnémi świadectwami poparte. Z téj zbytniéj czasami oględności wyrodziła się w pismach jego pewna suchość opowiadania, która mimo tego niemęczy czytelnika, bo nowość widoków i mnóstwo nagromadzonych rzeczy utrzymuje ciągle w natężeniu uwagę. Zapewne niemoże być obojętniejszy i suchszy przedmiot dla wielkiéj liczby czytających jak bibliograficzne badania; a przecież jego traktaciki o rękopisach Długosza, o bibliach Szarfenbergerowskich, o Leopolitach, dadzą się, czytać każdemu; chociaż nieubawią jak komedya lub powieść, wymuszą jednak na czytelniku sympatyą dla bystrego sądu i zdrowych rozumowań autora. Duch badawczy, czy się przedziera przez puszcze Afryki, czy przez lody podbiegunowe, czy dochodzi w wnętrzach ziemi epok natury, czy z lada ułamku naczynia sądzi o stanie cywilizacyi zgasłego plemienia, czy nakoniec losy książek wyjaśnia konfrontując ze sobą różne ich edycye, lub odgadując wątpliwych drukarzy i autorów — duch badawczy zawsze ma coś

poetycznego uroku, bo odkrywa, bo nowy świat otwiera, bo ma stronę dodatnią; przeciwnie niezmam nic mniéj poetycznego i mniéj potrzebnego, jak nienowe rzeczy przedstawiać ze strony najpospolitszego sposobu widzenia, gromadzić stosy szczegółów, a niedawać im ustroju życia — słowem robić książki dla książek. —

Józef Muczkowski w pismach swoich szedł inną drogą i starał się odpowiadać bądź potrzebie publiczności uczącéj się, bądź potrzebie nauki jakiéj, którą chciał posunąć wyżéj i badaniami swemi wzbogacić. Z tego powodu jedne są treści pedagogicznéj, drugie bibliograficznéj i historycznéj. —

Poświęcony stanowi nauczycielskiemu niepoprzestał na ustnym wykładzie, ale jeszcze pracował nad ułożeniem książek elementarnych mogących ułatwić naukę. Jakoż w Poznaniu 1820 napisał i wydał następujące książki: 1) Powieści starego i nowego Testamentu dla użytku szkół miejskich i wiejskich według tłumaczenia Wujka, z pytaniami do każdéj powieści i stosownémi zdaniami biblijnémi we 2 częściach. (Drugie wydanie wyszło tamże w 1831 r. przerobione i poprawione). — 2) *Sexti Aurelii Victoris de viris illustribus urbis Romae nec non de Caesaribus* — do użytku szkół

zastosowane i słownikiem łacińsko-polskim opatrzone w Poznaniu 1823. 3) Gramatyka języka polskiego — Poznań 1825 r. (wyd. drugie poprawne i pomnożone w Krak. 1836, wydanie trzecie przerobione i pomnożone, tamże, 1849. 4) Pierwsze zasady języka łacińskiego w Krakowie 1832 r.

Niewielki na pozor zasób pedagogicznych dzieł, lecz w istocie mających za sobą wartość praktyczną w nauczaniu; gramatyka jego mianowicie najprzystępniejsza dla uczniów, bez przyczyny usunięta z publicznego wykładu, aby dać miejsce innym pisanym dla zawrotu głowy, przez gramatykarzy nieumiejących najczęściéj języka, którego prawidła chcą stanowić.

Inne prace Muczkowskiego więcéj literackie, składają się z niektórych wydań dawnych autorów opatrzonych jego przypisami, i z rozpraw odnoszących się do bibliografii i dziejów uniwersytetu Jagiellońskiego. Pod ogólnym tytułem: *Zbiór* najcelniejszych i najrzadszych rymotworów wieku 16 i 17, miał on zamiar wydawać rodzaj biblioteki złożonéj z przedruków rzadkich autorów polskich. Na początek w małym tomiku ogłosił w Poznaniu r. 1827 *Rytmy Mikołaja Sępa.* Jak same rymy, tak i wydanie cenione jest wielce; lecz wię-

céj tomików nie wyszło, zapewne dlatego, że wydawca zmieniając około tego czasu miejsce pobytu, niemógł czerpać z bogatych w białe kruki zbiorów hr. Tytusa Działyńskiego.

Osiedliwszy się w Krakowie, poświęcony bibliograficznym studiom, jako sposobiący się do zawodu bibliotekarza, oddał wielką przysługę przez wydanie w r. 1832 z rękopisu dzieła Józefa Jędrzeja Załuskiego bisk. kijowskiego: *Biblioteka historyków, prawników, polityków i innych autorów polskich.* Jest to osobliwe w swoim rodzaju dzieło — bo bibliografia wierszem pisana. Uczony biskup Załuski porwany z sejmu i wtrącony do więzienia w Kałudze, słodził swoję niedolę spisywaniem z pamięci książek składających literaturę polską. Natchnieniem była mu wielka miłość do tych geniuszu narodowego zabytków, co niebawem same jedne miały świadczyć o zasługach narodu w dziele powszechnéj cywilizacyi. Rękopis, opatrzony dawniéj przypisami Józefa Epifaniego Minasowicza, wzbogacił Muczkowski nowemi przypisami i indexami, a nadto sprawdził cytaty swego poprzednika, wszakże jak powiada: mógł to wydanie pomnożyć jeszcze liczniejszémi dodatkami, lecz bojąc się wyciągać księgarza na wielki koszt, dodawał tylko rzeczy

niezbędne. Przed 20 laty podobne książki narażały na oczywistą stratę — dziś tyleśmy postąpili, że księgarz niezraziłby się obszernością przypisków.

Wspomniałem już jak Muczkowski zostawszy doktorem filozofii napisał inauguralną rozprawę: *Pauli Paulirini, olim Paulus de Praga vocitati, viginti artium manuscriptum librum .... descripsit Crac. 1835 r.* Przedmiot téj pracy wiele zajmujący; wykrywa bowiem, że owa wielka pargaminowa księga, jak mówi legenda, przykuta łańcuchem i przywalona kamieniem, czarnoksięzki płód Twardowskiego, — jest niczém innem tylko encyklopedyą napisaną przez Pawła z Pragi, jak to jeszcze w r. 1788 objaśnił Steiner w piśmie: *Warschauer Bibliotek.* Muczkowski zebrawszy różne podania, pokazuje zkąd cała baśń o téj księdze mającéj być dziełem Twardowskiego, urosła. Niemieccy pisarze Jakub Woit i Jan Zyg. Jungschultz książką swoją: *De incrementis studiorum per Polonos ac Prussos.* Lipsiae 1723, naprzód puścili w obieg tę legendę, a w rok późniéj X. Naramowski w dziele: *Facies rerum Sarmaticarum* powtarzając z niektóremi okolicznościami o księdze Twardowskiego, powiada: że po śmierci Zyg. Augusta dostały się różne książki do kollegium jezuickiego w Wilnie,

między którémi był i ów czarnoksięzki kodex. — X. Szpot słyszał o nim z ust Daniela Butwiłła i wskazywano mu osobne miejsce, gdzie był przykuty na łańcuchu. Ojciec Butwiłł wiedziony ciekawością, chciał się dowiedzieć, co tam w nim stało i zaledwie zaczął czytać, aż straszny powstał turkot i duchy napełniły izbę; przestraszony uciekł, a książki nazajutrz już niebyło. Bajka ta mogła być opowiadaną w r. 1620; X. Szpot spisał ją około r. 1660; Naramowski zaś r. 1724 ogłosił. —

Wypadałoby wnosić z tego podania, że księga Twardowskiego mogła się znajdować u jezuitów wileńskich od r. 1572 do 1620. Czyli istotnie był tam jaki manuskrypt Twardowskiego, czy ten sam o którym się Muczkowski rozpisał, odpowiedzieć niepodobna, gdyż przestraszony X. Butwiłł zapomniał co czytał. — Owoż gdy fascykuł encyklopedyi Pawła z Pragi, w skutek obojętności dla nauki, przywalono w bibliotece Jagiellońskiéj kamieniem, który napisem na cześć Władysława IV. przyozdobił Marcin Radymiński, a którego kamienia profesorowie kollegium niepozwolili w ścianie osadzić, — wileńska legenda przeniosła się do Krakowa i na potępienie skazała niewinną ency-

klopedyą, przedłużając niejako i po śmierci męki nieszczęśliwego autora, co prześladowany całe życie, w Pilznie w Czechach nie mając więcéj nad 12 złotych ówczesnych rocznego dochodu, o głodzie pisał ten skarbiec różnorodnych swoich wiadomości; a późniéj nawet, chociaż go na dwór królewski zaprosił Jerzy Podiebard, tak mało dbano o niego, że w ciągu lat pięciu ośm razy mógł tylko przecisnąć się do dworskiego, a pięć do królewskiego stołu. — Muczkowski w rozprawie swojéj powyciągał ciekawe ustępy z księgi Pawła z Pragi, dające poznać jaki w piętnastém stuleciu był stan umiejętności w Europie, a raczéj ilo potwornych wyobrażeń pomięszanych z magią i grubym zabobonem krążyło w obiegu. —

Niewielka książeczka Karola Winarzyckiego; *O stanie obecnym literatury Czeskiéj*, znalazła w nim tłumacza. Wydał ją w Krakowie 1834 r. dogadzając interesowi wzrastającemu dla piśmiennictwa pobratymczych plemion słowiańskich.

Zajęty pracami około uporządkowania biblioteki powierzonéj sobie, nieogłaszał nic przez lat kilka; dopiéro w r. 1840 ułożył rzecz pod napisem: *Rękopisma Marcina Radymińskiego* i dołączył wiadomość o historyografach szkoły Jagiellońskiéj

skiéj. Jest to jedna z ważnych prac Muczkowskiego, podaje bowiem szczegóły bliższe o rękopisie znajdującym się w bibliotece: *Factorum Studii Generalis Almae Akad. Crac.* i t. d. czyli o Historyi Uniwersytetu spisanéj przez Radymińskiego od początku założenia do r. 1654 — o któréj to pracy najlekkomyślniéj i najsprzeczniéj wyrażał się to Sołtykowicz, to Bandkie, chociaż temu pierwszemu należy się podziękować, że rękopism z zapomnienia wydobył. — Muczkowski opisał tedy manuskrypt, wykazał zasługi Radymińskiego, ale, o ile wiem, jeszcze w niedostatecznem świetle przedstawił te skarby dokumentów, co najobfitsze, a jedyne otwierają źródło do historyi głównéj szkoły Jagiellońskiéj; bo chociaż Sebastian Petrycy w r. 1621 ustanowił fundusz na historyografa akademii, jednakowoż ledwo kilku i to w początkach odpowiedziało temu zadaniu — późniéj, brano pieniądze, ale nikt niepisał. Niedziwię się, że nawet w gronie uczonem jak są profesorowie, instytucya Petrycego nieprzysłużyła się w niczém dziejopisarstwu ojczystemu; i przychodzę do wniosku: że pisanie dziejów swojego czasu nie jest tak łatwem zadaniem, żeby pierwszy lepszy umiał mu podołać, choćby nawet profesor.

Mieszkanie i postępowanie uczniów krakowskich w wiekach dawniejszych — cokolwiek większego rozmiaru historyczna praca, wyszła w r. 1842. Uważać ją możemy jako próbę wielkiéj historyi uniwersytetu, którą Muczkowski wygotować zamierzał. W przedmowie sam natrąca o tém, i podaje plan przedmiotów mających się zamknąć w dziesięciu tomach. Rozkład ten następujący:

Tom I. i II. Historya początku, wzrostu, upadku, reformy i t. d. Uniwersytetu aż do r. 1809.

III. Skład Uniwersytetu. Wydziały i ich historye. Rektor, profesor, uczniowie.

Administracya uniwersytetu, jego dobra, beneficya, fundusze, dochody.

IV. Kollegia, bursy, berkarny, archiwum, biblioteka.

V. Szkoły w Krakowie. Akademie, kolonie, a w Dodatku wiadomość o szkołach w dawnéj Polsce.

VI. i VII. Wspomnienia o profesorach i ich dziełach.

VIII. Przywileje uniwersytetu, nadania i statuta.

IX. Księgi promocyi, to jest spis osób, które od r. 1400 różnie stopnie akademickie w wydziałach Uniwersytetu Jagiellońskiego otrzymały.

X. Ważny spis, nietylko dla nas, ale i dla obcych:

Metricae Studiosorum pars prima od r. 1400 do r. 1508 dochodzący.

Ostatnie trzy tomy, jak sam powiada, przedstawiające niewyczerpane źródła, na które miał się często powoływać w ciągu dziejów, zamierzał wydać przed innemi, jeżeliby posłużyły przyjazne okoliczności — lecz widać że napotkał na przeszkody, kiedy ogłosił tylko tom IX. pod napisem: *Statuta nec non liber promotionum Philosophorum Ordinis in Univers. Stud. Jagiellon. ab a 1402 ab a 1849.* Co się zaś tyczy innych części dzieła, dał niektóre z nich ustępy w pojedyńczych rozprawkach, jak: *Bractwa Jezuickie i Akademickie w Krakowie*, Kraków 1845. *Wiadomość o założeniu Uniwersytetu Jagiellońskiego.* Kraków 1849; nakoniec: *Wiadomość o Władysławsko-Nowodworskiem Kollegium*, czyli dzisiejszem liceum św. Anny. Krak. 1849 (znajduje się w programacie téj szkoły na r. 1849 i w osobnem odbiciu).

Wracając do próbki historycznéj jaką zostawił w dziełku: *Mieszkania i postępowania uczniów krakowskich*, mocno żałować przychodzi, że zupełnego nieskreślił obrazu tego życia studentów, które szczególniéj w XVI. i XVII. wieku nosiło charakter nie tyle naukowy, ile fanatyczny i rozpasany

na wszystkie swawole. Już w tym obrazku jaki podał, a który zawiera opis urządzeń kollegiów, burs i obrzędów studenckich, spotykamy się z surowémi prawami królów naszych na poskromienie wyuzdanéj swawoli młodzieży akademickiéj liczącéj nieraz do siedmiu tysięcy głów, a tém samem tworzącéj siłę zbrojną (każdy bowiem nosił szablę u boku) któréj niełatwo mogli poradzić pachołcy grodzcy, zbrojne korporacye cechów i wojsko przyboczne panów. Ztąd też ustawne po ulicach tumulty, napady na domy różnowierców, na brogi kacerskie, rabunki sklepów żydowskich, gwałty przy pogrzebach i processyach. Nienawiści religijne ciągle posługiwały się tym burzliwym żywiołom studenckim, który zamiast się ćwiczyć w uszanowaniu praw i władzy, wynosił z kollegiów zarody zuchwałéj samowoli potęgującéj się potém w niepodległym stanie obywatelskim na sejmach, kołach ryeerskich, trybunalskich zjazdach, słowem, w publiczném życiu narodu.

Hasło uczącéj się młodzieży: Bić akatolików i żydów! powtarzane przy każdéj sposobności w ciągu dwóch wieków, mogło w rzeczy saméj stać się źródłem tego bezrządu, jaki rzeczpospolitę w przepaść pochłonął. Już Sebastyan Petrycy

wskazał palcem to złe, kiedy wyrzekł: „niepodobna rzecz, aby syn swawolnie w domu ojca żyjąc, miał być prawom koronnym posłuszny. To grunt, to źródło dobréj rzeczypospolitéj jeszcze z młodych lat przyzwyczaić się nikomu szkody nieczynić, jeźli niemożesz każdemu pożytecznym być...

„U tych co się nieoglądają na przystojność z młodu do dobrego niesposobieni, prawa, by też stalowe były, pądać się muszą.“

Akta rektorskie dochowały wywód wielu podobnych spraw o tumulty uliczne, o napaści zbrojne na osoby — o wydzieranie opłat od żydów, z których pokazuje się, że zbrojne kupy żaków nierzadko bywały używane za narzędzie fanatyków, co niedość dzielni słowem i wyżsi duchem, aby przeciwników kościoła pokonać, uciekali się do brutalnéj siły, łatwo dającéj się wzburzyć. To pewna, że owe wielkie ofiary jakiemi niezmącona katolicka oświata w XV. wieku uposażyła główną szkołę Jagiellońską, dając jéj liczne kollegia i bursy, w XVI. już wieku, kiedy zaleciały nowostki różnych obcych wiar, nietylko niewydawały owocu, ale owszem stały się gniazdem zepsucia młodzieży.

Bursy te porównaćby można do dzisiejszych koszar rozlegających się krzykiem pijackich szajek

rozpustujących z nierządnicami, zkąd na pierwsze wezwanie wypadała zbrojna hałastra nieraz krwią własną lub cudzą obryzgująca braki.

W dziełku Muczkowskiego wszystko to znajduje się zebrane i wskazane w rysach głównych, oficyalnych z datami i źródłami; brakuje jednak szerszego rozwinięcia, tak niezbędnego, jeśli obraz stanu nauczycielskiego, obyczajów uczącéj się młodzieży i instytucyi edukacyjnych w ich najprzedniejszém siedlisku ma być zupełny i skończony. Dotąd jest to szkic tylko, lecz bardzo nauczający i ważny, jako przyczynek do dziejów domowych.

Autor pojmując zadanie historyka badacza, ciągle przysposabiał noty i wyciągi z pomocniczych źródeł jak o tém świadczą najlepiéj pozostałe po nim rękopisy odnoszące się po największéj części do historyi uniwersytetu Jagiellońskiego, któréj wypracowanie było jednym z celów jego czynnego życia na polu dziejopisarskiém.

Rozprawy obchodzące już samą bibliografią, już literaturę, a umieszczane w wychodzącym w Krakowie *Dwutygodniku*, niemałą oddały przysługę rzucając światło na liczne wątpliwości i błędy jakie przyjmowali na wiarę jedni od drugich, co pisali o literaturze polskiéj, szczególniéj, gdzie

szło o dokładność bibliograficznych szczegółów. Były to nieuniknione usterki z których niemożna robić zarzutu ani Bentkowskiemu, ani Wiszniewskiemu, a mianowicie temu ostatniemu, co nadając swemu obrazowi szerokie ramy, i wiążąc jedną myślą historyka-filozofa, tyle różnorodnych pojawów umysłowego życia przeszłości, nie zawsze był w stanie robić cząstkowe poszukiwania, i znać wszystkie a wszystkie książki o jakich pisać mu przyszło — błąd cudzy przyjmował w dobréj wierze, bo go niepodobna było sprawdzić. Powracam zatem do téj uwagi, którą nieraz robiłem, że ogólna historya literatury narodu nieda się napisać, dopóki rozliczne jéj części niebędą przez osobnych badaczów wypracowane, dopóki żywoty pisarzów niezostaną podług ściślejszych i obfitszych źródeł obrobione.

Muczkowski z tego względu podobnie jak niegdyś Ossoliński, oddał niemałą usługę. Jego rozprawki: o Rękopisach historyi Długosza (Krak. 1850) o Bernardzie z Lublina, o Walentym Kuczborskim, o Janach Leopolitach, o bibliach Szarfenbergerowskich, o Józefie Boguckim i t. d. jak wiele innych drobniejszych artykułów przyczyniły się do rozwikłania niektórych niepewności i ustaliły

zdanie na dobrych świadectwach i trafnem rozumowaniu oparte.

Ostatnie dzieło jakie w r. 1851 wydrukował, jest: Jana Długosza kan. kat. krak. *Banderia prutenorum*, tudzież *Insignia seu Clenodia Regni Poloniae*, z 16 tablicami. Wiemy z dziejów, że zdobytych pod Grunwaldem na Krzyżakach 50 chorągwi zawieszono na Wawelu przy grobie św. Stanisława. Owoż staranny o trofea sławy polskiéj Długosz, opisał je i kazał wymalować — Muczkowski zaś wydał z objaśnieniami podług najlepszego w Krakowie znajdującego się kodexu, i użył dawnych drzeworytów wyobrażających te chorągwie, które jeszcze Paprockiemu w jego *Herbach rycerstwa* służyły. — Drugi rękopis Długoszowy ogłoszony po raz pierwszy, zawiera zarysy ojczystych klejnotów, czyli herbów: jest to najstarszy zatem herbarz, który służył za podstawę dla innych naszych heraldyków. — To w nim ciekawego, że charakteryzuje pewnymi przymiotami lub wadami umysłu i serca różne domy, wyszukując zawsze jakąś analogią ze znaczeniem herbowego znaku. — Staranne porównanie textu Długoszowego z tém co pisał Paprocki, idzie na zaletę tego wydania.

Jeżeli niewidzimy w przytoczonych pismach Muczkowskiego żadnego dzieła większego rozmiaru i wyczerpującego to lub owo zadanie — dzieła jednem słowem, mającego zająć poważne miejsce w dziejopisarstwie polskiem — złożyć tego niemożna na brak chęci i zasobów umysłowych zmarłego męża, raczéj na rodzaj jego zatrudnienia bibliotekarskiego i profesorskiego, ciężącego rozlicznémi obowiązkami urzędu; nietylko bowiem oddawał codziennie kilka godzin, w których biblioteka otwarta, usłudze publiczności czytającéj i zwiedzającéj ten przybytek, ale nadto resztę chwil musiał obracać na układanie książek, i tysiączne pisaniny kancellaryjne i zajęcia połączone z bibliotekarza i profesora urzędem. Zmęczony, dorywczo tylko chwytał za pióro historyka, i to najczęściéj, aby przysposabiać surowy materyał do tych wielkich dziejów uniwersytetu, które były najulubieńszém marzeniem w jego piśmiennym zawodzie, a którego nieubłagana śmierć niepozwoliła mu ziścić w ziemskim jego żywocie wywalczającym w młodych latach: środki do własnéj egzystencyi, a w późniejszym wieku: ziarna prawdy historycznéj skażone fałszem złéj wiary i uprzé-

dzeń, lub zakopane w zbutwiałych kartach nieczytelnych pargaminów.

Silnie zbudowany, czerstwy do ostatnich chwil, umysłem bystry, lubiący żołnierski porządek, czujny i czynny, miał wytrwałość niezrażającą się trudnościami; i ten to rys charakteru połączony z zamiłowaniem w dochodzeniu prawdy szczegółów, robił zeń prawdziwego badacza, niedającego się uwieść żadnym powabnym teoryom, ani poetycznym sytuacyom, jeżeli ścisłe świadectwo współczesnych dokumentów niezamieniało je w niezbity pewnik. Z drugiéj strony znając świat i ludzi, brał wypadki w nagiéj rzeczywistości i nieszukając często wyższych pobudek, dawał im pospolitą namiętność za źródło. W tym sposobie zapatrywania się, niezawsze szczęśliwe i głębsze otwierał zdanie, mianowicie gdy przedstawiał dawniejsze spory o religią. Chciał być bezstronnym w duchu niektórych szkół filozoficznych — lecz zarozumiała filozofia, patrząca z góry na kościoł i jego sprawy, niekoniecznie jest bezstronnością historyka; przeciwnie, tyle napłodziła już fałszów, że niejedna epoka nowych badań i roztrząsania wymaga. Wszelako zdrowy rozsądek i takt zacnego męża, wreszcie silne uczucie narodowości, kazały mu ostróżnie

tych drażliwych materyi dotykać; dlatego pisma jego nietchną gorszącémi wyrzekaniami na kościół i stan duchowny, aczkolwiek w grupowaniu faktów kiedy niekiedy przeglądnie mniéj im przychylna intencya łatwo dająca się przecież uniewinnić, gdy przypomnimy sobie, że to był człowiek, co zarwał końca zeszłego wieku, i co początkowe szkoły przechodził w chwilach wielkiéj religijnéj obojętności, nawet w materyach wychowania. Żeby dać przykład, między innymi bronił on poniekąd księdza Bogucickiego, który podczas pobytu Stanisława Augusta w Krakowie wyrwał się był z niedorzeczną obroną Hussa i Wiklefa, czém nietylko oburzył obecnych, ale w całym kraju złe zrobił wrażenie, tak dalece, że bogobojni rodzice nieradzili byli posyłać synów do akademii zarażonéj libertynizmem. Pisał o tém zdarzeniu ówczesny profesor Radwański do Jana Śniadeckiego ubolewając nad tą niedorzeczną dyssertacyą.

Jakąż my, dziś żyjący, mielibyśmy mieć przyczynę bronić księdza przeniewierzającego się nauce kościoła? —

Uwaga ta, nieujmująca Muczkowskiego zasługom, niemogła być w charakterystyce pism jego

pominiętą — nakazywała ją sumienność, równie jak nakazuje powiedzieć: że strata zacnego męża, zawsze liczyć się będzie do strat narodowych; a dla mnie com go znał bliżéj — do strat serdecznych. —

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

(1812—1859).

W przeciągu niespełna cztérech lat gaśnie drugi wielki wieszcz narodu.

Po Adamie Opatrzność powołała do siebie Zygmunta.

Każda inna literatura jak nasza, zniosłaby stoiczniéj podobne ciosy. Gdzie indziéj żal po wieszczu ledwie zastygłym, prędko przeszedłby w rozpamiętywanie, rozkładanie i przymierzanie pism jego, jego wpływów; przetrząśniętoby go do nitki, zważonoby go na drachmy, wyzyskano do ostatniéj kropli esencyą myśli — zgoła usypanoby mu mogiłę z książek, tak samo powstałych z jego ducha, jak z ciała rozkładającego się powstaje robactwo.

U nas poeta długo zostaje ze swemi tworami. Gmin wierzy że po śmierci człowieka dusza przez trzy dni krąży nad ciałem; podobnie i my dla wybranych duchów przeciągamy ten pobyt dopóki nieprzejdziem wszystkich stopni upojenia się ich treścią, dopóki ich ogień, czucie, wiara, aż do marzeń, niewcielą się w naszę życie. Na nóż anatomiczny dość będzie czasu; pokąd urok i czar żyjącem słowem wprost działa, póty wierzymy że wieszcz pośród nas mieszka.

Bolesna rzeczywistość wydaje się być snem, ale snem obłąkania, jak owego starca w Nocy letniéj, co woła: „Sen uparty, długi, przeklęty, ale wkrótce ranek być musi i przebudzę się.“

Żal głęboki ma to do siebie, że milczy; bo wielkość straty niedaje się zmierzyć żadnym znakiem zewnętrznym.

Gdzie literatura jest jedynym żywotnym objawem wewnętrznego życia, co jak kwiat przyjmuje w siebie rosę niebieską i patrzy w słońce, tam każda strata, każdy ubytek, podwójnie dotkliwe. Jeżeli w téj napowietrznéj Jerozolimie opasanéj murem słów świętych i wielkich zaklęć, runie jedna i druga obronna wieża; jakiż to powstaje wyłom w państwie ducha! Czujna straż trudzi

się wprawdzie naprawą muru, ale czyż robotą jéj, zastąpi wiązania samorodnéj skały?...

„Kto jest poetą — ten nie żyje długo.“

Przeczuciowe te słowa napisał Zygmunt Krasiński przed dwudziestu kilku laty, kiedy mu jeszcze młodość uśmiechała się, kiedy trudno wierzyć w utratę zdrowia.

I odgadł na nieszczęście, jak wiele innych rzeczy, które umiał wieszczo zgadywać.

Żył krótko, bardzo krótko — nie życiem poety, bo tém żył najsilniéj i przez nie zdobył sobie państwo szerokie — ale życiem rzeczywistem, obywatelskiem, co się zaciąga w służbę twardego obowiązku, prozaicznych konieczności, co się skazuje na codzienną ofiarę z godności, z dumy, przekonań, co wszystkie siły, nawet fizyczne wytężać musi aby się na stanowisku utrzymać. —

Takiego życia prawie niezakosztował; nie żeby nieczuł wzniosłości jego, lub nierozumiał potrzeby — lecz że wcześnie uniesiony skrzydłami Anioła poezyi przesiadywał na kopułach i ruinach grodu wiecznego, na szczytach Alp i Apeninu, aby z tych wyżyn orlem spojrzeniem zdobywać szerokie horyzonty dziejów ludzkości i w wielkich kartach czytać wyroki bliższych przeznaczeń....

Niebył to latawiec oderwany od ziemi — raczéj lutnia, któréj struny uwiązane u rodzinnego zagona, oddawały każde drgnienie w sferze wysokich jego dumań.... „Poezyę nosił — że zastosuję jego własne wyrazy — gdyby gwiazdę na czole swojem, a nieoddzielił się od jéj miłości przepaścią słowa. On kochał ludzi...*)“ a że niemógł dopełnić drugiéj części zadania, to nie skutkiem przeniewierstwa Bóstwu poezyi, pojmowanemu jak on go pojmował....

Zygmunt Krasiński zmarły na dniu 23 lutego b. r. urodził się w r. 1812, w tym samym Paryżu gdzie i ostatnie tchnienie oddał. Ojcem jego był Wincenty hr. Krasiński wówczas adjutant Napoleona Igo, matką księżniczka Radziwiłłówna. Pod okiem ojca miłującego nauki, odbierał bardzo staranne i gruntowne domowe wychowanie aż do r. 1825, w którymto czasie wszedł do szóstéj klasy liceum warszawskiego. Wybornie ćwiczony w greczyźnie i łacinie, obeznany ze starożytnymi klassykami, wcześnie zdobył to wszystko, co człowieka robi zupełnie światłym i jak to mówią: do ludzi. Po ukończeniu liceum przeszedł do uni-

*) Nieboska Komedya. — Wstęp.

wersytetu, i z wiosną w r. 1828 w skutek niemiłych zajść wyjechał do Genewy. Odtąd życie jego było podróżą ciągłą po Szwajcaryi, Niemczech, Włoszech, Francyi. — Do kraju rzadko przyjeżdżał, chyba tylko w ostatniéj konieczności — chociaż sercem ciągle żył między swoimi. Położenie jego było wielce trudne w stosunkach jakie go najbliżéj łączyły; niechcąc téż uledz pokusie, którą w tak wymownym obrazku późniéj odmalował, trzymał się zawsze zdaleka od ponętnych, a śliskich dróg próżności i upokarzających względów. „Widoma rzeczywistość nieprzemogła w nim nad niewidomą, świętą, wiekuistą prawdą“ *). Zresztą do tych wieloletnich pielgrzymek po obcych krajach, zmuszały go najróżnorodniejsze choroby, rozwinięte przedwcześnie. Ciepły klimat, najzawołańsi lekarze — wszystko to ciągnęło go w nowe coraz strony, zwłaszcza takie, gdzie znajdował wdzięk uroczy natury, zasoby naukowe i towarzystwo miłych przyjaciół jeszcze szkolnych, z którymi mógł oddawać się ulubionym rozmowom o rodzinnych stosunkach. Sprawy domowe znał téż wybornie nietylko z oczytania się w bieżącem

*) Noc letnia. Berlin 1850.

piśmiennictwie, ale z opowiadań ustnych i korespondencyi, co mu przychodziło z łatwością, gdyż każdą rzeczą zajmował się gorąco i z tą miłością, która klucz daje do wszechwiedzy, a raczéj najłatwiéj przenika tajemnice serca ludzkiego.

W pełni młodości zagrożony utratą wzroku, długoletnich potrzebował starań aby ocalić oczy. Może to wtedy skreślił tę rozdzierającą scenę w *Nieboskiéj* gdy przywołani lekarze uznają że Orcio na zawsze oczy postradał. Zapewne w tych słowach Orcia jego własny jęk się rozlega?

„Precz odemnie ciemności — jam się urodził synem światła i pieśni. — Co chcecie odemnie — czego żądacie odemnie. Nie poddam się wam, choć wzrok mój uleciał z wiatrami i goni gdzieś po przestrzeniach — ale on wróci kiedyś, bogaty w promienie gwiazd i oczy moje rozogni płomieniem.“

Następnie rozwinęły się choroby nerwowe, tak zwykłe u ludzi czucia i wyobraźni, zwłaszcza gdy tym dwom władzom nietylko pozwolą zapanować nad sobą, ale jeszcze podniecają je, wytężając na utwory, które dlatego tak potężnie działają na drugich, że wola tworzyciela nieszczędziła ich do ostatniéj kropli, do ostatniego połysku. Znać to

w każdym rysie jego pióra, że je maczał w krwi serca; w każdym objawie uczucia, że je przebolał, przecierpiał, wypłakał. Nie urojony to sentymentalizm — ale rzeczywistość jego wewnętrznego nastroju przepalona trawiącą gorączką natchnień poezyi, tym „nieznośnym gościem“ jak go nazywa Kochanowskiego Kassandra. Stan ten, który niemógłbym nazwać chorobliwym w znaczeniu ujemnym tego wyrazu, ale stanem najwyższego sił duchowych wytężenia, odbił się bardzo wyraźnie w pismach jego, nacechowanych dziwnem jasnowidzeniem, prawie proroczością. On sam wiedział o tém usposobieniu swojem, o tym wielkim przymiocie, bez którego niema najwyższéj i najgłębszéj prawdy poetycznéj, kiedy robi wyrzut Juliuszowi Słowackiemu że nie głębszego głosu, tylko kapryśów fantazyi słucha.

W bańce własnych siedząc marzeń
Nie przeczułeś zdarzeń?
Niewcieliłeś się w to ciało
Co tak cierpieć miało!
Ach! niewziąłeś ran — przed ciosem
W pierś twą magnetycznie —
Aleś jednym wciąż piał głosem
Tylko fantastycznie.

Kto pierś swą otworzył na wszystkie bole, i pozwolił szturmować w nią falom wypadków póki niepękła — ten z życia robił ofiarę; taki poeta niemógł żyć długo. — Galopujące suchoty sprowadziły mu śmierć prawie nagłą, w wieku, co choć niedoszedł jeszcze kresu męzkiego peryodu, ale już dźwigał na sobie dwadzieścia lat nieprzerwanych cierpień i dolegliwości.

Żywot tego męża zbyt trudny do skreślenia, nietylko z przyczyn których wymienić niemam potrzeby, lecz jeszcze i z téj, że się różni od zwykłych żywotów naszych znakomitości umysłowych, zazwyczaj dotykalniéj spojonych z ogółem pośród którego żyli. Szczegóły życia, koleje losu, walki z niedostatkiem, łamanie się z opinią, z wyobrażeniami pewnych szkół, udział w pracach publicznych, aż do najdrobniejszych przygód, właściwości charakteru i anegdot — wszystko interesuje świat literacki i nieliteracki. Znając dzieła, autora każdy pragnie poznać lub sobie wyobrazić jak wygląda, jaki w codziennem zachowaniu się, jakie ma oryginalności? i tym sposobem przez bliższą znajomość człowieka, dopełnia sobie jego pisma, i nawzajem pismami dopełnia człowieka. Świat bowiem zawsze niedowierzający lubi tę kontrolę,

może z obawy, by niepadł ofiarą słów igraszki, a prędzéj jeszcze dlatego; że nierad oddzielać twórcy od utworu. — W niniejszym przypadku świat nasz zna dzieła Zygmunta, a o ich twórcy wie tylko w ogólnych rysach: że się urodził w pańskim, zamożnym domu; że przystęp do skarbów wiedzy stał mu otworem; że czego zapragnął, mógł mieć — zgoła — droga życia ścieliła mu się różami... a jednak, nigdy niesłychać było, aby z tych łask fortuny głośno korzystał — przeciwnie, imie jego wymawiano po cichu ze czcią, dodając z westchnieniem: On chory —, on nieszczęśliwy! — kiedy tylu tak łatwo szczęśliwymi się czują — nawet w mniéj pomyślnych warunkach bytu. Była to zagadka, którą nie wszyscy umieli rozwiązać — a jednak tłumaczy się ona wymownie utworami poety, rzucanémi w świat bez nazwiska, lecz mimo tego pozwalającémi odgadnąć, kto był tym nieznajomym? Wcielić się w pracę ogółu, cierpieć jego cierpieniem, czuć każde drgnięcie, spuszczać z wyższych sfer ducha krople balsamu, wskazywać niechodzone tory aż do gwiazd, zapalać kwiaty wiary i miłości — a często ostrzegać proroczem słowem, lub piorunami spędzać z krzywych dróg, którémi

ciągnął obłęd i zepsucie wieku — oto jego zawód. Pod tym ogromem zadań, możnaż było bawić się szczęściem pospolitego dziecka fortuny, usypiać — jak, mówi Mąż w Nieboskiéj: „Snem odrętwiałych, snem żarłoków, snem fabrykanta.“ — „Świat cały jakoś zasnął w około mnie, na podobieństwo moje — jeździłem po krewnych, po doktorach, po sklepach, a że dziecię ma mi się narodzić, myślałem o mamce.“ — Prawdziwe to męczarnie nowego Prometeusza przykutego jak do skał Kaukazu, do téj rutyny życia, w któréj na lekkomyślne błyskotki drobnych uciech, czczych zajęć, rozpraszają się najcenniejsze skarby ducha! Zygmunt umiał się skupić, umiał oderwać się od tego, co gmin szczęściem nazywa, a co najczęściéj jest snem żarłoka, snem fabrykanta. Zapewne tém szczęściem niebył on szczęśliwy! Ale za to kochać wszystko co wielkie, szlachetne, piękne, gardzić poziomem i podłem — niejestże to żyć ciągłą poezyą?!

Niemając szczęścia znać osobiście autora „Nieboskiéj“ powtórzę, co mi o nim wspólny nasz przyjaciel pisze. — Wyrazy te rzucone w liście nieprzeznaczonym do publikacyi, niemogą rościć sobie prawa do skończonego wizerunku, a tém mniéj do obrazu życia poety — jestto raczéj doraźne wspo-

mnienie, skreślone pod wrażeniem świeżéj wieści o śmierci przyjaciela. „Tylko pośród nas mogła się pojawić podobna anormalna pozycya, aby wielki poeta i cnotliwy obywatel, wypierał się przez całe życie swojéj chwały literackiéj i krył się z zacnémi uczynkami, jak inni kryją się z podłością i występkiem, a wszystkie usiłowania wytężał na to, aby marne zaszczyty i błyskotki, za którémi próżność tak goni, omijały jego osobę..... Bóg zlał na niego wielkie dary; dał mu miłość i szacunek ziomków; wielkie serce, umysł jenialny; żonę piękną, cnotliwą i najzacniejszą z niewiast — miłe i dorodne dzieci — licznych i wiernych przyjaciół — nakoniec znaczny majątek. Brakło mu tylko zdrowia, i tego — czego niedostawało Alfowi..... „Szczęścia nigdzie nieznalazł, bo go niebyło w ojczyznie.“ Banalnych i pstrych rozmów nielubił, i dlatego stronił od modnych salonów..... Najmilszą mu była wieczorna pogadanka z kilkoma przyjaciołmi, rozmowa gorąca, poważna, szczególniéj z historyi i filozofii w pytaniach najżywotniejszych. — O jakże świetniała wówczas jego wymowa! Jakie zdrowe i wielkie myśli wybłyskiwały z tych improwizacyi! Nieraz słuchając go z uwielbieniem, myślałem sobie: gdyby ten mąż był Anglikiem lub Francuzem i miał

przystęp do publicznéj mownicy, stanąłby niezawodnie na równi z Pittem i Burkiem, z Guizotem i Thiersem, stanąłby na równi rozumem i mową — a sercem, niezawodnie by ich przewyższył. — Bogobojny, wylany dla rodziny i przyjacioł — dobroczynny, prawie do rozrzutności... Można zastosować do niego własny jego wiersz w którym scharakteryzował zasługi dawnego rycerstwa:

„Tyś się palił wciąż ofiarą,
Na ołtarzu swéj Ojczyzny."

* * *

Trudno, niepodobna prawie było skreślić charakter wieszcza we wszystkich położeniach jego życia, gdy to życie objawiło się nam jakby za zasłoną, i w kilku oderwanych szczegółach — zresztą nie jest to chwila odrysowania téj postaci, kiedy żyjemy pod wrażeniami jéj utworów, zawsze tak świeżych, tak jeszcze niewyczerpanych jak koleje przyszłych wyroków. — Nieprędko téż i sąd o dziełach i człowieku dójdzie ogółu w zupełności; najwięcéj jeżeli ułamkowe pokażą się studia, z których kiedyś powstanie więcéj zaspakajająca całość. Późniejszemu pokoleniu pozostawioną jest ta swoboda uczuć, na jakiéj nam zbywa; znajdujemy się

bowiem w tém samem usposobieniu w jakiém znajduje się publiczność na drodze z teatru do domu. Widowisko się skończyło, ale promienie różnorodnych wrażeń nie zbiegły się jeszcze w ognisku sądu. W spokoju tylko, w zaciszy dumania, wzruszony umysł może się zebrać i zdać sobie sprawę z tego, co widział i czuł, aby poznał, co ma na wieki w nim zostać, a co odpaść jako niepotrzebne. Im wyższe szczyty gór, tém więcéj trzeba oddalić się od ich podnóża aby cały ich majestat przejrzeć i ogarnąć. Któż potrafi dziś ocenić donosność takich kreacyi, jak: Nieboska, Irydion, Sen-Cezary, Legenda i tyle innych tego pióra. Wielkie te pochodnie pozapalane na szczytach Kapitolu i kopuły Św. Piotra, na Alpach i na wieżach katedr gotyckich, biją w niebo, ale odblask ich niepolał się jeszcze strumieniem światła po nizinach ziemskich....

Wieszcz myślał o wiekach, kiedy pisał....

Pragnąc, o ile się da, uzupełnić wizerunek zgasłego męża, wypadałoby wyliczyć jego prace od najpierwszéj młodości, opierając się na niepewności podań przypisujących mu ten i ów utwor, albowiem pod żadnym nigdy niepołożył swego nazwiska — rezygnując z dożywotnéj sławy, która w pojęciu wie-

szcza sięgającego po najwyższe cele prawdy, była niczém innem tylko tym orłem zdjętym z pala a wypchanym w piekle, co pokuszał Męża w „Nieboskiéj.“

Choćby dla uciechy bibliografów, wymieńmy jego pisma:

Kiedy jeszcze był uczniem liceum, napisał powiastkę historyczną z wojny trzydziestoletniéj pod tytułem: *Grób rodziny Reichstatów*, drukowaną w Dodatku literackim do Korespondenta warszawskiego. O ile pamiętam utwor ten zwrócił uwagę publiczności na siebie, i zapowiadał pisarza niezwykłéj miary. Że to była epoka romansów *à la Walter Scott*, więc i Zygmunt idąc za nią, doświadczał swego pióra na przedmiocie z dziejów ojczystych; tym sposobem powstał: *Władysław Herman i dwór jego*, drukowany w Warszawie r. 1829. Znalazł się i drugi taki utwor pod tytułem: *Zawisza Czarny*, lecz ten nieujrzał światła, albowiem rękopis w przesyłce z Genewy do Warszawy pod koniec 1830 r. zaginął. — Dopiéro w cztéry lata (1834) wydana we Wrocławiu powieść historyczna: *Agaj-Han*, z początkowémi literami na tytule: A. K. narobiła więcéj hałasu w świecie czytającym. Autor wziął przygody Dymitra i Maryny, a osobliwie charakter ostatniéj przeprowadził przez różne koleje

miłostek i żądzy panowania. Styl brylantowy, podziwiany później w Nieboskiéj i w Irydionie, występuje tu z całą młodzieńczą bujnością, a raczéj przesadą.....

Na tém się kończy poczet prac młodzieńczych Zygmunta. Odtąd zaczyna się okres utworów, które odrazu, wstępnym bojem zdobyły sobie najprzedniejsze miejsce w literaturze: Nieboska komedya, Irydion — Trzy myśli pozostałe po ś. p. Henryku Ligenzie — Noc letnia — Pokusa. — Są to poemata w formie dramatycznéj lub powieściowéj pisane poetyczną prozą; — Zygmunt bowiem acz urodzony poeta, długo niemógł się odważyć na wiersze, dopiéro około 1845 r. ogłosił pierwsze poezye swoje w odpowiedniéj formie, i prędko zrównał najlepszym wzorom. — Odtąd w pięciu poematach przemawiał tylko tym językiem bogów, niekiedy przewlekle i zawile, lecz często w wielkich momentach poetycznego natchnienia wysokością i namaszczeniem Dawidzkich psalmów.

Spuścizna pism nieogłoszonych drukiem ma być dość znaczną; — mówią o dwóch częściach nieżnanych jeszcze „Nieboskiéj komedyi“ — i o poemacie mistycznym: Ś. Teresa. Co do ostatniego czytaliśmy osobną drukowaną szczytnych piękności

jego glossę do znanych słów Ś. Teresy zamkniętych w tekscie tych wierszy hiszpańskich:

Vivo sin vivir en mi
Y tan alta vida espero
Que muero porque no muero!

(Żyję nie żyjąc w sobie, a życie którego pragnę tak jest wzniosłe, *że umieram dlatego, że nieumieram!*)

Poeta myśl tę mistyczną tak wyraził:

„Przed życiem czuję, nie przed śmiercią — trwogę —
Bo takie światy widzę tam przed sobą
Że mi ten ziemski, grobową żałobą;
I tém umieram — że umrzeć nie mogę!"

Dotąd drukowano tylko ułamek (Kraków 1858) będący zapewne częścią większego utworu, w duchu tak odpowiednim usposobieniu wieszcza, który pierwszy znalazł u nas ten język niemateryalny i najdelikatniejszych cieniowań, oddający myśli i uczucia z świata tajemnic nadziemskich, język oczyszczonego ducha, co się rozpływa w rozpamiętywaniu rozkoszy niebiańskich zgotowanych tym, co wielką miłością Chrystusa pałali za życia.....

Ten jest bukiet słonecznych kwiatów, którémi posypał naszą ziemię umiłowaną przez niego najczystszą miłością, miłością bez cienia samolubnéj

przymieszki nazywającéj się sławą autorską... a jednak sława ta, nie jak „orzeł wypchany w piekle," ale jak rosa łez wdzięczności osiędzie na murawie jego mogiły.

* * *

Jakie miejsce zajmie zgasły wieszcz na naszym Parnasie? Obok którego z wybranych stanie, czy razem z innymi zasiędzie? Czy téż weźmie państwo udzielne? — Są to pytania przedwczesne i niepotrzebne, aby wyrywać się z niemi, jak to już w mowach i pismach często obiło się o moje uszy. Czy większy Adam, czy Zygmunt większy? — pusty spór dla miłości naszéj; dla sądu zaś o donosności wpływów każdego z nich, nieprzyszła pora. Oba oni — jak już mówiłem — pisząc, myśleli o wiekach; i wieki téż sądzić ich będą, z tych wszystkich stron jakie się odsłaniają dopiéro z biegiem lat, zmianą stosunków i pokoleń... dziś, można ledwo coś powiedzieć o charakterze i duchu ich utworów poetyckich, i to jeszcze z wielkiemi ograniczeniami.

Jedno najwybitniejsze piętno w poematach Zygmunta, odróżniające go od wielu poetów jemu współczesnych, jest prawdziwa wieszczość, będąca

wypływem nie jakiéjś gry fantazyi i kombinacyi, ale wyrazem apokaliptycznych widzeń....

W „Nieboskiéj“ gdzie wystawia walkę starego społeczeństwa z nowem, co wszystko w proch starło, a nawet samego Boga — dziwnie pochwycił ten prąd pojęć burzących jaki przeleciał Europę w lat kilkanaście późniéj, a w którym znalazły się wszystkie te fazy i figury nakreślone nieśmiertelnym pędzlem w jego dramacie społecznym.

Któż zaprzeczy jasnowidzenia téj znowu pieśni, gdzie w przeczuciu krwawych demagogicznych pryncypiów, śpiewa ostrzegająco:

Wszystko, wszystko wiecznie wszędzie
Rwie się w górę z Bożéj myśli!
Wiecznym Bogiem ten niebędzie
Kto inaczéj świat swój kreśli!
Kto nie szlachcic zedrzeć z chwały;
Może chwilkę w gruzach siędzie
Braci zchłopi, lub obali —
Lecz niewzniesie ludu daléj.
Bo wszech świata prawom wbrew
Sennych zbudzi, nie na ludzi,
Zbudzi sennych na zwierzęta!

A jednak Mickiewicz wówczas prof. literatury słowiańskiéj — rozbierając na katedrze „Nieboską“ obok wysokich zalet przyznanych temu jenialnemu

dziełu — które mieni być narodowem — (było to już na trzeciorocznym kursie) — przygania autorowi nieznajomość ducha ludu słowiańskiego, dla tego, że usymbolizował go w chórze Lokai i Rzeźników. — Zdaniem mojem niesłuszna to przygana, z téj miary, że poeta właśnie chciał wydać wyrok potępienia na to, co się dzieje ludzkim wymysłem, a nie po myśli Bożéj. Wymysły ludzkie, fałszywe doktryny, najłatwiéj przecież przylegają do pewnych warstw ludu, co liznąwszy tak zwanéj miejskiéj ogłady, pozbył się prostoty i wiary... Widzieliśmy przecież to w rzeczywistości, co profesor naganił w poezyi. — Cała Nieboska, niczém niejest, tylko piorunem gruchocącym tę doktrynę samolubstwa i pychy człowieczéj, co wypowiedziała posłuszeństwo Bogu; — dlatego na ruinach zburzonego świata, zwątpiałemu w siebie bohatérowi ukazał poeta znak odkupienia: Zwycięztwo Chrystusa! Jest to zatem i pogrom na złe i ukazanie prawdy wiekuistéj.

Drugi raz Juliusz Słowacki — także w obronie niby ludu — cisnął mu w oczy cudną fantazyą — ale tylko fantazyą — na którą wieszcz odpowiedział zwycięzko, zwłaszcza gdy rzeczywistość prze-

powiedziana, stanęła jak widmo Piotrowina na świadectwo przy boku Zygmunta....

Autor Nieboskiéj i Irydiona został się zatém sam jeden z namaszczeniem proroczem....

Poezya nowożytna od czasów Danta niemiała większego tryumfu.... Tryumf ten, jeśli śmiem przepowiedzieć, zapowiada nowy jéj okres.....

Nowy okres w poezyi! Zawoła kto wzruszając ramionami, z niedowierzaniem, że może być co nowego pod słońcem.

Mniemam że nikt mię niepomówi jakobym miał na myśli samą sztukę, w któréj już dziś dobrano się do dna, probując wszystkich experymentów i kombinacyj będących w mocy wiedzy i rutyny; albo jakobym odkrywał tę erę w przerzuceniu się na pole erudycyi i metafizyki, jak to się praktykuje dzisiaj we Francyi, gdzie falanga młodych poetów zapowiada szumnie nową erę poezyi mającą *osadzić się na sercu i naturze i żywić się poezyą ludową północy, podobnie jak klassycy żywili się starożytnością**). Już dzisiaj mówi tenże

---

*) ... éclosion d'une nouvelle poésie fondée sur le coeur et sur la nature, et qui se nourrira de la poésie populaire du Nord, comme nos écrivains classiques s'étaient

manifest, są wyżsi poeci. — W jaki sposób wyżsi; niech mi wolno będzie zapytać? Oto w tém, że jeden wyraża w harmonijnych wierszach poruszenia swego serca i odkrywa kunsztem najtajemniéjsze myśli Danta; — inny odźwierciedla w swéj pogodnéj duszy majestatyczny spokój angielskiego pejzażu; ów śpiewa przepychy Grecyi w stylu szczytnym jak homeryczny; znowu inny zagłębia się w najoderwańszy mistycyzm szkoły Alexandryjskiéj, kiedy jego kolega z nieporównanym wdziękiem maluje ułudę czarów kobiécych — ostatni zaś, zapewne najtęższy ze wszystkich, wskrzesza poezyą ludową, mieszając hymny tytaniczne z uroczémi melodyami pasterskiéj fletni. . . . .

Jestże to co innego, jak rozebranie pomiędzy siebie materyałów poetycznych? — ale gdzie dowód, żeby wschodziła nowa era poezyi? Rzućenie się przecież na przedmiot nietknięty niedaje bynajmniéj namaszczenia na poetę, owszem dowodzi, że boski duch nie raczył zstąpić na niego, kiedy jak turysta znudzony jeździ po świecie i szuka

---

nourris de l'antiquité. — Thalés Bernard et l'Ecole allemande par Leon Rogier Membre de l'Union des Poétes Paris 1859.

wrażeń, aby mógł opowiadać o nich. — Nowa ta szkoła zapalczywie protestuje przeciw tym, co śmieli na poezyą we Francyi cisnąć klątwę upadku i zgrzybienia.... i czemże się usprawiedliwia? oto że dosiada pegaza erudycyi i metafizyki, że idzie naśladować Niemców....

Przytoczyłem umyślnie ten świeży fakt, abyśmy wiedzieli jak uszanować wysokie, prawie kapłańskie posłannictwo zesłanych nam poetów i wieszczów, którzy państwo ducha założyli u nás na szczycie niedostępnym dla przeżytych i szczęśliwych przez to, że poezyą zrobili nie igraszką pięknie nizanych słów, nie barwnem malowidłem fantazyi, tylko językiem natchnienia i intuicyi, objawem bożéj prawdy dobytym z wnętrza przez ból, ofiarę i miłość. Całkiem to nowe państwo, nie znajdziesz go na żadnéj mapie — to państwo ducha! W obłokach mgieł, w promieniach gwiazd i księżyca, w głosach zaświatowych snują się znane, cierpiące, wielkie, święte postacie — niby pośredniki, zwiastuny objawień stające do boju z szatanem padołu, z naszemi ułomnościami i upadkami — z naszą historyą, — i sprawa rozstrzyga się w krainie pozaświatowéj.....

Piersi ludzka — kędyż twój srom?
Spojrzyj w siebie — patrz?
Gdzie wrzał dawniéj płacz,
Stęk — zgrzytanie — wrzask;
Dziś z niebieskich łask
Drugi Boży dom!....

Ta myśl, że pierwéj każda rzecz rozstrzyga się w świecie duchów, nim się rozstrzygnie na ziemi, stała się żywiołem naszéj poezyi, wszakże dla tych tylko, co umieli wejść w stosunek z tym światem, rozumieć jego potrącenia i tajemną mowę. Mickiewicz w jednéj z prelekcyi opowiedziawszy treść dwóch poematów Zygmunta: *Sen Cezary i Legenda*, przytoczył fakt potwierdzający wymownie powyższy dar intuicyjny. „Przy wyjściu ztąd (z kollegium francuzkiego) powiada on — spotkał mię cudzoziemiec niedawno przybyły do Paryża i wszczął rozmowę o tém, że poemat bezimiennego autora wydany przed kilku laty, z którego czytałem tu wyjątki, niekoniecznie jest utworem poetyckim, ale raczéj *opisem widzenia* jakie miał autor, jemu dobrze znajomy. „Widziałem poetę — dodał — pod gorącem jeszcze wrażeniem téj wizyi okropnéj; nalegałem na niego żeby ją zanotował, tym sposobem powstał ten utwor.“

Ta więc jest droga, którą powstawały w części kompozycye Zygmunta — droga trudna, lecz wielka, rzadka lecz jedyna, dla wielu niepojęta, choć głęboko prawdziwa.

Przy takiem podniesieniu ducha wieszczego, jakże nizko spadają wszystkie z strasznem zarozumieniem budowane dziś rusztowania estetyki, wszystkie metody poetyk i retoryk! Cóż innego ów język doktryn społecznych i dyplomacyi, co na każdą godzinę bełkoce taką prawdę i za nieomylną przedaje, jaka wystarcza na zamaskowanie poziomej namiętności lub interesu!

Biorąc pochop z powyższéj rozmowy skreślił Mickiewicz przyszły kodex poezyi w tych słowach: „kiedyś niebędzie wolno mówić niby z natchnienia wyższego, niebędąc istotnie natchnionym; że ktoby prawił, jak to bywa dzisiaj, o aniołach, o szatanach, o tajemniczych rzeczach w naturze, niewidziawszy ich w duchu, będzie miany za bezczelnego.“

Tym sposobem poezya stanie się znowu, czém była niegdyś w czasach proroków, czém była za Orfeusza i Muzeusza — a wtedy odzyska prawo do względu i szacunku ludzi.

Podniosłem w krótkim tym rysie, poświęconym żywemu wspomnieniu zgasłego wieszcza, tę jedną

tylko stronę, ten jeden przymiot — który, dlatego że obejmuje wszystko, krom artyzmu w większéj lub mniejszéj ilości — zdaje mi się być wystarczającym do scharakteryzowania autora Nieboskiéj, Irydiona, Legendy i innych jego utworów jeszcze silniéj naznaczonych piętnem proroczych widzeń....

Widzenia — stosunek z zaświatem czyż niemogą równie obłędną prowadzić drogą, jak wymysły rozumowéj doktryny? Pytanie to nasuwające się tak naturalnie, stawiam sam — uprzedzając tych coby je słusznie postawić mogli. Zapewne — każda droga mimo Boga, choćby jak pięła się wysoko, musi zaprowadzić na manowce, i im pyszniéj się wzbije, im bardziéj świat omami, tém większe zrządzi klęski i zniszczenia. Można téż widzieć w pochodzie kreacyi wieszcza naszego, w przeprowadzeniu kolejnem jego idei, jak się doskonalił wewnętrznie. Zrazu były boleśne zwątpienia i zboczenia ku owemu panteizmowi, téj zdradliwéj skale, o którą uderzają umysły zbyt entuzyazmowane dla bóstwa natury, zbyt skłonne do rozpływania się w uczuciu nieskończonności i brania go za jedno z owym *Wszechduchem* pochłaniającym zarówno stworzenie, jak Stworzyciela, świat i Boga. Wszakże obawa była możebną, ażeby poeta szu-

kający duszy symbolów pogańskich i duszy rzeczy stworzonych, niezrobił z niéj tchnienia samego Boga, wszechżycia ponawiającego się od wieku do wieku, nakoniec bożego słowa zformułowanego dla gminu w dogmatach i obrządkach, a dla mędrców zamykającego się w harmoniach i wielkościach ziemi i nieba.... Że poeta przechodził przez ciężkie zwątpienia, zdradne systemata, że się cierpieniem, tą pracą ducha wciąż oczyszczał i zasługiwał, wyraża to cudowna strofa jednéj z najpiękniejszych jego poezyj:

Ach! żyłem, żyłem w téj przepaści długo,
Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą!
I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą;
Jak Dant — za życia — przeszedłem przez piekło.
Lecz i mnie także zbiegła w pomoc Pani,
Któréj się wzroku czarne duchy boją;
I mnie téż anioł wybawił z otchłani,
I ja téż miałem Beatricze moją! —
. . . . . .
Ach! szczęście wiary, ach! nadziei siła
Bo w serce moje, przez twój wzrok, wróciła!

Zamykając krótkie to wspomnienie o zgasłym wieszczu dodać mi jeszcze wypada, czém on jest w dzisiejszem społeczeństwie i jaka jego waga w świecie umysłowych kreacyi. On to, drugi po

Adamie wskrzesił wysoki i poważny typ poetycznego kapłaństwa w literaturze, gdzie tak często znachodzą się lekkomyślni przywódzcy prowadzący za sobą społeczność zwątpiałą i gorączkową w kraje chimer, powabnych zgorszeń i proroctw zdradliwych — on to lgnących do egoizmu, nurzających się z rozkoszą w realizmie, porwał ku ideałom i wiecznéj piękności ofiary i miłości. Nieznałem go — lecz patrząc na jego wizerunek stworzony pędzlem Ary-Szeffera, który zawsze umiał chwytać podobieństwo duchowe — widzę na pięknym czole wyraz zadumy, w przyćmionych oczach wzrok sięgający poza światy — a w całym układzie, postać człowieka, co słucha tylko głosów wewnętrznych, co wie naprzód, że na drodze, którą idzie niespotkają go ani oklaski, ani owacye, ani wrzawa popularności, ani teatralne wieńce. Prosty i silny, spokojny i zrezygnowany w odosobnieniu swojem, i stojący — że tak się wyrażę, w sprzeczności — nie z rozumem, sumieniem, prawem bożem, uczuciem sprawiedliwości i prawdy w świecie i w duszach, — lecz w sprzeczności z nikczemnemi namiętnościami, wyrachowaniem egoizmu, zapomnieniem godności, na długo zatrzyma w swéj mocy rząd dusz, powierzony mu w dobrowolnem podda-

niu się, chociaż niewziął za dywizę pysznego współzawodnictwa z Bogiem, i niewyrzekł:

„Chcę uczuciem rządzić, które jest we mnie
Rządzić jak Ty wszystkiemi zawsze i tajemnie.“

Takim jest poeta nowego okresu — takiego wzywają wielkiemi głosami inne pyszne literatury świata — i jeszcze niemogą znaleźć go śród swoich.

Niedający się poznać za życia, skreślił w przeczuciu, którem tyle rzeczy odgadywał, kilka wierszy, rodzaj *exegi monumentum*, dla siebie i dla swojéj Beatriczy:

My tu skonamy, lecz pieśń co niekona
Powróci kiedyś, wierna mnie i tobie,
By jak stróż Anioł, strzedz nas śpiących w grobie!

JOACHIM LELEWEL.

(1786—1861).

Z grona tych, co przewodniczyli nam myślą, marzeniem, walką — którzy cierpieli i pasowali się z nicością i losów przemocą, jak letargik z wiekiem trumny — z grona tych wybranych, należących do epoki najświetniejszego ocknienia, jakże już wielu ubyło! W ciągu pięciu lat ostatnich z promiennego zastępu ubył Mickiewicz, Krasiński, Józef Gołuchowski, Działyński. Dziś umiera Lelewel.

Poezya, filozofia, historya, obywatelstwo tracą najdzielniejszych reprezentantów — a my zapytujemy: Kto ich zastąpi? Kto spuściznę po nich obejmie? Tak samo niewątpliwie zapyta i następne pokolenie po stracie tych, co weszli lub

wejdą w ich ślady. Raz obudzona idea, raz podjęta duchowa praca przelewa się z ojców na syny, z inicyatorów na inicyowanych, dopóki niestanie się rzeczywistością. —

Żal po tych stratach narodowych aczkolwiek dotkliwy, nie pozbawia nadziei; śmierć staje się zapłodnicielką. Sam żywot znakomitego i gorującego człowieka jest przez się najpraktyczniejszą nauką, bo doświadczenie geniuszu przelewa na własność ogółu; cóż dopiéro kiedy taki człowiek należy do żyjących! natenczas obok nauki płynącéj z jego żywota, obudża się dlań gorętsze zajęcie, potęgujące się stokroć w chwili gdy umiera, a to skutkiem poetycznego uroku pożyczonego od téj promienistéj korony jaką śmierć wkłada na jego czoło.

Z uderzeniem ostatniéj godziny ziemskiego zawodu łatwiéj téż patrzeć w takie oblicze i całość ogarniać. Ostatnia minuta — to ostatnie pędzla dotknięcie robiące wizerunek skończonym. —

Indywidualność Lelewela najodrębniejsza, najwyrazistsza z tegoczesnych znakomitości, miała to do siebie, że niemożna było mierzyć jéj stopą zimnéj obojętności; w jednych bowiem wzbudzała entuzyazm tryumfu, w drugich gniewy; we wszyst-

kich poszanowanie dla ogromnéj nauki i niezłomnego stoicyzmu. Silnie musiał on wstrząsać umysłami, kiedy tak sprzeczne wywoływał uczucia; aczkolwiek działo się to więcéj przez spokojny przykład ciągłéj nieugiętości w przeciwnościach, czujności patryotycznéj, heroizmu ubóstwa, niż wpływem potężnego słowa lub politycznego czynu, wtenczas, kiedy słowo i czyn mogły były ważyć na szali wypadków. —

Zawsze wyjątkowa to postać, jakiéj pozazdrościłby każdy naród, nawet na szczycie pomyślności i bytu. Było w niéj coś z owych starożytnych filozofów Grecyi, lub rzymskich stoików; coś z średniowiecznego ascety i uczonego benedyktyna; a w ogniu oka, w przekonaniu słowa przeglądał niekiedy trybun republikański. —

Dzisiaj, przedzieleni odeń grobowym kamieniem, na którym składają się zwykłe uprzedzenia i namiętności, możemy spokojniéj obejrzeć ten długi zawód historyka badaczą, co przez lat sześćdziesiąt rozpatrywał: chronologią, genealogią, geografią, politykę, prawodawstwo, urzędy, dzieje świata, dzieje swego narodu, kultury i piśmiennictwa, bibliotek, druku, historyków i geografów; tudzież bałwochwalstwo, monumenta, monety, gro-

bowce, budowy, herby, pieczęcie, dyplomata, pismo, ubiory, obyczaje i zabytki starożytne Polski, Litwy i Rusi, i po za tym prac rozgałęzionych ogromem, należał do wszystkich działań porywających naród w sferę politycznego życia. —

Można rzec o nim, że jedném okiem wartował stare księgi i dokumenta dziejowe, drugie miał w świat wlepione. Co myśl i pamięć wyssała z nauki wieków, to chciał obrócić na zdrowie ojczyzny; erudycya nie zabiła w nim serca. Tak pojął go i Mickiewicz w wierszu doń napisanym na objęcie katedry w Wilnie w r. 1822, gdy unosząc się nad jego wykładem, powiada, że tylko taki potrafi sobie zaskarbić serca ziomków:

. . . kto i wyższością sławy innych zaćmi
I sercem spółrodaka żyje między braćmi. . . .

Uczoność i patryotyzm Lelewela, to dwa wielkie jego tytuły do zaskarbienia pamięci narodowéj. —

Tak pełny i zajęty żywot, jak męża, o którym mowa, czeka na obszerne studium, dzieło niemal osobne, coby roztrząsając doniosłość odkryć i systematów wprowadzonych przezeń w naukę historyi, krom tego oceniło czynności w zakresie wielkiéj i małéj polityki. Co do naukowego zawodu

sami on ułatwił wiele kreśląc swoje *Przygody w poszukiwaniach i badaniach rzeczy polskich*; co do politycznego, tacytowski rylec Mochnackiego rzucił kilka wskazówek do najważniejszych momentów. W niniejszym rysie, mając wzgląd na oba kierunki, opowiemy, jakiemi zasługami zarobił sobie Lelewel na tę cześć u ziomków jaka wszędzie objawiła się, gdzie tylko doszła wiadomość o jego zgonie przypadłym na dniu 29 maja w Paryżu. —

Joachim Lelewel urodził się 1786 r. dnia 22go marca z ojca cześnika lwskiego urzędującego w Komissyi edukacyjnéj i matki Ewy z Szelutów. Dziecię przyszło na świat mdłe i chorowite, i to zapewne było przyczyną, że niesposobne do pustot i do młodocianych ćwiczeń ciała, od których trudno się młodemu powstrzymać, skłaniało się od pierwszych latek ku umysłowym zabawom. Malec stroniący od zwykłych igraszek, nawyknął wcześnie do wewnętrznego skupienia myśli i uczuć, zkąd poszło, że prędko wyrobił sobie własny swój rozum i odrębny sąd o rzeczach. Szczegół ten tłumaczy dostatecznie drogę, którą później poszedł w swoich badaniach, gdy niepolegając na żadnych powagach, usiłował docierać do źródła

o ile może być najbliższego, a jeżeli i to chybiło, przybywała w pomoc krytyka czystego rozumu. Podobnież przed czasem pokazała się w nim skłonność do naukowego autorstwa. Miał lat dziesięć, kiedy do jakiejś małéj encyklopedyi, którą osądził za niedostateczną, zaczął dorabiać wyciągi tabliczkowe ułatwiające objęcie przedmiotu. Odtąd instynktownie sposobiąc się do autorskiego zawodu, z wszystkiego co czytał robił notaty, i systematyzował w tabelach i skorowidzach. W cztérnastym roku, inwencyą własną skreślił plan oblężenia Pskowa za Batorego. —

Z edukacyi domowéj, gdzie jak się zdaje, sam dla siebie był nauczycielem, wszedł do konwiktu Pijarów w r. 1801. W dwa lata już pisał historyą XIII. wieku i do chronologii Blaira dorabiał tablice zdarzeń z dziejów Polski. — W 1804 zawiozł go ojciec na uniwersytet wileński, w którym gromadziło się wielu znakomitych profesorów; najulubieńsza jednak jego nauka, historya, nie miała nikogo coby ją godnie wykładał. Łaknącemu wiedzy uczniowi szło o metodę, propedeutykę prawidła kunsztu historycznego, a tu ani sposób dowiedzieć się czegoś, coby mu wskazało kierunek. Jak zawsze tak i teraz, sam w sobie

zaczął szukać — i znalazł, z czego wylęgła się *Historyka*, później w wiele lat wydana. — *Edda*, *Rzut oka na Herule* były to pierwsze jego dziełka z któremi dał się poznać w r. 1807 i 1808 — co zwróciło nań uwagę Czackiego, tak że w 1809 wezwał go na nauczyciela do Krzemieńca; jednak, że kurs historyi był przez kogo innego zajęty, podjął się wykładać jeografią starożytną. — Snać niewsmak mu była ta posada, gdy się kwapił na ofiarowany sobie urząd administracyjny w Warszawie, co nieprzeszkadzało zaczepić o Poryck i tam rozpatrywać się w bogactwach biblioteki. Zwlekł się jednak wyjazd do Warszawy dokąd dostał się dopiero w 1811 r. i znalazł urząd już przez kogo innego zajęty. Ale cóż go urząd obchodził! Pan wszechwładny na niezmierzonych obszarach dziejów świata i ojczystych, coraz to nowe odsłaniał widoki; szczególniejszy pociąg, właśnie dlatego, że Czacki uważał je za nieznane i niezdobyte. Zaraz też ogłosił w Warszawie: *Uwagi nad Mateuszem herbu Chołewa*. — Wyprawa Napoleona na Moskwę i odwrot, olbrzymi czyn i olbrzymia klęska, zostawiły go, jak mówi, oziębłym widzem. Republikanin w duchu chciałby wielkość tego geniuszu mierzyć na inną skalę,

lecz mimowolnie się zdradza, udając obojętność. Obojętny byłby pisał i badał; a on przez całą tę zimę zabawiał się rysunkiem i ręczną robotą.... Dopiéro w następnym roku zabrał się do pisania historyi polskiéj — i w ciągu kilku miesięcy dwoma rzutami napisał dwa lub trzy tomy do zgonu Batorego,*) — i te choć w druk nie poszły, przydały mu się jako przygotowawcze studia do wykładu w Wilnie, dokąd go wezwał był Jan Śniadecki, ofiarując posadę zastępcy profesora historyi w uniwersytecie. —

Do Wilna udał się w 1815 roku i tam pojawiła się w Tygodniku wydawanym przez Michała Balińskiego jedna z najważniejszych jego rozpraw: *Oświecenie i nauki w Polsce;* a oprócz tego wiele artykułów krytycznych tak w Pamiętniku warszawskim jak Tygodniku wileńskim. To jednak pewna, że z trudem tylko znachodził przystęp do pism czasowych, a to dla twardego i zawikłanego sposobu pisania, który przywykłym do jasnego i pięknego wykładu Śniadeckich wydawał się być pogwałceniem języka i jego prawideł. Zżymał się na to Jan Śniadecki wymawiając mu pretensyę do reformatorstwa, i radząc aby wprzód wiele pracował nad myślami, zanim je wyleje na papier; bo co

*) Praca ta weszła do zbioru pism ś. p. Lelewela wyszłych w księgarni Żupańskiego pod ogólnym tytułem: Polska, dzieje, i rzeczy jéj, i stanowi tom XIII noszący tytuł: Dzieje Polski do Stefana Batorego. Poznań 1863. *Przyp. szczra.*

niedotrawione i pośpieszne musi być ciemne. Światły nawet Onacewicz oceniając raz prace Lelewela, mocno żałował, że nie są jeszcze przetłumaczone — na polskie. Lelewel koniecznie chciał robić inaczéj jak drudzy, aby zdobyć oryginalność — lecz ta niezdobywa się usilną wolą, tylko wrodzonym darem geniuszu; dlatego przestrogi jakie mu daje Jan Śniadecki w liście doń pisanym z Wilna r. 1814 były trafne i uzasadnione pod względem pisarskim — lecz obok tego niedość oceniano to, w czém rzeczywistą położył zasługę — to jest w badaniach i krytyce historycznéj. —

Jak szlachetny rycerz przebrany w łachmany nie wszędzie bywa przyjęty, bo go sądzą z powierzchowności — tak i względem Lelewela dla jego niepoczesnego stylu i na słabych fundamentach opartéj ortografii, nieprzystępnymi okazywały się towarzystwa, redakcye, księgarnie. Towarzystwo przyjaciół nauk nieprzyjęło go pierwszy raz na członka, mszcząc się za ortografią. Dostojni opiekunowie nauk wzruszali ramionami na jego zapędy w ciemne wieki początków narodu, i radzili nowszych jąć się czasów; redaktorowie pism niechętnie umieszczali jego rozprawy, a nakładcy nigdy prawie nie płacili innego za nie honoraryum, tylko

exemplarzami i to długo targując się, czy je wydawać lub nie; uczone zaś ciała uniwersyteckie jeźli go powoływały na katedrę, to więcéj w skutek parcia przychylnéj mu opinii prawdziwych znawców, niż z odpowiedniego uznania jego wartości. Jest to los wszystkich umysłów, co nieidąc ubitym gościncem, przynoszą nowe zdobycze wiedzy, na które społeczność nieznalazła jeszcze komórki, aby je tam pomieścić. —

Wykład jego w Wilnie ściągał mu wielu uczniów, bo nauczyciel, jak sam powiada z nimi się uczył; odtąd datuje zbliżenie się jego do młodzieży umiejącéj oceniać chęć przelania w nich wszystkiego, co zdobył, i połączonémi siłami zdobywania pod jego kierunkiem tego, co jemu samemu niedostawało. Była to obopolna solidarność, kłująca potém w oczy władzę uniwersytecką pedantycznie i z oficyalnéj strony pojmującą stosunek nauczyciela do ucznia. —

Przez trzyletni prawie pobyt w Wilnie wygotował do druku: *Badania starożytności we względzie jeografii i Dzieje starożytne*, które Zawadzki wydał w r. 1818. Tymczasem tworzący się w Warszawie uniwersytet zapotrzebował Lelewela na profesora bibliografii i bibliotekarza; propozycya wy-

szła od X. Hołowczyca; a więc znowu od jednéj osoby umiejącéj się poznać na nim, a nie od Ciała akademickiego. Rzecz pewna, iż wszystkie niemal zbiorowe Ciała naukowe, lękają się takich ludzi, którzyby mogli w proch rozbić ich mdłe roboty, lub wyrzucić z rutyny, dogodnéj im jak długo noszone obuwie. Lelewela sarkazmy, a szczególniéj ta jego pokorna minka chudego literata, pod którą niejeden przeczuwał skarby prawdziwéj nauki, terroryzowała nadętych urzędowych nieuków. Przybyłego do Warszawy spotkał nowy zawód. Biblioteka uniwersytecka przemieniła się na publiczną; dyraktorstwo jéj wziął Linde; Lelewelowi dano urząd bibliotekarza pod nim, z obowiązaniem miewania odczytów o bibliografii. Prędko pogodził się z swojem położeniem, gdy się ujrzał śród bogactw biblioteki tworzącéj się nabytkami z klasztorów całéj Polski; a chociaż obce były mu bibliotekarskie wiadomości, wtajemniczył się w nie, wiele odgadł, i wciągniony w tę nową dla siebie naukę, nagromadził takie rezultaty poszukiwań i postrzeżeń, że mu to w kilka lat późniéj posłużyło do wydania Ksiąg Bibliograficznych, (Wilno 1823) dzieła, którém można, powiedzieć, przyczynił się najwięcéj i do rozświecenia stanu dawnego piśmiennictwa,

i do poszanowania i cenienia zabytków książkowych, dość lekceważonych. —

Uczona Warszawa nieumiała jeszcze wtedy poznać się na Lelewelu, choć go miała śród siebie, i choć już czytywała w pismach czasowych przystępniejsze jego utwory, jak: Panowanie Stanisława Augusta skreślone w części podług opowiadań starych osób, lub jak rozbiory Pielgrzyma w Dobromilu, Opisu Polski Swięckiego i t. p. — gdy bowiem w Towarzystwie przyjaciół nauk wprowadzono — na stół projekt dokończenia historyi Naruszewicza w ten sposób, że ten i ów podejmywał się wypracować panowanie jakiego króla, — Lelewel nie był nawet wezwany do rady i nie spytany choćby przez grzeczność, co myśli o téj arlekinadzie historycznéj. Co zaś sobie myślał ten „Lew nauki“ nielubiący razem chodzić „z kupą jędyków“ wynurzył się z tém przed Bentkowskim: Gotów jestem z góry, nim co będzie, napisać recenzyą przyszłych ich płodów, i wskazać jakimi są historykami, bo choćby chcieli, niczém inném nie będą. — Odgadł też przyszłość téj roboty, z któréj niemogło być chlebą; a jeżeli kto upiekł jaką bułeczkę, to nie wiele z niéj siły przybyło literaturze historycznéj. —

Dotąd niemając z uniwersytetem stosunku, we-

zwano go nareszcie do wykładu historyi polskiéj, i zaczął odczyty o XVI. i XVII. wieku, wszakże uczniowie nie uczęszczali, bo kurs niebył obowiązkowym; dopiéro słuchacze zaczęli się ściągać, gdy profesor wdał się w wywody o teoryach konstytucyjnych. Sam wyraz, „konstytucya“ używał wtenczas takiéj wziętości, że kto go często wymawiał lub do swego pisma wtrącał, stawał się tém samém popularnym człowiekiem. Lelewelowi z toku rzeczy wypadło mówić o teoryach konstytucyjnych i zaraz go otoczyli liczni słuchacze. —

Sława wykładu rozeszła się po kraju, a w Wilnie żal i zazdrość wzbudziła; aż wreszcie naciskany przez opinią Śniadecki, ogłosił konkursa na niezajęte katedry historyi i filozofii. Lelewel pochwycił nadarzającą się sposobność i przed laty wygotowaną rozprawę o *Sposobie dawania historyi* posłał na konkurs, pierwszeństwo otrzymał, a przez Jerzego Samuela Bandtkiego wystarawszy się o doktorat krakowski, pojechał do Wilna na objęcie katedry w r. 1821. Podobną drogą otrzymał Józef Gołuchowski katedrę filozofii, i obaj ci profesorowie z prawdziwym tryumfem przyjęci byli przez młódź uniwersytecką. Była to opozycya przeciw Śniadeckiemu, który dawno hamując parcie ku po-

litycznym celom, kryjącym się pod nowémi kierunkami nauki, niesprzyjał wszystkiemu, co było po zagranicą materyalnych matematycznych wiadomości, co czaruję rozum i imaginacyą, niedopuszczał stosownego obsadzenia katedr historyi i filozofii, w czém może przewidywał niebezpieczeństwa, jakie na kraj spłynąć miały. Ustawy społeczne, polityka, prawodawstwo, dawna Polska, niekwadrowały z jego planem. Zjawienie się tak znakomitych nauczycieli, na których prelekcyę przychodziło po tysiąc uczniów, spotęgowało tego ducha, jaki tajemnie od kilku lat wyrabiał się w młodzieży pod przewodnictwem nieporównanéj czystości i szlachetności Zana. Odtąd w uniwersytecie wileńskim, który jako władza i szkoła kierował oświeceniem jedynasto-miłionowéj prowincyi, zaszła stanowcza rewolucya na korzyść ducha z uszczerbkiem materyi, jak się trafnie wyraża Mochnacki. — Gotowało się w sercach i głowach, nie już na pewnym punkcie, ale w całem Imperyum. Nowosielcow dobrze wprzód zwietrzywszy co w umysłach się dzieje, czychał by jaki wątek, bodaj pozór pochwycić. Nastręczył mu go dziesięcioletni studencik Plater, gdy kredą na tablicy wypisał: *Wiwat konstytucya 3go maja!* — na to hasło władza odpo-

wiedziała: Spisek! Szukajmy spisku! — i rozpoczęło się srogie prześladowanie opisane w książeczce Lelewela: *Nowowielcow w Wilnie* i unieśmiertelnione pieśnią Dziadów. — Ukaz z 14go sierpnia 1824 złożył z urzędu najpopularniejszych profesorów: Lelewela, Gołuchowskiego, X. Bobrowskiego i Daniłowicza — nieliczące co młodzieży wywieziono w głąb Rosyi i na Sybir. I tak znowu nasz dymisyonowany profesor spakowawszy księgi i papiery żegna Wilno, gdzie biło dlań tyle serc życzliwych, zkąd najrozleglej rozbrzmiała jego sława i żydkiem budką furmańską zmierza do rodzinnéj Warszawy, marząc po drodze o téj przemowie do ksiąg bibliograficznych, w któréj wysypał tyle poezyi i humoru... być pewna, że i on był poetą i nieraz wśród najznudniejszych poszukiwań co do dat, osób, grafiki, bibliografii, monet, gdy mu zastąpiła drogę która z wielkich figur dziejowych, zapalał się, niewał wieszcze widzenie najodleglejszych przedmiotów, i na piaskach suchéj erudycyi rozrzucał bukiety zieloności. . . .

Za przybyciem do Warszawy, niezwiązany żadnym urzędem, mógł całkiem oddać się ulubionéj pracy. Zaszły też pewne zmiany w jego planach wydawniczych; szczególniéj co do traktowania dzie-

jów ojczystych w przystępniejszy sposób. Czuł on, że trzeba bliżéj zetknąć się z ogółem. W tym celu też oprócz erudycyjnych i badawczych rzeczy, jak o starych pieniążkach w Trzebuniu, wykopanych, jak historyczny zbiór Statutów wiślickich, puszcza w świat: Tablicę dziesięciu upłynionych wieków, i owe: *Dzieje potoczne opowiadane*, które miały się stać książką elementarną. —

U siebie w ciasnéj izdebce, otoczony stosami ksiąg i manuskryptów, a najczęściéj w bibliotece publicznéj dla niepoznaki, stykał się wtedy Lelewel z młodymi przewodnikami blizkiego wybuchu, i spragnionym rady, miotanym niepewnością, rzucał właściwe sobie ucinane tajemnicze słowa i zdania, które acz ukrzepiały na duchu, dawały się różnie tłumaczyć. — Był to bowiem mąż z ducha nie z czynu, osobliwie w tém znaczeniu czynu do jakiego się przysposabiano. —

W końcu listopada 1830 r. utracił ojca. Jednocześnie prawie nastąpił wybuch powstańczy. —

Wziętość jakiéj używał pośród młodzieży, sztandar jaki gwałtem przyczepiono do drzewa rylca, którym pisał dzieje — wszystko to zrobiło zeń naczelnika potężnego stronnictwa. — Obwołany prezesem klubu, w pierwszéj mowie mianéj w na-

der stanowczéj chwili, zamiast porwać ruch rewolucyjny i rzucić go wprost do celu — on radził umiarkowanie. Mochnacki — który go najlepiéj poznał z téj strony, tak go charakteryzuje: „Nie jest to jak sobie wystawiano figura gminu, demagog w chwilach zamięszania — nie jest to, jak się biblia wyraża, człowiek *możny w uczynku*. Przeciwnie, w miarę rosnących okoliczności maleje, i nic prawie nie widzi w natłoku; burza go nierozpala; niebierze z niéj żadnego natchnienia. W spisku, w bibliotece, szczególniéj na katedrze nieporównany; za tym obrębem zbyt delikatny, cichy i przezorny, niczego się więcéj nieobawia jak odpowiedzialności w inicyatywie śmiałych i niebezpiecznych kroków."

Jakim był w klubie, takim i posłem członkiem rządu pięciu. Mąż nieskażonéj cnoty, pełen światła, doświadczonego patryotyzmu, na stanowisku gdzie go postawiła popularność, nieprzerósł tych ludzi, którzy mocą zaklęć gorącego ducha wywołują wypadki, ale pośród nich, jak ów czarnoksięzki uczeń Goethego, znaleźć się nie umieją. Gdyby budzący się naród umiał odróżniać zasługę szlachetnych aspiracyi od praktyki politycznego rozumu, winę możnaby zwalić więcéj na powołu-

jących, jak na powołanych. — Absolucya nieszczęścia, łza ogólnéj niedoli, dawno obmyła winy jednych i drugich. Lelewel wszakże szczęśliwszym był od wielu innych: życiem pracy, pokuty i heroicznéj abnegacyi, wykupił się nietylko od krzywdzącego nieraz sądu opinii współczesnéj, lecz i od surowego sądu historyi. Naród zapomniał już o członku rządu, czci w nim tylko wzór nauki, wytrwałości i mocy charakteru w zapasach z niedolą.....

Jak ów mędrzec grecki, co wszystko unosił ze sobą, unosząc głowę — tak i Lelewel opuszczając kapitulującą Warszawę, uniosł tylko siebie. — Nadzieje pędziły na zachód, który nic więcéj niedał prócz gościnnego przytuliska. Na paryskich komitetowych protestach, rozżaleniach i rozpamiętywaniach tak smutnie skończonéj katastrofy często figurujące imię Lelewela, zaniepokoiło świeży rząd Ludwika Filipa, pragnący w dobrém postawić się świetle w obec tych rządów, których potrzebował uznania. Jakoż kazano mu zaraz w r. 1832 opuścić Paryż, a niebawem i Francyą. Ustępując z niéj „rzemiennym dyszlem“ ku wyrozumialszéj Belgii, przybył we wrześniu tegoż roku

do Brukseli i tam osiadłszy, przepędził ostatnich dwadzieścia dziewięć lat życia. —

Jeżeli długi ten peryod jego żywota niebył tak świetnym i wprost porywającym umysły, jak paroletnie tryumfy kursu historyi w Wilnie, to nierównie więcéj robił wrażenia żywy przykład, jaki ze siebie dawał na tułactwie. Ktokolwiek jadący za granicę zawadził o Brukselę i pierwszego lepszego przechodnia w bluzie zapytał o Lelewela, odpowiadał, że go zna i prowadził w ciasną uliczkę dolnego miasta, gdzie w lichéj kamieniczce pod szyldem *Estaminet de Varsovie*, raz zamieszkawszy pokoik na pierwszém piętrze, mieszkał do końca życia.

Wchodzisz — izba smutna, w zimie chłodna, ubogie sprzęty, na nich stosy ksiąg i papierów okryte kurzem; bliżéj okna stół wielki papierami zasłany i w starym płaszczu sieraczkowym zawinięty i zgarbiony nad jakąś robotą blady i siwizną okryty starzec. Już jesteś o parę kroków od niego — on cię nie widzi, czy niechce widzieć; nakoniec zerknąwszy z pod oka, jeżeli znajomy, milczy i robi daléj; jeżeli mu nieznany, świeżo przybyły z kraju — wita cię uściskiem ręki i zaczyna rozmowę, ożywiającą się w miarę jak pozna,

co z sobą z dalekiéj ojczyzny przynosisz... Wieści z Polski, sprawy tułactwa, to najgłówniejsza treść; gdy ta się wyczerpie, wszczyna się rozmowa o jego pracach naukowych lub o rytownictwie; najczęściéj bowiem mogłeś go zastać rytującego na blasze jedne z tych map jenialnéj pracowitości, co tworzą atlas do jego Jeografii wieków średnich. Jeżeli niepisał, to rytował — taki był tryb jego życia. W licznych towarzystwach, lub spacerującego nigdyś niespotkał, chyba gdy małym kłusem w bluzie i kaszkieciku biegł do kawiarni dla przeczytania dzienników i na partyą szachów....

Uboga powierzchowność jego jednała mu ogromną wziętość w klasie wyrobników, którzy wiedząc jakie w ojczyznie urzędy piastował, jakie w świecie uczonym zajmuje miejsce — uwielbiali tę abnegacyę zbliżającą go do nich.

Wielu rodaków, których serce bolało na widok tego opuszczenia i niedostatku w jakim się znajdował, usiłowało nieść mu pomoc w sposób najmniéj obrażający — lecz nikt się nieznalazł tak szczęśliwy, żeby Lelewel co przyjął od niego i trzeba było użyć aż podstępu, żeby podczas bardzo ostréj zimy przeprowadzić rurę od pieca przez jego izbę, w któréj niepalił, i takową ogrzewając, ochronić

starca od choroby... Przy swojem ubóstwie miał on jednak zawsze oszczędzonych kilka groszy, tych ważakże nieobracał na siebie — lecz jeśli biédny brat się zjawił nieodszedł bez pięciofrankówki.... Aczkolwiek podczas pobytu w Belgii wydawał wiele dzieł po francuzku, szczególniéj w przedmiocie numizmatyki i jeografii średniowiecznéj, to niewiele na nich zarabiał, czasem nawet tracił... a zawsze z powodu swych wydań nabawiał się niesłychanych kłopotów, które tak zajmująco opisał w swoich *Przygodach*. Na schyłku dni, wtenczas, kiedy tak pracowite życie potrzebowało cokolwiek wytchnienia, Opatrzność zesłała mu wydawcę, co nienabawiając go kłopotów i zgryzot, dostarczał na opatrzenie skromnych potrzeb starca. Był nim P. Żupański, (w Poznaniu) który od 1850 r. zaczął wydawać jego: *Polskę wieków średnich*; a następnie w siedmiu tomach: *Polskę dzieje i rzeczy jéj*, nieliczące innych pomniejszych dzieł historycznych i rytowniczych.

Chociaż wzrok i siły go opuszczały — pracował do ostatka, zachowując pamięć czerstwą i umysł prawie młodzieńczéj żywości. Przyjaciele widząc jak gaśnie, wywieźli go z Brukseli do Paryża, aby tam otoczyć go wygodami — i dłużéj zachować....

W kilka dni już go nie było... Stratę tę narodową kraj uczcił modłami....

Niepodobna w krótkim rysie zamknąć tych zdobyczy jakie w badaniu polskich dziejów porobił — dość, że wieki, które Czacki omijał jako niedostępne, pierwszy dla nas rozwidnił i przystępnémi uczynił, szczególniéj pod względem prawodawstwa i wewnętrznego organizmu; — podobnież pierwszy położył, że tak powiem, fundamenta w rozmaitych umiejętnościach będących niejako gałęziami wielkiego drzewa historyi. Sam jeden o cały wiek posunął u nas naukę dziejów, jeżeli zważymy na jakim stopniu ją zastał; chociaż jak wszelki badacz, nie sadził się na wdzięczne słowo, na płynność gadatliwą — to z drugiéj strony umiał stapiać najrozmaitsze okruchy trudem poszukiwań zdobyte i otrzymując z nich materyał szlachetny, jak miedź koryncka, odlewać posągi. Jego to cudem Chrobry i Łokietek patrzą na nas ze szczytu swoich stuleci tak żywo, jakby nigdy niezmarli — Lelewel ich myśl przelał w żyjących i dlatego żyją. — Krytyka jego aczkolwiek idąca do gruntu, nie zawsze była obnażającą przeszłość z tych uroków, jakiemi naród bohatérów swoich ozłacał. Tak nędznie niepojmował on prawdy, bo wiedział, że

jeżeli ojcowie nasi dość byli wielcy, aby mieć takie zmyślenia, to nam przystało mieć choć tyle wielkości aby w nie wierzyć. — Historyczne jego prace skierowały naród na drogę samopoznania być z prawdą i ze sobą w zgodzie pojmować się w całości — niemałe te zadania zaczęły coraz więcéj zatrudniać umysły, dzięki wpływowi pośredniemu i bezpośredniemu jego dzieł. Kto tyle zrobił co Lelewel; kto tyle dał a wszystkiego szczęścia, za jakiem ludzie gonią, wyrzekł się na świecie — ten spokojnie może czekać na sąd historyi. —

MICHAŁ I KARÓL BALIŃSCY.

(1794. 1817—1864).

Z początkiem 1864 roku, w ciągu stycznia, Polska straciła dwóch ludzi, dobrze sobie zasłużonych. Na dniu 3 stycznia umarł w Wilnie znany historyk Michał Baliński w 69tym roku życia. Na dniu 10 t. m. zgasł we Lwowie Karol Baliński — poeta — wygnaniec syberyjski — w samym niemal, jak mówi Dante: *mezzo del cammin di nostra vita.*

Zmarli, oprócz że byli krwi związkiem ze sobą złączeni, to i w pracy życia łączyło ich powinowactwo celów.

Pierwszy z gruzów przeszłości odgrzebywał wielkość, sławę, naukę, cnoty przodków, wlewa-

jąc w te postacie ogień własnego czucia; przymioty ich charakteru lub talentu, stawiąc w świetle téj krytyki umiejętnéj, co nie same ujemne dostrzega strony. Słowem, dawał on życie przeszłości — a dając życie, liczył się tém samem do téj wielkiéj rodziny poetów, która w dzisiejszém pojęciu literatury wciągnęła w swój zakres wszystkich tych, co pod ożywczém natchnieniem, choćby nie w formie rytmu i rymu, odtwarzać i tworzyć umieli.

Drugi — poeta w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, patrzał w przyszłość i snuł ją z bolów i zawodów, pragnień i wierzeń swego żywota, podobien w tém do niektórych liści, co zmięte i starte wydają woń, jakiejby bez tego zniszczenia może nie wydały.... Niedola bywa niekiedy dziesiątą muzą, tém cudowniejszą, jeżeli natrafi na strunę od urodzenia nawiązaną na sercu, i targając nią bez litości, wydobędzie najgłębsze tony, jakichby nie wydobyło zadowolenie z płytkiéj pomyślności dni podobnych do siebie...

Wewnętrzne usposobienie pierwszego i drugiego odbiło się w wyborze dróg, którémi poszli w życiu.

Kreśląc pokrótce zawód Michała i Karola,

tem samem scharakteryzuję i owoce ich pracy i życia zasługi pełne.

Michał Baliński urodził się 14 sierpnia 1794 roku, z ojca Ignacego cześnika inflanckiego i Anny z Korsaków w majętności dziedzicznéj Terespolu, na Litwie, gdzie jego rodzina zdawna osiadła. Przeszedłszy gimnazyalne nauki, uczęszczał przez sześć lat (od 1812—1818) na dwa wydziały uniwersytetu wileńskiego, słuchając wykładu wybornych profesorów, jak: Grodek, Daniłowicz, Słowacki Euzebiusz, Lelewel, i kolegował z uczniami, których imiona stały się ozdobą literatury. Zan, Chodźkowie, Mickiewicz, Karol Sienkiewicz, Odyniec i wielu innych — wszystko to należało do kółka naukowego i patryotycznego, z którego tyle ciepła i życia rozlało się po kraju.

Michał, uczęszczając do uniwersytetu, aczkolwiek był już magistrem, założył z Lelewelem w r. 1816 *Tygodnik Wileński*, pismo, gdzie młode pióra występowały nietylko z płodami wyobraźni, lecz i z ścisłemi pracami. Szczególniéj rozprawy historyczne Lelewela podniosły wartość Tygodnika. Prąd młodzieńczych umysłów, gnany ku coraz nowym zdobyczom światła, nie zatrzymał się na tém. Literaci wileńscy widząc, że publiczność

dość obojętnie przyjmuję poważne badania ich i widoki ze sfery literackiéj i naukowéj — postanowili z zardzewiałéj apatyi umysłowéj leczyć ją biczem satyry. Tym sposobem powstały: *Wiadomości brukowe Wileńskie*, humorystyczno-jowialne pismo, śmiejące się z zastarzałych wad, z próżniactwa, zaściankowéj niewiadomości, dzikich uprzedzeń lub przesądów, ale nie tym śmiechem, o którym Katullus powiedział: *Risu inepto res ineptior nulla est* — przeciwnie, dowcipy ich trafiały we właściwe niedostatki; nie gorszono się niemi, bo wylatywały z tym serdecznym śmiechem, który jadem nie pryska ani zgrzyta nienawiścią. Od wczesnych lub niewczesnych żartów prawie zawsze zawisła wartość humorystycznego pisma, ztąd jedne dowcipy nazwano trafnémi, drugie nietrafnémi czyli chybiającémi celu. Michał z natury obdarzony szczęśliwym humorem niepoślednie zajmował miejsce w hierarchii tak zwanych Szubrawców, których organem były: *Wiadomości brukowe*. Humor ten, jak powiadają, objawiający się u niego w konwersacyi ożywionéj i łatwo przeskakującéj z przedmiotu na przedmiot, zyskał mu, gdy późniéj bawił w Warszawie, francuzki przydomek: *papillon boreal*.

Pożądany w towarzystwach dla niewyczerpanéj werwy konwersacyi, umiał w zaciszu swego gabinetu myśleć i pracować poważnie, a w urzędowaniach publicznych spełniać obowiązek obywatelski. Wróciwszy z podróży zagranicznéj, w którą udał się, skończywszy nauki uniwersyteckie, pracował w komisyi edukacyjnéj wileńskiéj; i był sekretarzem towarzystwa typograficznego oraz biblijnego w Wilnie. Następnie na trzy lat obrany na honorowy urząd, znalazł się na posadzie komisarza księgarń i drukarń w Królestwie Polskiem; a po zwinięciu téj posady urzędował w byłym okręgu naukowym warszawskim. Z usunięciem się od rządowych posad wrócił do ukochanego Wilna, wszedł do składu zawiązanéj tam komisyi archeologicznéj, i mianowany jéj wiceprezesem, przewodniczył często posiedzeniom naukowym; oprócz tego przez ciąg sześciu lat sprawował urząd honorowego kuratora gimnazyów wileńskich.

Wyliczywszy ważniejsze jego urzędowania publiczne, noszące w ogóle cechę naukową — powiem nieco o pracach piśmiennych.

Michał Baliński należy do téj nowszéj generacyi naszych pisarzy historycznych, co nie znalazłszy przysposobionego dla siebie materyału,

aby objąć mogli ogół lub całe epoki dziejów ojczystych, zmuszeni byli ograniczyć się do szczególnych miejsc, momentów lub osób, aby wypracowując z całą sumiennością i zamiłowaniem cząstki, przygotowali tym sposobem cegły do wielkiego gmachu przeszłości. Nie zostawił też ś. p. Michał utworów, któreby wyższością swoją mogły kusić się o miejsce między starożytnymi dziejopisami, co umieli umysł i duszę podnosić a nieobciążać pamięci stekiem drobiazgowych faktów — dążność jego była skromniejsza, a co więcéj, niepodejrzanéj użyteczności, bo dając sobie szczupłe ramy, umiał je odpowiednio do przedmiotu, tém, co najbardziéj interesować może czytelnika, zapełniać. — Bartoszewicz, w którejś ze swoich krytyk, przygania mu że niewypracował jednego historycznego dzieła obejmującego pewną epokę, lub postać dziejową; że jest pisarzem przygodnym, co ma znaczyć: że, znalazłszy listy Zygmunta Augusta do Barbary, pisał o Barbarze; że wydając dzieła Jana i Jędrzeja Śniadeckich, pisał żywot jednego i drugiego.... Zaiste trudno to mieć pretensyą do kogoś o wybór przedmiotu, ezeli przedmiot nie jest podły lub czczy i pusty — czém nie są ani Śniadeccy, ani miłość Augusta

do Barbary — i jeżeli autor sumiennie i z talentem wywiązał się ze swego zadania. Przygodność prac historycznych Balińskiego posiada rzadki dar zainteresowania czytelników dla historyi, długi czas bardzo obojętnie u nas przyjmowanéj — z powodu odstręczającéj suchości — co właśnie dowodzi jak obecna rzeczywistość potrzebuje działać na oddaloną przeszłość, aby ta mogła się rozgrzać i ożyć.

Kto czytał jego Pamiętniki o królowéj Barbarze, musi mu oddać sprawiedliwość, że po mistrzowsku skreślone tam stosunki dworu, intrygi partyi przeciwnéj skłonności królewskiéj, a nadewszystko z psychologiczną znajomością kobiéty wycieniowane owe delikatne uczucia przeciągnięte jak złota nić w tkaninie krzyżujących się spraw rzeczypospolitéj. —

Autor trzymając wyobraźnią swoję na wodzy, umiał z danego materyału pobieżnéj, często zagadkowéj korrespondencyi, wysnuć skończony i wcale nie małoznaczny ustęp z naszych dziejów, dający się czytać jak romans Walter-Skotta. Ta jedna praca jużby mu zapewniła niepoślednie miejsce między pisarzami; a cóż dopiéro powiedzieć o monografiach Jana i Jędrzeja Śniadeckich,

Jana Potockiego, Wolana i innych odznaczających się trafnem stopieniem materyału w pewną skończoną i ożywioną całość? Przedewszystkiem Żywot Jana Śniadeckiego, wydany już po jego śmierci, zajął odrazu pierwsze miejsce w literaturze żywotów. Jestto kopalnia rysów z ówczesnego życia, i wiadomości po pierwszy raz ogłoszonych, a wiążących się z ludźmi i wypadkami będącymi na scenie historyi.

Skończony w swoim rodzaju obraz przedstawił on w *Dawnéj akademii Wileńskiéj* od roku 1579 do 1803, unikając szczęśliwie utopienia się w szczegółach, a mimo tego nie opuszczając nic, co do rzeczy należy. Pielgrzymka na Jasną Górę — Historya miasta Wilna — Opisanie statystyczne tegoż miasta — liczą się do monografii miejsc. Najważniejszém atoli dziełem pod względem jeografii i statystyki dawnéj Polski, przysłużył się Baliński łącznie z Tymoteuszem Lipińskim. Jestto cztérotomowa *Starożytna Polska*, skarbiec jedyny w swoim rodzaju, gdzie z wielkim trudem nagromadzone znajdzie czytelnik daty statystyczne i historyczne, odnoszące się do opisu krajów rzeczypospolitéj. Zarzucają suchość téj książce, lecz w tém wina samego przedmiotu; opisy bowiem

fizyczne i etnograficzne więcéj budzące ciekawość niż liczby lub daty, niezostały do niéj wcielone, jako wymagające innego rodzaju poszukiwań i studiów. Bądź jak bądź, niemamy dotąd nic lepszego, i zapewne nieprędko coś się lepszego ukaże. Baliński w dziele tém wypracował dawne Inflanty, Żmudź i Litwę — a zatem połowę całości. Pominąwszy mnóstwo artykułów jego rozrzuconych po pismach polskich wychodzących to w Wilnie, to w Warszawie, to Poznaniu, Kijowie i Petersburgu winniśmy oddać hołd téj niezmordowanéj czynności, co nie mogąc mówić o rzeczach obecnych, bo mówić o nich niedano, rzucała się w przeszłość, żeby jak z dna morskiego wydostać nie jednę perłę ku ozdobie i pocieszeniu tych, których nieubłagana rzeczywistość nakryła całunem śmierci....

Częstokroć forma myśli na pozór niby obca i obojętna celowi bliższą się onego i praktyczniejszą, i więcéj żywotną okaże, niż niejedna, co sięga po niego bezwzględnie.

Wytrwała praca bądź umysłowa, bądź fizyczna, a do tego darami serca i talentu uposażona, zdobywa najistotniejsze korzyści, i tego, co jéj życie

poświęcił, czyni prawdziwie dobrze zasłużonym ojczyźnie.

Inną całkiem koleją potoczył się żywot Karola Balińskiego — poszedł on drogą krzyżową, drogą ofiary z ziemskich pomyślności, z domowego szczęścia — w tém przekonaniu, że przez pokutę i cierpienie zdobywa się zbawienie — wszystkich; pojęcie to i zadanie zakonów pokutniczych i kontemplacyjnych, poświęcających się dla wiecznego zbawienia duszy, przeniosło się między świeckich przyjmujących częstokroć na siebie brzemię zbawienia ducha ludzkości dla ducha ojczyzny...

Czystość życia, czynne poświęcenie się, apostolstwo myśli, walka ze złem wszędzie i na każdém miejscu, oto co się składa na treść człowieka obierającego ten zawód, u nas wcale nie rzadki, bo wynikający z położenia narodu, stojącego pośród cyrku, jak sądem pretoryańskim pozwany wyznawca Chrystusa. Stacye téj drogi krzyżowéj są u nas wytknięte; dlatego nietrudno odgadnąć przez jakie przygody przechodzi młodzieniec, obdarzony gorącém uczuciem, umysłem podniosłym i wolą niezłomną.

Mickiewicz duchem wieszczym wyśpiewał ten program synowi matki Polki...

Zazwyczaj o uszy chłopięcia, co ledwo chodzić umie, odbijają się opowiadania ojca i domowników — a ci brali udział lub byli świadkami bądź powstania Kościuszki, bądź legionów, bądź wojen napoleońskich, lub wojny r. 1831. Miłość własna budzi się w sercu młodocianem, a z nią pewien rodzaj odważnéj dumy, która mu szepcze: my późniejsi więc mądrzejsi; czego starzy niepotrafili, my potrafimy! Jestto tradycya przechodząca z pokolenia do pokolenia, niedająca się niczem zerwać ani odwrócić, chociaż tysiącznémi sposoby próbowano leczyć z niéj niepoprawną dziatwę. Szkoły publiczne — to pierwszy występ nowego szermierza. W gronie koleżeńskiem myśl jeszcze niewyraźna wyniesiona z domu, potęguje się, i niebawem wcieliwszy się w słabiuchne ciało, bywa najczęściéj rozpędzona chłostą i wyświeceniem z zakładów publicznych... Otóż w ten sposób sami mistrze dresury ducha młodzieży, dostarczają towarzyszów pod zaciąg téj chorągwi zatkniętéj na grobie ojczyzny... Odtąd wyzwolony i pasowany na rycerza młodzian wchodzi w inne stosunki i ociera się o praktyczniejsze cele,... a robota jego zwykle kończy się celą więzienną, Sybirem, lub tułaczką po szerokim świecie...

Na téj kanwie tkał się i żywot Karola. Urodzony w r. 1817 w Dzierzkowicach w Lubelskiem, w piątym roku osierociał straciwszy rodziców; później w r. 1831, bezsilne chłopię patrzało na bój w obronie niepodległości toczony — ale prędko dojrzał śród prześladowczego i znęcającego się nad pokonanymi systematu cara Mikołaja. Przytaczam tu rys jego charakteru, prawdziwie rzymski, z którego można wziąść miarę o całym człowieku. W r. 1833 kiedy w Warszawie stracono Artiura Zawiszę, jeden z uczniów liceum napisał był na tablicy on znany wiersz:

Exoriare nostris ex ossibus ultor. —

Dowiedziała się o tém zwierzchność i żądała wydania sprawcy, ogłaszając że srogie kary spadną na całą szkołę, jeżeli winowajca niezostanie wydany. Szlachetny Baliński pojął tę konieczność i ocalając liceum, winę wziął na siebie, chociaż to był syn jego opiekuna, jedynak, nadzieja rodziców, który ten wiersz napisał. Później rzecz się wykryła i Baliński został uwolniony — ale nie na długo, bo w r. 1836 podejrzany o udział w robotach patryotycznych, dostał się do więzienia, a ztamtąd na Sybir, gdzie zostawał do r. 1844

amnestyowany z powodu przyjścia na świat dzisiejszego następcy tronu rosyjskiego. —

Było wielu, co będąc na Sybirze powrócili bez nadwerężenia zdrowia. — Karol niebył tyle szczęśliwym. Delikatnego składu ciała, niewytrzymały na trudy, doznał całéj srogości polarnego mrozu. Rysy jego twarzy regularne i gładkie pokryły się grubą skorupą gryzącéj materyi... Z taką maską ujrzeli go przyjaciele i towarzysze przywiezionego z Sybiru do Warszawy: i zapłakali nad jego dolą. Wprawdzie staraniem lekarzy maska spadła, lecz twarz na zawsze zeszpeconą została. Dla nieszczęśliwego był to cios podwójny: przed wygnaniem poznał był młodą osobę, dla któréj uczuł silniejsze serca bicie, z czego wywiązała się skłonność obopólna niebawem stwierdzona cichemi przysięgami na wieczną stateczność. Zdaje się że owa piękność, któréj poeta oddał pierwiosnki swych uczuć, ujrzawszy go zmienionym, wycofała przyrzeczenia i przysięgi przed laty mu dane...

Nic dziwnego, wszak jeszcze przed wieki ów w romansach szczęśliwy król Frańciszek I. powiedział: *souvent femme varie* — ale maksyma ta, choć na starem doświadczeniu oparta, nie zagoi rany, ani rozdartéj duszy nie uleczy.

Łatwo wyobrazić sobie, co biédny Karol wycierpiał i jakiego wstrząśnienia doznał wewnętrznie, kiedy na raz runęły te szklanne pałace domowego szczęścia, a edeny życia spełzły i zmikły, jakby zdmuchnięte... Okropna męczarnia — o jakiéj tylko ten mógł mieć pojęcie, co wszystko na raz utracił. On poeta — utracił przedmiot ukochanych marzeń, przedmiot, od którego można się w dalszym żywocie oderwać, ale który prawdziwe życie zaczyna, napełnia je, budzi, ozdabia, uwonnia.

Odtąd, istny zakonnik, zrezygnował ze zwykłych powabów indywidualnego szczęścia, a całkiem zaprzągł się w służbę téj prawdy, która ciągłych i nieustannych wymaga ofiar.

Jakoż w 1848, zagrożony nowem prześladowaniem, może podwójnie srogiem, uszedł za granicę a potem schronienie znalazł we Francyi, téj powszechnéj przystani rozbitków politycznych, i tam przez lat dziesiątek przebywał, poświęcając się pracom poetycznym i literackim, wypowiadającym tę ideę, co ma się stać urzeczywistnieniem ewanielicznego messyanizmu, dotąd gnębionego przez złe, przez pogańskie piekło, niedające mu owocować czynami. Wyznanie to skreślił on w *Bratniem słowie do śpiewaka Mohorta*, w tych słowach:

Wszystko co bolem ku niebu się wzniosło,
Co we łzach żyje i we łzach urosło;
Wszystkie świętości przez świat podeptane
I wszystkie związki boże rozerwane;
Zgwałcone prawa boskie i człowieka;
Wszystko co kocha, i cierpi, i czeka,
Wszystko co tęskni, pragnie i w pokorze
Modli codziennie o Królestwo Boże;
Wszystko co jęczy i pada śród trudów,
Nadzieje ludów i pragnienie ludów
Z bolów ogromem i cierpień bezmiarem,
Wszystko to stoi pod naszym sztandarem,
Jeźli nie ciałem jeszcze, nie ramieniem,
To już modlitwą, sercem i westchnieniem:
Bo każda czysta dusza to uznawa,
Że nasza sprawa to narodów sprawa,
Że tak z ludzkością połączona w niebie
Iż, gdy ją zdradzi, zdradzi sama siebie....

W roku 1863, na wiosnę doszła go w Paryżu wiadomość o ciężko ranionym bracie leżącym w Krakowie... Pośpieszył doń natychmiast, czuwał przy chorym i doznał pociechy widzieć go uratowanym.... Przed parę miesiącami wyjechał do Lwowa, gdzie znalazłszy pomoc do prac piśmiennych i otwarte dla siebie kolumny Roczników Biblioteki Ossolińskich, zajął się dalszémi ustępami poematu opiewającego życie i śmierć Zbawiciela, podług widzeń natchnionéj Katarzyny Emmerych.

Zapewne w skutek silnych mrozów, panujących w czasie świąt Bożego Narodzenia, dostał zapalenia płuc i po kilkodniowéj chorobie, pomimo pieczołowitości otaczających go osób i lekarzy, życie zakończył na ręku ukochanego brata. —

Literatura ojczysta ponosi w nim dotkliwą stratę, równającą się stracie tych, co ścisłym węzłem braterstwa lub przyjaźni byli z nim złączeni.

Z ogłoszonych drukiem utworów Karola, znany jest tomik poezyi przed laty kilkunastu wydany, między którémi główne zajmuje miejsce liryczny poemacik *Farys wieszcz*, w swoim czasie bardzo wzięty i powszechnie powtarzany. Wyborny przekład tragedyi Kalderona: *Los dos amantes del Cielo.* (Kochankowie Nieba) zjednał mu miejsce w rzędzie najlepszych tłumaczów. Inne oryginalne utwory jak: *Głos ludu*, zbiór rozmaitych legend i powieści. *Hasło polskie*, *Spiewakowi Mohorta* i ustępy: *Droga krzyżowa*, *Zaprzaniec*, umieszczone w Bibl: Ossolińskich, wysoko stoją, i wartością poetyczną i wyborną mechaniką wiersza i wdziękiem wysłowienia, przypominającego staranność klassycznych pisarzy. W rękopiśmie miał zostawić rys literatury polskiéj, a raczéj rozwijanie się ducha narodowego łącznie z utworami poe-

tów i prozaików. Czy pracy téj dokończył? niewiem; tyle tylko mię doszło, że na grobie poety — tułacza ma być uwity wieniec z jego dzieł poetycznych — czyli wydanie wszystkiego, co pisał w ciągu tak trudnego żywota.

Najtrwalszy to pomnik, który sam sobie zbudował — i śmiało mógłby z Horacym powiedzieć:

Multaque pars mei
Vitabit Libitinam. —

BOHDAN ZALESKI.

Małgorzata ze Szkocyi przebiegając salę zamkową, postrzegła śpiącego poetę Alana Chartier, i — pocałowała go; a gdy królewski ten pocałunek wzbudził szmer między dworzany, odpowiedziała: „Nie mężczyznę, lecz pocałowałam usta, z których tyle uroczych pieśni i mądrych zdań wyszło.“

Wątpię, aby postępek ten żony Delfina, potępić mogła która z Polek, ubóstwiających dumy i dumki naszego Bohdana, co jak urocze sny, jak głosy z lepszego jakiegoś świata, jak tchnienie duchów niewinnych a smętnych, mieszają promienne swoje nici w wątłą i niecenną tkankę pustych dni żywota.... W ogóle płeć piękna, mianowicie ta jéj część, co jeszcze niezachwyciła

obcych nam wyobrażeń, co pielęgnuje w łonie swem ciche a szczytne cnoty domowe, co kwiatu poezyi nieuroniła dla błyskotek dowcipu lub fałszywéj sentymentalności i fałszywych rozumkowań nad nowem urządzeniem społeczeństw — ta mianowicie część nosi Bohdana w myśli swéj obok modlitwy. Bo i cóż w tém dziwnego? dusza młodéj, niewinnéj dziewicy, czyż nie takim hymnem modli się, jak która z jego pieśni pobożnych? a dobra matka nie takież roi sobie obrazy, pełne świętego spokoju i czystości, jak *Przenajświętsza Rodzina?* Alboż i serce dziewicze świeże, wiośniane, czyż nierozpływa się w podobnych marzeniach jak *Ruzałki*, jak *Śpiew poety*, *Spomnienie*, *Rojenia wiosenne?*... Muzyka jego poezyi — bo on tylko jeden z naszych poetów ma swoją muzykę, gdy inni mają formy — posiada tę moc czaru, jakby które z tych ziół tajemniczych, wzbudzającą mimowolną miłość. Każe kochać się i niezapominać. I niedziw: on — Ukrainiec; a wiemy przecież, że Ukraina z dawiendawna przysłowiowo słynęła jako gniazdo czarowników i czarownic. Zaprawdę, Bohdan — to na pół fantastyczna istota: o nim kiedyś złoży gmin legendę, dając mu za ojca starego Bojana, za matkę dnieprową

rusałkę; będzie opowiadał miłosne schadzki téj pary w noc księżycową, na mogile Sawor; przyjście na świat dzieciny o błękitném tęskném oku, które położono w tarczy jakiegoś wielkiego hetmana Zaporoża, a karmiono mlékiem dumek i kazek. I gmin nieoddali się od prawdy; uczony komentator zgodzi się nawet na tę genealogią, opierając się na tém, co sam poeta śpiewa o swojem niemowlęctwie:

Piastuj dziecię me Rusałko!...
Mlékiem dum — i mleczem kwiecia,
Pój do lotu mdłe to ciałko!
Pięknéj sławy méj stólecia.
Podaj do snu na obrazki!
Barwą złotą i błękitną,
Tęczą w okrąg niech rozkwitną
Wszystkie mego ludu kazki.

I tak było w rzeczywistości: Słabiuchne niemowlę, coby godziny może nieżyło w pańskim dworze, oddane na mamki prostéj wieśniaczce, ssie zdrowie z jéj piersi i usypia przy kwileniu tych piosnek, które się splotły potem na jego skroni w laur poetycki.

Przez jakiekolwiek koleje przechodził późniéj w ciągu życia, gdziekolwiek los go pędził, czy do

bratnich plemion, czy w dalekie kraje, źrenica raz napojona barwami i blaskiem téj świeżéj natury, ucho rozpieszczone melancholijnémi dźwięki, a całe jego wnętrze przesiąkłe wrażeniami młodości poetycznéj, bo swobodnéj, bo kochającéj, bo szczęśliwéj — niemogło nigdy już rozdzielić się z tym nowym światem, i uobecniało go sobie zawsze i wszędzie najrzewniejszémi rojeniami, gdzie jak na tle oddaleńszem występowały dotykalniéj postacie bohatérów kozaczyzny, wspaniałe i boskо-piękne, ale nie jak posągi greckiego dłuta... tylko jak te postacie, które kiedyś — jeśli się zjawi geniusz — malarz narodowy, odmienniéj, niespodziewaniéj na płótno rzuci.

Jak powiadam, muzyka poezyi i świat osobny — to dwa główne znamiona jego utworów, a tém samem i jego natury. Kto go poznał, zaraz za pierwszem powitaniem się musiał uczuć, że on nie taki jak inni, jak wielu. Wyraz posępnéj słodyczy malujący się w twarzy, głos sympatyczny płynący z wnętrza, jednają dlań skłonność i przyjaźń; a cóż dopiéro, gdy potrącisz w nim struny ukrainne, i te wszystkie świętości uczuć i gorącéj wiary... gdy go usłyszysz mówiącego z zapałem, ale zawsze z tą prostotą dziecka, pełną niespo-

dzianek wydartych gdzieś z serca ludu, lub zasłyszanych z innego świata w chwilach natchnień i zachwytu. Tak go sobie wyobrażałem, takim go też znalazłem, kiedy — przed laty — w obcéj stronie zjechaliśmy się w miasteczku Lotaryngii nad brzegiem Meurthy. — Cierpiący, trawiony tęsknotą, przesycony książkami i ludźmi, po zetknięciu się z nim odżyłem, wyzdrowiałem..... wszystko co mię otaczało, przestało być tak obojętném jak niedawno: bo też w rozmowach nieprzebranych, istni dwaj czarodzieje, wywołaliśmy wszystkie a wszystkie wspomnienia, fizyonomie, obrazy rodzinne, aż do ułudy. I jakżeż tu nieoddać się przemocnemu wpływowi jego sztuki czarnoksięzkiéj, gdy jeszcze gęśl pobojańską weźmie do ręki i sypnie pieśniami?! Mimowolnie unosi cię, jak który z podziemnych duchów w bajce w ten świat zaczarowany, który on sam sobie stworzył, i samodzielnie w nim panuje, a do którego żaden niedostał się z poetów szkoły ukraińskiéj; nawet dziecinnych lat przyjaciel, pobratymiec — śpiewak Zamku Kaniowskiego, zatrzymał się u saméj jego krawędzi; bo czyż krwawa, makbetowska scena, oblana łuną pożaru, ufantazyowana dzikiemi wyobrażeniami gminu, i dziksza,

jaskrawszą fantazyą poety — niejest jakby ciemną, pełną tajemnic pieczarą, przez którą droga prowadzi do elizejskiéj, mgłą podań i dziwów otulonéj Ukrainy Bohdana?...

Gdybym chciał gwałtem wmawiać w siebie i drugich, że mamy osobną szkołę ukraińską; a ztąd, gdyby mi przyszło klassyfikować i systematyzować wyobrazicieli jéj, powiedziałbym: że Malczewski patrzy na Ukrainę okiem polskiego szlachcica — magnata, z gotyckich okien swojego zamku; że Goszczyński widzi tylko sokolim okiem Nebaby z gęstwi szczytów starożytnego dębu Moszen lasze gniazdo, które tego jeszcze wieczora odda na mord i pożogę... a że Bohdan nakoniec pogląda na nią oczyma Rusałki hasającéj w mgle utęczowanéj ponad łany zbóż, kurhany, ostrowy, Roś i Rasawę i stepy kwietne potrząśnione brylantami rosy... Ale czyżby to wyjaśniło całego ducha ich utworów? bynajmniéj; oni bowiem, wieszcze wielkiéj ojczyzny, któréj Ukraina jest najpiękniejszym klejnotem, poruszyli tyle innych przedmiotów, tyle stron życia dotknęli, że artystostwo ich niemieści się w ciasnym obrębie jednéj prowincyi. Pierwszy dawno znikł, ostatni dwaj dawno stracili z oczu rodzinny ten zakątek:

Goszczyński mniéj ideálny, więcéj rzeczywisty i ścisły w swojém malowidle, skończył na téj jednéj strunie wygrzebanéj w zgliszczach Kaniowa, i już jéj nigdy nietrącił... Bohdan z wyrobionym ideałem, z upryzmowanémi obrazki, z tym swoim przyborem poetyckim sam wyznaje:

Jak świat długi, szeroki
Z lutnią moją podróżną
Zmieniam miejsca, widoki,
Ale zmieniam na próżno....

I zapewne!:... Przeciągły szum stepowego wiatru goni go wszędzie; niedziw że coraz dolatuje słabiéj, przez czasów i miejsc szeroką przestrzeń... Świeżość młodzieńczych wrażeń zaciera się, żywość barw płowieje, a ta dumka, która się łała z serca jednym wytryskiem, zamienia się powoli w sztuczną kompozycyą, staje się manierą jednostajnością niezawsze bawiącą... Otoż to jest, co nam tłumaczy różnicę pomiędzy wonią upajającą pierwszych jego utworów, złożonych bądź pod wpływem sił cudownych stepowego powietrza, bądź świeżych tęsknic w stolicy naszéj po wyjeździe z Ukrainy, a tym dojrzałym, doświadczenia owocem, który się późniéj wywił na puszczach tułactwa:

Mnożę też dumki, a nikt z was niezgadnie
Co tam łez różnych pod niemi gdzieś na dnie.

Rodzice bywają częstokroć najsurowsi dla swoich najlepszych dzieci: podobnie i nasz Bohdan, w wydaniu dum swoich i szumek z czasów późniejszych, pominął perłę młodości, ognisko ukraińskiego świata, najpiękniejsze dziecko... *Rusałki*... Czyż tak spoważniał lub zesmutniał poeta, że się aż powstydził tego motyla, co na skrzydła swoje zgarnął wszystkie krasy, wszystkie blaski, które fantazya poetyczna ludu wytrzęsła na tę krainę czarów? Czyliż tylko przy swawolnéj Zorynie umiał być prosty i tkliwy, a teraz z gasnącym światem omamień wyśmiewa i kochanie swe, i wszystko w co wierzył? — O! niepodobna! Bohdan wierzy jak dawniéj, czuje i taki tkliwy jak za lat młodych — ale Ukraina daleko.... nić wspomnień coraz cieniéj się snuje, rysy ciemnieją, a natomiast myśl poważniejsza osiada głowę i sercu nakazuje być cicho!...

W nowszych też dumach jego, oprócz zwykłéj tęsknoty, jawią się postacie historyczne hetmanów: Daszkiewicz, Lanckoroński, Rożyński, młody Iwonia... utwory artystyczne, wspaniałe, piękne; rysów użycza im historya, światło pada z wy-

obrazów gminu, a ruch i życie sam wieszcz — twórca im nadał. A jednakże ten ruch, to światło, ta szata dziejowa, acz tak umiejętnie rzucone obmyślane, niewytarły z naszéj pamięci tych *czajek*, które słyszymy jak z prądem Dniepru lecą na Synopę, na grody Natolskie, i jak wracając z bogatym łupem ziemicy agarskiéj grzmią od Chortycy do Towani

Niech nam żyje, niech hetmani
Konasewicz nasz koszowy! —

Rusałki i czajki dwa najoryginalniéjsze utwory jego ducha, same jedne skupiają w sobie tyle bogactwa, tyle życia, farb i woni, że cały ogródek kwiecia, jakim potrząsł ubogą naszą ojczyznę, wysypał się z tych dwóch kielichów. Późniejsze dumy: *Smutna Krakowianka* i *U nas inaczéj*, wybitnie znamionuje charakter drugiéj epoki zwątpienia w doczesność, wielka tęsknica, która już niekończy się na tym padole.... Poeta prosi Boga o Ukrainę w niebie. — Niedawno jeszcze, pewien odcień opinii u nas, mocno hałasował przeciw katolicyzmowi w literaturze: krzyczano że to pęta, że duch śmiały niemiał się gdzie rozeprzeć, trącając co moment o dogmat, o prawdy objawione, a to wszystko nie bardzo szło w smak naszym

quasi — panteistom.... Jakoż, mało który piszący pod wpływem katolickiéj myśli, uszedł srogich pocisków, mało kogo niepomówiono o jezuityzm, świętoszkostwo. Jeden tylko Bohdan doznał najmniéj napaści; co więcéj, przebaczono mu, powiadając: co, ten, to niezmyśla, on szczérze wierzy i szczérze się modli. Fenomen ten dwojakobym wytłumaczył, już szczerością i gorącością jego religijnych uczuć, które nawet w samych przeciwnikach poszanowanie wzbudzały, już tém, że Bohdan od pierwszéj swojéj dumki śpiewał w tym tonie: chociaż każde wczesne czy późniéjsze nawrócenie się na dobrą drogę, miłe jest Bogu. Któryś z krytyków roztrząsając pierwotne jego poezye, chce widzieć w nim podobieństwo z Lamartinem, mianowicie ze strony sentymentalności religijnéj, i pobożnych, czczych i nieokreślonych westchnień strzelistych, które bardziéj na grzeczny komplement dla Pana Boga wyglądają, niż na proste a głębokie *chrześciańskie uczucie*.... Zgodziłbym się na to podobieństwo z autorem Medytacyi, gdyby Bohdan ciągle był brzęczał na tę nutę; lecz zwrot jego późniejszy, to niejako pożegnanie z Ukrainą, a ślub z kościołem i surowa służba chrześcianina, na gęśl pobojańską nawlokły struny dawidskie.

Pokutnik, tarzający się w prochu pokory, bieleje jak anioł; myśli jego, uczucia, proste a jednak szczytne, mają woń mirry wzbijającéj się w obłoki, ztąd każda pieśń nie artystowską kompozycyą, ale jest modlitwą, rozmową szczérą z Duchem — duchów, przed którym się korzy jak proch najlichszy.... W tém to natchnieniu, które nań spłynęło jak zdrój wymodlonéj, wypokutowanéj łaski, złożył dwa utwory na większy rozmiar — dwa obrazy, jeden Rafaeliczny — *Przenajświętsza Rodzina* — drugi — jak karton Kaulbacha lub Korneliusza, z więcéj może boskości i świętości choć z mniéj plastyczną mocą rysunku, tę lotną epopeję *Myśli świętéj*, którą nazwał: *Duchem od Stepu.* Utwory te dziwnie pogodne a uroczyste, i dawne dumki, jako dwa światłe promienie splatają się nad głową poety, symbolizując ubóstwienie Boga w czarownéj naturze i krzyż, który po ciernistéj drodze życia ślubuje dźwigać z pokorą.

Syn wieku, tułacz, a może się nazwać szczęśliwym: bo czyż niezarzucił kotwicy w téj przystani wiary, nadziei i miłości — zkąd go niewyrwą wichry przeciwne, ani nawet głos syreni wywiedzie na mielizny.... A głos ten syreni o jakżeż ponętny! to nie mistral — to jakby chłodek

gajów ukraińnych wiejący brzegami Śródziemnego morza i wołający w okienko pustelniczego Endoume:

Słowiczku mój! a leć, a piéj!
Na pożegnanie piéj
Wylanym łzom, spełnionym snom,
Skończonéj piosnce twéj...
Bo wyszedł głos, i padł już los
I tajne brzemię lat
Wydało płód! i stał się cud
I rozraduje świat.

I słowiczek poleciał... ale, ani cudu nieujrzał, ani końca swych łez — Czemu? Czy że do wysokiego tonu niechciał dociągnąć ducha swego? — czy że prosty i wierzący jak dziecko, jak lud:

„Służy Panu, i chwali jak umie" —

i, jak go kościół — matka, nauczył. —

r. 1849.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

I on się także urodził na Ukrainie, w téj arkadyi naszéj; i on odebrał tam najpierwsze, najsilniejsze wrażenia, które wyrobiły w nim poetycznego ducha i obdarzyły skarbami swémi tak obficie, iż naraz buchnął całą lawą młodzieńczéj fantazyi, całem bogactwem uzbieranych barw i obrazów, całą siłą palnych namiętności, uniesień i długo tłumionych gniewów; — od razu téż, jak nieznajomy rycerz, ze spuszczoną przyłbicą wjechał w romantyczne szranki. Klątwę, jaką niedawno rzucił był smak klassyczno-francuzki Dmóchowskiego na Maryą, powetowano uniesieniem, z jakiem przyjęto Zamek Kaniowski. — Powiadacie — wołali romantycy — że szkoła nasza niepłodzi nic, krom bajek podkądzielnych i lichych ballad — otóż patrzcie

na utwór szerokiego rozmiaru, bujnéj fantazyi — dzikiéj jak szekspirowskie sceny, pełny charakterystycznych postaci, jakby rzuconych ręką śpiewaka Lary lub Korsarza. A wszystko swojskie, ludowe, wyrwane z serca dziejów. — I mieli słuszność po sobie: obok mickiewiczowskich *Dziadów*, przypominających nieco szkołę sentymentalną niemiecką, obok Grażyny odsunionéj w daleką przeszłość i klasycznie pięknéj, obok ckliwych i manierowanéj prostoty ballad Witwickiego, obok Maryi, któréj rzeczywistych piękności nieumiano jeszcze ocenić godnie, *Zamek Kaniowski* wyglądał jak który z olbrzymów wywołany zaklęciem z głębi pieczary, w pomoc słabemu hufcowi rycerzy, dobijającemu się o rękę królewny. — Zjawisko to, takie niespodziane, sprawiło niemałe zamieszanie równie w obozie Trojan jak Greków, przyjaciół i nieprzyjaciół. Nieznana, nietknięta jeszcze kopalnia gminnego żywiołu w wzburzeniu przeraziła jednych swoją głębią i ogromem, drugich podziwem nowości przejęła. — Jak to? — więc ten lud, pełzający czołem przed władzą pana, co się sam stawiał na równi z pracującém bydlęciem, ten lud — gruby, nieokrzesany, może tak czuć gwałtownie, tyle namiętności dzikich i szczytnych może się mieścić

w piersi okrytéj kożuchem; serceż jego tak silnie dla niepodległości bije, że aż bohatérów tworzy?!.. O dziwach i czarodziejstwach pięknéj Ukrainy zasłyszano już z dumek Bohdana, ale o takich charakterach i postaciach, dopiéro Goszczyński dał wiedzieć... Na próżno krytycy utrzymywali, że rozmowa puszczyków przypomina scenę czarownic z Makbeta, że opisy i apostrofy do słońca, są jakby odbiciem się barw walterskockiéj *Dziewicy jeziora*; że Nebaba zerwał coś z bajrońskich bohatérów; że w całym utworze przebija duch dzikości krwawéj, taki niezgodny z sielankowością słowiańską, wystawioną za typ poezyi narodowéj przez Brodzińskiego — mimo tych zarzutów krwawy obraz uderzał nowością, niekiedy prawdą poetyczną, a najbardziéj ową prawdą ludzką: że gwałtowne namiętności, uczucia tkliwe i wzniosłe, równie mogą się gnieździć pod *„słomianym daszkiem,“* jak pod adamaszkami pałaców. O tém wszystkiem w poetach naszych niebyło ani słychu; lud wystawiano sobie tak sielankowym, jak go malowały idylle Szymonowicza i Zimorowiczów, a najświeższémi czasy Wiesław. Ale w Zamku Kaniowskim dzikie, szorstkie, zuchwałe postacye kozacze zagadały jakby głosem wieszczym; zda-

wałoby się że obroczona ręka Orliki przemyła nagle oczy. Kto znał autora, wierzył w niepodejrzaność źródła. Ścigany na Ukrainie za należenie do jakiegoś tajnego związku, tułał się po tych puszczach i stepach dnieprowych, które tak poetycznie a wiernie odmalował: nie białe dwory otwarły wrota swe tułaczowi, ale wieśniacza strzecha przyjmowała go i chroniła. Tam więc na wieczornicach, na pogadankach w kole potomków koliszczyzny wysłuchał tyle tajemnic; ów dąb gaduła — to lud ukraiński prawiący mu dzieje téj ziemi. Odtąd można powiedzieć, poczyna się wątek wyobrażeń, który przesuwa się naprzód przez poetyczne utwory podsycane pieśniami i podaniami gminnemi, co mu nadają pewną pierwotną świeżość i woń, a potém wkracza w dziedzinę polityki, budującéj ciągle na uczuciu, na poetyczném mamidle; a pędzonéj do tego stopnia, iż całą stronę historyczną narodu odrzuca i potępia, wywołując natomiast takich Nebabów i Szwaczków. Zamek Kaniowski wyszedł naprzód w Warszawie w roku 1828 — i cenzura wyrzuciła zeń ten ustęp z odezwy Nebaby:

Komu rózgami ojciec zasieczony,
Czyja się panu podobała żona,

Komu najmilsza córka pogwałcona,
Kogo zbawiono lubéj narzeczonéj;
Na ojca boleść, na smutek matczyny,
Na hańbę dzieci, na łaskę dziewczyny; —
Tego zaklinam, wołam po imieniu,
Niechaj wyjedzie i stanie tu, przy mnie!

Lecz w późniejszém wydaniu pism Seweryna w Lwowie r. 1838, miejsce to przepuścił cenzor, jakby złą wróżbę, która się miała spełnić na téj saméj ziemi, w lat kilka potém.

Poeta najmniéj tu winien: uczucie szlachetne, serce bijące dla wolności widziało niesprawiedliwość popełnioną na jednéj części społeczeństwa, i ujęło się za słabym i zgnębionym. Cecha — to zwykła dusz wyższych i pięknych, że stają w obronie słabszych i pognębionych; tém więcéj, jeżeli sobie wyobrażają, że z tych wzgardzonych żywiołów, wyprowadzić mogą nową, świeżą potęgę życia w narodzie. — Cóż dziwnego, jeżeli wierzyli, że wskrzeszając sławę hetmańskiéj kozaczyzny, lub wywodząc na scenę wszystkie passye zemstą rozhukanéj czerni, pokażą tém samem, gdzie szukać właściwéj potęgi i odnowienia sił, które się niejako w żywocie historycznym zużyły. Tułający się lirnik po stepach i puszczach dnieprowych, podsłu-

chał jakie wspomnienia i myśli grały w piersiach ukraińskiego ludu; sam prześladowany, wyjęty z pod prawa, a w niecierpliwości młodzieńczéj oburzony na brak hartu współrodaków, na charaktery miękkie i niepewne, tknięty został jeżeli nie pięknotą cnót i bohatérstwa, to ogromem dzikości i zbrodni. W ślepym szale rozhukanéj czerni, któréj godłem pożoga i mord, widział narzędzie zemsty za długie krzywdy narodu. — Ślubował więc bożyszczu zemsty; ono — poecie — zsyłało natchnienie, wprawdzie niezaprawne słodyczą anielskiéj miłości, niepromienne i nietęczowe, lecz krwawe z widmami ruin, pożarów, wisielców, puszczyków, — straszne, jak noc popełnionego zabójstwa; tajemnicze, jak przysięgi spiskowych. Ależ umysł artysty taki dotkliwy i wrażliwy na wszystko, co piękne, co szlachetne, czuł się niekiedy jak w więzach; służba czarnemu bóstwu, ta szata zakonna sprzysiężeńca, niepokoiły go; on — malarz cudów świata ukraińskiego, który doń przemawiał to starożytnym szumem puszcz Lebedyna, to źwierciadłami Białozyrja; on nadewszystko marzyciel, kochanek samotności i ciszy — wzdrygał się w rachunkach z własném sumieniem, i niedarmo wołał w pieśni:

O moi bracia, wam się niepodoba,
Żem wybudował poezyi (zemsty) bożyszczu
Świątynię, w któréj kapłanem żałoba,
A płomień śmierci na ofiarném zgliszczu;
Że samę uczuć krwiących się szkaradę,
Jako objatę, na jéj ołtarz kładę.

To uniewinnienie się poety dowodzi, że świat, w którym stanął, ścieśnił jego widnokrąg, że wyobrażenia jego były rodzajem zakonnéj szaty, któréj bajny duch niemógł się pozbyć, bez ubliżenia świętości przysiąg wiążących go. Przeto téż, chciawszy zbadać z gruntu talent poetyczny Goszczyńskiego, trzeba niejako oddzielić w nim artystę od człowieka tajemnych stowarzyszeń; lubo z drugiéj strony trudno jest naznaczyć granice natchnień; jedne bowiem płynęły z celu jaki miał przed sobą, — drugie czerpał z cudów widomego świata, z wspomnień i uczuć młodości, i obrabiał je jako mistrz, tworząc obrazy i postacye pełne krwi i życia, silnie i wydatnie, choć szorstko i jaskrawie. Jak wiemy, talent wyrabia się i przekształca pod wpływem tysiącznych przyczyn, które należy badać lub odgadywać. Zastanawiać się więc nad manierą tego lub owego autora, jedno jest, co zapuszczać wzrok w najgłębsze tajniki jego życia,

co trzymać rękę na biciach jego serca. Dziś możemy śmiało powiedzieć, że *Zamek Kaniowski* winna literatura nasza okrutnemu losowi, który poetę ścigał; gdyby nie ten pobyt między ukraińskim ludem, nigdyby może niezdobył się na taki utwor. Ten sam Goszczyński rzucony w duszną atmosferę miast, ciasne widzenia stronnictw, fanatyzm spiskowych, byłby płodził pieśni, które mimo pochwał Mochnackiego o ich liryzmie, mają tylko ołowiane skrzydła myśli zaledwo wylęgłéj, wyraźnie ciążącéj do ziemi, i raczéj są opracowanémi aforyzmami, niż pieniem rwącem się z duszy w najwyższém nastrojeniu uczuć. Lecz wróćmy do *Zamku Kaniowskiego.* Co nas najbardziéj w nim uderza? Oto rzadka w naszych pisarzach plastyka, wydatność postacyi i charakterów. Ów Nebaba, Szwaczka, — to posągi tak wykończone, tak z jednego wykute, że gdy je przymierzysz do dzisiejszych półcharakterów, zdają się odnosić do jakiejś przedpotopowéj epoki, a jednak znamienia prawdy nietracą. Tylko niepospolita indywidualność artysty, zdolną jest zdobyć się na taki utwór; Goszczyńskiego téż duch silny, niezłomny, ognisty i głęboki jak Dniepr jego matka, i szeroki jak step bezbrzeżny, tworzył na podobieństwo swoje; niedarmo go téż

w kole przyjaciół mianem Nebaby ochrzcono. — Bo jakże po mistrzowsku skreślił tego atamana:

Ataman: stary, w kole starych ojców;
Jak sam pan polski, przed panem tak hardy;
Prędki, jak połysk, co biegnie żelazem
Lecz w swojéj zemście jak żelazo twardy;
Czczony od swoich zarówno z obrazem:
Duszą jest dziewcząt i wieczornic razem!
Ten czarny wąsik, co w drobnym pierścieniu
Nad różowémi ustami się zwija;
Ten wzrok, co przy brwiach ciemnych tak odbija
Jak blask południa przy północy cieniu;
Ten kształt postawy, co burką opięty
Tak się wydaje w wspaniałym pochodzie
Jak maszt bajdaku, gdy żagel rozdęty
Mknie go z wiatrami po Dnieprowéj wodzie.

Ten Nebaba — to cała historya, to poetyczna wielkość Ukrainy; za Batorego byłby może hetmanił kozaczyźnie, dziś — prosty buntownik, watażka zbieranéj kupy chłopskiéj. Niedarmo też bohatérski i dumny umysł jego niemoże się zgodzić z tą drugą na pół komiczną figurą Szwaczki, mieszczanina kaniowskiego, która jest nieporównanym typem prostego rabusia, obdarzonego instynktem zwierzęcym, co w polu otwartem niepostawi czoła, a wietrzy tylko za rzezią i łupiestwem. Stosowne

też rozdał im poeta role: kiedy pierwszy stacza rycerski bój z wojskiem koronném — drugi przebudzon z snu pijanego, bezbronny zamek napada, podpala i w jego gruzach się grzebie. — Podobnych postaci pełno w całym poemacie; a wszystkie żywe, poetyczną rzeczywistością przyodziane, mimo, że wyobraźni są dziećmi. Orlika i Ksenia: aczkolwiek pierwsza w scenie zamordowania rządzcy przypomina Parysinę, a druga na myśl przywodzi obłąkaną Blankę w *Dziewicy jeziora* — jednakże powinowactwo to zaciera się pod rysunkiem i kolorytem właściwym poecie. Orlika zawsze pozostanie typem Ukrainki, téj ofiary chuci swojego pana, ale gotową mścić się żelazem za śmiertelną obrazę serca. Ksenia, to znowu cała poezya i wiara gminu upostaciowana; upiór — topielec — zjawia się jak zła wróżba na wieczornych schadzkach, i jednego tylko Nebabę zastraszyć niemoże, który się rzuca nań z pięścią, jakby się czuł wyższym nad sam przesąd gminu... A lirnik - że? — ów tajemniczy ślepiec, pewien mefistofelicznéj ironii, zjawiający się tak niespodzianie Nebabie w gęstwi boru — jakaż to oryginalna kreacya!

Niemożna już nic trafniejszego stworzyć z wło-

czącego się dziada, téj figury tak popularnéj na Ukrainie, jak stworzył Goszczyński w liryku. Krótki, pełen najżywszéj dykcyi dyalog jego z Nebabą, tyle mieści w sobie prostoty, prawdy, humoru, a szczególniéj frantostwa naszego chłopa, że nieledwo za najjenialniejszy uważałbym w całym poemacie....

Dotąd mówiłem o samych aktorach krwawego dramatu — a teraz-że co powiedzieć o tle obrazu? o tych opisach tak malowniczych, że tylko jakiemu Claude — Lorrainowi brać pendzel i umaczawszy go w barwy najżywsze, wyrażać te nieskończone perspektywy, jak je poeta pendzlem swych słów wyraził. Goszczyńskiego poezyi ta jest wybitna cecha, że on nigdzie gołéj sentencyi nierzuca, ale ją wszędzie wplata w otaczającą cię naturę. Mruganie księżyca i gwiazd, lot obłoków, szum puszczy, klekot krynicy, drzenie kropli rosy, szmer cichéj trawki, głos puszczyka, cienie olbrzymie, wszystko to gra wspólnie z człowiekiem, przejmuje jego myśli, odpowiada na nie, zgoła żyje i rusza się, jakby w jakim dramacie sanskryckim. Niedziw, dlaczego ten ubóstwiciel natury, nieraz w ciągu opowiadania zrywa nagle wątek swéj opopei i wpada w liryzm, w hymn tak wspaniały, tak pełen szczé-

rego zachwytu, jak w żadnym z jego wierszy, które pisał z pretensyą do liryki, niemógłbyś znaleźć. Komuż obce to pożegnanie jesiennego słońca:

Gwiazdo świetna, wesoła jak anioł młodości!..

Poruszywszy raz piękności *Zamku Kaniowskiego*, trudno tak prędko z niemi skończyć; a najtrudniéj powiedziawszy tyle, zapomnieć o najszczytniejszym, głęboko przejmującym obrazie trwogi i przeczuć strasznych, napełniających Kaniów, gdy gruchnęła wieść o hajdamakach. — Wszystkie rysy zgromadzone tu przez poetę tak są trafne, tak przyczyniają się do wrażenia, jakie cały ten ustęp na czytelniku wywiéra, że gdyby je malarz rzucił, jak są, na płótno, mielibyśmy jeden z najwspanialszych obrazów, przerażający i patetyczny, jak jaki sąd ostateczny:

Z rękami w niebo, płakał lud skruszony
Wśród poświęconych sklepień Wszechmocnego:
Ściany świątyni wtórzyły płacz jego.
Księża śpiewali pokutnémi tony
Kaniowskich dzwonic jęczały wciąż dzwony.
W każdym ołtarzu światła wciąż pałały.
Nieocenione słano zewsząd wota,
Z drogich kamieni, ze szczérego złota.
Wielkie ofiary, bo i strach niemały!

Płakali wierni, płakali niewierni.
Wprzódy niżeli noc barwy poczerni,
Dzieci Solimy, przed arką bóżnicy
Bez płci różnicy, bez wieku różnicy,
Upadli na twarz w pogrzebowéj bieli,
Jakby od gniewu Bożego olśnęli.
I, w pyle ziemi czoła ponurzywszy,
Podnieśli głucho lament, żałośliwszy,
Niźli go słyszał świata wiek daleki,
Na obcych brzegach babilońskiéj rzéki,
I łzy Dawida z ich się ócz polały
Szczére-to płacze, bo i strach niemały!....

Dotąd przebiegłem częściowe, pojedyńcze pięknoty *Zamku Kaniowskiego*; nie od rzeczy będzie napomknąć o całości kompozycyi. W utworze tym znać ówczesny wpływ romantyzmu; poeta niewydobył jeszcze z siebie, ani z narodu tych pojęć, jakie prace krytyków i poetów późniéj wydobyły przy tworzeniu rodziméj poezyi. Początek zawiązuje się intrygą: Rządzca rozkochany w prostéj dziewczynie Orlice, chcąc ją zmusić do oddania sobie ręki, każe jéj bratu kozakowi pilnować wisielca, którego potem odkrada z szubienicy. Szyldwach staje się winnym kary śmierci; siostra chcąc głowę brata ocalić, przystaje na niemiły związek. — Jaka niepotrzebna plątanina, kiedy wiemy, że wola pana

dostateczną była, aby opór dziewczyny złamać. Wreszcie ten nieswojski sposób zdradza tylko chętkę wprowadzenia wisielca, szubienicy, rozmowy puszczyków i jakiejś zagmatwanéj tajemniczości, która może być bardzo romantyczną, ale niezgodną z prostotą, a najbardziéj z prawdą.

Jak już napomknąłem na początku, Seweryn w utworach swoich występuje jako artysta, i jako polityczna indywidualność; pieśni jego noszą ten ostatni charakter; w nich téż najwybitniéj maluje się młodość, marzenia, dążności i czyny poety; z nich najlepiéj można fizyonomią jego odgadnąć. Mochnacki kreśląc w historyi powstania tę ważną figurę, powiada że w dzień pisał liryki swoje, a w nocy miewał tajemne narady. Obdarzony siłą atlety i siłą woli, zdawałoby się, czytając jego pieśni, że natchnienie, jak latawiec, gdy doń zaśpiewał: *wypłyń, wypłyń z za obłoku!*... związane rozkazem, spływało w pierś poety — ale wiemy, że duch Boży zstępować zwykł w pewnych tylko momentach, *ubi vult*, a nie na zawołanie lub zaklęcie; bo tak jawią się tylko złe duchy. — Ten gwałt, to silenie się — wszędzie przebija w jego lirykach; dlatego tak są ciężkie, tak filozoficznie zimne; zakrawające nieraz na gruby materyalizm

i sarkazm wolterowskiego wieku, to znowu na mistyczny symbolizm, lub na jakieś bajrońskie przesyty i nudy. Wszędzie przymus, lub z góry postawiona teorya; nigdzie prawdy i szczérości w natchnieniu. A bez téj zalety, jakaż może być wartość pieśni? Cóż w istocie przez tyle wieków przemawia za poezyą czasów Peryklesowych i Augustowych? Oto, że wspaniałości i cuda zewnętrznego świata, serce z pragnieniami, życie z smutkiem i weselem, wystarczało najszczytniejszym natchnieniom liry. Sztuka zwykle idealizuje temat pieśni; ale temat ten ma swój przedmiot ziemski i ludzki, a zarazem znaczenie bezpośrednie i wyraźne. Żeby tylko Horacego przytoczyć, w którym się skupia w kształcie najsyntetyczniejszym, najpłynniejszym, wszystko co tchnie swobodą i lekkością muzy greckiéj, *spiritum graiae tenuem camenae*, niewidzimy, aby się pod jego harmonijnym rytmem kryła jakaś myśl symboliczna lub dwuznaczna. Z czołem uwieńczoném mirtem i rychle więdnącémi różami, w ubiegających nagle godzinach widzi tylko bodziec do krótkich uciech. Kiedy Pyrrha rozpuszcza włos płowy, kiedy Thaliark wyciąga z piwnic stare massiąki i cekuby, on, wiatrom rzucając troski, które je roznoszą po morzu

Kreteńskiem, śpiewa i wody Albuneju, i nimfy, i miłość, i zapomnienie szybko goniących lat. — Taka szczérota, przejrzystość uczuć, jakże jest daleką od tych humanitarnych filozofowań, od tych spowiedzi z przesytów, rozczarowań, niesmaków, od całéj téj pretensyonalnéj metody, która gardzi niejako tém, co ją otacza, a pragnie tylko wszędzie przeprowadzić swoją formułkę społeczną. Takim mniéj więcéj jest Goszczyński, mianowicie w *Trzech Strunach*, z których dwie tylko wydał. Mimo, że pieśni te odpowiadały ówczesnym wyobrażeniom, zimno zostały przyjęte; taki w nich brak prawdziwego natchnienia i zapału, i polotności i śpiewności, i tego co się mimowolnie wyrywa z głębi duszy, a żadnym rozmysłem ani hartem woli zastąpioném być niemoże.

Goszczyński jako wieszcz i artysta tém chybił, że źródłem tych natchnień w pieśni, zrobił jeden moment w życiu narodu; moment przemija, inna myśl zaprząta umysły, więc i pieśń ma pójść w zapomnienie. Kiedy Zaleski obrał sobie czarowny świat Ukrainy, i uczucie religijne, on, więcéj ideolog, humanista, zstępuje w podziemia spisków i sprzysiężeń. — Żal tyla młodzieńczych uniesień i ogniów, że niesypnęły czemsić, coby przetrwało

i żyło dłużéj, niż spisek wykryty lub zakończony katastrofą. Uczuł to i sam poeta, kiedy nawet ostatniéj z *Trzech Strun* nieogłosił — uczuł, kiedy na inne godniejsze siebie przedmioty puścił pióro; — uczuł — kiedy i w życiu innych, głębszych i wyższych poszedł szukać celów. Wola w niczem niezłomna, dusza wrażliwa na wszystko co wielkie, co wymaga poświęceń, fantazya bujna, lecz na wodzy trzymana rozmysłem artysty, pierś atletyczna, któréj tchu wystarczy na najszérsze dzieło, najdłuższe przedsięwzięcie; a przytem surowa cnota, jeszcze zasilona i opromienioua gorącą wiarą — oto, rękojmie, które nam daje ten mąż narodu, że jeszcze nie wszystkie struny zerwał, a raczéj, że nawiązał nowe, z których popłyną orle kiedyś pieśni. Taką przynajmniéj wróżbą cieszę rodaków, smutnych, że głos Nebaby ucichł od dawna. Lecz zresztą, któż potrafił zgłębić organizm poetyczny; kto może na pewne wyrzec, dlaczego kwieciem się okrywa, lub więdnie i ginie? Jeden przestaje śpiewać, gdy niewidzi wpatrujących się w siebie dwoje ócz kochanych, gdzie czerpał życie, i radość i nadzieje; inny milknie, gdy ból, co go dręczył, schował swe żądła. — Tak więc o struny gęśli bije tylko ból lub wesele. — Niezbadane tajemnice! zagadki bez klu-

cza! pocóż was badać? dość nam, gdy wierzym, że po téj grobowéj ciszy przyjdzie duch Boży, i wstąpiwszy w lutnie wieszczów, obudzi je do tak olbrzymiéj pieśni, jaką nigdy jeszcze niebrzmiały.

1849 r.

ALEXANDER FREDRO.

Zmiana czasów, ludzi i ich wyobrażeń, zazwyczaj wiele przynosi uszczerbku tworom dramatycznym, a szczególniéj komedyom; te bowiem, będąc odbiciem swojéj chwili, prędzéj późniéj starzeją się. Uwaga ta dosięga wszakże tylko płodów poślednicznéj wartości, a bynajmniéj nie stosuje się do tych wyborowych kreacyi, którym lata nie szkodzą; bo chociaż w nich spotykamy liczne archaizmy wyobrażeń, obyczajów, charakterów, to mimo tego głębokie prawdy serca ludzkiego, zdrowa filozofia życia, stanowiąca główną wartość takich utworów, nie starzeją się nigdy, jak się nie starzeje Aristofanes Plaut, Molier.

Uwagę tę możnaby już, choć w części, zastosować do komedyi Alexandra Fredry. Od lat

cztérdziestu utrzymują się na naszéj scenie i zawsze są z upodobaniem widziane, chociaż przedewszystkiem malują okres, który dla nas przeminął, okres Księztwa warszawskiego. Koloryt, rysy charakterystyczne, obyczaje, wszystko to wydaje się jak odległe przypomnienie, a nie jak otaczająca nas rzeczywistość. Szatą znoszona, wnętrze tylko człowieka to samo; tajemnice natury naszéj, najdelikatniejsze poruszenia namiętności, schwycone na uczynku i odmalowane z całą prawdą życia: oto niestarzejący się przymiot dramatycznych utworów Fredry. Drugi przymiot, stanowiący jego oryginalność, tkwi w umiejętności tworzenia postaci i charakterów skupiających wszystkie rozpierzchnione rysy swojego czasu. Doskonałość tych kreacyj szczególniéj w tém się objawia, że żyją, że je każdy zna lub pamięta, jakby osoby widziane w towarzystwie. Taki Geldhab, Radost, Cześnik, Regent, Jowialski, Łatka, wszystko to dobrzy znajomi, którzy weszli i skrystalizowali się niejako w wyobraźni narodu, gdy nowsi nasi pisarze komedyi pochlubić się nie mogą, aby ich kreacye używały tego przywileju.

Być może, że towarzystwo dzisiejsze niewyradza tak osobliwych oryginałów, aby z całą charakte-

rystyką zewnętrzną mogli pokazać się na scenie; ależ właśnie na tém sztuka, żeby ich stworzyć w danych warunkach — a na to właśnie niezdobyli się nowsi pisarze dramatów i komedyi. Ludzie ich są to półcharaktery, ułamkowe typy, z bardzo niedostrzeżonemi odmianami — jak stado szarych wróbli. Napróżno pamięć męczę, napróżno pytam wrażeń odniesionych z dzisiejszéj sceny — nic i nikt się nieprzypomina — bo nikt nieżyje na deskach teatru; a to, co niby mówi, co się rusza — to wszystko maryonetki; autor za kulisami rozprawia za nich, moralizuje, demonstruje, kieruje ku swemu celowi i stosownie do tego pociąga za druty. Skutek to zmienionego procederu; dawniéj prawdziwy geniusz dramatyczny tworzył ideały charakterów i napełniał je prawdą życia — dziś komedyo-pisarz zbiera wzorki, ubiera je w krynoliny, fraki, kontusze, mundury, ale w manekinów tych nietchnie żywotnego ducha, tylko robi z nich jakby ruszające się i gadające argumenta, mające służyć do dowodzenia pewnych założeń *a priori*. Cóż dziwnego że głębsza prawda życia, prawda natury ludzkiéj wyniosła się ze sceny, a jeżeli została, to w bladéj kopii?

Gdyby nic innego, to już wymowny fakt two-

rzenia charakterów tak do zaprzeczenia trudny, dawałby Fredrze nader wysokie stanowisko w literaturze współczesnéj; i w rzeczy saméj, ma je sobie przyznane, tylko nie w sądach doraźnych naszych historyografów literatury ojczystéj, trzymających się na ślepo raz wyrzeczonego zdania przez namiętną krytykę, któréj wcale szło o co innego, jak o bezstronne i trafne ocenienie sztuk Fredry.

Szczególnym téż, lubo nie nadzwyczajnym trafem w sferze umysłowego ruchu, zdarzyło się, że chwila największéj świetności talentu Fredry, zetknęła się z chwilą powstającego u nas romantyzmu, który fanatyczny jak wszelka nowość, odrazu skazał na potępienie kilka rodzajów poezyi uprawianych przez wstrętny mu klassycyzm. Byronizm zgrzytający boleściami ludzkości, które brał w opiekę, ale nie leczył, chciał cały świat powlec krepą melancholii, niesmaku i splinu; Jeżeli się śmiał.

„... to jak za pokutę —"

jeżeli śpiewał:

„... to na smutną nutę —"

a choć i bez byronizmu, niebyło czego weselić się w domu, to znowu niebyło rozumnéj przyczyny tłumić wrodzony humor, który bynajmniéj nieprzeszkadzał naszym ojcom i w największych niedołach

nietracić dobréj fantazyi, będącéj znamieniem czerstwego zdrowia ciała i duszy. Dość że exkomunika w rodzaju Sawonaroli, dotknęła między innemi rodzaj komiczny, a szczególniéj samego Fredrę, któremu poczytała za grzech śmiertelny, że od lat kilkunastu śmieszył publiczność, jakby to było dziełem policyjnego przymusu, a nie czarodziéjstwem jego talentu, jakby śmiech odzwierciadlający słabostki i małostki, kaprysy i dziwolągi natury naszéj, miał być co gorszego od pocisków zjadliwéj ironii miotanéj na społeczność, lub łez wyciskanych tak samo za pomocą sztuki, jak śmiech wyciska komika; jakby wreszcie wesołość, ten przymiot nieoceniony przodków świadczący o ich towarzyskości i miłości do ludzi, a najwięcéj o pogodzie wewnętrznéj, niemógł się pomieścić obok ambitnych zgrzytań, zawistnych spojrzeń, tyrańskich negacyi pędzących drogą konsekwentnego rozwoju, dającego w konkluzyi, że życia i walk jego celem jest zaspokojenie pasyi, a nie trzymanie ich na wodzy. — Nic téż dziwnego, że zasadniczą ideą téj nowéj szkoły poetycznéj stało się ubóstwienie namiętności człowieka.

Między komedyami Fredry, a teoryami téj szkoły, powstała przepaść, szczęściem nie tak bardzo głę-

boką ażeby zdrowy instynkt narodu niezasypał ją gruzami tylu płodów romantycznych i nieromantycznych, dawno wywietrzałych mu z pamięci, bo się z nich zdrowia niezapił.....

To pewna, że jeżeli nawet bardzo niepospolity talent niepędzi za prądami chwili, i niestawia się na kolei czasowych entuzyazmów i admiracyi — przywala go obojętność lub zapomnienie. Bywają to momenta, w których trzeba wybierać między prawdą a powodzeniem, czyli tak zwaną popularnością. *„En ni attachant à la vérité, j'ai pris congé du succès* powiedziała któraś niepomnę, wyższa kobiéta. Próba ta najczęściéj spotyka autorów narażonych na ciężką walkę z miłością własną, drażliwszą u nich, niż u zwyczajnych ludzi. Cześć temu, co nieopuścił pierwszéj dla drugiéj! Fredro wolał skruszyć pióro — źle się wyraziłem — wolał nic nieogłaszać więcéj, niż umizgami do mody polecać się względom publiki. — Niewłaściwe, przesadnie stronnicze uderzenie nań w *pamiętniku Naukowym* krakowskim z r. 1835 w artykule *Nowa epoka poezyi* zraziło go tak daleco, że przestał już udzielać się za pośrednictwem sceny, nietyle zapewne ustąpienie to pochodziło z obrażonéj miłości własnéj autorskiéj, ile było nastę-

pstwem prostego rozumowania: niechcecie mię, więc po cóż się mam narzucać? —

Świat jednak wie, że pióra niezłożył; jak go niezłożył ojciec francuzkiéj trajedyi, gdy na krzywdzące zarzuty Skuderego pierwszy manuskrypt *Cyda* rzucił był w ogień.

Tymczasem komedya Fredry, przedtém dane na scenie, utrzymują się na niéj, przeszedłszy na własność stołecznych i prowincyonalnych repertoarów. Publiczność je lubi i czerpie z nich myśl wesołą, zupełnie jak kiedy się jest w towarzystwie przyjemnego, wesołego i dowcipnego człowieka, który zna świat, zna ludzi, umie odkrywać ich strony śmieszne, żartować z nich, nie wymieniając jednak nikogo po nazwisku, ani też wytykając palcem w sposób krzywdzący. Jest to malarz, a nie fotograf; bystry obserwator, a nie satyryk; a nadewszystko talent dramatyczny czystéj próby, jakiego przed nim, ani po nim niebyło.

Kto chce bezinteresownie oceniać komedye Fredry, nie może ich brać w każdém usposobieniu, ani pod wpływem najsprzeczniejszych wrażeń, jakiemi umysł nasz bywa miotany. Twory pióra, jak twory pędzla, ażeby dały się dobrze zrozumieć i osądzić, potrzebują nietylko stać we właściwem

świetle, ale wymagają pewnego wtajemniczenia się w życie, w namiętność władnącą malarzem, w chwili gdy swój obraz malował. —

Jak pojmował Fredro otaczającą go społeczność, tłumaczą same jego komedye. Należąc do epoki organicznéj, nic z miejsca nie rusza, i to mu daje zupełną swobodę obserwacyi, to mu pozwala twory własne stawiać na nogi i poruszać niemi na polu akcyi, nienapotykającéj tych przeszkód i wątpliwości, jakie stawiają sobie bohatérowie dzisiejszych sztuk w obec zagadek socyalnych. Ztąd niema u niego szyderstw z teraźniejszości, na karb jakiéj niewcielonéj idei lub teoryi społecznéj; znawca świata, wie on, że biédna ludzkość, zmieniając się i przeobrażając, zmienia tylko krój swoich śmiesznostek. Skończony dramatyk nie lubi hamować działania, wiedząc że bez niego niema dramatu; dlatego téż nie powierza się młodym ideologom, rozprawiającym tak pięknie, lecz za to niemającym ruchu, ani prawdy życia. Tak akcya, jak charaktery, wszystko u niego zupełne docierające do swego celu, który tak jest rzeczywisty jak i one.

Po wojnach napoleońskich, co poruszyły rzesze z zachodu na wschód, z południa na północ,

co zmieniły egzystencyą polityczną państw, nastała kilkomastoletnia cisza, w ciągu której wszystko zdawało się wchodzić w dawne karby organiczne. Moment ten nader był przyjazny dla dramatycznego pisarza. Przenosząc uwagę z wielkich scen życia, gdzie się rozstrzygały losy świata na otaczające go społeczeństwo, przynosił miarę porównania, a nadewszystko tę bezstronność artysty i światowego człowieka, co jeśli upatrzy strony ujemne, umie wynaleźć i dodatnie, a wszystko oddać barwami prawdy wystudiowanej *con amore*. Owe wypoczynki po burzach, a zwłaszcza takie, w których panuje pewne zadowolenie z obecnego stanu, bywają nader pomyślne dla dramatu. Ustalone stosunki pod rządami Elżbiety zrodziły szekspirowski dramat; następne domowe rozterki podały go na półtorowieczne zapomnienie. Cała nasza literatura dramatyczna do czasu Fredry, ma tylko imiona, puste tytuły, — od niego stała się rzeczywistością. Pierwszy on umiał nie z książek, lecz żywcem brać rysy ze społeczeństwa; pierwszy umiał obserwować nie po wierzchu, lecz do dna duszy, pierwszy kształtować postacie oryginalne, jakich nam nikt niemoże odebrać, tak są głęboko wycięte, przez wszystkie warstwy w rdzeni życia. —

Powie kto może, że komedye Freiry należące do pewnego okresu, będą dla naszego jak historyczne *curiosum*; że takich Geldhabów, Radostów, Jowialskich, Łatków, Ciotuń, Cześników, Rejentów już niéma. Zapewne, niektórych rysów składających się na ich oryginalność nie spotkamy tak łatwo pośród nas; lecz naturę ich ludzką spotkamy zawsze.

Czyż Geldhab, przestawszy być liwerantem, nie może już spekulować i panoszyć się cudzą pracą i dla ozdoby swego domu sięgać po mitrę dla córki a dla siebie po protoplastów przybyłych z Lechem? Czyż angloman Radost jest dzisiaj mniéj śmiesznym? a jeżeli w czém nie odpowiada naszemu wiekowi, to chyba że pod dżokiejską kurtką przestało bić tak złote serce. Ciotunia zestarzała się, to prawda, ale zamiast miłośnych korrespondencyj, mogłaby pokazać stosy rozpraw o powołaniu, przeznaczeniu, usamowolnieniu płci swojéj. Dworak Lisiewicz, Łatka lichwiarz, z małémi odmianami, ciż sami i na dziś. Jowialski, z całym swoim domem, jeden tylko zapadł się w głąb' ziemi, a z nim zniknął dobry humor staropolski, niewyczerpany w anegdotki, bajeczki, przysłowia, którym jak mógł oganiał się od ducha czasu nurtującego pod nim.... Cześnik

i Rejent, dwa sprzeczne charaktery, na zawsze pozostaną najtrafniejszym wizerunkiem narodowego elementu: z jednéj strony porywczym lecz szlachetnym, czującym obrazę lecz i umiejącym przebaczać, ambitnym otwarcie i serdecznie gościnnym; z drugiéj kłótliwym, pieniackim, a lubiącym tulić się pod płaszczyk pokory i miłości publicznego dobra, będącéj częstokroć miłością samego siebie.

Wszystkie te postacie nie są bynajmniéj wymarzone, ani odfotografowane; poeta znalazł je w mnóstwie rozproszonych rysów, co i sam powiada w przedmowie: „Śmieszności chwytają się umysłu uważającego, jak się chwyta przechodnia pajęczyna na polu rozpostarta; i możesz on potem wiedzieć zkąd którą nitką zaczepił: z róży czy pokrzywy?“ I dziś niejeden zbiera takie pajęczyny, ale najczęściéj przyczepi je do jakiéj konwencyonalnéj figury; kiedy Fredro odlewał z tych różnych cząstek jednolite posągi i dawał im życie i ruchy tak prawdziwe, że każdy znachodził zupełne podobieństwo do kogoś, tylko nieumiał wskazać tego ktosia.

Tym to nieocenionym darem twórczości niebo hojnie ubogaciło Fredrę, równie jak darem obserwacyi, który kazał mu pierwéj czytać w otwartéj księdze świata, niż w drukowanych księgach. Pier-

wsza dała mu wszystko, co ma najlepszego w swych dziełach; drugi dostarczył narzędzia do artystycznego wykonania pomysłów, w czém jednak niezawsze był szczęśliwy, zwłaszcza gdy uległ pewnym teoryom i wpływom literatury niemieckiéj swojego czasu, co aż do znudzenia lubiła liryzmem szafować.

Z niewielu szczegółów życia Fredry mających związek z jego autorskim zawodem, przekonać się łatwo, jak bogatym talentem dramatycznym obdarzyła go natura, a jak nic dokoła siebie nie znalazł, aby dopomogło rozwinięciu się tego daru. Instynkt i przypadkowość były jedyną jego szkołą. Ziemia przemyska, gniazdowa siedziba domu Fredrów, która wydała znamienitego historyka, polityka i moralistę Andrzeja Maksymiliana Fredrę kasztelana lwowskiego, była kolebką naszego komedyo-pisarza. Urodził się około r. 1793 i do szesnastu lat życia uczył się w domu, ówczesnym trybem szkólnym austryackim, najniesposobniéjszym do rozwinięcia jakiegokolwiek wrodzonego talentu. Niedziw że do wyższych rzeszy przeznaczony uczeń, nie okazywał uderzających zdolności, nie dlatego iżby te nieleżały w jego duszy, lecz że nauki szkólne wymagały przedewszystkiém i tylko pamięci, a on jéj właśnie nie miał. Usposobienie jego ciche, spo-

rojne, niemal poważne, umysł więcej do smętnych dumań, niż do pustoty skłonny, nietylko nie rokowały w nim przyszłego pisarza komedyi, co miała kiedyś być jedyną wyobrazicielką staropolskiego humoru i jowializmu, ale owszem zyskiwały mu w rodzinnem gronie przydomek młodego staruszka. Kontrast ten uważano i w charakterze Moliera; Regnard tylko był tak pustym i hulaszczym, jak jego komedye. —

Co sobie marzył poważny i małomówny chłopczyk? nikt się nie domyślał, a jednak objawiło się w nim coś, co miało później stać się jego chwałą. Dar przyrodzony, niraz jak źródło żywéj wody, wytryska w miejscu gdzie się najmniéj spodziewasz. Dwunastoletniego chłopca, ni ztąd ni z owąd, tknęła jakaś myśl: pochwycił kilka kart białego papieru i zaczął pisać komedyą. Plan i wykonanie były dziełem jednéj chwili natchnienia.

Dzień niedzielny, państwa niema w domu, pojechali na nabożeństwo; zostały same dzieci i nudzą się na śmierć, bo zapomniano im dać rodzenków i migdałów na bankiet, którego przyrządzenie należy do najmilszych zabaw tego wieku. Cóż radzić na te nudy? Michał lokaj, przebiegły i łakomy, obiaruje się wyprowadzić dziatwę z przykrego

położenia, i wpada na koncept ubrać się w pancerz cieradło, i udając ducha, straszyć starą klucznicę.

Przestraszona klucznica oddaje klucze i chowa się.... Michał tymczasem, gospodarując w spiżarni, chwyta co może i pakuje do kieszeni, pamiętając więcéj o sobie niż o dzieciach. Aż w tém nadjeżdżają państwo; duch złapany na gorącym uczynku, chowa się w mąkę.... Rozwiązanie, sens moralny, a wszystko pod tytułem: *Strach nastraszony*.

Probka ta została tylko we wspomnieniu autora. Z saméj treści widać, że nie brakowało w niéj komicznéj werwy. Pierwszy krok zwykle pociąga inne; za parę lat już mu się roi dramat wielkiego rozmiaru: *Rzeź Pragi*. Któż miał być bohatérem téj nader morderczéj trajedyi? zapewne nie Suwarow, do którego pewnie niemiał sympatyi. Bohatérem był jenerał Jasiński, znany mu z opowiadań jego nauczyciela, dawnego wojskowego polskiego z pod komendy tegoż jenerała, ginącego na wałach Pragi piękną śmiercią. Dramat ten nigdy niedoczekał się końca ale plan był ułożony, ze spisem osób i pierwszą apostrofą jenerała Zajączka do ojczyzny.

Z tych mglistych wspomnień, można już odgadywać przyszły jego kierunek: w pierwszéj próbce

chwyta najbliższą dziecięciu rzeczywistość, w drugiéj sięga po historyczny fakt, żyjący w duszy narodu.

Nikt jednak wtedy nie przeczuł, że się już objawił genialny malarz społeczeństwa naszego.

Nadszedł r. 1809, dla Galicyi pamiętny. Młodzian szesnastoletni wstąpił w szeregi formującego się we Lwowie 11 pułku ułanów, i odtąd zaczęła się dlań szkoła świata, najpraktyczniéjsza, najbardziéj urozmaicona i najpraktyczniejsza zarazem ze wszystkich szkół w jakich uczymy się znajomości ludzi i życia. Na obcowanie z muzami niebyło wiele czasu; młody też żołnierz za ich towarzystwem nie tęsknił, lecz jeżeli czasami zdarzyła się jaka pocieszna okoliczność, nie mógł się wstrzymać żeby o niéj nie zaimprowizować. Tym sposobem w roku 1810 o przygodzie zdarzonéj między kolegami napisał wierszyk, który biegając z rąk do rąk, zyskał w całym pułku pochwały; jeden tylko z świetlejszych kolegów zrobił mu uwagę, że w wielu wierszach niebyło średniowki. „Średniowki? zapytał zdziwiony poeta, nigdy o niéj niesłyszałem!“ Z tego wywiązało się tłumaczenie, które było dlań pierwszą lekcyą prawideł rymotwórstwa polskiego.

Wypadki potoczyły niebawem wojsko Księztwa warszawskiego na północ do Moskwy. Fredro odbył tę okropną kompanią szczęśliwiéj niż wielu innych, bo się dostał do niewoli w Wilnie, z któréj wydobywszy się, w pół roku złączył się ze swoimi w czasie zawieszenia broni w Dreznie.

Z rejterującym, a ścigającym krwawe bitwy Napoleonem, doszedł do Paryża. Przy dłuższemu pobytowi w téj stolicy winien poznanie teatru francuzkiego, który zrobił na nim niepisane wrażenie, jako przedmiot odpowiedni jego skłonności, a przytem całkiem dlań nowy. Lwów bowiem za jego czasów nie miał stałéj polskiéj sceny, tylko przypadkowe amatorskie przedstawienia, niedające wyobrażenia o potędze téj sztuki.

Tragedya francuzka, lubo szczyciła się wtedy królem tragików, Talmą, znalazła go prawie obojętnym widzem, z powodu zbyt przesadnéj deklamacyi i konwencyonalnych ruchów; przeciwnie wodwil, komedya, wprawiały go w zachwycenie. . . pierwszy raz spotkał tam skończonych artystów, utrzymujących grę samą najlichsze nieraz ramoty, i wtedy to powziął przekonanie, wzmocnione z czasem, że niema dzieła dramatycznego, choćby jak przeprowadzonego mistrzowsko i wykończonego w częściach,

któreby się obeszło bez dalszego rozwinięcia i uwydatnienia dobrą grą aktorów.

Jak niezaprzeczoną jest ta prawda, dowód mamy na jego własnych komedyach, które chyba w przyszłości doczekają się kiedyś aktorów, coby z danych myśli potrafili stworzyć czyn, czyli rolę. Dotąd bowiem, z nader małym wyjątkiem aktorowie recytują tylko myśl poety, lecz się nie wznoszą do czynu. . . .

Z wracającém wojskiem, wrócił i Fredro do rodzinnego Lwowa, gdzie znalazł się pośród licznéj młodzieży, co równo z nim opuściła zawód wojskowy. Urok bohatérstwa, zajęcie się nowością, robiły tę młodzież udzielną w kołach towarzyskich; ona jedna dawała ton zabawom i codziennemu życiu. Niekłopotliwość obozowa, lekkomyślność garnizonu, z łatwością otrzymały obywatelstwo, tém bardziéj, gdy znalazły grunt przysposobiony, na którym oddawna nie postało ani ziarnko umysłowych zajęć, poważnych dążeń, szlachetnych oddziaływań przeciw nicości ducha, a natomiast w najlepsze krzewiło się niefrasobliwe próżniactwo, podtrzymywane marnotrawstwem, grą i zalotnością, jak to wszędzie bywa, gdzie życie płynie bez celu. . . .

Społeczeństwo z taką fizyognomią, musiało obu-

dzić komiczną żyłkę w Fredrze; czuł zapewne potrzebę poprawy tego świata przez ukazanie mu jego śmieszności, lecz nieśmiał jeszcze chwycić za pióro, niemając objawienia autorskiego zawodu....

Dopiéro późniéj szczęśliwy traf przyprowadził mu Żyda antykwaryusza, co chodząc po domach z książkami, jemu przyniósł Moliera. Fredro zapłacił dukata, a zabrał arcydzieło, dotąd mu prawie obce: bo jednego tylko Amfitryona miał sposobność widzieć na scenie paryzkiéj.

Z przewodnikiem tak wybornym jak Molierowskie komedye, wyraźniéj narysowało się jego powołanie i odtąd zaczął na dobre kształcić się na dramatycznego pisarza. Z ojczystych wzorów, osobliwie spółczesnych, niewiele mógł skorzystać. Niemcewicza *Pan Nowina*, zjawiwszy się wtedy, wskazał mu tylko czego trzeba unikać, żeby nie być pospolitym i nudnym. Jakoż obudziła się w nim chęć współzawodnictwa, i pewnego razu, bez przygotowawczych studyów, prawie bez namysłu, siadł do stolika i napisał wierszem jednoaktową komedyjkę: *Intryga na prędce*, z któréj to późniéj w rozszerzonych ramach zrobił się *Nowy Donkiszot*, pochwycony w lot przez stronniczą a porywczą krytykę, z pominięciem najlepszych

utworów Fredry, niewezwanych nawet na świadków w tym doraźnym procesie. Publiczność mało wprawdzie zważała na wyrok potępiający, boć trudno było wmówić w nią, że komedye Fredry podobać się nie powinny; dali się tylko ułowić tak zwani registratorowie literatury, co niemając nigdy swego, chwytają cudze zdanie, rzadko wytrawne i uzasadnione, lecz najczęściéj najjaskrawsze i najhałaśliwsze, zupełnie jak prostacy, u których kolor czerwony uchodzi za najładniejszy.

Wracając do tej pierwszéj komedyi, Fredro znalazł się w kłopotliwem położeniu; nie miał bowiem nikogo, komuby mógł z zaufaniem płód swój przeczytać i rady zasięgnąć. Nie pozostało mu nic innego, tylko przez trzecią osobę posłać komedyą Nepomucenowi Kamińskiemu, jedynemu znawcy i doświadczonemu praktykowi. Kamiński pochwalił i zrobił uwagę, że jest w niéj jakiś plan i świeżość, co jéj dawało wyższość nad innémi współczesnémi płodami. Komedya była graną, nikt o niéj ani źle, ani dobrze nie wspomniał i autor odebrał ją do poprawy, aby już nigdy nie wróciła na scenę. Próbował jeszcze sił swoich w dwóch małych sztuczkach, lecz te, doznawszy jakichś przeszkód poszły w zapomnienie. Pierwiastki muzy często ten

los spotyka; serce ojcowskie poboleje przez chwilę, tylko świat bynajmniéj nie czuje téj straty. —

Rok 1819 jest rokiem urodzenia się *Geldhaba*. Właśnie gdy tę komedyą napisał, wypadła mu droga do Warszawy. Literaci stolicy téj uchodzili wtedy za wyrocznią dobrego smaku; zabrał więc ze sobą manuskrypt i z wielką nieśmiałością przedstawił go jednemu z ówczesnych Arystarchów, który zerknąwszy na spory zeszyt, zawyrokował, że wszystkim młodym autorom daje jedną radę: skracać; potem urywkami czytał dni kilka, nareszcie zadecydował, że są dobre miejsca, ale lepiéj byłoby przedstawić we Lwowie, bo Warszawa niezna takich Geldhabów. . . . . .

Sama ta odpowiedź była wybornym materyałem do komedyi. Szczęściem Osiński wziął w opiekę *Geldhaba*, i był przedstawiony na scenie warszawskiéj w r. 1821. W następnych trzech latach grano tam trzy nowe jego komedye: *Zrzędność i przekora*, *Mąż i żona*, *Cudzoziemczyzna*. We Lwowie dopiéro w r. 1824 czy 25 dostały się one pierwszy raz na scenę. Dlaczego autor niedał pierwszeństwa miastu swojéj prowincyi, miało może przyczynę wytłumaczoną w przedmowie do wiedeńskiéj edycyi jego sztuk, gdzie mówi: „Największem

dobrem dla sławy autora dramatycznego jest, — już nieżyć; największem zaś złem, być znanym osobiście, zwłaszcza w miejscu gdzie jego sztuki przedstawiane bywają. Jedni radzi cudzéj szkody, szukają koniecznie wzorów tego, co widzą na scenie, w towarzystwie otaczającym autora. Autorem zasłonięci, szczypią, szarpią do woli, i kiedy najmniéj się spodziewa, ściągają na niego najboleśniéjsze razy. Drudzy są tylko, jak próżne dzwony, głupich wniosków rozgłosem.“

Komedye Fredry od r. 1826 do 1833 czy 34. wyszły w pięciu tomach, i są drukowane w tym porządku, jak przychodziły na świat.

Od czterdziestu lat prawie, panują one udzielnie na deskach teatrów prowincyonalnych i stołecznych, i przedstawiane po wielekroć razy, zawsze ściągają i bawią publiczność. Nawet dyrektorowie teatrów, jeżeli mają jakiego aktora lub aktorkę chcących się popisać w gościnnéj roli, wybierają zazwyczaj którą z komedyi Fredry; podobnież jeżeli publiczność sarka na tuzinowe widowiska dawane jéj zbyt często, rehabilituje się Dyrekcya znowu jaką sztuką Fredry. Jestto można bez niczyjéj krzywdy powiedzieć, Alfa i Omega naszego teatru. —

Jaka téj żywotności przyczyna? Oto talent dramatyczny, który figurom swoim umie dać charakter, postawić je dobrze na nogach, i wprawić w taki ruch, że akcya staje się konieczną, jakby już niebyła w ręku autora, tylko weszła w krew tych rozmaitych kreacyi pędzących do swego kresu. W tém leży cała tajemnica sztuki. Rób co chcesz nieszetniesz głowy ani Radostowi, ani Rejentowi, ani Geldhabowi, ani Łatce, ani Papkinowi, bo żyją, bo każdy ich zna, ich słowa powtarza, zamieniając w przysłowie. Nieocenione oryginały! wyjęte z duszy towarzystwu, jak esencya z ziół wyciągnięta, wróciły pośród nas i żyją i będą żyły tak długo jak Molierskie Tartufy, Harpagony, Jourdainy, Dandiny. — W ogóle charaktery męzkie są u niego lepiéj postawione, mocniéj zdeterminowane, niż niewieście, które wymagają większych cieniowań, delikatniejszego traktowania. Szczególniéj role amantek wszystkie są jednego kroju, konwencyonalne; co pochodzi ztąd, że kiedy je tworzył, niesłychać jeszcze było o emancypacyi kobiét, a on niewylatywał po za obręb wzoru jaki miał koło siebie.

Fredro w téj dobie życia, co najwięcéj wydziela z siebie magnetyzmu, a i najsilniéj przyjmuje wra-

żenia, był rowieśnikiem epoki Napoleońskiéj; żywo odbiła się ona w jego duszy, na niéj porobił wszystkie swoje obserwacye, obracając się w towarzystwie mającém wybitnie cechę wojskową, a obyczaje, co modną lekkość francuzką, kojarzyły z konserwującym się jeszcze żywiołem staropolskim. Piękny świat ówczesny, była to łupina dobrze już nadpsutą, lecz ziarna robak jeszcze nietoczył, i to dawało dobry grunt dla komedyi; śmieszność stawała się bronią; dowcip był czemsiś więcéj niż pustą słów igraszką; sęs moralny wywiązywał się z akcyi nie dążącéj ani do zrobienia fermentu, ani do rozbicia, tylko do naprawy. Jest w utworach Fredry pewien hart męzki, myśl wzniosła i szlachetna, spadkobierczyni czerstwych wyobrażeń, i uczuć przodków, która choć się kryje po za śmiejącą maskę, niemniéj bystrym wzrokiem śledzi skazy i upadki społeczeńskie; dowcipem bije te strony ujemne, a tém głębsza, że na te upadki i skazy niepatrzy z mglistych wyżyn teoryi społecznych, ale szuka ich przyczyn wprost w indiwidualnem usposobieniu i życiu, w niedocieczonéj zwykłemu oku historyi sercą i rozumu narodowego pojedyńczych ludzi.

W tém właśnie szukać należy przyczyny tak

trwałéj żywotności sztuk Fredry. Dociera on do dna słabostek i błędów naszych narodowych, do dna; bo szuka ich i wynajduje w piersiach samego człowieka; i to mu daje wyższość nad innemi młodszéj generacyi dramatykami, którzy swoje wyroby budują na kwestyach czysto socyalnych, i to podług jednéj do znudzenia powtarzanéj formułki: o nierówności stanów i o różnicy między bogatym a ubogim. Czyż na téj nucie nie grają wszysey, od Korzeniowskiego do Chęcińskiego? Zawsze jądrem sztuki jest tam albo ubogi szlachetka, albo niskiego stanu młodzieniec konkurujący o rękę jakiéj księżniczki, hrabianki lub baronówny; wprawdzie ma on bardzo piękne przymioty serca, głowę dobrze umeblowaną — ale mimo tego napotyka na tudności, które ma się rozumieć bije taranem argumentów wcale racyonalnych, wymierzonych na wyższe warstwy towarzyskie i na majątek. Jestto najczystsza socyalna teorya propagowana z desek teatralnych, wyborna do podniecenia namiętności i nienawiści w téj większości, co niema ani majątku, ani rodowych zaszczytów, a co najgorsza, zaszczepiająca pogardę i niesmak do stanu w jakim się niejeden urodził. Zapewne dobra to rzecz żenić się z bogatą księżniczką, ale

czyż potrzeba koniecznie tak wysoko sięgać, kiedy można znaleźć szczęście z osobą równego stanu i mienia? Tendencya ta przeważając w dzisiejszéj komedyi i dramacie, mimo że się znachodzą sztuki z talentem pisane, odejmuje dramatowi jego właściwą cechę; zamiast akcyi wypływającéj z natury charakterów i prowadzącéj do nieuniknionego rozwiązania, jak być powinno, jest tylko większy lub mniejszy ruch, sprowadzony tym lub innym wypadkiem, a właściwego działania dramatycznego niema; bo zkądżeby się wzięło? kiedy osoby reprezentujące ideje i teorye autora niemogą się poruszać tylko za pociągnięciem nitek w jego ręku skupionych. —

Przeciwnie u Fredry, każda postać nosi sama w sobie swoją kwestyą żywotną, i że tak powiem: emancypuje się od autora, działając podług własnéj natury; dlatego zajmuje, śmieszy i bawi, daje się nawet kochać jak dobry znajomy, który choć: tnie prawdę i żartuje, nieobraża cię, niegniewa, bo niema pretensyi do robienia prozelitów dla swojéj doktryny. Fredry komedye nikomu niekwasiły humoru, tak jak kwaszą swoim rozkładającym wszystko witryolem tendencyjne sztuki,

przynoszące w dodatku sporą porcyą nudów, nieuchronnych przy niedostatku żywiołu dramatycznego.

Te i inne przymioty zapewniły Fredrze całkiem osobne miejsce i to najwyższe w literaturze dramatycznéj; a chociaż komedye jego nierównéj są wartości, nic to nieprzeszkadza żeby w każdéj nie znalazł się jaki rys, jaka figura, jaka scena, nosząca piętno niepospolitego talentu, a całość i układ nieodznaczały się wielką znajomością tajemnic scenicznych. Tak pożądanego gościa trudno by wyrugować z repertoaru, kiedy jest całym jego fundamentem. —

Stronnicza krytyka ciągnąca wodę na swoję koło, poznała w nim przymioty dodatnie — a jéj gwałtem potrzeba było ujemnych — więc uderzyła bezwzględnie, ogłaszając sztuki jego za wyrób niepostępowy. Był to głos jakby Śgo Jana Chrzciciela, ale tém różniący się od apostolskiego głosu, że nieprzyszedł prostować dróg pańskich, tylko je pokrzyżować w błędniki. Z tém wszystkiem miejsce dla nowéj komedyi zostało zrobione; Fredro zamilkł — cóż z tego? kiedy następcy jego nie zdołali udźwignąć berła, jakie on w ręce ich złożył. Niewielka sztuka zepchnąć i zwalić — większa ubytek godnie zastąpić. —

Jeślibym chciał rozbierać komedye Fredry każdą z osobna, potrzebaby grubych tom im poświęcić — dziś, póki przechadzają się po scenie napawajmy się ich wesołym humorem, obcujmy z tymi starymi znajomymi przypominającymi nam lepsze czasy, na któreśmy patrzyli. — Lecz gdy przyjdzie pokolenie co zgubi tradycye, co tém figurami zajmować się będzie o tyle, o ile odpowiedzą estetycznym wymaganiom sztuki — natenczas pora robić anatomiczne studya i wezwawszy świadectwo historyi, dowodzić że tak lub owak wyglądało to społeczeństwo, którego one były odbiciem.

Nieprzeczę, w zbiorze jego komedyi jedne mogą prędzéj dostać zmarszczków niż drugie; lecz te, co stoją na psychologicznych obserwacyach serca ludzkiego, będą podobać się zawsze. Do téj liczby należą bezwątpienia *Śluby Panieńskie*, arcydzieło w swoim rodzaju z wielkim rozmysłem przeprowadzone od początku do końca, a oparte na téj sprzeczności temperamentów między jedną a drugą płcią, która często wyrodza się jakby na przekór rozsądkowi, w najsympatyczniejszą atrakcyą. Dwie zakochane pary przeciwnych usposobień i humorów dostarczyły autorowi tyle delikatnie

ciemniowanych rysów do charakterystycznéj gry uczuć, że każdy gest, każdy ruch, każde słówko zda się wyrachowane na efekt, a przecież jest tylko najnaturalniejszym obrazem salonowych konkurów. Czyż najzwyczajniejsza miłość nie jest sama przez się efektową? — Jednem słowem *Śluby Panieńskie* to jego komedyi korona — i tylko jedna *Zemsta*, jako obraz dawnych charakterów: szlachetnego impetyka i pokorniutkiego pieniacza, podniesionych w niéj do poetycznego ideału, może z *Ślubami* rywalizować, nietyle misterną budową swoją, ile porywającémi scenami. Nawet Molier niema wznioślejszego momentu jak ten, kiedy w próg Cześnika wstępuje jego największy nieprzyjaciel Rejent, a on tłumiąc swą zapalczywość powiada: . . . . . .

„I niewódź nas na pokuszenie!“ —

Do tego rzędu wyższéj komedyi należy jeszcze *Mąż i Żona*; intryga miłosna, w tak małem obracająca się kółku, że prawie miejsca niema na intrygę, a przecież Fredro stworzył mnóstwo komplikacyi i stopniował utrzymujących widza przez wszystkie akty aż do wyhornego rozwiązania.

Geldhab i *Cudzoziemczyzna* mają więcéj dążności satyryczną, również i *Jawidzki* grzeszący

zbytkiem przysłowiów, a przeto osłabiający głębokie znaczenie téj sztuki, odbijającéj typy staroświeckie, co przeżyły chwilę upadku, i znalazły się w atmosferze nicości, od któréj ratują się dykteryjkami i przysłowiami, niby pocieszającą filozofią Seneki, otwierającego sobie żyły....

W farsach nawet, zarywających na karykaturę, jak: *Damy i Huzary* lub *Gwałtu co się dzieje!* rozwinął szaloną komikę, co wiecznie śmieszy, nie dla samego ubawienia widzów; bo i pod tą pustą grą mieści się myśl wyborna. W ostatniéj téj komedyi płeć niewieścia w sławnym z przysłowia Osieku, robi rewolucyą, bierze władzę nad mężami, zasiada w ich urzędach i składa nowy rząd. Wszystko idzie nowym trybem i zdaje się sprzyjać zwycięztwu partyi niewieściéj, kiedy puszczona wieść o ciągnących na miasto Tatarach, szerzy paniczny przestrach w rewolucyonistach miasteczkowych podszytych tchórzem, i wszystko takie batme na ulicy, uciekа się pod skrzydła towarzysza husarskiéj chorągwi, znajdującego się tam dla miłosnéj intrygi, i trzymanego w więzieniu przez partyą zwycięzką. Wybornie schwycona różnica między hałaśliwym animuszem brukowym a rycerską odwagą; między burdą, a rozprawą na

polu wojennem. Gdyby nie przed trzydziestą laty ale dziś pisał tę komedyą, znalazłby zapewne więcéj rysów charakteryzujących podobne rewolucye. Ducha jednakże odgadł.

W ten sposób pojmowany dramat — to świat to żywa, z bijącem sercem filozofia; to marzenie poezyi zamienione w rzeczywistość. —

Kiedy filozof naucza, mała tylko liczba i to naukowo usposobionych, miewa przystęp do niego... Dramatyk przeciwnie, każdego zaprasza; wszystko mu jedno, ko go słucha, czy erudyt, czy prostak, czy pan, czy chudeusz... Niedziw że w służbie cywilizacyi teatr jest taką ogromną potęgą; propaganda jego najszersza, bez granic; ponieważ podchwytuje każdego bez wyjątku wdzierając się do serca przebojem. Platon rozprawia z kilkoma uczniami; Eschylos massami włada. —

Instytucya teatru prowadzona rozumnie, mogłaby daleko prędzéj zrobić edukacyą jakiego narodu, niż instytucye szkolne; nawzajem, prowadzona lekkomyślnie, może mu zepsuć charakter i obyczaje.

U nas ma jeszcze szersze znaczenie; bo w chwilach ciężkich upadków ratuje język, ożywia historyczne tradycye. —

Obok komedyi, niema co wspominać o innych poetycznych utworach Fredry, drukowanych w pismach czasowych; jedna tylko powieść: *Nieszczęścia najszczęśliwszego męża* zasługuje na pamięć jako humorystyczny obrazek, pełen życia i dowcipu najczystszéj wody. Wiszniewski w *Charakterach rozumu ludzkiego* ocenił sprawiedliwie ten utwor, będący wzorem komiki; ja zaś dodam z mojéj strony, że czytając go i w najsmutniejszém położeniu, można się roześmiać serdecznym śmiechem. —

To co się rzekło, przedstawia Fredrę w jednym tylko okresie jego zawodu, który się zamknął przed dwudziestu pięciu laty; drugi okres, będący owocem tajonéj pracy, wtenczas się zacznie dla publiczności, kiedy autor nieznane twory swoje z lat dojrzałych wyda na widok.

Skruszyć pióro, a pisać, lecz nie udzielać się; to dwa odrębne sposoby wystąpienia z literackich szranków. Pierwszy znamionuje zemstę lub niemoc; drugi powiada tylko: nie podobam się, więc zamilknę. Często bowiem się zdarza że publiczność, porwana jakim innym kierunkiem, przestaje smakować w tym lub owym rodzaju literatury. W takim przypadku najlepiéj ucichnąć, bo choćbyś

dał arcydzieła, nie poznają się na nich, co zawsze dla autora nie jest przyjemnem wynagrodzeniem, a szczególniéj dla autora dramatycznego. Fredro zmilkł, lecz mógł się przekonać, że sąd kilku nie był sądem wszystkich. —

PRZYPISEK
DO
TOMASZA KAJETANA WĘGIERSKIEGO.

Kiedym przed laty pisał ten żywot, wiedziałem z podania, że Węgierski za uszczypliwy wierszyk puszczony po Warszawie na kilka pań imieniem Elżbiet, ściągnął na siebie prześladowanie; samych wierszy jednak nieznałem; dopiéro teraz znalazłem je w starym zbiorze różnych pism. Ma on tytuł: *Portrety pięciu Elżbiet bezstronnym pędzlem odmalowane, i w dzień ich imienin ofiarowane od przyjaznego osobom ich sługi.* Są to po prostu paszkwile wymierzone na panią krakowską (Branicką hetmanową w. kor.) na xiężnę jenerałową podolską (Czartoryską) na marszałkową w. koronną (Lubomirską) na pisarzową litewską (Potocką) i na xiężną Sapieżynę.

Trembecki pod imieniem Bielawskiego schłostał porządnie paszkwilanta, a w innym wierszu pisanym doń na pożegnanie, nieprzypuszcza aby mógł należyć do tak nikczemnéj roboty:

„Nieuwierzę by twój styl galantomii bliski
Na piękną płeć smołące miał rzucać pociski.“ —

Zapewne wiedział on, ale udawał niewiernego aby wbić w szlachetną ambicyą młodego wierszo-pisa.
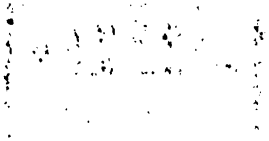
Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki w Poznaniu.